

PIOTR BOJARSKI

POKUSZENIE



POKUSZENIE

PIOTR BOJARSKI

POKUSZENIE



Copyright © Piotr Bojarski, 2018

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2018

Redaktorzy prowadzący: Adrian Tomczyk, Patryk Mierzwa

Redakcja: Lena Marciniak / Słowne Babki

Korekta: Jaga Miłkowska / Słowne Babki

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbookpl

Projekt okładki: Sabina Bicz

Fotografia na okładce: © Clem Onojeghuo

Fotografia autora na skrzydełku: Ewo So

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

Wydanie elektroniczne 2018

ISBN 978-83-7976-963-6

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

fax: 61 853-80-75

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

Więcej ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

*Termin Boskiego rozkazu wydano
W Księgę Żywota IMIĘ zapisano...**

*fragment epitafium Ludwiki Gurowskiej
w klasztorze oo. franciszkanów we Wschowie

Kasieńce i rodzicom

Spis treści

Prolog

Część I. DRESZCZ

1. Trupa, panie, znaleźli!
2. To musiał być rzeźnik
3. Prawdziwe przekleństwo
4. Coś warte więcej niż życie
5. Nikt nie mówi o skarbach, laleczko
6. Tam chyba coś pływa
7. Szok
8. Później niż prędzej
9. Jak ten fagas wyglądał?
10. Bałeś się nudy, co?
11. Krzywy i jego armia
12. Siepacze są wśród nas
13. Narada wojenna
14. Ty tego nie zrozumiesz, man!
15. Odciski

Część II. PODEJRZENIE

16. Drugie dno
17. Ziarno od plew
18. Trzej muszkietierowie
19. Grubo się mylisz!
20. Mówił tylko o jednym
21. Takie nieszczęście!

[22. Stary będzie wściekły](#)

[23. Porachunki i news](#)

Część III. TAJEMNICA

[24. Gorycz \(nie tylko piwa\)](#)

[25. Miejsce w domu Ojca](#)

[26. Z czego zwalnia śmierć](#)

[27. Trójkąt bermudzki](#)

[28. Mieliśmy dziwną wizytę](#)

[29. Głupie rzeczy w stresie](#)

[30. Burza mózgów](#)

[31. Zupełnie jak w Hadesie](#)

[32. Kopnij gnata do przodu!](#)

[33. Czas odkrywców](#)

[34. Przeciek kontrolowany](#)

[Epilog](#)

[Od autora](#)

Prolog

To miały być spokojne, leniwe wakacje. Czas odpoczynku od myśli o pracy, rozkrzyczanych uczniach, ocenach, całym tym szkolnym kieracie, który zwykle nie pozwalał człowiekowi spojrzeć dalej niż dziennik ocen i wyciągnąć nos z kartkówek i innych mniej lub bardziej oryginalnych wytworów szkolnej biurokracji. Nos, który nie wyczuwał, że i jemu należy się od czasu do czasu wolne.

To miały być niespieszne, niezmacone żadną troską chwile, w których jedyny dylemat miał brzmieć: czy wybrać się nad jezioro, czy do kina. A może zobaczyć coś zabytkowego w okolicy? Albo przeczytać książkę ulubionego autora? Słowem, zapowiadało się naprawdę sielsko.

Nic dziwnego, że dałem się skusić.

Gdybym wiedział, w co zostanę wciągnięty, pewnie poważnie bym się zastanowił. Może nawet wycofał. Ale nie wiedziałem, bo niby skąd? W spadku genetycznym po rodzicach nie dostałem przecież daru jasnowidzenia.

Propozycja kolegi z pracy wydawała się naprawdę kusząca. Marek Cichoń, nauczyciel matematyki i informatyki z tego samego gimnazjum, w którym uczyłem historii, wypowiedział ją podczas którejś z czerwcowych przerw. Kolejny rok szkolny bezdyskusyjnie przechodził do historii, wraz z nim nasza „wygaszana” decyzją rządu szkoła, a my sami znowu stawaliśmy się o rok starsi. Dwaj faceci w tak zwanym wieku średnim, świadomi upływającego czasu

i pogodzeni z tym faktem. Faceci, którzy z wolna pozbywają się złudzeń, że kiedykolwiek czeka ich lepsze życie. Ale którzy ciągle marzą, że z tego zwykłego, codziennego wycisną coś jeszcze.

– W lipcu moja żona wyjeżdża służbowo do Szwecji – powiedział Marek, schylając się i skubiąc dłonią wyschniętą trawę pod ławką.

Siedzieliśmy w pełnym słońcu, przez zmrużone powieki przyglądając się popisom gimnazjalistów, rzucających piłką do kosza na szkolnym boisku.

– To znaczy nie będzie jej przez trzy tygodnie. Z koleżankami z uniwersytetu będzie zbierać dane do ankiety o szwedzkiej opiece socjalnej. Pomyślałem, że wykorzystam ten czas, żeby odwiedzić na dłużej mamę – dodał kumpel matematyk.

– Bardzo dobry pomysł – skomentowałem, nieświadomy, do czego zmierza.

Wiedziałem tylko, że jego matka jest od kilku lat wdową i mieszka gdzieś pod Leszmem. Dobrze o nim świadczyło, że pomyślał właśnie o niej.

– Też tak myślę. – Uśmiechnął się skromnie, jak to on. – A ty? Masz jakieś plany?

– Nic konkretnego – przyznałem niechętnie.

Bo też nie było się czym pochwalić. Ja, Bogdan Popiołek, czterdziestopięcioletni singiel – na przekór uciekającemu czasowi i własnej prezencji marzący o tym, że resztę życia spędzę jednak z kimś, kogo z wzajemnością pokocham – ledwie wczoraj oberwałem od tegoż życia z główki w nos. A dokładniej – dostałem spektakularnego kosza. Nie pierwszego zresztą, choć wiele wskazywało na to, że ostatniego. Agnieszka Witeź, nieco młodsza, blondwłosa koleżanka, na co dzień nauczycielka niemieckiego w tym samym gimnazjum, zignorowała moją wyjątkowo śmiałą w propozycję wspólnego wyjazdu do Łeby. Nawet nie wiedziała, ile zdrowia kosztowało mnie wypowiedzenie tych kilku zdań. Ile nerwów, kołatania serca i odwagi. „Przepraszam cię, Bogdan, ale w tym samym terminie wyjeżdżam do Chorwacji. Mam tam od dawna rezerwację” – wytłumaczyła się, spuszczaając oczy. A ja zrozumiałem,

że to nie zimne wody Bałtyku przegrały z ciepłym w lipcu Adriatykiem, ale – zwyczajnie – nieudacznik Popiołek po raz kolejny został przez kogoś wyprzedzony. Szkolne wróble ćwierkały, że przez dużo młodszego wuefistę z liceum.

– W sierpniu być może wyskoczę nad morze – odpowiedziałem Markowi. – Tydzień, może dwa. Wszystko zależy od pogody. Poza tym muszę w końcu napisać chociaż jeden rozdział...

– Rozdział? – podchwycił zaciekawiony.

– No tak, mówiłem ci kiedyś. Próbuje napisać książkę.

– Tę historię z biegaczem?

– Tak. Idzie mi jednak jak po grudzie. Mam duży problem z prologiem...

Pokiwał głową ze zrozumieniem. Czaił się z jakimś pytaniem, wyczuwałem to wyraźnie. Postanowiłem ułatwić sprawę i wyjść mu naprzeciw.

– Dlaczego pytasz o moje plany?

Poruszył się niespokojnie na ławce.

– No dobrze... Mam pewną propozycję – wyznał w końcu. – Jak wiesz, moja mama mieszka jakieś sto kilometrów stąd. To fajna okolica. Wokół lasy, jeziora. Zupełnie inny świat. Trochę jak z naszych szczeniackich lat. O ile rozumiesz, o co mi chodzi...

Holender, piekielnie długo wyłuszczał, o co mu chodzi.

– No więc pomyślałem sobie, czy... nie dałbyś się namówić na taki wyjazd. No wiesz, na taki powrót do przeszłości – dokończył. Widząc moją zaskoczoną minę, natychmiast dorzucił: – Jeśli ci nie pasuje, nie ma sprawy. Każdy ma swoje pomysły na życie...

Prawdę mówiąc, rzeczywiście mnie zaskoczył. Choć doskonale wiedziałem, o czym myślał, opowiadając o „zupełnie innym świecie”. I o gówniarskich latach. Byłem pewien, że marzył mu się choć krótki powrót do czasów, w których potrafiliśmy docenić chwile spędzane nad spokojną taflą jeziora. Najlepiej wpatrując się w spławik lub własne odbicie w wodzie. Albo maszerując wieczorną porą przez las. Bez oglądania się na te wszystkie cuda techniki, osaczające nas dzień w dzień i domagające się niepodzielnej uwagi. Markowi marzył się

zapewne powrót do życia bez wielkomiejskiego stresu i całego tego technologicznego szajsu. Choćby ten powrót miał potrwać ledwie kilka dni.

– Nie powiedziałem, że mi nie pasuje – odpowiedziałem po chwili namysłu. – Muszę jednak przyznać, że jestem zaskoczony... Gdzie to właściwie jest, bo, sorry, nie pamiętam?

– Wschowa – mruknął trochę wstydliwie. – Małe miasto między Leszmem a Głogowem. Ale fajne, zobaczysz! Z charakterem!

– Jeszcze się nie zdecydowałem – zaprotestowałem ze śmiechem. – Ale co na to twoja mama? Zapytałeś ją chociaż, czy jest na to gotowa?

– Czyli się zgadzasz? – W oczach kumpla zauważyłem radość.

– Powoli, powoli – podniosłem dłoń, by go powstrzymać. – Najpierw odpowiedz na moje proste pytanie.

– No jasne, wszystko już uzgodniłem. – Marek coraz bardziej się nakręcał. – Stary, to naprawdę bardzo fajne miejsce na letni wypad. Jest gdzie się wykąpać, jest gdzie pójść na piwko. Nie mówiąc o tym, że tam jest ono dużo tańsze niż w Poznaniu! Aha, a w ogóle zdziwisz się, bo to niby niepozorne miasteczko, ale z niesamowitą historią. O ile się orientuję...

Miałem niezły ubaw, przyglądając się, jak Marek Cichoń snuje tę swoją opowieść o rodzinnej miejscowości, którą porzucił kiedyś dla studiów w wielkim mieście. A potem – już na stałe – dla pracy, żony i codziennych obowiązków. To, co opowiadał, by mnie przekonać, brzmiało jak tania turystyczna reklamówka, ale miało swój urok. Zwłaszcza ten pasus o tanim piwku... Tak, tym chyba mnie kupił.

Zastanowiłem się przez chwilę. Na pierwszy rzut oka propozycja brzmiała naprawdę nieźle. Co ja, podstarzały singiel z brzuszkiem, od dawna bez cienia szansy na zainteresowanie płci przeciwnej, będę robił w środku lata w dużym mieście? No właśnie, co? Nie miałem w planach niczego konkretnego. Mały wypad na prowincję dobrze mi zrobi, uznałem. Po przeprowadzce zimą na ratajskie blokowisko miałem dość widoku betonowych, kilkunastopiętrowych kostek. A przecież Marek wspomniał coś o jeziorach i lesie. Zapachniało przygodą, wyczytaną dawno temu w książkach Nienackiego

o pewnym muzealniku z żyłką detektywa...

Kumpel wpatrywał się w moją twarz wyczekująco. Nie chciałem mu zrobić przykrości.

– Powiedzmy, że się zastanowię – oświadczyłem poważnym tonem.

Nie powstrzymałem jednak uśmiechu.

– Dzięki, Bodziu! – Marek zachowywał się zupełnie jak nie on, zwykle zimnokrwisty i opanowany przedstawiciel nauk ścisłych. Poderwał się z ławki i podskoczył w górę, jakby zamierzał rzucić za trzy punkty do pobliskiego kosza. A potem uścisnął mnie serdecznie.

– Powiedziałem tylko... – próbowałem go wyhamować, ale nie dałem rady.

– Zobaczysz, że to będą zajebiste wakacje! – Ten przymiotnik w ustach Marka zabrzmiał zaskakująco naturalnie. – Jednego jestem pewny: nie będziemy się nudzić. Obiecuję!

O tak, z perspektywy czasu mogę potwierdzić: nudy nie było. Chociaż wtedy, na ławce przy szkolnym boisku, nie byliśmy zupełnie świadomi, jakie atrakcje na nas czekają.

Gdybyśmy wiedzieli...



Ostatni dzwonek rozdarł ciszę osiedlowej pustyni, uwalniając rozgorączkowanych uczniów z dusznych klas gimnazjum. Wybiegli w odświętnych białych koszulach i granatowych spódnicach lub spodniach, jakby szkoła kojarzyła im się głównie z więzieniem, które należy jak najszybciej opuścić. Jako belfer z niemal dwudziestoletnim doświadczeniem potrafiłem ich zrozumieć. Gdy świat wybucha zielenią i ciepłem, trudno wysiedzieć pięć dni w tygodniu nad cosinusami albo cyklem rozwojowym glisty ludzkiej. A nawet – jak z żalem zauważyłem – nad Polską Jagiellonów. Są pewne prawa natury, których nie pokonamy. A już zwłaszcza my, skromni nauczyciele z wygaszanego na raty gimnazjum.

– Panie i panowie, życzę udanego wypoczynku! – Dyrektor Sadowski

obkołędował nas wszystkich wokół stołu, podając dłoń kolegom i obcałowując ręce koleżanek. – Widzimy się pod koniec sierpnia na radzie pedagogicznej. Ale, ale! Po co ja wam to teraz mówię?! Przepraszam szanowne koleżeństwo. Do zobaczenia i już!

W pokoju nauczycielskim podniósł się hałas nie gorszy od tego, jaki kilka minut wcześniej wypełnił hol szkoły. Każdy chciał się pożegnać, a jeszcze chętniej – przy okazji pochwalić Portugalią czy inną Barceloną, do której pojedzie. Zerknąłem ukradkiem na Agnieszkę. Właśnie odebrała telefon, uśmiechając się od ucha do ucha. Pewnie dzwonił ten cholerny lowelas z sali gimnastycznej...

Westchnąłem ostatecznie pognębiony i ruszyłem w stronę drzwi. Z drugiego końca stołu machnął do mnie Marek, pokazując, bym czekał na niego na korytarzu. Wiedziałem, o czym chce pogadać.

– To co, jesteś gotowy? – zapytał.

Zabrzmiało i wyglądało to cokolwiek śmiesznie: jakby dwaj siwiejący faceci wyjeżdżali na obóz harcerski, a nie na dłuższy weekend zapoznawczy z produktami lokalnego browaru. Było mi jednak wszystko jedno.

– Jestem – potwierdziłem.

– To kiedy wyruszamy?

– Mówiłeś, że drugiego lipca, w niedzielę – zaniepokoiłem się. – Czy coś się stało?

Marek wyszczerzył zęby w zwariowanym uśmiechu.

– Co ja plotę! – podsumował samokrytycznie. – Jasne, że drugiego. Po prostu tak się cieszę, że dałeś się namówić! Na pewno wolisz jechać swoim samochodem? Może jednak pojedziemy moim?

– Absolutnie moim, panie kolego. Wystarczy, że mam spanie za darmo.

– Już nie bądź taki zasadniczy! Przecież wiesz, że mój volkswagen jest...

– Dużo nowszy. Wiem. Ale nie pogniewaj się, chcę jechać moim fordem. Staruszek rzadko ma okazję podładować akumulator na trasie. A w środku jest całkiem wygodny, sam się przekonasz.

– Nie to chciałem powiedzieć – zaperzył się Marek. – Tylko wiesz,

jakby co...

– Jakby co, będziemy mieć jedną przygodę więcej – złamałem jego opór. – Zresztą nie jedziemy za Ural, tylko w Lubuskie. Zapewniam cię, że tam też mają warsztaty i mechaników...

– Lepiej wypłuj to słowo.

– Mareczku, naprawdę niepotrzebnie się obawiasz. Mój escort nie zadaje może tak szyku, jak twoje polo, ale możesz być pewien, że do Wschowej dojedzie.

– Do Wschowy – poprawił mnie kolega.

– No właśnie, do Wschowej – postanowiłem go nieco podrażnić. Zignorował jednak moją prowokację.

– Nie zapomnij zabrać wędki – wrzucił nowy wążek.

– Nie łowię ryb – odpowiedziałem zaskoczony.

– OK. Na pewno znajdę kilka kijów w szafie ojca – skomentował.

Wzmianka o zmarłym kilka lat temu tacie Marka spowodowała, że natychmiast spoważniałem.

– Czyli co, wszystko ustalone? Zdzwaniamy się w sobotę? – zaproponowałem.

Przytaknął i przybiliśmy piątkę.

Gdy rozstaliśmy się na parkingu i wsiałem za kierownicę, zrobiło mi się głupio. Dopiero wtedy przypomniałem sobie, że zapomniałem mu powiedzieć ważną rzecz – wspomnieć, że jednak cieszę się z tego wyjazdu.

Część I



DRESZCZ

1.

Trupa, panie, znaleźli!

W drodze złapała nas burza. Nagła, gwałtowna i wściekła. Jak to w lipcu bywa, na drogę spadła potężna ulewa. Tak mocna, że cherlawe wycieraczki mojego leciwego forda escorta z biedą odbierały strugi wody. Musiałem zwolnić, a nawet na chwilę zjechać na pobocze, tak kiepska była widoczność przez ścianę deszczu. Marek litościwie nie skomentował słabości mojego wozu. Cóż, jego volkswagen zapewne wyratowałyby nas z tej opresji.

Z powodu ekstremalnych zjawisk pogodowych pokonanie stu kilometrów dzielących Poznań od rodzinnego miasta Marka zabrało nam dwie godziny. Gdy dojeżdżaliśmy do celu, opady miłosiernie zaczęły zanikać, a po zachodniej stronie nieba zrobiło się jaśniej. Na tyle, bym mógł zobaczyć najpierw zajazd o wdzięcznej nazwie „Hubertus”, a potem, z daleka, ciekawe zjawisko: majestatyczny pomnik buhaja Ilona, stojący na kamiennym cokole nieopodal małego ronda wjazdowego do Wschowy.

– To pamiątka po wzorcowej hodowli socjalistycznej, którą za komuny prowadził niejaki Apolinarski w pobliskiej Osowej Sieni – wyjaśnił fachowym tonem Marek. – Buhaj rozplodowy Ilon spisywał się dzielnie, hodowla rosła w siłę, a ośrodek dostał Order Sztandaru Pracy I klasy. Decydenci PRL uznali więc, że buhaj-stachanowiec zasłużył na pomnik. Ale nie zgadniesz, co stało tu wcześniej, za Niemca.

– Pewnie jakiś żelazny krzyż – zażartowałem ponuro.

Pogoda i trudne warunki jazdy wypłukały ze mnie zasoby dobrego

humoru.

– Aż tak, to nie – zachnął się kumpel. – Kiedy była tu Rzesza, w tym samym miejscu stała kamienna wieża ku czci kanclerza Bismarcka – wyjaśnił.

– O, to ładne! Byk zastąpił „żelaznego kanclerza” – mruknąłem już odrobinę weselszy. – Rozumiem, że wieżę dla Ottona von Bismarcka zniszczyli sowieccy wyzwoliciiele?

– I tu się mylisz, kolego. Bo wieża przetrwała rok 1945 nietknięta. Zdaje się, że usunięto ją dopiero za Gomułki.

– A kiedy postawili tego Ilona?

– W stanie wojennym. Tak przynajmniej słyszałem od ojca. Podobno wykorzystali fragmenty wieży pod cokół – rozkręcił się Marek. – O tym buhaju krąży zresztą sporo anegdot. Postawiono go zadem do Zachodu. Wiesz dlaczego. Bo w tamtych czasach Zachód był „zgniły” i niesłuszny. Ale tutejsi szybko dorobili inną opowiastkę...

– Jaka? – mruknąłem zaintrygowany.

– O tym, że twórcy pomnika Ilona okazali się sprytniejsi niż propagandyści. I zrobili komunistów w konia.

– Bo?

– Bo ustawili go rogami na wschód!

Śmiech pomógł mi wrócić do równowagi. Zanim na dobre wjechaliśmy do miasta, Marek zdążył podrzucić jeszcze jedną anegdotę: o byczych genitaliach.

– A ty wiesz, że za komuny przed każdą Wielkanocą nieznani sprawcy malowali jaja Ilona farbą jak pisanki? – zagadnął. – To wcale nie było takie łatwe, bo cokół jest naprawdę wysoki. Wymagało to umiejętności alpinistycznych...

– Daj już spokój! – Ze śmiechu trudno mi było utrzymać prosto kierownicę. – A nikt nie pomalował słabizny Ilona na biało-czerwono?

– A właśnie, że raz pomalowali! Ale się zrobiła draka, bo to się ludziom jednak nie spodobało. Wydzwaniali do ośrodka hodowli zarodowej w Osowej Sieni z pogrózkami, żeby „nie robić jaj” i przemalować je na inne barwy. Co było robić, kierownictwo ośrodka musiało spełnić te życzenia... No, ale to dawne dzieje. Teraz nikt

bykowi jajek nie maluje. Choćby i na biało-czerwono.

– Co robić... Duch w narodzie ginie.

Ubawiłem się setnie, słuchając opowieści o dzielnym i wydajnym buhaju. Nawet nie zauważyłem, kiedy po lekkiej pochyłości wjechałem do Wschowy. Po obu stronach ulicy dominowała niska, jednopiętrowa zabudowa. Po lewej mignęła mi reklama jakiejś knajpy. Prowadzony wskazówkami Marka, przejechałem główne skrzyżowanie, minąłem ceglany budynek poczty, a potem okazałych rozmiarów basztę i chwilę później dojechałem na wschowską Starówkę. Przez ciasny prześwit ulicy wjechałem na rynek i zaparkowałem na wprost smukłej sylwetki ratusza, przywodzącej na myśl angielski neogotyck.

Gdy wysiadaliśmy z zaparowanego auta, niebo się przejaśniło, a w kałużach przeglądało się już słońce.

Rozejrzałem się szybko wokół – i z miejsca mi się spodobało. Kwadrat rynku okalał ciąg urokliwych, choć zaniedbanych, barokowych kamieniczek. Z reguły miały dwa piętra, stały ściśnięte jak żołnierze w szeregu armii, szykującej się do ataku. Mimo farby, łuszczącej się z fasad domostw, poczułem ducha miejsca, które ma własną, niepowtarzalną historię. Byłem jej coraz bardziej ciekawy.

Mama Marka – co okazało się dodatkową atrakcją – mieszkała na pierwszym piętrze jednego z zabytkowych budynków północnej pierzei rynku. Z okien jej niedużego mieszkania, położonego nad kwaciarnią, widać było bielone mury ratusza i podstawę wieży z fantazyjnymi blankami. A także herb miasta: podwójny jagielloński krzyż z kołami na niebieskim polu i z dwoma postaciami w historycznych szatach. Jeszcze przed wyjazdem przeczytałem trochę o Wschowie, dlatego wiedziałem, że to Najświętsza Maryja Panna i Chrystus podczas koronacji Matki Boskiej.

Beata Cichoń, drobna starsza pani z okularami w rogowych oprawkach – jak się okazało, emerytowana nauczycielka polskiego i szkolna bibliotekarka – przywitała nas nadzwyczaj serdecznie już na schodach. Gdy tylko Marek mnie przedstawił, dosłownie wyrwała mi torbę podróżną z dłoni i zaniósła ją do mojego pokoju.

– Panie Bogdanie, pan się tutaj rozgości! – zaproponowała.

Nie wypadało odmówić. Tym bardziej że moje lokum sprawiało wrażenie nadzwyczaj przytulnego. Szczególnie rozczył mnie piec kaflowy w rogu pokoiku. Choć było lato i nie trzeba było dorzucać do niego węgla, od razu poczułem się ciepłej.

– Proszę mi mówić po imieniu – zaproponowałem pani Beacie, na co ta chętnie przystała.

Chwilę później usłyszałem jej wyraźnie przejęty głos, dobiegający z kuchni:

– Mareczku, Bogdanie! Zapraszam na obiad!



Po wspaniałych żeberkach w sosie musztardowym ucieliśmy sobie małą drzemkę. Potem była kawa i ciasto. Aż w końcu postanowiliśmy się wybrać na przechadzkę. Szczerze mówiąc, byłem dramatycznie przejeżdżony i uznałem, że trochę ruchu przed wieczorem dobrze nam zrobi.

Byłem też ciekaw miasta. W drodze do Wschowy Marek opowiadał mi o niej wiele ciekawych rzeczy. Na przykład, że zachowały się w niej mury miejskie. Albo że ma największą w tym rejonie Polski wieżę kościelną. I że odbudowano w niej dawny zamek królewski, w którym mieści się restauracja. Wspomniał też o śladach dawnej wielokulturowości miasta – o cmentarzu pozostałym po ewangelikach. I o wschowskich Żydach. Jak na tak małą miejscowość, wszystkie te wzmianki robiły spore wrażenie. Obiecałem sobie, że w wolnej chwili przyjrę się bliżej historii tego miasta, o które przez wieki rywalizowali książęta śląscy i wielkopolscy.

Gdy wyszliśmy pod wieczór na rynek, panował na nim niewielki ruch. W jedynym ogródku z piwem, usytuowanym niemal na wprost wejścia do ratusza, sączyło złoty płyn ledwie kilku młodych mężczyzn, hałaśliwie wyklócając się o piękno swoich dziewczyn. Po chodniku przemykało pod rękę starsze małżeństwo, taksując nas podejrzliwym

wzrokiem.

– Dzień dobry, panie profesorze – skłonił się niespodziewanie Marek.

Pochyliłem również głowę z szacunkiem przed parą emerytów.

– Spiski. Mój nauczyciel z liceum. Od fizyki – wyjaśnił szeptem Marek.

– Aha.

Zrobiliśmy rundkę wokół ratusza, po czym ruszyliśmy wąską uliczką – z tabliczki wynikało, że Kościelną – ku masywnej bryle kościoła. Marek powiedział, że to fara. Na tylnej ścianie świątyni wisiał krzyż z Chrystusem. Obeszliśmy zaskakująco wielki kościół z solidnymi, wysokimi nawami i naszym oczom okazała się jeszcze wyższa, strzelista wieża z cegły. Wsparta dwoma solidnymi przyporami u podstawy, miała imponujące wymiary. Uświadomiłem sobie, że jej barokowy hełm z zzieleniałej miedzi był pierwszą rzeczą, jaka rzuciła mi się w oczy na ostatniej prostej przed wjazdem do miasta.

– Matko, ile ona ma metrów? – Zadarłem wysoko głowę.

– Nie wiem dokładnie. Na pewno ponad sześćdziesiąt. W dawnych czasach mieścił się na niej pewnie punkt obserwacyjny – podrzucił Marek. – Kiedy chodziłem jeszcze do szkoły, słyszałem pogłoski, że przy słonecznej pogodzie z wieży widać szczyty Sudetów. Tak twierdził jeden z ministrantów, którego proboszcz zabrał kiedyś na górę. Ale szczerze mówiąc, nie chce mi się w to wierzyć.

– Mnie też – mruknąłem sceptycznie. – A ty? – Wskazałem na murowaną balustradę kilka metrów poniżej hełmu wieży. – Nigdy tam nie wszedłeś?

– To nie takie proste. Wieża nie jest dostępna dla turystów. Podobno drewniane schody od lat są w złym stanie, nikt nie chce ryzykować.

Pokiwałem ze zrozumieniem głową. Widoczne rysy i spękania na ceglastym korpusie wieżycy zdawały się potwierdzać słowa Marka.

Chciał pokazać mi wnętrze fary, ale wejście do kościoła było już zamknięte. Zostawiliśmy więc świątynię za plecami i po łagodnym, brukowanym stoku doszliśmy do kamiennej balustrady – śladu po

mostku, który niegdyś spinał zapewne dwa brzegi fosy. Jej dawny przebieg świetnie oddawały planty, widoczne teraz po prawej ręce. Rozpościerały się w obniżeniu terenu między alejką a ciągiem niskich, kamiennych murów miejskich.

– Najstarszy fragment murów powstał, zdaje się, jeszcze zanim Kazimierz Wielki przyłączył miasto do swojego królestwa – powiedział Marek.

– Wiem, wiem. W 1343 roku odbił Wschowę książętom głogowskim – uzupełniłem, a widząc zdziwioną minę kolegi, dodałem: – To akurat znam, jest w programie nauczania.

Marek uśmiechnął się wyrozumiale i wskazał na resztki kamiennego mostku. Na balustradzie dostrzegłem wykonaną z piaskowca figurę lwa. Dzierżył w łapach kartusz z herbem miasta.

– To Lwi Mostek. – Mój przewodnik pospieszył natychmiast z wyjaśnieniem. – Powstał w XVIII wieku, za panowania Wettynów. Oczywiście wtedy wyglądał nieco inaczej.

– Wettynów? A co oni mieli wspólnego ze Wschową?

– Ponoć było to ich ulubione miasto. Ale to już ty powinieneś wiedzieć lepiej, panie historyku – zachnął się Marek.

Udałem, że nie dosłyszałem tej uwagi. Była bowiem wyjątkowo kąśliwa i słuszna. Wysiłem pamięć i przypomniałem sobie: to pograniczne miasto idealnie nadawało się na miejsce wypełniania państwowych obowiązków przez Augusta Mocnego i jego syna Augusta III, elektorów saskich i królów polskich, którzy często byli zbyt wygodni, by w ważkich sprawach tarabanić się z Drezna do Warszawy. Dlatego przyjmowali poselstwa i radzili z senatem w przygranicznej Wschowie. Zdaje się, że dla ich wygody ratusz wschowski połączono balustradą z kamienicą, w której mieszkali w trakcie pobytów w mieście...

Krótki spacer po miasteczku uświadomił mi, że nie doceniałem tego miejsca. A przecież nie zobaczyłem jeszcze wszystkiego, co chciałem. W oddali majaczyła wieża klasztoru franciszkanów, który według przeglądanej przeze mnie jeszcze w Poznaniu przewodnika zaliczany był do perełek polskiego baroku. Chciałem też odwiedzić tutejsze

lapidarium rzeźby nagrobnej.

Było już po siódmej, więc na razie odpuściliśmy sobie klasztor i ruszyliśmy alejką wiodącą wzdłuż murów ku coraz lepiej widocznej baszcie. Jej baniasta kopuła prześwitywała przez stare, rozłożyste drzewa, którymi niegdyś obsadzono brzegi traktu. Był do niej przyklejony niewysoki, zwarty budynek z pochyłym, dwudzielnym dachem. Surowe ściany z cegły i kamienia przyciągały uwagę. Duże okna na sporej wysokości sugerowały sakralny charakter budowli. Zdawała się wymarła i z dawna nieużywana.

– A to co? – zapytałem zaintrygowany.

– A to jest Kripplein Christi – odpowiedział mój przewodnik. – To znaczy Żłobek Chrystusa, dawny zbór ewangelicki. Odkąd w czterdziestym piątym ze Wschowy uciekli ostatni niemieccy protestanci, stoi zamknięty i niszczeje.

– Byłeś kiedyś w środku?

– Chyba raz, na chwilę. Bo zwykle zbór jest zamknięty na trzy spusty.

– I co?

– Ech... – Marek zamyślił się. – Wnętrze jest niezwykle. Było tam ciemno, ale zapamiętałem drewnianą galerię dla wiernych. Była niesamowita, miała chyba kilka pięter. Zupełnie inaczej niż w kościołach katolickich. I wiesz... – Mój przewodnik ściszył głos. – Było w tych murach coś dziwnego, tajemniczego.

– To znaczy? – Ostatnie zdanie w ustach nauczyciela matematyki wybrzmiało zaskakująco mocno, z przejęciem.

Marek wzruszył ramionami.

– Hm... Trudno to nawet nazwać.

Nie maglowałem go dłużej. Wolnym krokiem minęliśmy przysadzisty gmach i znaleźliśmy się u podstawy okrągłej baszty, którą już raz zobaczyliśmy, wjeżdżając samochodem w mury Starego Miasta. Wieża zdawała się opierać o korpus dawnej świątyni. Tuż obok stał, zapewne XIX-wieczny, budynek dawnej pruskiej poczty z ładnej cegły.

– Tu była niegdyś Brama Polska, jedna z dwóch wjazdowych do miasta – wyjaśnił mi Marek. – Polska, bo prowadziła w stronę

Poznania. Z drugiej strony, od południa do miasta można było wjechać Bramą Głogowską.

Rzuciłem szybkie spojrzenie na stojącą obok baszty planszę z planem dawnej Wschowy. Miasto założono ewidentnie na planie greckiego krzyża. Osiem ulic rozchodziło się prostopadle od płyty rynku w cztery strony świata. Obrys murów miejskich tworzył wokół centrum zabudowy owal zbliżony do koła. I tylko wzgórze z zamkiem, położone po wschodniej stronie umocnień, psuło nieco wrażenie harmonii.

– Ciekawe – podsumowałem. – Na planie widać jeszcze dwie inne bramy...

Nie zdążyłem jednak rozwinąć myśli, bo gdzieś za plecami usłyszeliśmy jakiś gwar. Narastał w lawinowym tempie, jakby nagle na ulicy pojawiła się wcale niemała demonstracja. Odwróciliśmy się zaskoczeni. I rzeczywiście – zobaczyliśmy spory tłum! Grupa rozemocjonowanych mieszkańców Wschowy otaczała róg jednej z kamienic przy ulicy Bohaterów Westerplatte.

Bez słowa ruszyliśmy w tę stronę. Wystarczyło kilkanaście kroków, by zorientować się, że ludzie śledzą wydarzenia rozgrywające się przy jednym z niskich, parterowych budynków, przyklejonych do kamienicy od tyłu, od strony ulicy Garbarskiej. Zablokowali wylot ulicy, stając między piekarnią a wejściem do gmachu PKO. Dalszą drogę zagradzał im policjant, stojący w szerokim rozkroku na środku jezdni. Niektórzy z gapiów wskazywali dłonią w głąb Garbarskiej, opowiadając coś z przejęciem.

Zaferowani nadstawiliśmy uszu.

– Podobno znaleźli go godzinę temu... Ktoś z rodziny... – szeptał starszy mężczyzna w białym fartuchu, wyglądający na piekarza z pobliskiego zakładu.

– Może się zapił na śmierć? – spekulowała zażywna kobieta z chustką na głowie. – Ponoć nie stronił od kielicha...

– Gdyby się zapił, policji by nie wołali – orzekł tonem fachowca mężczyzna nikłej postury i w nieustalonym wieku, zapewne miejscowy menel. – Patrz pani, przecież tam stoi suka...

Podążyłem wzrokiem za jego wskazaniem i dopiero teraz zauważyłem policyjną furgonetkę. Stała nieco na uboczu. Za nią zaparkował ambulans, niemal niewidoczny dla gapiów. Za kierownicą policyjnego wozu siedział młody szofer w mundurze. Reszta ekipy pracowała zapewne w niskim budynku z czterema oknami. Moje przypuszczenia zdawał się potwierdzać funkcjonariusz w czarnym uniformie, stojący w drzwiach i pilnujący porządku.

– Przepraszam, co tu się właściwie stało? – zapytałem.

Kobieta z chustką na głowie zdawała się tylko na to czekać.

– Trupa, panie, znaleźli! – Wzruszyła ramionami, jakby we Wschowie było to zdarzenie całkiem powszednie. – Znaczy się, ktoś z rodziny znalazł, jak przyszedł człowieka odwiedzić. Tak mówią. A mnie się wydaje, że facet się zapił. Bo od dawna miał problemy alkoholowe. Pan wie, jak to jest z artystami...

– Artystami? – podchwyciłem zdumiony.

– No tak, artystami! – Tęga mieszkanka Wschowy znowu wzruszyła ramionami. – To pan nie wie, kto tu mieszka? Julek Zamiejski, chyba mówi coś panu to nazwisko?

Tym razem to ja mimowolnie wzruszyłem ramionami. Z odsieczą przyszedł mi niespodziewanie żulik w poszarpanej koszulce.

– Pan nietutejszy, to nie wie – usprawiedliwił mnie zachrypniętym głosem, prezentując w szczerym uśmiechu niepełne uzębienie. – Zamiejski to taki nasz poeta miejscowy. Znaczy się, wiersze pisze! – Machnął nieco wzgardliwie ręką. – No i w muzeum pracuje. To znaczy pracował. Kiedyś, zanim...

– Zanim w alkoholizm popadł! – Zgromiła menela wzrokiem korpulentna kobieta z chustką na głowie. – Kustoszem był długie lata, ale się rozpił i wyleciał z roboty. Żony i dzieciaków nie miał, to i łatwiej całkiem się rozleciał...

Kiwnąłem głową ze zrozumieniem. Nagła śmierć znanego mieszkańca musiała poruszyć miejscowych. Choćby i wynikała z przyczyn naturalnych.

– A ja słyszałem, że go zabili – westchnął mężczyzna w fartuchu.

– Panie Wiśniewski, co pan opowiadasz! – oburzyła się krępa

kobieta. – Jak zabili? A niby za co?

– Tego nie wiem, pani Karolczak – Piekarz wcale nie obraził się z powodu podniesionego głosu rozmówczyni. – Ale jeden z moich pracowników widział, jak z mieszkania Zamiejskiego wybiegł jego kuzyn. Ponoć miał w oczach strach. Krzyczał coś o nożu w plecach...

Wśród gapiów zapadła nagle martwa cisza. Jakby wszyscy zdali sobie sprawę, że stali się właśnie świadkami czegoś więcej niż zwykłego życiowego wypadku.

– Ale... Ale kto by to zrobił? – wydukała w końcu kobieta o nazwisku Karolczak, szarpiąc nerwowo dłonią rąbek swojej chusty. – Kto by coś miał do takiego... No, do takiego... Do takiego spokojnego człowieka?

W towarzystwie zapadła cisza.

Zastanowiło mnie, że kobieta potrzebowała sporo czasu, by znaleźć to banalne w gruncie rzeczy określenie. Czyżby w pierwszym odruchu chciała powiedzieć coś innego?

Marek szturchnął mnie łokciem w bok. Ruchem głowy wskazał w kierunku Garbarskiej.

Widzowie nadal trwali w milczeniu, bo z mieszkania Zamiejskiego wyszedł nagle mężczyzna w cywilnym ubraniu, a zaraz za nim z wąskich drzwi wysunęli się nie bez trudu dwaj ratownicy pogotowia, dźwigający nosze. Widok wypchanego niechybnie ciałem, czarnego foliowego worka, przypiętego ściśle pasami do noszy, robił przygnębiające wrażenie.

W ślad za funkcjonariuszami budynek opuścił również grubszy facet z aparatem w dłoniach. I lekarz. Na koniec umundurowany policjant stanął ponownie w drzwiach budynku, a wszyscy pozostali ruszyli w stronę zaparkowanych przy Garbarskiej samochodów. Kondukt żałobny śledziło wzrokiem kilkadziesiąt osób. Nikt nie odezwał się ani słowem.

– Nic tu po nas – szepnął do mnie Marek.

Trudno było nie przyznać mu racji. Kiedy rozchodziliśmy się każdy w swoją stronę, usłyszałem jeszcze, jak piekarz Wiśniewski mruknął sam do siebie:

– Niewiarygodne. Po prostu niewiarygodne...

Idąc do domu Cichoniów, zrozumiałem, że w tej historii było coś dziwnego. A nawet niepokojącego. Ktoś miałby zamordować nikomu niewadzącego poetę, choćby i wykolejonego życiowo? Ale dlaczego? Po co?

Jakoś nie dawałem wiary pogłoskom o zabójstwie.

2.

To musiał być rzeźnik

Następnego dnia o morderstwie trąbiło już jednak całe miasto. Lokalny portal informacyjny podał wiadomość, że w budynku przy Garbarskiej odnaleziono ciało Juliana Zamiejskiego. I że bez wątpienia było to zabójstwo. Prawdopodobnie doszło do niego w trakcie burzy, która złapała nas w drodze do Wschowy. Krótki artykuł informował ponadto, że zwłoki Zamiejskiego zostały przewiezione na sekcję do zakładu medycyny sądowej w Zielonej Górze. I że trwa „intensywne śledztwo policji” w celu wykrycia sprawcy zbrodni.

Na załączonym zdjęciu po raz pierwszy zobaczyłem oblicze zamordowanego. Pobrużdżona twarz emeryta z przerzedzonymi, siwymi włosami na czole wcale nie wyglądała na fisis inteligenta. Gdybym nie wiedział, że to były pracownik naukowy, powiedziałbym raczej, że mam przed sobą gębę miejscowego menela. A może akurat na tej fotografii Zamiejski wypadł wyjątkowo niekorzystnie?

Beata Cichoń była przygnębiona. Okazało się, że zamordowany był z nią spokrewniony. Wprawdzie daleko, ale jednak.

– Kto to mógł zrobić? – zastanawiała się przy śniadaniu. – I dlaczego?

– Mamo, nie ma sensu zamęczać się tymi pytaniami. – Marek próbował ją uspokoić, choć bezskutecznie. – Dajmy działać policji. Na pewno prędzej czy później złapią mordercę.

Pani Beata pokiwała głową bez przekonania.

– Albo i nie złapią – skomentowała.

Rozumiałem jej sceptycyzm. Sam niespełna rok wcześniej przekonałem się, że na stróżach prawa nie można polegać bezwarunkowo^[1]. Szczęśliwie tamta historia skończyła się dla mnie dobrze, choć kosztowała mnie sporo stresu. Za czasów komuny, które jeszcze pamiętałem, milicja była obiektem powszechnych drwin. Przez ćwierć wieku wolnej Polski szacunek dla policji wzrósł – nie na tyle jednak, by być pewnym, że formacja ta zawsze i wszędzie da sobie radę.

– Trzeba być dobrej myśli – powiedziałem na przekór własnym doświadczeniom. – W końcu to dla nich prestiżowa sprawa. Ktoś zabił znaną postać tutejszego życia publicznego, dawnego kustosza muzeum. Staną na głowie, żeby znaleźć winnego. Lub winnych.

Pani Beata spojrzała na mnie ciepło.

– Tak mi się wydaje, panie Bogdanie, że z pana byłby niezły policjant – stwierdziła z życzliwością w głosie. – Nawet wypowiada się pan, jak oni: „winnego lub winnych”. Podoba mi się to pańskie dążenie do precyzji.

Pewnie zarumieniłem się, lekko zmieszany. Mimo czterdziestu pięciu lat na karku.

– Precyzja sformułowań to domena Marka – odbiłem piłeczkę. – A tak w ogóle, to miała mi pani mówić po imieniu, prawda?

– No już dobrze, dobrze – rozpromieniła się pani Cichoń. – Poczekamy, zobaczymy, co z tego wyniknie. Tylko smutne, że ten biedny Julian tak źle skończył. Z kim on się zadawał, że został tak potraktowany? Ech... No, nieważne. Trzeba będzie pójść na pogrzeb, nie ma wyjścia. Tylko kiedy w ogóle go pochowają, skoro zawieźli go tak daleko stąd?

– Mamo. – Marek położył dłoń na szczupłym ramieniu matki. – Niech tak się mama nie zamartwia. Przykra sprawa, ale wszystko się jakoś ułoży. A na pogrzeb na pewno przyjdzie czas. Przecież nie pochowają go w tajemnicy.

– Masz rację, synku – zgodziła się. – To co, moi panowie... O przepraszam, chłopcy moi? Jeszcze kawy?

Pokręciliśmy głowami. Zerknąłem na zegarek. Zbliżała się już

dziewiąta, a my mieliśmy w planie wypad nad jezioro. Marek mówił, że to jakieś dziesięć kilometrów stąd. Pogoda była wymarzona, więc sporo sobie obiecywałem.

– Dziękujemy, mamó. To my się zbieramy, żeby już mamie nie przeszkadzać. – Marek wstał z za stołu, a ja za nim.

– Nie przeszkadzacie, no co też opowiadacie!

– Jak mówiliśmy, obiad zjemy nad jeziorem.

– Pamiętam, Marku.

– Do zobaczenia wieczorem.

– Bawcie się dobrze. Tylko uważajcie na siebie. Lepiej nie wypływajcie zbyt daleko od brzegu...

Spojrzelśmy na siebie z uśmiechem. Te mamy! Wszędzie są takie same.



Choć Marek upierał się, żeby do Lginia pojechać autobusem, wybiłem mu to z głowy. Może i mój ford miewa problemy z wycieraczkami, ale przy pięknej pogodzie bez dwóch zdań sobie poradzi. Chwilę później siedzieliśmy w samochodzie, pędząc niezbyt szeroką, za to obficie łataną szosą na północ.

Było sympatycznie i urokliwie. Po drodze minęliśmy pola pełne kołyszącego się zboża, dwie wioski, zwirownię i porośnięte lasem wzgórze, na którym dostrzegłem malowniczy kościółek. Okolica zdawała się wymarzona do letniego wypoczynku. W powietrzu unosił się duszny, acz oszałamiający zapach kwitnących lip, róż i hortensji z przydomowych ogrodów, przemieszany z aromatem żywicy. I poczuciem nieopisanej swobody.

Jakże różniło się to od wielkowiejskiego zgiełku! Po raz pierwszy odczułem, że dobrze zrobiłem, wyrывая się z Poznania. Poczuję się autentycznie wolny – od codziennych, monotonnych obowiązków. I od ułożonego, zaprogramowanego życia.

Lgiń okazał się sporą wsią, położoną nieco na uboczu drogi

w kierunku Wolsztyna, z okazałym neogotyckim kościołem i XIX-wiecznym pałacikiem. Oba zabytki mignęły nam szybko przed oczyma, ale Marek postarał się, żebym o nich nie zapomniał. Wiodącą łukiem główna ulica zaprowadziła nas na parking przed plażą, wgrzając się w wysoką morenę. Pozostawiliśmy tam auto, wyciągając z bagażnika ręczniki i inne plażowe gadzety. Chwilę później leżeliśmy już na żółtej, wyschniętej trawie, gapiąc się na kąpiących.

Plaża w Lginiu miała wielkie wzięcie. I to nie tylko dlatego, że była najbliższym miasta kąpieliskiem. Wokół niej, na porośniętych sosnowym lasem pagórkach, ułożyły się drewniane domki dla turystów. Sądząc z ich standardu, stały tu od poprzedniego systemu. Teraz, wyremontowane, udawały nowe. Pamiętałem jeszcze PRL-owskie ośrodki wczasowe, więc nie dałem się nabrać.

Gwar wokół drewnianego pomostu w kształcie prostokąta, a zwłaszcza piski dzieciaków i młodzieży, przypominał mi czasy, gdy sam jeździłem na kolonie. Pierwsze próby pływackie, smak pieczonej na ogniu kiełbasy, pierwsze dyskoteki i pierwsze nieudolne podrywy...

Nie wytrzymaliśmy długo w narastającym skwarze. Wskoczyliśmy do wody. Nie była zbyt ciepła, najwidoczniej słońce nie zdążyło jeszcze dostatecznie nagrzać jeziora. Dawała jednak wspaniałe odprężenie. Przepłynąłem dwie długości plaży, a potem odpoczywałem, leżąc na wodzie i dryfując z wolna w kierunku pomostu. Marek trzymał się bliżej linii brzegowej.

Kiedy wychodziliśmy z wody, rozglądając się za naszymi ręcznikami, zaczął nas postawny facet w kąpielówkach i pomarańczowej koszulce ratownika. Wyglądał na naszego rówieśnika, czym odróżniał się od wyraźnie młodszego kolegi z WOPR-u.

– Siemanko, Marek! – Wystartował do Cichonia z wyciągniętą dłonią. – Przyjechałeś na dłużej? Dawno się nie widzieliśmy, mistrzu...

– Cześć, Krzychu. – W głosie Marka nie wyczułem przesadnego entuzjazmu. – Tak, jestem chwilowo u matki... Poznajcie się. To jest Krzychu Mąkiewicz, mój kolega z licealnej klasy. A to Bogdan

Popiołek, kumpel ze szkoły, w której pracuję.

– Znaczy się, banda belfrów? – zażartował Mąkiewicz.

Uścisnęliśmy dłonie. Kolega Marka był zdecydowanie wyższy od nas, a jego z pewnością wypracowany na siłowni tors przyciągał uwagę kobiet spacerujących po pomoście. Niby uśmiechał się do nas przyjaźnie, ale wyczuwałem, że jego obecność nie jest dla Marka komfortowa.

– I jak tam, Marek? Hajtnąłeś się, brachu? – Krzychu bez zbędnych ceregieli przeszedł do wywiadu środowiskowego. – Bo coś nie widzę twojej kobiety. A może się mylę? Zapoznasz mnie?

– Żona nie mogła wziąć urlopu. Pracuje w tej chwili w Szwecji. – Marek nie wyglądał na zadowolonego z tematu rozmowy. – Może znajdzie się jeszcze okazja, żeby was poznać. Innym razem...

– A ty, Bogdan, też sam?

– Tak. Ja nie mam żony.

Mrugnął okiem, że niby wszystko rozumie. W istocie przygotowywał żart niskich lotów.

– No, no, chłopaki! Ktoś mógłby pomyśleć, że wybraliście się na randkę. – Znowu puścił oko w naszą stronę.

Znaliśmy się ledwie chwilę, a już działał mi na nerwy.

– Wy też jesteście niezłe ciacha – odpowiedziałem w jego stylu, z kwaśnym uśmiechem na twarzy, wskazując głową na dwóch pozostałych ratowników, siedzących na skraju pomostu.

Chyba mu się spodobało, bo roześmiał się szeroko i klepnął mnie przyjaźnie po ramieniu.

– Widzę, że się polubimy – podsumował bez złośliwości. – Czyli co... Obaj uczyście w Poznaniu? W jakimś liceum czy jak?

– W gimnazjum – mruknął Marek.

– Aha – przyjął do wiadomości Mąkiewicz. – Marek to zawsze był orzeł z matmy. A ty, Bogdan? Poczekaj, niech zgadnę. Angielski?

– Pudło. Historia.

– A, historia. – Krzychu skrzywił się z niesmakiem. – Nie przepadałem. Zawsze mi się daty pierdoliły. Zresztą nieważne. Co tam o budzie będziemy gadać! – W ustach faceta po czterdziestce te słowa

zabrzmiały nieco komicznie. Zaraz potem zrobił zaaferowaną minę. – Ale trafiliście, mistrzowie! W sam środek zbrodni, można powiedzieć!

– Mówisz o Zamiejskim? Jeszcze nie wiadomo nic pewnego – bąknął Marek. – Policja dopiero się za to zabrała.

– Widzę, że nie jesteście na czasie. – Mąkiewicz spojrzał na nas z góry. – Jakąś godzinę temu w serwisie powiatowym podali, że ktoś dziabnął gościa nożem pod żebro. A nawet kilka razy pod żebro. I zdaje się raz w plecy – ekscytował się człowiek, który czuwał nad bezpieczeństwem kąpiących się. – Czujecie to? To musiał być jakiś rzeźnik. Psychopata. Taki prawdziwy, jak z dobrego thrillera...

Jeśli nasz rówieśnik Krzysztof Mąkiewicz stanowił dobrą próbkę panujących obecnie w okolicy nastrojów, można było z dużą dawką prawdopodobieństwa założyć, że ludzie na plaży nie żyli niczym innym. Chyba że podstarzały dandys w kąpielówkach był psychicznie zwichrowany – wtedy takie wnioski byłyby przedwczesne. Szczerze mówiąc, stawiałbym raczej na to drugie. W oczach ratownika zauważyłem bowiem niebezpieczne błyski.

– Podali takie szczegóły? – zdziwiłem się bardziej dla zasady.

– No! – Krzychu najwyraźniej się nakręcał. – Taka jazda w naszej zapyziałej dziurze! Kto by pomyślał...

– No właśnie – mruknął Marek i zrobił krok w stronę naszych ręczników, widocznych parę metrów dalej.

– Poczekaj, kolego. – Ratownik zatrzymał go ruchem dłoni. – Widzę, że cię nie biorą te klimaty.

– Jakoś nie za bardzo. – Marek nie tak chyba wyobrażał sobie wypoczynek.

Mimo prób powstrzymania ruszył ku ręcznikowi.

– Mareczek zawsze był trochę dziwny – podsumował go Mąkiewicz. – Nie uważasz?

– Nie zauważyłem – odpowiedziałem niechętnie.

Powiedzieć, że ten koleś mi nie pasował, to by znaczyło powiedzieć za mało.

– Zresztą, co mi tam! – Osilek miał taki wyraz twarzy, jakby chciał splunąć na pomost. – Ale swoją drogą ciekawe, kto to zrobił?

Wzruszyłem ramionami. Byłem tu niespełna dobie, zdążyłem tylko poznać mamę Marka i tego dryblasa w stroju ratownika. No i może ze trzech gapiów wczoraj, na Garbarskiej. Cóż mogłem wniesć ciekawego do tej dyskusji?

– Pewnie ktoś poza podejrzeniem – rzuciłem na odczepnego.

– Tak myślisz? – podchwycił chętnie moją hipotezę. – A dlaczego tak uważasz?

– Zwykle tak jest w kryminałach – bąknąłem, schodząc z desek pomostu.

– Może to i racja. – Mąkiewicz zamyślił się nad moim rzuconym od niechcienia zdaniem.

O ile oczywiście stać go było na refleksję.

Wykorzystałem ten moment, by pójść za Markiem. Miałem dziwne wrażenie, że Mąkiewicz przygląda mi się cały czas z mało sympatycznym wyrazem na swojej szerokiej twarzy.

Gdy już wysuszeni promieniami słońca położyliśmy się na ręcznikach, wystawiając ku słońcu nasze blade plecy, łypnąłem na Marka i zapytałem:

– Dlaczego tak go nie lubisz?

– A nie widać? – odpowiedział pytaniem.

Długo zwlekał z właściwą odpowiedzią.

– W naszej klasie to była taka czarna owca. Najgorzej się uczył, za to był pierwszy do bitki i wypitki. I stale się mnie czepiał – wyjaśnił w końcu z niechęcią w głosie. – Tak naprawdę to żaden był z niego kolega...

Raczej prześladowca, dopowiedziałem sobie w myślach.

Mina Marka wskazywała, że nabrał ochoty na powrót do domu.

[1] Pierwszy tom z Bogdanem Popiołkiem w roli głównej nosi tytuł *Biegacz*. (Wszystkie przypisy w książce pochodzą od autora).

3.

Prawdziwe przekleństwo

Wytrwaliśmy jednak na plaży nieco dłużej. W końcu zapowiedzieliśmy mamie Marka, że zjemy tu obiad. Około trzynastej na wyprażonej słońcem patelni zrobiło się już nie do wytrzymania, trzeba było zejść w cień. Spóźniliśmy się z tą decyzją – nasze do niedawna białe jak prześcieradła ramiona przypominały teraz poparzone pokrzywami kolana. Tak to już jest, kiedy „wielkowiejscy” wyrwą się na prowincję.

Narzuciliśmy więc koszulki, zwinęliśmy nasze skromne pakunki i poszliśmy coś zjeść. Daleko nie trzeba było szukać – na wzniesieniu położonym bezpośrednio przy plaży stał pamiętający PRL, a może nawet przedwojnie drewniany barak ze skośnym dachem. Mieścił w sobie całkiem przyzwoite bistro, ukrywające się pod mało oryginalną nazwą „Bar przy plaży”. Zamówiliśmy de volaille'e z frytkami i surówką i po małym piwku. W oczekiwaniu na jedzenie zajęliśmy miejsca przy stoliku na tarasie, z którego rozpościerał się doskonały widok na plażę, pomost i jezioro.

– Wszyscy żyją tym zabójstwem – rzuciłem w stronę Marka.

– Ech, nie przesadzaj! Jacy wszyscy? – Machnął ręką. – To, że ekscytuje się tym Mąkiewicz, nie oznacza jeszcze, że to news numer jeden we Wschowie. Jakby to powiedzieć... Kolega Krzychu wydaje mi się mało reprezentatywny.

– Może masz rację. Ale takie rzeczy nie zdarzają się tutaj często. I dlatego wszyscy z miejsca o tym dyskutują.

– Zapewniam cię, że Wschowa to nie pierwsza lepsza pipidowa, w której jedyną atrakcją jest paplanie o jakimś morderstwie – uniósł

się niespodziewanie mój zazwyczaj spokojny przyjaciel.

– Nie miałem nic złego na myśli – poczułem się w obowiązku wytłumaczyć. – A z drugiej strony to nie jakieś tam morderstwo, skoro to krewny twojej mamy...

– Jaki tam krewny! – zachnął się Marek. – Siódma woda po kisielu! Wiesz co? Na razie widzę, że poza Mąkiewiczem najbardziej tą historią żyjesz ty sam. Chyba nie powiesz mi, że się mylę?

Miał sporo racji, więc zamilkłem, koncentrując się na obserwacji opalonych ciał pluskających się w jeziorze. Kilka kobiecych przyciągało wzrok... Gdzieś przez chwilę na pomoście mignęła mi znowu wysoka, mięsista sylwetka znajomego od niedawna ratownika. Krzyczał coś do nastolatków, którzy wypłynęli daleko poza boje wyznaczające linię plaży strzeżonej.

W barze uwinęli się szybko, więc za chwilę przed naszymi nosami pojawiły się plastikowe talerze, a na nich gorące jedzenie. Krojenie de volaille'a plastikowymi sztuczkami miało swój urok, a smak chłodnego lecha z kija wynagradzał trudy smażenia się na plaży.

Pałaszowaliśmy obiad aż miło. Nawet nie zauważyliśmy, kiedy przy stoliku obok rozsiadło się małżeństwo pod sześćdziesiątkę. Dopiero kiedy uporałem się z jedzeniem i podniosłem głowę, dostrzegłem tęgiego, krótko ostrzyżonego mężczyznę w luźnej koszuli i towarzyszącą mu zadbaną małżonkę. Mężczyzna miał czerwoną twarz i rozbiegany wzrok. Choć był tu ewidentnie w celach wypoczynkowych, sprawiał wrażenie całkowicie rozedrganego.

– Chyba będę musiał przerwać ten urlop – rzucił znad talerza z pierogami do swojej towarzyszki.

Ta wzruszyła ramionami w sposób, który zapewne dopracowała już w detalach podczas długich lat ich związku. Wymowa jej gestu nie pozostawiała złudzeń: „Co ja z tobą mam! Ciągle to samo!”.

– Nic na to nie poradzę – dodał jej mąż. – Sama wiesz, że jeśli zadzwonią...

Mężczyzna miał niesamowite zdolności profetyczne, bo nagle usłyszeliśmy piskliwy sygnał telefonu.

„Przez twe oczy zielone, zielone oszalałeeeem...” – rozdarł się

z komórki Zenek Martyniuk.

Kobieta westchnęła z dużą dozą dramatyzmu i ostentacyjnie obróciła się w stronę baru.

– Borkowski, słucham! – Jej mąż przyłożył telefon do ucha. – Co?! Mów głośniej, Kula! Bo tu ludzie w wodzie hałasują, jakby się wściekli! Że co?! A, macie ten raport z Zielonej?! I co? Wiadomo o której? Aha, to dobrze... Aha... A na narzędziu znaleźli jakieś ślady?! Co ty powiesz... A jest tam gdzieś pod ręką Polny? Nie ma?! Jak to do Poznania? Jaki kurs?! Przecież miał prowadzić tę sprawę! Co wy mi tutaj odpierdalacie?! Na chwilę was samych zostawić nie można?! Chcecie, żeby zabrali nam to śledztwo?! Szlag by was wszystkich trafił, nygusy cholerne!... Czekaście, jeszcze dzisiaj wracam na komendę, to się policzymy! Że co?! Co ty powiedziałaś?! Nie szkluj mi tu, Kula, swoim ojcem! Wcale się nie boję! Już ja się z wami policzę, nieroby dziadowskie!

Wyłączył komórkę i grzmotnął nią z pasją o blat stołu.

– No i sama widzisz, z kim ja pracuję, Baśka! – Spocony osiłek pod sześćdziesiątkę rozpostarł ramiona z wyrazem rozpaczony na twarzy. – Ledwie człowiek tydzień wolnego wybrał, a już bez niego nie potrafią sobie poradzić! Wszystko przez tego Zamiejskiego... – Nagle zorientował się, że na tarasie nie są sami i momentalnie ściszył głos: – Musieli go ukatrupić akurat teraz? Kiedy wreszcie dostałem urlop?

Wymieniliśmy z Markiem szybkie spojrzenia. Komendant Borkowski najwyraźniej miał pecha jak mało kto. A w dodatku nie dopisali mu podwładni. Albo przynajmniej tak mu się wydawało. Tak czy owak miał tego dnia przechlapane.

– Jedź – mruknęła krótko znad talerza Borkowska.

– Wrócę przed wieczorem. Obiecuję, Baśka. – Komendant niby jeszcze czule trzymał małżonkę za rękę, a tak naprawdę nogami był już niemal poza tarasem. – Zrobimy sobie grilla, przywiozę piwo. Zobaczysz, będzie fajnie...

– Tylko nie przywieź kolegów – dorzuciła, zabierając się znowu za pierogi.

– To się wie. – Uśmiechnął się szelmowsko, cmoknął ją w dłoń

i ruszył ostro w stronę baru.

Mimo gumowych kłapek na stopach jego krok był równy i jak najbardziej przepisowy. Zdradzał jego profesję na kilometr.

– No widzisz, Mareczku. – Pochyliłem się nad talerzem, mówiąc niemal szeptem. – Ty sprawę bagatelizujesz, a tymczasem dla niektórych staje się ona prawdziwym przekleństwem.

Marek spojrział na mnie jak na wariata, ale nie odpowiedział: „Akurat!”.

I dobrze zrobił. Nawet nie przypuszczaliśmy, że moja niewinna uwaga już wkrótce obróci się przeciwko nam.



Spieczone ramiona i szyje zaczęły nam doskwierać wieczorem, gdy przy herbacie i ciastkach dzieliliśmy się wrażeniami z panią Beatą. Wstyd się przyznać, ale nie pomyślałem o żadnym kremie do opalania. Na szczęście mama Marka znalazła piankę przeciwko oparzeniom w sprayu. Doraźnie pomogło. Na tyle, że nabraliśmy jeszcze ochoty na wypad w miasto.

Było już dość późno. Minęła dwudziesta pierwsza, ale dzień należał do tych najdłuższych w roku, więc było wystarczająco widno, by rozejrzeć się w sytuacji. Marek uparł się, że pokaże mi miejsce, w którym do „nocy kryształowej”^[2] stała nieduża wschowska synagoga.

– A przy okazji zobaczysz dawny kościół ewangelicki przy placu Kosynierów – zachęcał.

Nie trzeba mi było dwa razy powtarzać. Historyczna karta Wschowy była dla mnie największą zachętą, by wybrać się tu z Markiem. Już przed wyjazdem zdążyłem się zorientować, że nie będę się nudził w tym małym mieście ze śladami bynajmniej nie małej przeszłości.

Poniedziałek właśnie przechodził do historii. Miasto niemal zamarło, choć akurat w ogródku piwnym na płycie rynku klienci dopisali. Znad kufli z piwem niósł się gwar ożywionej rozmowy. Dominowali

mężczyźni, dyskutujący oczywiście o futbolu i o szansach naszej reprezentacji na mundialu w Rosji. To, że na mundial się zakwalifikujemy, było dla nich więcej niż oczywiste.

Na ulicach panowało przyjemne ciepło. Nagrzane słońcem mury i kostki bruku oddawały teraz energię w postaci ciepłego powiewu wypełniającego wąskie wąwozy ulic. Półkolistą ulicą Kilińskiego doszliśmy do małego placyku na rozjeździe dróg. Na wprost nas ukazał się w całej okazałości front Kripplein Christi, masywnej budowli z licznymi dobudówkami. W centralnym punkcie, pod skośnym dachem dawnej świątyni ewangelików zobaczyłem postać ukrzyżowanego Chrystusa. Po prawej do korpusu zboru przylegała baszta, którą obejrzelśmy sobie poprzedniego dnia. Po lewej świątynię ograniczała urokliwa renesansowa kamienica z banerem księgarni diecezjalnej. Nad jej pierwszym piętrem biegła łacińska inskrypcja *Fundamentum Reipublicae Recta Adolescentium Educatio*, pochodząca zapewne z XVI wieku.

– „Fundamentem Rzeczypospolitej jest nauczanie następnych pokoleń” – przetłumaczyłem trochę koślawo, bo ostatni raz z łaciną miałem do czynienia na studiach.

– Chyba wychowanie – poprawił mnie Marek.

Nie polemizowałem, w końcu to on był miejscowy. Skręciliśmy w prawo i naszym oczom ukazała się ładna perspektywa na ulicę Bohaterów Westerplatte, wiodącą od strony głównego skrzyżowania miasta do rynku. Kiedyś był to trakt wjazdowy do Wschowy, więc zaprojektowano go dość szeroko. Po lewej minęliśmy dobrze mi już znany gmach poczty, po prawej – skrzyżowanie z Garbarską. Mimowolnie zerknąłem w stronę budynku, w którym mieszkał Zamiejski. Wokół parterowego domu panował spokój. I tylko policyjne taśmy na drzwiach przypominały, co się tu niedawno wydarzyło.

Wschowa tchnęła starością. Zarówno nie do końca równe bruki głównej ulicy, jak i ponemieckie płyty, z których ułożono nawierzchnię Garbarskiej. A już zwłaszcza łuszcząca się fasada kamienicy, w której mieściła się piekarnia Wiśniewskiego. Autorzy programów w telewizyjnych kanałach turystycznych na pewno

orzekliiby, że miasteczko „ma potencjał”. Z każdą chwilą czułem się tu coraz lepiej. I nawet – o dziwo – przestałem wracać myślami do tamtej feralnej rozmowy z Agnieszką. A to już naprawdę było coś!

Doszliśmy do najwyższej, trzykondygnacyjnej kamienicy, w której, sądząc z wyblakłej reklamy, mieścił się w lepszych czasach hotel Bristol. Teraz budynek wziął w posiadanie „Dyskont odzieżowy Oskar”. Stanęliśmy na chwilę na rogu ulic. Marek wskazał na niepozorny narożny budynek po przeciwnej stronie. Na jego parterze mieścił się jakiś sklep.

– Tu na piętrze mieszkał kiedyś Geremek – powiedział.

– Ten Geremek? Profesor? – zbaraniałem.

– A znasz innego? – roześmiał się Marek. – Mieszkał tu zaraz po wojnie, jako chłopak. Z przybraną rodziną, po ucieczce z getta. Jego ojciec był starostą na Ziemiach Odzyskanych. Geremek ukończył to samo liceum co ja. A potem pojechał na studia do Warszawy. I już do Wschowy nie wrócił.

Byłem w lekkim szoku, ale Marek chyba wiedział, co mówi. Kto by pomyślał...

– A tu, po drugiej stronie, chodziłem grać w szachy. – Markowi zebrało się na wspominki. – To dom kultury. Działa w nim do dzisiaj klub Hetman.

– Musimy tu wpaść na partyjkę – dorzuciłem.

– To teraz w prawo – zaproponował mój kumpel.

W kilka minut doszliśmy do skrzyżowania ulic księdza Kostki i Kopernika. Ta druga pięła się łagodnie w górę. Po prawej stała szkoła podstawowa, po lewej zauważyłem ciąg podwórek ze szpetnymi garażami, podkreślonymi chaotycznie rosnącą zielenią. W tle stały niewysokie boczki.

– Synagoga znajdowała się gdzieś tutaj. – Marek wskazał w kierunku podwórzy. – To była już jej trzecia wersja. Pierwsza spaliła się, drugą rozebrano. Ostatnią zbudowano w końcu XIX wieku. Przetrwała do 1938 roku. Kiedy w noc kryształową w całych Niemczech zaczęły się antysemickie rozróbki, także pod nią podłożono ogień. Podobno już po tej strasznej nocy, pod wrażeniem wieści

z głębi Niemiec, z Berlina. W godzinach porannych podpalili ją miejscowi aktywiści SA. Znalazłem różne, często sprzeczne relacje na temat reakcji ówczesnych, niemieckich mieszkańców Wschowy – wtedy Fraustadt. Według jednych kordon policji nie pozwolił nikomu gasić pożaru. Podobno okoliczni mieszkańcy stali tu do końca, aż z synagogi pozostało tylko pogorzeliśko... Ale czytałem też we wspomnieniach niemieckiej pisarki z tego terenu, Lenie Ossowski, że nikt specjalnie synagogi gasić nie chciał. A tego samego dnia wybito szyby i zdemolowano sklep bławatny miejscowych Żydów. Więc sam już nie wiem, jak było. Tak czy owak synagoga spłonęła do cna, ktoś zrzucił z niej gwiazdę Dawida. A potem ludzie uprzątnęli teren, żeby nie pozostał po niej żaden ślad...

Doprawdy, naziści zrobili to nadzwyczaj skutecznie. Spoglądając na stojące na parkingu auta, trudno byłoby się domyśleć, że niespełna sto lat wcześniej ktoś w tym miejscu wznosił modły.

– Sporo o tym wiesz – pochwaliłem Marka. – Nigdy bym cię o to nie posądzał...

– Studiowałem kiedyś ten temat. Bo nie miałem o tym pojęcia. Za komuny o tym nie uczono, sam wiesz. A potem dokonałem odkrycia i mnie wciągnęło.

U wylotu ulicy stał blok z czasów PRL. Na prawo od niego dostrzegłem bielutką fasadę dawnego kościoła ewangelików. Świątynia musiała być niedawno remontowana, bo lśniła świeżością. Dwie bliźniacze wieże zwieńczone krzyżami ścisnęły wąską nawę główną. Żadne z trojga drzwi nie były jednak otwarte.

– Dziś kościół służy katolikom – zauważyłem, wskazując na tablicę z ogłoszeniami z życia parafii Świętej Trójcy.

– Najważniejsze, że uratowano go przed zniszczeniem. Wiesz, za komuny służył jako magazyn. – Uśmiechnął się Marek. – I co, podoba ci się chociaż trochę w mojej rodzinnej dziurze?

To było pytanie retoryczne i Marek doskonale o tym wiedział.

– Nawet mimo faktu, że to miasto zbrodni? – zażartował.

Skinałem głową, choć akurat ten żart mnie nie rozśmieszył. Marek sprawiał wrażenie szczęśliwego.

– Skoro tak, to zapraszam na piwo – powiedział z zaskoczenia.

[2] Antysemickie wystąpienia w miastach III Rzeszy w nocy z 9 na 10 listopada 1938 roku, do których doszło z inspiracji władz nazistowskich. Uważa się je za wstęp do Holocaustu. Nazwa „noc kryształowa” pochodzi od rozbitego szkła i kryształów ze sklepów żydowskich zniszczonych tej nocy przez bojówkarzy z SA i SS.

4.

Coś warte więcej niż życie

Knajpa była niepozorna, chyba bez widocznej nazwy, ukryta przed wzrokiem przechodniów. Mieściła się na parterze kostkowego, jednopiętrowego budynku przy ulicy Daszyńskiego. Fasadę mało efektownego domu porastał obficie zielony winobluszcz, dodając mu nieco szlachetności. Do pubu wchodziło się przez wymalowane zielonym sprayem drzwi. W środku za kontuarem rozlewał piwo z kija krępy osobnik około czterdziestki, z rzadką, rudawą brodą i wysokimi zakolami. Serwował czeskie piwo, co bardzo mi odpowiadało. Primator z Nachodu należał bowiem do moich ulubionych trunków zza Sudetów.

Wzięliśmy szklanice z pianą w dłonie – a piwo rzeczywiście było tańsze niż w knajpie w Poznaniu, jak obiecał mój przewodnik – i wyszliśmy do ogrodu za budynkiem. Stało tam kilka parasoli z krzesłami. Zrobiło się sympatycznie ciemno. Sympatycznie, bo najbliższą okolicę podświetlały lichy tylko nieduże latarenki na ścianie lokalu.

Knajpa miała wzięcie, z trudem znaleźliśmy wolne miejsce przy jednym z plastikowych stolików pod ścianą. Gwar rozmów przechodził od czasu do czasu w eksplozje hałaśliwej radości. Odkryte niebo nad nami skrzyło się gwiazdami. Piwo było chłodne i z odpowiednią goryczką, w sam raz dla dwóch starych przyków jak my.

– Dobrze, że nie zobaczy nas żaden z naszych uczniów – powiedział Marek.

Choć noc zapowiadała się fantastycznie lekka, mimo wszystko wychodzili z nas belfrzy.

– Daj spokój, mamy przecież wolne. Wolno nam strzelić jedno czy dwa piwa bez żadnych konsekwencji.

– Już wiesz, ile przyjmiesz? – parsknął śmiechem niezbyt wyluzowany matematyk. – Czy to oznacza, że po trzecim będę musiał odnieść cię do chaty?

– Patrz lepiej na siebie. Z tego, co pamiętam, to ty z naszej dwójki masz słabszą główkę...

– Marek!? – Ktoś niespodziewanie przerwał nam serię docinków. – Przyjechałeś na wakacje?!

Spojrzeliliśmy spode łba na wysokiego, szczupłego mężczyznę z wysokim czołem i okularami na nosie. Stał w luzackiej koszuli wypuszczonej na spodnie. W jednej dłoni trzymał ćmika, w drugiej primatora. Zdawał się nie wierzyć własnemu szczęściu.

Twarz Cichonia natychmiast się rozpogodziła.

– Robcio! Tyle lat! – Podniósł się z krzesła, by przywitać się z zapewne dawno niewidzianym przyjacielem. – Tak, jestem u matki na kilka dni! Z kumplem. Poznajcie się, panowie. To jest Robert Gromadzki, wydawca i jednocześnie najostrzejsze pióro Portalu Wschowskiego...

– Bo jedyne. – Uśmiechnął się ironicznie miejscowy żurnalista.

Od razu go polubiłem.

– A to jest Boguś Popiołek, kolega z gimnazjum. Uczy historii, ale ma wścibski nos, który wszędzie wpycha...

– Akurat! – zaprotestowałem, choć bez przekonania.

– ... i źle na tym wychodzi, bo zawsze mu go ktoś przytrze – dokończył nie bez satysfakcji Marek.

O ile spotkanie z osiłkiem Mąkiewiczem było dla niego traumą, o tyle przy Gromadzkim kumpel wyraźnie rozkwitał. Musieli się znać i lubić od dawna.

– Siadaj, Robcio. – Marek jakimś cudem wynalazł w pobliżu wolne plastikowe krzeselko i usadził dziennikarza przy naszym nieco chwiejnym stoliku. – Musisz wiedzieć, Bodziu, że z Robertem znamy

się od liceum. Razem zdawaliśmy maturę i paliliśmy fajki w szkolnym kiblu... Ech, co to były za czasy...

– Błagam, Marek, nie odstawiaj tu kombatanctwa, dobrze? – Gromadzki najwyraźniej nie chciał, by rozmowa zesłała na wspominki. – Wszyscy wiemy, że jesteśmy już... hm... nie pierwszej atrakcyjności, ale nie musimy się tym dołować. Jak trafiliście pod piwne skrzydła Kamila?

– Kamila?

– Myślę o właścicielu lokalu.

– A tak nam się tu jakoś doszło. Pokazywałem Bodziowi uroki nocnej Wschowy.

W oczach Gromadzkiego rozbłysły złośliwe ogniki.

– Dobrze, że nie zobaczyliście gwiazd – skomentował kąśliwie, acz z wdziękiem. – Chociaż nie, dzisiaj w naszym skromnym grajdołku powinno być wyjątkowo grzecznie i spokojnie.

– A niby dlaczego? – włączyłem się do dyskusji.

Ostatnie słowa Roberta mocno mnie zaintrygowały.

– Jak to, nic nie wiecie?. – Zrobił wielkie oczy. – Wczoraj kilka ulic stąd dokonano morderstwa. Idę o zakład, że dziś wszyscy strachliwi zabarykadowali się już w domach i nie wyściubią nosa...

– A nie, w tej sprawie jesteśmy „na oriencie”. – Czeskie piwo służyło Markowi, rozluźniając mu język i myśli. – Byliśmy świadkami, jak wczoraj wynosili z domu zwłoki tego nieszczęśnika.

– O! To jest mi wstyd. – Gromadzki dokonał szybkiego, desperackiego aktu samokrytyki. – Bo ja akurat w tym momencie zasnęłam. Znaczą się, byłem prywatnie w Lesznie. Dopiero godzinę po wszystkim goniłem za newsem.

– To ty napisałeś o zabójstwie na portalu? – zapytałem.

– We własnej osobie. Niestety nie mam zastępcy.

– To, zdaje się, dziwna historia – podpuściłem go nieco. – Z tego, co słyszałem o zamordowanym, był spokojnym, może nieco zwichrowanym przez życie człowiekiem.

– Z naciskiem na „zwichrowany” – zachnął się Gromadzki. – Gość był ewidentnie dziwny, choć swego czasu należał, nie bójmy się tego

słowa, do tutejszej elity. Przez długie lata pracował jako kustosz muzeum, które zawsze było oczkiem w głowie każdej władzy we Wschowie. Zamiejski potrafił się zakręcić, zawsze świetnie wyczuwał, skąd wieje wiatr. Dlatego wytrwał na stanowisku chyba ze dwadzieścia lat. No ale przyszedł dołek, który nazywał się butelka. Choć niektórzy mówią, że butelka była konsekwencją żałoby po śmierci żony. Nie wiem, jak było, w każdym razie facet z lokalnego lidera intelektualnego stoczył się do pozycji żulika spod płotu. Może nie dosłownie, bo pił raczej kulturalnie, w lokalu albo u siebie. Ale jednak zdegradował się niemiłosiernie. Trudno się dziwić, że poprzedni burmistrz pięć lat temu podziękował mu za pracę w muzeum, w którym Zamiejski bywał coraz częściej zawianym gościem.

Przypomniałem sobie zdjęcie byłego kustosza w internecie. Zrozumiałem, że wykonano je zapewne w ostatniej fazie życia Zamiejskiego – w końcu przypominał na nim bardziej żulika niż nobliwego, powszechnie szanowanego jegomościa.

Słuchałem opowieści Gromadzkiego z uwagą. Miał niewątpliwie dar szybkiego, precyzyjnego diagnozowania ludzi. Umiejętność tę nabył bez dwóch zdań w trakcie swojej, jak mniemałem, długiej praktyki dziennikarskiej. Widać było, że osobiście przeżył tragiczną śmierć starego kustosza.

– Szkoda człowieka, bo miał fantastyczną wiedzę. I potrafił ją sprzedawać medialnie, jeśli rozumiecie, o co mi chodzi. – Gromadzki spojrzał na nas uważnie. – Wielokrotnie angażowałem go do nagrań z kamerą, które potem wrzucałem do sieci. Był samorodnym talentem. Nie spinał się przed obiektywem, wręcz przeciwnie. Potrafił opowiadać o różnych artefaktach z taką czułością, jak o swoich dzieciach...

– Miał dzieci? – wszedłem mu mało elegancko w słowo.

– Nie, tak tylko powiedziałem – sprostował dziennikarz. – Szkoda pana Julka, będzie nam go tutaj naprawdę brakowało.

Zatopiliśmy wzrok w szklankach z piwem. Moja domagała się już dolewki. Przeprosiłem dłonią towarzyszy i podszedłem ze szkłem do

właściciela. Nalał mi raz jeszcze, skasował należność. Gdy przysiadłem się ponownie do Marka i Roberta, nadal rozmawiali o ofierze zabójstwa.

– Ze swoich źródeł wiem, że wszystko musiało się rozegrać w mieszkaniu Zamiejskiego. – Dziennikarz sęczył szczegóły ściszym głosem. – W niedzielę, w trakcie burzy...

– To już napisałeś – zwrócił mu uwagę Marek.

– Tak. Bo to mogłem podać... – Gromadzki jeszcze bardziej ściszył głos. – Ale... Są nowe okoliczności w sprawie.

– Żartujesz! – Marek aż się skulił. – Skąd wiesz? Z komendy?

Robert skrzywił się z niesmakiem, jakby ktoś zapytał go właśnie, czy jest pełnoletni.

– Mareczku, więcej szacunku dla mojej pracy, OK? – zaproponował.

– Źródła są chronione! Zawsze! Powie ci to każdy profesjonalny dziennikarz. Więc nie pytaj o to, dobrze? Dziękuję.

Wymieniliśmy z Markiem szybkie spojrzenia. Wyglądało na to, że Robert Gromadzki podchodził nadzwyczaj poważnie do swojej pracy. I szanował swoich informatorów. Nawet jeśli mógł być nim ktoś tak oczywisty, jak poznany przez nas przypadkiem komendant Borkowski. A może raczej jeden z jego gadatliwych, acz nieudolnych podwładnych.

– Marek lubi mieć wszystko poukładane. Jak to facet od matematyki – usprawiedliwiłem kumpla, obracając sprawę w żart.

Przyłapałem się jednak na tym, że też chciałem poznać odpowiedź na pytanie o nowe okoliczności w sprawie morderstwa.

Robert Gromadzki wyczekał, aż nasze zainteresowanie otrze się o granicę niecierpliwości, a potem ruszył po kolejne piwo. Przyniósł dwa, jedno postawił przed Markiem. Siorbnął głośno pianę, a potem powiedział ściszym głosem:

– Panowie, wiem to z pewnego źródła. Mieszkanie Zamiejskiego było wywrócone do góry nogami.



Do naszych zrelaksowanych, a może raczej znieczulonych chmielem mózgów nie od razu dotarło to, co usłyszeliśmy. Zareagowaliśmy z niewielkim opóźnieniem, choć zasadniczo poprawnie.

– Ktoś przerył mu chałupę? – wyrwało mi się odrobinę zbyt głośno.

Na moment zrobiło się wokół nas cicho. Gwiazda lokalnych mediów zgromiła mnie zabójczym spojrzeniem zza szkieł okularów. Siedzieliśmy w milczeniu, udając zainteresowanie złotym trunkiem, który wydał mi się nagle dużo bardziej gorzki niż wcześniej. Dopiero kiedy gwar wokół odtworzył się znów w naturalny sposób, Gromadzki syknął w moim kierunku:

– Panowie, nerwy na wodzy!

Posypałem głowę nomen omen popiołem. Marek też. Robert spuścił wzrok, najwyraźniej zakłopotany całą sytuacją. Drżącą dłonią zapalił kolejnego papierosa. Jego mentolowy zapach drażnił mnie, ale powstrzymałem się z uwagą.

– Panowie, to są świeżutkie ustalenia. – Gromadzki teraz szeptał, pochylając się ku naszym głowom. Wyglądaliśmy zapewne jak grupa spiskowców. – Jutro o siódmej wrzucę je zresztą do serwisu, ale póki co... Zachowajcie to dla siebie. Mówię wam przecież po znajomości...

Pokiwaliśmy głowami z uznaniem dla jego wspaniałomyślności.

Pomny mojej wpadki, pozwoliłem zadać kluczowe pytanie Markowi.

– Czyli zabójca czegoś szukał – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Właśnie – przytaknął dziennikarz. – Szukał czegoś, co warte było więcej niż życie człowieka.

Zamilkliśmy nad szklankami z piwem, porażeni tą konstatacją. Sprawa zabójstwa na Garbarskiej wyglądała bowiem coraz bardziej zagadkowo. I mrocznie. Pojawił się prosty, bardzo czytelny motyw morderstwa. Ktoś przyszedł do mieszkania Zamiejskiego, by pozbawić go życia – jednak nie z bliżej nieokreślonej chęci zemsty, w dodatku nie wiadomo za co. Raczej po to, by odnaleźć w jego domu coś niezwykle cennego. A może równocześnie ważnego? Tylko co?

– No właśnie, tylko co to było? – westchnąłem.

Gromadzki spojrzał na mnie poważnym wzrokiem.

– Nikt na policji nie ma o tym najmniejszego pojęcia – stwierdził. – Zamiejski, na tyle, na ile go zdążyłem poznać prywatnie, był typem raczej zamkniętym w sobie. Owszem, przed kamerą bywał zaskakująco elokwentny i otwarty, ale w tak zwanym zwykłym życiu zakwalifikowałbym go do zdecydowanych introwertyków. Wątpię, by komukolwiek się zwierzał. Może poza żoną, gdy jeszcze żyła.

– Trudna sprawa – podsumowałem. – Policja będzie mieć twarde orzech do zgryzienia.

– Już ma. – Uśmiechnął się nieco złośliwie medialny człowiek orkiestra. – Zdaje się, że śledztwo monitoruje sama komenda wojewódzka z Zielonej Góry. Nic dziwnego, że w trybie pilnym z urlopu wrócił komendant powiatowy. Borkowski musi szybko opanować chaos w służbie i wykazać się wynikami.

Przypomniał mi się rozedrgany jak galareta, zmęczony swoją pracą mężczyzna znad plastikowego talerza w bistro w Lginiu. Jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, by Borkowski był zdolny do wielkich rzeczy. A już zwłaszcza do kierowania skomplikowanym, wielowątkowym śledztwem.

– Czy... – zawahałem się, ale postanowiłem kuć żelazo, póki gorące. – Czy policja ma już jakichś podejrzanych?

Gromadzki przybrał kpiący wyraz twarzy.

– Może i coś tam w głowach naszych stróżów prawa świta. Tego nie mogę wykluczyć. Tym niemniej jest to zapewne tak wstępna hipoteza, że nijak nie zdążyli się z nią zdradzić.

Parsknąłem śmiechem, rozlewając nieco piwa na stolik. Ze wstydem wyciągnąłem chustkę i szybko starłem płyn z blatu. Autor tutejszego pitawala zdecydowanie mi się podobał. Coraz bardziej lubiłem jego styl bycia i specyficzną ironię.

– W każdym razie miasto żyje tylko tym – dorzucił Marek. – Ludzie nie rozmawiają o niczym innym.

– Mieliśmy przykład dzisiaj na plaży – uzupełniłem. – Niejaki Krzychu Mąkiewicz próbował nas nawet wybadać, co sądzymy o tej sprawie.

Robert Gromadzki poruszył się niespokojnie.

– Mąkiewicz was o coś pytał? Ten osioł? – zdziwił się. – A co mu do tego?

– Zapytał mnie, kto to mógł zrobić. Był podekscytowany tym, co przeczytał u ciebie w serwisie. Strasznie się tym wszystkim nakręcił – odmalowałem szybko obraz podstarzałego, acz całkiem jarego ratownika.

– To palant – orzekł krótko Gromadzki. – Nie ma o kim gadać.

– Masz rację – zgodził się z nim Marek.

Przez resztę wieczoru – wbrew temu, co słyszeć było w rozmowach powadzonych wokół nas – nie wracaliśmy już więcej do tematu Zamiejskiego, morderstwa i ewentualnych tropów. W zamian za to Gromadzki, popijając primatora, nakreślił nam brawurowo siatkę lokalnej polityki. I sprzedał kilka towarzyskich plotek, jak zwykle „z dobrego źródła”. Było nam razem tak fajnie, że gdy żegnaliśmy się mocno po północy, umówiliśmy się z kolegą redaktorem na kolejny piwny seans pod chmurką, oczywiście pod tym samym adresem.

Nie spodziewaliśmy się wtedy, że życie gwałtownie przyspieszy, niweczając nasze chmielne plany.

5.

Nikt nie mówi o skarbach, laleczko

W opozycji do dość wątlej postury redaktor Gromadzki musiał mieć niesamowicie mocną głowę, skoro we wtorek punktualnie o siódmej rano na stronie Portalu Wschowskiego wykwitła nowa, sensacyjnie brzmiąca depecha o znamienym tytule: *Czego szukał zabójca?*

Styl artykułu daleki był jednak od taniej sensacji. Jego autor rzeczowo opisał najnowszy stan wiedzy o zbrodni, do jakiej doszło w mieszkaniu przy Garbarskiej. Największą bombę stanowiła oczywiście informacja o zastanym na miejscu zbrodni bałaganie. W tekście kilkakrotnie wypowiadał się komendant powiatowy, podinspektor Tadeusz Borkowski. Nie powiedział wprawdzie niczego szczególnie istotnego, zasłaniając się „dobrem śledztwa” i bliżej nieokreślonymi „procedurami” – ale jego obecność w relacji uwiarygodniła przekaz. Nalana, czerwona twarz oficera na zdjęciu zdawała się mówić: „Tak, opanowałem już ten burdel i wreszcie wszystko zmierza we właściwym kierunku. Dorwiemy go lub ich i postawimy przed sądem”.

Mieszkanie Juliana Zamiejskiego zostało więc splądrowane. Na razie nie wiadomo, czego szukał morderca ani co zginęło z lokalu zajmowanego przez ofiarę brutalnego mordu. Policja zapewnia, że trzyma rękę na pulsie. Wszyscy, którzy posiadają jakąkolwiek wiedzę o wydarzeniach z ostatnich dni życia Juliana Zamiejskiego lub o sprawach istotnych dla śledztwa, proszeni są o kontakt z komendą powiatową policji – puentował swój newsowy materiał Robert

Gromadzki.

Od kryminalnego tematu nie uwolniliśmy się ani podczas śniadania, ani przed południem, gdy na prośbę mamy Marka zrobiliśmy zakupy w kilku sklepach położonych w bezpośrednim sąsiedztwie rynku. O sprawie huczało, gdziekolwiek weszliśmy. Śmierć dawnego kustosa, jak się wydaje powszechnie szanowanego, zapadła ludziom w pamięć i serca. Nie usłyszałem ani jednej opinii, w której ktoś by go nie pożałował. Zamiejski musiał być lubiany i ludzie boleśnie odczuli jego stratę.

Żeby zająć myśli i zmienić atmosferę, Marek próbował mnie namówić na wypad na ryby. W szafie po ojcu znalazł kilka kijów, z czego dwa nadawały się niemal natychmiast do użytku. Z nieba lał się jednak żar, ramiona piekły nas jak diabli i szczerze mówiąc, zdecydowanie wolałem trzymać się cienia. Może dlatego obaj wpadliśmy na lepszy pomysł: by podejść do barokowego klasztoru franciszkanów.

– W pobliżu, u Paula, mają dobre, domowe lody – zachęcał mój przewodnik. – Możemy też wpaść do Imbissa na smaczny kebab.

Wszystko to brzmiało niezwykle atrakcyjnie – nie dałem się więc długo prosić.

Poszliśmy wzdłuż niepozornej, nierówno wybrukowanej ulicy. Po starych kamiennych płytach – chodnikach, które pieczołowicie zachowano. Marek oświecił mnie po drodze, że to dawna droga królewska, która niegdyś łączyła miasto z położonym poza obrębem murów klasztorem. Pierwotnie należał do bernardynów, ich świątynia stała tu już w drugiej połowie XV wieku. W połowie XVI wieku spalili ją protestanci, bernardyni odbudowywali ją w sumie dwukrotnie. Ale najlepszym okresem dla klasztoru był wiek XVIII, kiedy kompleks rozbudowano, dodając do niego od północy kaplicę Świętego Krzyża.

Do świątyni weszliśmy cienistymi krużgankami pochodzącymi z tego okresu. W oczy rzuciły mi się od razu barwne rokokowe stacje drogi krzyżowej.

– A wiesz, że w tych krużgankach modlił się August III? – zagadnął

mnie Marek.

Cóż, kolega matematyk zaskakiwał mnie znajomością lokalnej historii.

– A, to ten leniuch, któremu nie chciało się jeździć do Warszawy – zagrałem kumpłowi na nosie. – Saksończyk władcą był raczej miernym.

– W życiu miasta to były ważne wizyty – zaprotestował łagodnie Marek. – We Wschowie obradował w tamtych czasach senat, zresztą wielokrotnie. Bodaj sześć razy. Sasi przyjmowali tu poselstwa tureckie czy perskie.

– Mówiłem, że Sasi byli wygodni? – znowu dokuczyłem Markowi, przekłuwając balonik jego dumy. – Z drugiej strony miasto na tym korzystało, nie powiem. Pewnie miejscy radni załatwiali przy tych okazjach swoje drobne interesiki.

– Żebyś wiedział. I to wcale nie takie drobne – zaperzył się Marek. – Na przykład jeden z Augustów obiecał pomoc w odbudowie spalonej fary. Każda taka wizyta królewska służyła miastu i jego mieszkańcom.

Przez wąskie drzwi weszliśmy do przedsionka klasztoru. Poczułem powiew chłodu i wilgoci. Korytarz z niewysokim sklepieniem prowadził w dwie strony: w prawo do kaplicy i w lewo do nawy głównej świątyni. Poszliśmy w lewo.

Pierwszym, co zaparło nam dech w piersiach, była efektowna barokowa polichromia. Wyglądała na niedawno odnowioną, a żywe barwy wymalowanych na sklepieniu postaci, doświetlone słońcem wpadającym przez okrągłe okna, robiły niesamowite wrażenie. Ściany i ołtarze kipiały złotymi zdobieniami – istne cacuszka w stylu rokoko!

Nad bocznymi oknami dostrzegłem malowidła z herbami polskiej szlachty. Podobne znalazłem na ścianach prezbiterium. Nagle zrozumiałem, dlaczego August III tak bardzo lubił tu zaglądać. To właśnie za jego panowania klasztor zyskał przepiękną polichromię i rokokową oprawę ołtarzy. Król musiał się tu czuć jak w swoim ukochanym Dreźnie. A przynajmniej w jego namiastce.

– Zobacz tu. – Marek wskazał dłonią na wmurowane w ścianę

portrety trumienne.

Na jednym z nich przeżył dumnie pierś z orderem Orła Białego wąsaty Sarmata w czarnej zbroi. *Rafał Hrabia Gurowski Kasztelan Poznański Starosta Wschowy Kawaler Orła Białego Y Św. Stanisława Umarł R. 1797 Dn 8 Kwietnia Wieku Swego 81* – głosił staropolski napis. Wizerunkom Gurowskiego, jego córki Rozalii i żony Ludwiki towarzyszyły epitafia pisane dawną polszczyzną.

Na ramie innego epitafium siedział ludzki szkielet, przysłonięty jedynie skromną szatą. W kościstych dłoniach trzymał księgę z nazwiskiem Ludwiki Gurowskiej, przedstawionej na portrecie trumiennym obok jako dość korpulentna „Kasztelanowa Przemęcka”. Poniżej jego pieszczeli widniał przejmujący tekst epitafium kasztelanowej:

*Termin Boskiego rozkazu wydano
W Księgę Żywota IMIĘ zapisano
Raz się uchroni Straszego Wyroku
W czterdziestym Trzecim obumiera Roku.
Mażeńskie śluby aż do Zgonu wierne
Rwą się żałości y lęki nie zmierne...*

O tak, dawne pokolenia potrafiły celebrować odejście osób bliskich. Epitafium tchnęło żalem, ale też nadzieją, że zmarła „życie zaczyna w Bogu całe nowe”.

– I co? – szepnął Marek. – Jest klimat?

– Fajnie, że tu jesteśmy – odpowiedziałem.

W oczach miałem wspaniałości klasztornego wnętrza, ale moje rozważania krążyły już wokół innego zgonu. Całkiem niedawnego. Wstyd się przyznać, ale coraz więcej rozmyślałem o Zamiejskim. Dopadło mnie prawdziwe przekleństwo.



Siedząc nad kebabem w pobliskim Imbissie, sięgnąłem po smartfona i zajrzałem na Portal Wschowski.

Sądząc po ilości wpisów na forum pod najnowszym newsem Gromadzkiego, miasteczko popadało w obłąd podobny do mojego. W ciągu niespełna sześciu godzin od opublikowania informacji forum rozgrzało się do czerwoności, notując ponad pięćdziesiąt wpisów. Przeglądałem je pobieżnie, wyłapując te bardziej merytoryczne.

Yaro: Nieźle jaja w tej naszej wschowie! Ktoś morduje człowieka, żeby mu coś ukraść. Tylko co ciekawego mógł mieć w domu taki stary pierdziel? Z tego, co wiem, znosił z pól jakieś żelastwo.

Kosmita69: Nie żelastwo, debilu, tylko znaleźziska archeologiczne. Gdybyś się trochę znał na historii, tobyś wiedział, że nasze miasto (nazwy piszemy z dużej litery!) ma się czym pochwalić i miała tu miejsce niejedna bitwa. Ale się nie znasz, dlatego piszesz tu takie bzdety.

Aga76: Ja pier... Skarby u starego Zamiejskiego?! Kto by się spodziewał?

Kosmita69: Nikt nie mówi o skarbach, laleczko. Najgorsze, czego nam trzeba, to taniej sensacji.

Zuza: Kosmita, przestań wszystkim pouczać, jakbyś był nie wiadomo jaki mądry! Lepiej nam powiedz, co mógł znaleźć Zamiejski, skoro zakończyło się to dla niego tak... boleśnie.

Yaro: No właśnie! Dawaj!

Kosmita69: Nic nie wiem. Ale kiedyś spotkałem Zamiejskiego, jak wracał z takiego obchodu. Wtedy niósł coś, co przypominało dawne rycerskie strzemię. Myślę, że wszystko, co znalazł, ładował w zbiory muzeum. Nie podejrzewam go, żeby trzymał takie rzeczy w domu.

Zuza: Phi! Rycerskie strzemię! Też mi coś! I ty myślisz, że ktoś go zabił dla takiej dupereli?

Aga76: Ja myślę, że on musiał mieć jakieś większe skarby. Tylko nikt nie wiedział...

Kosmita69: Ty nie myślisz, Aga76. To do ciebie po prostu niepodobne :) Ty tylko kłapiesz szczęką. A ty, Zuza, daj mi spokój. Jak się nie

znasz na temacie, to nie zawracaj dupy...

Yaro: Ty chamie skończony, przeproś natychmiast koleżankę! Bo jak nie...

Oderwałem się od tej coraz mniej wartościowej lektury. Dawała niewątpliwie wyobrażenie o skali uruchomionych niedawno emocji, ale nie odniosłem wrażenia, by wносиła do sprawy coś nowego. W końcu co mógł znaleźć na okolicznych polach stary kustosz? Rzeczy cenne raczej dla archeologów i badaczy historii, którzy zachwycają się każdym odnalezionym elementem uprząży, każdym starym gwoździem albo resztką dawnej monety. Z pewnością nie były to skarby, dla których ktokolwiek zabiłby innego człowieka. Nie, to wszystko zdecydowanie nie trzymało się kupy.

Wyłączyłem smartfon, koncentrując się na konsumpcji całkiem smacznego kebaba.

– Nic ciekawego? – zagadnął Marek.

– Nic – odpowiedziałem z pewną miną.

A jednak się pomyliłem.

Szkoda, że zrozumiałem to o wiele za późno.

6.

Tam chyba coś pływa

Żał było siedzieć w taką pogodę w murach miasta.

Po popołudniowej kawie dałem się przekonać Markowi, że mały wypad na ryby dobrze nam zrobi. Wprawdzie nie mam karty wędkarskiej, ale kumpel zapewnił mnie, że na jego dokumenty możemy spokojnie łowić na dwa kije. Załadowaliśmy więc sprzęt do bagażnika forda i dobrze mi już znaną trasą wyruszyliśmy znowu do Lginia.

Kiedyś, w dzieciństwie, ojciec często zabierał mnie i brata nad wodę – z wędką, siatką na ryby i podbierakiem. Zdarzało się, że asystowałem mu z tym ostatnim, gdy złowił jakiś większy okaz leszcza. Kiedy podrosłem, wypływaliśmy na jezioro łodzą. Akwen, oglądany z samego środka, robił na mnie zawsze ogromne wrażenie. Wszystkie te ułamki wspomnień przelatywały mi przez głowę, gdy zbliżaliśmy się z Markiem do jeziora.

Zgodnie ze wskazówkami kolegi pozostawiłem rozjazd dróg i wioskę za nami, przejechałem przesmykiem między jeziorami Lgińsko Duże i Lgińsko Małe i skręciłem w wyboistą, leśną dróżkę. Wiodła ku zarośniętej linii brzegowej, okrążając Lgińsko Duże od strony północnej. Kawałek dalej była, zdaje się, harcerska stacja. Tak przynajmniej twierdził Marek. Zaparkowaliśmy między drzewami, blisko łagodnego zejścia nad sam brzeg. Po tej stronie jeziora widać było gdzieniegdzie liche drewniane pomostki, z których zapewne ochoczo korzystali miejscowi wędkarze. Mieliśmy przed sobą jeden z nich, akurat na dwie osoby. Zbity z brzozowych pniaków

i poprzecznie ułożonych desek, wcinający się w gęstą ścianę wysokich trzcinn, zapowiadał niemałe emocje.

Zamknąłem auto i objuczeni sprzętem rozlokowaliśmy się na prymitywnym stanowisku. Na brzegu widać było rozrzucony, stary pęczak – ewidentny dowód, że nie byliśmy pierwszymi, korzystającymi z tego pomostu. Ktoś tu zanęcał ryby, co wróżyło nam sukces. Tyle że było jeszcze trochę za wcześnie. Zerknąłem na zegarek. Siedemnasta trzydzieści... Ze skromnego doświadczenia wiedziałem, że żerowanie rozpocznie się nie prędzej niż za godzinę.

Nie mieliśmy ciasta ani pęczaku, więc zrobiliśmy kulki z chleba i nałożyliśmy je na haczyki, a potem zarzuciliśmy wędki. Poszło nam to zaskakująco sprawnie.

Jezioro miało podłużny kształt, przypominający nieco sopel lodu. Znajdowaliśmy się w miejscu, w którym było najszersze. Lekka fala w naszą stronę stwarzała iluzję, że pomost się rusza. Plusk wody o belki nastrajał optymistycznie i budził tęsknotę za przygodą. Przed sobą mieliśmy wspaniałą widok na przeciwległy brzeg, konkretnie na plażę. Słońce już tak nie paliło, skryte za drzewami osłaniającymi nam tyły. Od strony plażowiska niosły się ku nam po wodzie głuche odgłosy zabawy. Mimo dzielącej nas od niego odległości słyszeliśmy wszystkie niewybredne żarty i skoki do wody.

Pewnie Mąkiewicz już zszedł z posterunku, pomyślałem nagle. Facet nie przypadł mi do gustu, ale to przecież on i spółka odpowiadali za bezpieczeństwo na plaży. Nie wypowiedziałem głośno tej uwagi, nie chciałem drażnić Marka. Ale chyba myślał o tym samym – zmarszczył brwi i wnikliwie przyglądał się miniaturowym figurkom na przeciwległym brzegu.

Nagle zaciął nieporadnie, omal się nie wywracając.

– Ależ miałem branie! – krzyknął podniecony, zapominając o tym, że tylko cisza gwarantuje sukces. – To musiała być wielka płoć. A może krap?

– Cokolwiek by to było, nie chwal się wszystkim dookoła. – Mój zgryźliwy charakter wylaźł ze mnie w najmniej odpowiedniej chwili.

– Patrzcie go, fachowiec się znalazł. – Marek źle odebrał mój

przytyk. – Ty lepiej patrz, żeby ci spławik nie wpłynął w trzciny! O, już masz przechlapane...

Zareagowałem w ostatniej chwili, podcinając i zwijając żyłkę, a tym samym bezpiecznie omijając spławikiem zdradliwą zatokę z trzciny.

– Dzięki – rzuciłem w stronę przyjaciela.

Obaj musieliśmy ponownie nałożyć przynętę. Jakimś dziwnym trafem każdy z nas chciał to zrobić prędzej. Więc kiedy zabraliśmy się niemal równocześnie do zarzucania, było więcej niż pewne, że na wąskim pomoście musi się to skończyć katastrofą. Zrozumieliśmy to dopiero wtedy, gdy linie naszych żyłek przecięły się bezpowrotnie na wodzie. A mój spławik dodatkowo wylądował w trzcinach po przeciwnej stronie, uniemożliwiając mi praktycznie jakikolwiek manewr.

– No brawo, mistrzu – wysapał Marek, spoglądając na mnie spode łba. – To sobie rzeczywiście połowiliśmy...

– Nie trzeba było rzucać, kiedy widziałeś, że właśnie zamierzam to zrobić! – zaprotestowałem.

– O, przepraszam! To ja miałem zarzucać, kiedy ty niepotrzebnie się pospieszyłeś!

Gdyby ktoś niepostrzeżenie przejeżdżał teraz rowerem przez las za naszymi plecami, miałby rzadką okazję podziwiać dwóch napuszonych kretynów, którzy skakali sobie do oczu jak koguty. Na szczęście nie mieliśmy świadków.

– Zgoda – ustąpiłem, bo nie chciałem niepotrzebnej awantury. – Powinienem poczekać, aż zarzucisz. To moja wina.

– Nieważne, czyja – Marek najwyraźniej też opanował już emocje. – Spróbujmy może odzyskać to, co się da...

Zaczęliśmy powoli zwijać żyłki, starając się jednocześnie utrzymać je z dala od siebie. Markowi szło to wyraźnie lepiej, bo jego spławik zaczął sukcesywnie zbliżać się do pomostu. Tymczasem moja żyłka nie drgnęła ani o włos, a jedynie napięła się, jak cięciwa wielkiego łuku. Najwyraźniej mój haczyk zawadził o coś w gęstych trzcinach.

– No! Udało się! – Marek był szczęśliwy, bo bez szkody dla sprzętu zwinął żyłkę, nie naruszając mojej. – A z tobą co? Albo utniesz żyłkę,

albo wybierzesz się do wody...

Spojrzałem na niego groźnie.

– Nie ma mowy – odpowiedziałem. – Lepiej spróbujemy zrobić coś z pomostu.

– Pokaż. – Marek przejął mój kij i dwa razy pociągnął nim ku sobie.

Żyłka ani myślała ustąpić. Ale Marek też. Zaparł się, chwycił wędkę oburącz i szarpnął raz jeszcze, najmocniej, jak potrafił.

Coś w gęstwie trzciny chlupnęło, a napięcie żyłki jakby zelżało. Mimo to nadal nie widać było ani spławika, ani końca żyłki z haczykiem.

– Dajmy spokój – zaproponowałem zniechęcony.

Marek jednak mnie nie słuchał. Zrobił mały krok do przodu, stanął na chybottliwym skraju pomostu i pochylił się ku wodzie, przykładając dłoń ku czołu.

– Ej, Bodziu... – wymamrotał nagle przejętym głosem. – Tam... tam chyba coś pływa...



W pierwszej chwili pomyślałem, że Marek zwyczajnie się zgrywa. Znałem go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że to niemożliwe. Marek Cichoń należał do ludzi chłodnych, wyważonych i precyzyjnych. Skoro powiedział, że coś dostrzegł, to znaczyło, że rzeczywiście coś było na rzeczy.

Bo było! Zauważyłem to, gdy tylko sam zmrużyłem oczy i spojrzałem w tym samym kierunku. Spomiędzy gęstych trzciny, w których ginał wąty, błyszczący szlaczek mojej żyłki, wychynął na powierzchnię jakiś przedziwny, podłużny kształt.

Zdecydowanie nie była to żadna znana nam ryba.

– O kurwa! – wyrwało się Markowi w niezwykłych emocjach. – Przecież to jest... To jest...

– To jest noga... – dokończyłem, a świat wokół zawirował mi przed oczyma, jakbym miał zemdleć.

Z wrażenia opadłem na pomost, łapiąc z trudem powietrze. Marek poczuł się równie słabo, bo przykucnął z głową pochyloną ku deskom i trwał tak, walcząc zapewne z nadciągającą falą torsji. Doskonale rozumiałem, z czym się zмага, bo mój żołądek znajdował się teraz na wysokości gardła.

Marek nie wytrzymał. Zwymiotował do jeziora cały obiad. Był blady jak trup, którego właśnie wydobyliśmy na powierzchnię. I jednocześnie zielony jak woda wokół niego.

– Coś... trzeba zrobić – powiedziałem, gdy mój przyjaciel pokonał pierwszą słabość.

– A jeśli on jeszcze żyje? – Marek zadał z pozoru absurdalne, ale jednak całkiem przytomne pytanie.

– Nie wygląda – orzekłem natychmiast, podnosząc się na nogi.

Kręciło mi się w głowie i brzuchu, przed oczami miałem czarne cętki, ale stałem dość pewnie na nogach, wpatrując się w męską łydkę i piętę, kołyszące się teraz na lekkiej fali. W ich bezwładzie było coś porażającego. W zestawieniu z dobiegającymi od strony plaży okrzykami, ludzka noga wystająca z trzciny zdawała się czymś kosmicznie nierealnym. A jednak tam tkwiła, podobnie jak cały korpus, kiepsko widoczny przez zieloną gęstwinę.

– Może i nie wygląda, ale... trzeba to sprawdzić – Marek wytarł usta chustką i rzucił ją w wodę.

– Ale jak? – spanikowałem. – Przecież do niego nie podpłyniemy!

– A czemu nie?

– Chyba żartujesz! – prychnąłem nerwowo. – Ja tam nie zamierzam macać trupa! To jest, stary, sprawa dla prokuratora. I dla policji. Na pewno nie dla nas!

– Nie panikuj, Bodziu – zganił mnie Marek. – Nikt ci nie każe wchodzić do wody... Poczekaj... Mam lepszy pomysł.

Chyba poczuł się już lepiej, bo nagle szybkim krokiem ruszył w stronę brzegu. Za chwilę usłyszałem szelest liści. Wracał, ciągnąc

za sobą potężną gałąź brzozy.

– Spróbujemy go odwrócić – zaproponował.

I był to całkiem logiczny pomysł.

Gałąź okazała się na tyle długa, że bez problemu zahaczyliśmy nią o stopę topielca. Kilka silniejszych szarpnięć oswobodziło jego nogę, a kolejne manewry brzozowym kijem sprawiły, że niespodziewanie z trzciny wysunęły się również szerokie plecy mężczyzny, ciągnące się za nimi muskularne ramiona, a wreszcie głowa, skierowaną twarzą ku dnu.

Spojrzeliliśmy na siebie. Było dla nas jasne, że musimy podjąć szybką decyzję.

Zdecydowaliśmy w oka mgnieniu, bez zbędnych słów.

Wbiliśmy gałąź w dno pod brzuchem spoczywającego na wodzie ciała i napaśliśmy na nią, starając się odwrócić topielca. Ześliznął się nam jednak po mokrym kiju, nie pokazując twarzy.

Udało się za drugim razem. Może dlatego, że zrobiliśmy to energiczniej.

Makabryczny plusk wody odsłonił nie mniej makabryczną prawdę.

Znaliśmy tego mężczyznę.

Jeszcze wczoraj z nim rozmawialiśmy.

Teraz był martwy.

To nie ulegało już żadnej wątpliwości.

7.

Szok

Telefon do komendy policji uruchomił całą sprawną maszynę służb. Zanim jednak radiowozy z podwładnymi komendanta Borkowskiego pokonały na sygnale dziesięć kilometrów dzielących komendę od miejsca odkrycia zwłok, siedzieliśmy zupełnie rozbici psychicznie na leśnym pomoście, wpatrując się, chcąc nie chcąc, w nieżywe oblicze podstarzałego ratownika.

Twarz Mąkiewicza, którego poznałem ledwie dzień wcześniej jako dość nadętego osiłka, nabrała teraz pokory. Wytrzeszczone, przekrwione oczy zdawały się podpowiadać, że raczej nie utopił się bez czyjejś pomocy. Były to jednak tylko moje przypuszczenia. Zresztą nie dzieliłem się spostrzeżeniami z Markiem, zbyt byłem na to wstrząśnięty. On również milczał, przybity odkryciem.

Co robił ratownik po drugiej stronie jeziora? W lesie, w dodatku w godzinach swojej pracy? Chyba nie dotarł tu wpław, skoro miał na sobie spodnie trzy czwarte i ciasno opinającą tors koszulkę? Czego szukał w tym niepozornym fragmencie leśnej głuszy? Czy tu na kogoś czekał? A jeśli tak, to na kogo trafił?

Wszystkie te pytania cisnęły mi się do głowy, gdy siedząc na pomoście, oczekiwaliśmy na przybycie miejscowych stróżów prawa. Właściwie potrafiłem odpowiedzieć tylko na ostatnie z nich. Nie trzeba było być specjalnie lotnym, by zrozumieć, że Mąkiewicz miał cholernego pecha. Z kimkolwiek się tu spotkał, trafił fatalnie. Na pewno nie spodziewał się, że nie wyjdzie z tego żywy.

Mniej więcej kwadrans po naszym telefonie usłyszeliśmy jazgot

policyjnych kogutów, a zaraz potem pogrążony już w wieczornym cieniu las i spory fragment brzegu jeziora rozbłysnęły migoczącymi niebiesko-czerwono światłami niczym potworna dyskoteka.

Z jednego z wozów wybiegł w naszą stronę niski, krępy funkcjonariusz w czarnym uniformie. Na jego widok podnieśliśmy się na nogi. Nie musieliśmy mu wskazywać nieboszczyka. Ciągle pływał w miejscu, w którym stwierdziliśmy jego tożsamość.

– Aspirant Tomasz Polny – przedstawił się, przyglądając się nam uważnie. – To wy znaleźliście zwłoki?

Przytaknęliśmy skinieniem głów.

– O której?

Spojrzałem na zegarek. Nie potrafiłem sobie przypomnieć, o której dotarliśmy nad jezioro.

– To mogło być... przed szóstą. Tak, tak, jakiś kwadrans przed szóstą – odpowiedziałem w końcu.

– Musimy spisać zeznanie – poinformował, nakazując nam dłonią zejście z pomostu.

Odeszliśmy za nim w głąb lasu, a na chybotliwy pomost wkroczyła natychmiast kilkuosobowa ekipa śledcza. Jeden z policjantów błyskał fleszem, drugi podstawiał przed obiektyw jakieś policyjne tabliczki. Kątem oka zauważyłem, że dwóch innych funkcjonariuszy właśnie wyciągało z wozu czarny pokrowiec...

Przystanęliśmy pod wyschniętą brzozą. Polny wyciągnął z kieszeni spodni notes z długopisem i obrzucił nas wzrokiem, w którym można było odczytać spokój, wręcz rutynę.

– Imiona i nazwiska poproszę – zakomenderował.

Błdzi z emocji spełniliśmy naszą powinność. Zapytał, po co tu przyjechaliśmy. O której godzinie i czy mamy na to świadków. Nakazał nam też szczegółowo opowiedzieć, jak odkryliśmy trupa w wodzie.

– Te wymiociny w wodzie to wasze? – zapytał.

– Moje – przyznał się Marek.

– Czy próbowaliście akcji ratunkowej?

Zaskoczył nas tym pytaniem.

– Nie było po co – odpowiedziałem. – Przełożyliśmy go kijem na plecy. Już nie żył.

– Czyli znaleźliście go już martwego?

– Tak.

Coś tam zanotował w notesie, a potem zawołał podwładnego i kazał mu spisać nasze adresy i telefony. Chociaż wyjaśniłem, że przebywam w gościnie u Marka, policjant spisał z dowodu osobistego mój poznański adres.

– Proszę wracać do domu – rzucił na koniec aspirant Polny. – I na razie nie wyjeżdżać z miasta. Niewykluczone, że poprosimy panów do nas, na komendę.

– Dobrze.

Z przejęcia nawet nie zauważyliśmy, że wokół nas pojawiła się chmara komarów, które pocięły nam bezlitośnie ramiona. Drapiąc się po rękach pełnych swędzących bąbli, ruszyliśmy ku zaparkowanemu na ścieżce samochodowi. Zza pleców dobiegł nas chlupot wody. Policjanci właśnie zabrali się za wyciąganie ciała z jeziora.

– Mam dosyć ryb – rzucił przez ramię Marek.

– Ja też...

– Na zawsze, stary. Mówię serio.

– Rozumiem.

Dopiero w drodze do Wschowy zorientowaliśmy się, że zostawiliśmy na pomoście obie wędki i cały sprzęt, z którym przyjechaliśmy. Zaproponowałem, byśmy się cofnęli, ale Marek ponaglił mnie stanowczym tonem:

– Jedź do domu!

Zważywszy na to, że wędki stanowiły pamiątkę po zmarłym ojcu, musiał wyjątkowo ciężko przeżyć ten lipcowy wieczór.



Tamten wieczór był absolutnie przygnębiający. Żaden z nas nigdy wcześniej nie odnalazł nieboszczyka, w dodatku w takich

okolicznościach. I to denata, którego znał. Ja wprawdzie bardzo krótko, można powiedzieć w przelocie – ale dla Marka odkrycie ciała dawnego kolegi z klasy musiało stanowić potężny szok. Nic dziwnego, że poza wyjaśnieniem matce, co zaszło nad jeziorem, nie odzywaliśmy się do siebie niemal wcale. Kiedy za oknami zrobiło się już całkiem ciemno, po prostu rozeszliśmy się w milczeniu do swoich pokojów. Tak było jakoś przyzwoicie i uczciwie. Może i Mąkiewicz nie był arcymiłym gościem, ale z pewnością nie zasłużył na to, co go spotkało. Co do tego byliśmy zgodni.

Dzień był aż nadto obfity we wrażenia, więc długo nie mogłem zasnąć, wpatrując się w podświetloną wieżę ratusza i zastanawiając się, kto i dlaczego utopił ratownika. Pierwsze, co przyszło mi do głowy, to ten straszny paradoks: człowiek powołany do ratowania innych z wody sam skończył żywot w jeziorze. Było w tym coś niewiarygodnie przewrotnego. Zupełnie jakby złośliwy los postanowił zdrwić z krzepy i zawodowego doświadczenia Mąkiewicza.

Właśnie, z jego tężyzny fizycznej! To był drugi paradoks: kto mógł zaciągnąć takiego osiłka do wody i odebrać mu życie, topiąc go? Zestawienie tych faktów wydawało mi się jakąś amatorską, logiczną nedoróbką. Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym bardziej utwierdzałem się jednak w przekonaniu, że zabójców musiało być co najmniej dwóch. Jeden przeciętnie wysportowany człowiek nie poradziłby sobie z takim drągalem jak Mąkiewicz.

Byłem pewien, że policja dojdzie do tego samego wniosku. Żeby tylko nie wysnuli z tego faktu niepotrzebnych hipotez śledczych... Przez chwilę obawiałem się, żeby przypadkiem nie zrobiono z nas podejrzanych. Uspokoilem się, gdy porównałem nasze walory fizyczne z mięśniami denata. Ani ja – lekko otyły facet z piwnym brzuszkiem – ani Marek – chudzielec jakich mało – nie bylibyśmy w stanie zagrozić komuś tak wysportowanemu i nabitemu mięśniami jak Krzychu. Nawet w dwójkę nie mielibyśmy z nim żadnych szans. Gdy przypomniałem sobie, jak wielkie miał pięści, uspokoilem się już zupełnie. To niemożliwe, by ktoś posądził nas o atak na Mąkiewicza.

Przewracając się z boku na bok, daremnie szukałem ucieczki

w inny temat. Kiedy nad ranem zrobiło się szaro i w końcu wpadłem w objęcia Morfeusza, przyśniła mi się makabreska. Stałem na tym samym leśnym pomoście, na którym odkryliśmy zwłoki Mąkiewicza, i dusiłem mojego przyjaciela. Walczył ze mną resztką sił, rżąc w poszukiwaniu ostatniego oddechu...

Obudziłem się zlany potem. I szczęśliwy, że był to tylko głupi sen.

8.

Później niż prędej

Obudził mnie sygnał komórki. Za ścianą, w pokoju Marka. Usłyszałem, jak włącza telefon i mówi:

– Tak, słucham?

Nadstawiłem uszu. Ktoś mówił coś do Marka przez dłuższą chwilę, bo kumpel nie odzywał się, słuchając przekazu. W końcu, wyraźnie zirytowany, rzucił do słuchawki:

– To niemożliwe! Spadaj!

I grzmotnął telefonem o blat biurka.

To było zachowanie zupełnie nie w jego stylu. Podniosłem się z łóżka, narzuciłem na siebie dres i wyszedłem z pokoju. Delikatnie zapukałem do przymkniętych sąsiednich drzwi.

– Proszę – zgodził się, bym wszedł.

– Co się dzieje? – zapytałem wprost.

Siedział na swoim łóżku, podpierając brodę dłonią.

– Dzwonił Gromadzki – wyjaśnił bez entuzjazmu. – Dowiedział się „ze swoich źródeł”, co się wczoraj stało, i chce, żebyśmy mu wszystko opowiedzieli.

– Jak to: opowiedzieli? Do jego portalu?

– Chyba tak.

– Pogięło go?! – wkurzyłem się nie na żarty. – Czy on wie, ile nas to kosztowało? Poza tym trwa dochodzenie policyjne. Nie wydaje mi się, by Polny czy Borkowski byli szczęśliwi z powodu naszego występu w mediach.

– Dokładnie o tym samym pomyślałem. Dlatego spuściłem go na

drzewo. Mimo że jest dobrym kolegą.

– Znajomość znajomością, ale w pewnych sytuacjach nie można przekraczać granicy dobrego smaku.

– Ładnie to ująłeś, Bodziu – pochwalił mnie smętnym tonem kumpel. – Wiesz co? Trzeba by zerknąć na ten jego portal. Co też Robert zdążył tam opublikować? Mam nadzieję, że nie narobił niepotrzebnego bigosu...

– Jeśli nawet, to sam go będzie musiał zjeść – zażartowałem ponuro.

Marek sięgnął po tablet, który trzymał na biurku obok łóżka. Chwilę później wszedł na stronę Portalu Wschowskiego, pokiwał znacząco głową i podsunął mi ekran pod nos.

Zobaczyłem zdjęcie anonimowego policjanta na tle radiowozu. Zupełnie nieadekwatne do znajdującego się pod nim tytułu: *Zwłoki ratownika znalezione na brzegu jeziora Lgińsko.*

Z ostatniej chwili: We wtorek późnym wieczorem do Komendy Powiatowej Policji we Wschowie dotarła informacja o makabrycznym odkryciu, dokonany przez dwóch wędkarzy po północno-zachodniej stronie jeziora Lgińsko. Z odebranej przez dyżurnego policji informacji wynikało, że wędkarze przypadkiem znaleźli w wodzie ciało mężczyzny lat ok. 45. Na miejsce udała się ekipa dochodzeniowo-śledcza pod dowództwem aspiranta Tomasza Polnego, która potwierdziła znalezisko i przeprowadziła pierwsze czynności śledcze.

Według ustaleń policji denatem okazał się Krzysztof Mąkiewicz, zatrudniony w miejscowym Ośrodku Wodno-Rekreacyjnym w charakterze ratownika. Ktokolwiek widział Krzysztofa Mąkiewicza w dniu wczorajszym, proszony jest o kontakt z komendą powiatową policji pod numerem telefonu...

Wymieniliśmy szybkie spojrzenia. Trzeba przyznać, że redaktor Gromadzki sporządził prasową notkę w pełni profesjonalnie, nie dając się porwać ekscytacji sensacją. Nie wspomniał nawet, że to już drugi nieboszczyk odnaleziony w okolicy Wschowy w ostatnich dniach, w dodatku znowu w okolicznościach ewidentnie wskazujących na

morderstwo. Być może uznał, że jest zbyt wcześnie, by łączyć te dwa wydarzenia. Albo poprosili go o to jego policyjni informatorzy.

– Co robimy? – wyrwało mi się głupie pytanie.

Wstyd się przyznać, ale korciło mnie, by jednak spotkać się z Gromadzkim. Nie po to jednak, by się mu zwierzać. Przeciwnie – by wydobyć z niego to wszystko, czego jeszcze nie wiedzieliśmy.

– Nagle zmieniłeś zdanie?

– Nie, nie zmieniłem. Ale...

– Ale widzę, że ta sprawa zaczyna cię kręcić. – Marek zrobił się lekko złośliwy.

– E tam, od razu kręcić! – zaprotestowałem, choć raczej słabo. – Po prostu jestem ciekaw, co jeszcze wie Gromadzki. Rozumiesz: to my go przesłuchamy, a nie on nas.

Marek przyjrzał mi się w sposób, w jaki spogląda się na chorobliwie nadaktywne, niesforne dziecko z ADHD.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytał.

Zrobiłem się czerwony jak burak.

– Tak.

Pokręcił zrezygnowany głową, jakby chciał powiedzieć: „Mój Boże, z kim ja muszę pracować”, a potem powiedział:

– OK, spotkaj się z nim. Ale sam. Przepraszam, stary, ja nie mam siły.



Nie potrafiłem jasno odpowiedzieć najlepszemu przyjacielowi, dlaczego mimo wszystko zdecydowałem się spotkać z Gromadzkim. Cokolwiek bym jednak wymyślił, idąc do dobrze mi już znanej knajpy z piwem, jedno nie ulegało wątpliwości: znowu wpadłem w jakiś amok, który pchał mnie ku kolejnej tajemnicy.

Raz już tak mi się w życiu zdarzyło. Niespełna rok wcześniej omal nie przyplącałem zabawy w śledczego życiem. To, że przeżyłem, graniczyło z cudem. Niejeden po tak ekstremalnym doświadczeniu

zapewne trzymałby się z daleka od podobnych spraw. Cóż jednak mogłem poradzić na to, że ze mną było inaczej? Tamta historia zadziałała na mnie jak pierwsza, uzależniająca dawka narkotyku. Opium, zwanego przez takich starych pryków jak ja końcem nudy. A może raczej: końcem zdrowego rozsądku? Albo jednego i drugiego razem wziętych.

Skoro potrafiłem zdiagnozować, dlaczego lekko trzęsą mi się ręce i pompa w piersi kołacze niezbyt regularnie, oznaczało to, że nie odleciałem jeszcze całkowicie. Że mimo wszystko nadal trzymam rękę na pulsie. A że ręka drży, a puls jakiś dziwny i niemiarowy? No cóż, Popiołek... Masz w końcu czterdzieści pięć lat!

Redaktor Gromadzki już na mnie czekał. W tym samym pubie na Daszyńskiego, w którym zdradził nam niedawno sekrety śledztwa. Trzeba mu oddać, że potrafił zachować się taktownie, dyskretnie, z pewną klasą. Począł, aż przysiadę się do jego stolika, rozejrzał się wokół, czy nie mamy przypadkiem niepotrzebnych świadków, i dopiero wtedy zapytał ściszym głosem:

- To chyba musiało być straszne...
- Koszmarne – uciałem dalsze komentarze.
- Piwo? Ja stawiam.
- Niech będzie.

Gromadzki pokazał brodatemu gospodarzowi za barem, że prosi o dwie szklanice z chmielnym środkiem uspokajającym.

- A co z Markiem? – zapytał. – Chyba ciężko to przeżył...
- Obawiam się, że bardzo ciężko – potwierdziłem. – Jest... jest dużo delikatniejszy niż ja.

Nie wiem, czy chciałem w ten sposób usprawiedliwić Marka, ale wyszło głupio: jakbym sam się tłumaczył, dlaczego przyszedłem.

Dziennikarz skinął głową.

- Muszę to uszanować – powiedział łagodnym tonem.

W tym samym momencie pomyślałem, że go nie doceniłem. Był zdecydowanie inny, niż go sobie wyobrażałem. Nie miał w sobie nic z typowego, wielkomijskiego człowieka mediów, skłonnego zrobić dla informacji wszystko, co się da. A może nawet więcej. Najwyraźniej

redaktor Robert Gromadzki w pogoni za newsami nie stracił jeszcze poczucia przyzwoitości. I zdawał sobie sprawę, czym jest zwykłe, ludzkie współczucie.

– Masz rację – skomentowałem. – Lepiej na razie nie mieszać Marka do tej sprawy. Zresztą Zamiejski to była jego daleka rodzina. Wiedziałeś o tym?

– Żartujesz! – W zmrużonych za szklami okularów oczach Gromadzkiego dostrzegłem przerażenie. – Nie miałem pojęcia! To był dla niego ktoś bliski?

Uspokoilem go ruchem dłoni.

– Raczej siódma woda po kisielu. Ze strony matki – wyjaśniłem.

Odczekaliśmy w milczeniu, aż właściciel postawi na stoliku nasze schłodzone primatory. Gdy wrócił za bar, Gromadzki pociągnął łyk piwa i spojrzał na mnie przepaszająco.

– Sorry, naprawdę nie wiedziałem – powtórzył. – To rzeczywiście zmienia postać rzeczy. Zadzwońię do Marka i go przeproszę...

– Może lepiej jutro – poradziłem. – Trochę się... hm... zdenerwowałem.

– Fakt. Odprawił mnie na pełnej kurwie.

– Dajmy mu już spokój. – Siorbnałem primatora i od razu poczułem, że jest lato. Znowu poczułem.

– Masz rację – zgodził się Gromadzki. – Obawiam się tylko, że prędzej czy później zgłosi się do was policja. A już zwłaszcza do Marka. W końcu widziano was z Mąkiewiczem na pomoście w Lginiu...

No tak, o tym nie pomyślałem!

– To chociaż postarajmy się, żeby doszło do tego później niż prędzej – zaproponowałem.

– Tak zrobimy. – Uśmiechnął się kwaśno i wyciągnął tego swojego smrodliwego, wąskiego papierosa.

Jakoś go ścierpiałem. Dla dobra sprawy.

– To co chciałbyś wiedzieć? – zagadnąłem, starając się nie wdychać mentolowego dymu.

– Pojechaliście na ryby?

– Tak.

- Dlaczego akurat tam?
- Marek pokazywał, jak jechać. Znał to miejsce ze wspólnych wypraw z ojcem. Ale tego chyba nie warto...
- Spokojnie, zaufaj mi.
- Powiedzmy, że zaufam.
- Czyli to był całkowity przypadek...
- Absolutnie.
- Chyba nie wierzyliście własnym oczom.
- Nie.
- Kto z was zaalarmował policję?
- Ja. Marek był zbyt roztrzęsiony.
- Rozumiem.

Notował sobie wszystko w pamięci. A jednocześnie przyglądał się mi badawczo, jakby naprędce szacował, czy można mi zaufać. Zналиśmy się przecież ledwie od dwóch dni. Właściwie od półtora. Trochę krótko, by zwierzać się sobie z cennych ustaleń. I cokolwiek postanowić.

- To wszystko? - zdziwiłem się. - Tylko tyle chciałeś wiedzieć?
- Gromadzki uśmiechnął się tajemniczo.
- Tak - odpowiedział. - Chciałem sprawdzić wersję policji.
 - Czy nie wpuszczają cię w maliny?
- Zbył moje pytanie milczeniem.
- To teraz ty mi coś powiedz - zaproponowałem. - Jestem w tym mieście niecałe trzy dni, a już widziałem dwóch nieboszczyków. Dwa trupy w trzy dni! Co się tu dzieje? Przecież to jest średnia godna amerykańskiej metropolii...
- Nie przesadzaj, Bogdan - przerwał mi łagodnie. - *Ojca Mateusza* nie oglądasz?

Spojrzałem na niego jak na wariata.

- Wiem, wiem, słaby żart! - machnął ręką. - Ale w kolejnych odcinkach tego serialu zgładzono już chyba z setkę mieszkańców Sandomierza. Cóż, statystycznie rzecz biorąc, może rzeczywiście nastąpiło u nas spiętrzenie wydarzeń kryminalnych najwyższej wagi, ale zapewniam cię, że do jakiegokolwiek metropolii, nawet polskiej, jest

nam w tym względzie daleko.

– Zgoda. Kiedy jednak ostatni raz mieliście tu dwa morderstwa w trzy dni? Chyba nie zaprzeczysz, że było to dawno temu.

– Mogło już tak się zdarzyć. Nie wiem. Pamiętaj jednak, że na razie o zabójstwie możemy mówić w pierwszym przypadku. W drugim nie można wykluczyć utonięcia. Przynajmniej dopóki policyjni laboranci nie stwierdzą czegoś innego...

– Daj spokój, Robert – zaprotestowałem. – Doskonale wiemy, że zarówno w pierwszym, jak i w drugim przypadku doszło do morderstwa. Chyba nie wierzysz, że zdrowy jak byk, wysportowany ratownik wszedł do jeziora i popłynął na drugi brzeg, żeby się utopić! W dodatku w spodniach i koszulce. Stary, to się nie trzyma kupy!

Gromadzki podjął wyzwanie. Spojrzał na mnie znad brzegu szklanicy i wycedził:

– A jesteś pewny, że on był taki zdrowy? A jeśli coś brał? Jakieś dopalacze czy inne świństwo? A może poszedł na pomost, a trafił go akurat wylew krwi do mózgu? Albo rozległy atak serca? On już nie był taki młody, przecież był naszym rówieśnikiem. Jak sam widzisz, możliwości jest wiele...

– Nie wierzę – wszedłem mu bezpardonowo w słowo. – Widziałem ciało Mąkiewicza w wodzie i jestem w stu – nie! – w dwustu procentach przekonany, że ktoś mu pomógł zanurkować na wieczną szychcę.

– Twoje prawo – skwitował dziennikarz.

A za szklami jego okularów zagrały wesołe ogniki. Już wiedziałem, że mnie podpuszczał. Gdyby to był Marek, oberwałby po łbie. Ale ponieważ naprzeciwno siedział niedawno poznany człowiek, odpowiedziałem mu równie głupim uśmiechem.

– To teraz ja ci coś powiem. – Gromadzki nawiązał do mojego pierwszego pytania. – Nie wiem, czy dobrze robię, ale zaryzykuję. W końcu jesteś kumplem Marka...

– Jestem.

– No właśnie. – Robert przełknął spory łyk primatora. – Są nowe okoliczności w sprawie. Nie mogę ich podać do wiadomości

publicznej, bo spaliłbym informatora... Nieważne. Mówię to tobie w całkowitym zaufaniu. Znalazłeś tego nieszczęśnika Mąkiewicza, więc masz prawo wiedzieć.

Pochlebiało mi, że tak o mnie pomyślał. Nie zaproponowałem.

– Policja sprawdza oczywiście ostatnie dni ratownika. Podobno miał jakąś kobietę w Lesznie. Podobno odwiedził rodziców w Głogowie. Ale to wszystko nic. Ważna wydaje mi się zupełnie inna informacja. Pozornie banalna, ale jeśli jej się dobrze przyjrzeć, to taka z pewnością nie będzie.

– Czyli?

Gromadzki odstawił szklanekę z resztką piwa i pochylił się ku mnie.

– W dniu śmierci, czyli wczoraj przed południem, Mąkiewicz był przez kogoś widziany w Hubertusie.

– Hubertusie? – Prawie zachłysnąłem się z wrażenia trunkiem, bo nazwa wydała mi się dziwnie znajoma. – Czy to nie jest ten hotel przy drodze do...

– Właśnie ten – potwierdził Robert. – No, może raczej zajazd niż hotel.

– I co on tam robił?

– Tego nikt nie wie.

– A dlaczego to takie ważne miejsce? – zapytałem.

Gromadzki spojrzał na mnie jak na małe dziecko.

– Bo zwykle zjeżdżają się tam nasi powiatowi biznesmeni, żeby przy obiedzie podpisać między sobą kolejne umowy – dokończył. I zaraz uśmiechnął się złośliwie: – Albo puknąć na boku jakąś panienkę.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy naprzeciw siebie w milczeniu. W tym czasie kolega redaktor dopił resztkę piwa, a ja podrapałem się po łysiejącej głowie. Informacja o Mąkiewiczu w centrum lokalnego Davos robiła wrażenie. Powiedziałbym, że rzucała nowe, zupełnie niespodziewane światło na tę, jak się okazało, pozornie tylko prostą postać.

– Sugerujesz, że w coś się wplątał? – zapytałem w końcu.

Gromadzki wzruszył ramionami.

– Któż to wie? – odpowiedział pytaniem. – Obiady w Hubertusie nie

są aż tak drogie, by nie było go stać. Nawet z pensji ratownika.

– No właśnie – podchwyciłem chętnie wątek. – Skąd pewność, że był tam nieprzypadkowo? Może po prostu przejeżdżał, więc wpadł na schabowego z pyrami i kapustą?

– Niemożliwe. – Dziennikarz uśmiechnął się dyskretnie. – Nie mógł zatrzymać się na obiad, bo to było o dziesiątej z minutami.

– No dobra, może nie na obiad. Ale na piwo? Albo kawkę?

– Też nie. – Gromadzki zdawał się bawić moimi domysłami. – Gdyby tak było, wszedłby do środka.

– A nie wszedł? – Byłem zupełnie zbity z tropu. – Przecież sam powiedziałaś, że widziano go w Hubertusie.

– Sorry, byłem mało precyzyjny – poprawił się Robert. – Policyjny informator widział, jak przez dobre pół godziny Mąkiewicz kręcił się przed lokalem, wokół wigwamu z drewnianych bali. Zachowywał się, jakby na kogoś czekał. Był dość zniecierpliwiony, chodził wokół nerwowo. Aż w końcu wsiadł w samochód i odjechał. Na własną zgubę zapewne...

Przypomniałem sobie w ułamku sekundy okruch obrazu: dziwną spiczastą budowlę z drewnianych pni, obciążoną jakimś pledem. Tak, widziałem to dziwactwo, gdy z Markiem przemknęliśmy w niedzielę obok Hubertusa.

– Hm... – Skończyłem piwo i nabrałem ochoty na analizę sytuacji. – Czyli ten ktoś widział, jak Mąkiewicz przyjechał, zaparkował, a potem kręcił się przy wigwamie przez pół godziny. A ponieważ nikt do niego nie wyszedł ani nie przyjechał, zapakował się do fury i pojechał.

– Właśnie tak było.

– Czyli ratownik nie osiągnął celu.

– Wygląda na to, że nie. Nie wiemy jednak, kto ani co miało być tym celem.

– Ano właśnie...

Znowu zamilkliśmy, wsłuchując się w metalowy riff dobiegający z zawieszzonego pod dachem głośnika. Przeszkadzał mi, świdrował mózg. Nie mogłem się skupić, choć bardzo chciałem.

– A jakim samochodem jeździł nasz Słoneczny Patrol? – dopytałem.

– Podobno starą beemwicą. Wiesz, taką ze skórzanymi siedzeniami i szerokimi oponami. Niewykluczone, że łysawymi.

Skinąłem głową na znak, że kojarzę, o czym mówi Gromadzki. Mąkiewicz musiał być mentalnie wiecznym nastolatkiem. Zatrzymał się na etapie skóry, fury i komóry. Dalej już nie pojedzie, bo ktoś się o to postarał.

– Co zamierzasz? – zapytał wprost Robert.

– A skąd wiesz, że cokolwiek? – Ta jego bezpośredniość nieco mnie rozdrażniła.

– Przecież widzę, jak cię to zżera – odpowiedział spokojnie. – Mnie nie nabierzesz, Bogdan. Znam się na ludziach.

– Akurat!

– Wyluzuj, stary – zaproponował. – To nic złego, że chciałbyś wiedzieć więcej. Ja też bym chciał. To normalne. Problem w tym, że nie możemy dublować policji. Nie tędy droga. To raz. A dwa: sprawa zrobiła się cokolwiek niebezpieczna. Może warto zastanowić się najpierw, czy aby na pewno chcemy się narazić na rzeczy i atrakcje, których nie możemy przewidzieć...

Przemawiał do mnie powoli, cicho, perswazyjnie. Z namysłem. Zupełnie jak profesor. Zrozumiałem, o co mu chodzi. I w jednej chwili poczułem się jak niedowarzony gówniarz. Choć przecież byliśmy w tym samym wieku.

– Masz rację – powiedziałem pojednawczo. – Żadnych głupich ruchów! W końcu przyjechałem tu wypoczywać, a nie strugać bohatera.

Słuchałem własnych słów i doskonale wiedziałem, że mówię to, co słuszne. Ale nie to, co rzeczywiście grało mi w duszy. Nie zdradziłem się jednak przed Robertem. Gdy wymieniliśmy uścisk dłoni, a Gromadzki rzucił do mnie, bym pozdrowił Marka, odpowiedziałem mu coś mgliście.

Nie powiedziałem jednak, co zamierzam zrobić. W myślach byłem już przy moim fordzie.

9.

Jak ten fagas wyglądał?

Zajazd znajdował się jakieś pięć kilometrów od granic miasta w kierunku na Leszno. Trzeba było cierpliwie przejechać całą Dębową Łękę, wioskę rozciągniętą wzdłuż krajowej „dwunastki”, a potem za kończącym wieś łukiem zjechać na prawo, na wyjeżdżony przez tysiące aut, ubity ich oponami parking. Mieścił się on pomiędzy rzędami klonów i lip, wyznaczających jego skrajny zasięg. Kałuże po ostatniej ulewie zdążyły już wyparować, pozostawiając po sobie szare placki na wyboistej nawierzchni parkingu. Robiło się znowu gorąco, słońce uparło się przypomnieć wszystkim, że lato dopiero się zaczęło.

Zatrzymałem auto na wprost całkiem okazałego budynku ze skośnym dachem o nieregularnym kształcie, urozmaiconym licznymi lukarnami. Nietrudno było się domyślić, że każde z tych okien dachowych oznaczało apartament z wygodnym łóżkiem do spania. Dom miał trzy kondygnacje i poddasze. Duże, niemal kwadratowe okna na pierwszym piętrze sugerowały salę restauracyjną. Od ich strony dobiegł moich nozdrzy sympatyczny zapach smażonej cebuli.

Kilkaset metrów dalej na wschód, w leśnej gęstwinie za zajazdem, Lubuskie przechodziło płynnie w Wielkopolskę. Choć pozostawałem nadal w Lubuskiem, hałas dobiegający od strony drogi uświadomił mi, że nie jest to najbardziej ustronne miejsce tej słynnej krainy jezior i lasów. Minąłem wielką reklamę „Hubertus – Hotel – Restauracja” i podszedłem do miejsca, w którym zjeżdża się ponoć w interesach lokalna elita.

Jak na obiadową porę, środa 5 lipca 2017 roku z pewnością

rozczarowywała personel zajazdu i restauracji. Przed Hubertusem stały zaledwie trzy samochody: dwie skody na polskich blachach i kia sportage na obcej rejestracji. Z ciekawości zerknąłem na tablicę koreańczyka. No tak, Niemcy spod Drezna. To akurat było w Lubuskiem do przewidzenia.

Lekko zawiedziony skręciłem w stronę głównego wejścia do Hubertusa. W ostatniej chwili ominąłem je jednak, bo w głębi sporego, ogrodzonego drewnianym płotem trawnika zobaczyłem osławiony wigwam. Nie była to budowla najwyższych lotów, ale w razie potrzeby zapewniała schronienie przed deszczem korzystającym z ogniska imprezowiczom. Jego wygaszone palenisko zdawało się sugerować wcale liczne i udane zabawy pod gołym niebem. Wyobraziłem sobie, jak późnym wieczorem i nocą szosa usypia, a znad pobliskich pól nad głowy biesiadników nadlatuje ten niesamowity, ekstatyczny dźwięk świerszczy...

Poczułem dreszcz na łydce. Tak, nocne imprezy na pewno mają tu swój niezapomniany urok! Czy bywał tu także niejaki Krzysztof Mąkiewicz, kafar z Igińskiego molo? Czy często smażył swoją ślaską na kijku nad ogniskiem, nieświadomy, że jego dni zostały już policzone? Może zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co mu grozi, żłopał lecha za lechem, przyczepiając się do każdego, kto mu się nie spodobał? Może kogoś uderzył, bo wydawał się sobie wieczny? A już na pewno zupełnie bezkarny?

– Szuka pan kogoś? – Kobięcy głos za plecami wyrwał mnie ze stanu dziwnego odrętwienia.

Odwróciłem się i zobaczyłem kobietę około trzydziestki. Stała na schodach Hubertusa, ubrana w gustowną, granatową garsonkę. Poprawiała dłonią blond grzywkę, przypatrując mi się badawczym wzrokiem. Na jej nosie dostrzegłem złotawe piegi.

Ech, te piegi... Z miejsca przypomniały mi Agnieszkę Witeź. Pewnie pławi się teraz gdzieś w lazurowych wodach Dalmacji albo wygrzewa na leżaku w cieniu pinii, nasłuchując śpiewu cykad... No tak, a obok niej leży ten kretyn od wuefu! Ależ byłem cymbałem, wyobrażając sobie Agnieszkę obok siebie na bałtyckiej plaży!...

– Halo, mówię do pana! Szuka pan tu kogoś? – Kobieta w garsonce bezpardonowo wyrwała mnie z zamyślenia. – Może mogę w czymś pomóc?

Chrząknąłem lekko zażenowany. Postanowiłem improwizować.

– To prawda, szukam – postarałem się, by mój głos zabrzmiał swobodnie. – Miałem nadzieję, że spotkam tu Krzycha Mąkiewicza.

– Kogo? – Kobieta z pewnością nie udawała zdziwienia.

– Krzycha Mąkiewicza. Ratownika z Lginia. Nie zna go pani? Wysoki, szerokie plecy, niezłe bicepsy, po czterdziestce. Pewnie podoba się kobietom...

Wywróciła oczyma, jakbym zapytał ją o to, czy gościł już u nich papież Franciszek. Albo prezydent Trump, który lada chwila miał wylądować w Warszawie ze swoją zjawiskową Melanią.

– Nie znam nikogo takiego – odpowiedziała lekko nadąsana, ale też zaciekawiona. – A dlaczego szuka go pan akurat u nas?

Była bezpośrednia, nie ma co! Przechodziła do sedna bez zbędnych wstępów.

– Słyszałem, że zaglądał do was na obiady – wyznałem, nie zdając sobie sprawy z tego, jak idiotycznie brzmi moja przemowa.

– Nie zaglądał – ucięła żalosny wątek kategorycznym stwierdzeniem.

– Dobrze pamiętam naszych klientów.

– Wszystkich? – pozwoliłem sobie bezczelnie na odrobinę zwątpienia.

– Wszystkich – odparła niewzruszonym głosem. – Przynajmniej tych, których widziałam.

– No tak – mruknąłem, zbity z tropu prostą logiką jej słów.

Dyskusja zdawała się dobiegać końca. Przynajmniej w temacie Krzysztofa Mąkiewicza, Panie świeć nad jego duszą.

– Może wejdzie pan do środka? – zapytała niespodziewanie. – Mamy dziś naprawdę dobry obiad: wątróbka na cebulce, purée i zestaw surówek. Jeśli jest pan samochodem, może pan zamówić piwo bezalkoholowe...

Nie wiem dlaczego, ale dałem się skusić. Choć nie przepadam za wątróbką na cebuli. Ani za purée. Może łudziłem się, że dzięki temu

nawiązę nieco bliższy kontakt z piegowatą blondynką z tutejszego personelu. Może podświadomie uznałem, że warto się rozejrzeć po okolicy. A może... Może po prostu kobieta odrobinę przypominała mi Agnieszkę. Wspomnienie koleżanki z pracy ciągle tkwiło we mnie jak zadra.

Poprowadziła mnie schodami na pierwsze piętro, do przestronnego holu w kształcie litery L. W jego rogu stał bar, a za nim pulchny mężczyzna w nienagannie czystym stroju kucharza. Kobieta w garsonce wskazała mi miejsce przy jednym ze stołów pod oknem. Miałem stamtąd świetny widok na drogę i wejście do zajazdu. Gorzej za to było z wglądem na parking.

– Czyli wątróbka – bardziej potwierdziła, niż zapytała kelnerka i zniknęła.

Wymalowany na miodowo lokal sprawiał miłe wrażenie, a podwieszane pod sufitem wentylatory skutecznie schładzały stojące w środku duszne powietrze. Nie minął kwadrans i blondynka postawiła przede mną talerz z zamówionym daniem – i drugi, mniejszy, z surówkami. Nie dałem jej szybko odejść.

– Przepraszam, że tak wypytyję – zagailem. – Ale to dla mnie ważne. Pytałem o dobrze zbudowaną mężczyznę, ratownika.

– Tak, pamiętam.

– Mówi pani, że nie zauważyła tu ostatnio nikogo takiego. Ale być może nie zapamiętała go pani dobrze, bo zatrzymał się tylko na zewnątrz. Nie wchodził do lokalu, tylko pokręcił się wokół wigwamu...

Przyjrzała mi się uważnie, jakby szacowała, czy przypadkiem nie jestem z policji. Mój niedbały, cywilny strój i niezbyt sportowa sylwetka utwierdziły ją zapewne w przekonaniu, że to niemożliwe. Starła się jednak zachować uprzejmie. W końcu zamówiłem u nich obiad...

– Kiedy to miało być? – zapytała rzeczowo.

– Wczoraj, przed południem.

– Miałam wtedy dyżur, ale nie pamiętam żadnego faceta przy wigwamie.

Przygryzłem wargi, ale zaraz przypomniałem sobie coś jeszcze.

– A może pamięta pani stare bmw na waszym parkingu? Wiem, że on jeździł mocno zużytą beemwicą.

– Jeśli nawet ktoś taki tu przyjechał, w dodatku starym bmw, musiał być tu bardzo krótko – odpowiedziała lekko znudzona. – Ja w każdym razie żadnego takiego kolesia nie wiedziałam. Ani tu, ani na zewnątrz.

Kolesia!, wzdrygnąłem się mimowolnie. Nie, Agnieszka tak się nie wyraża... Cały urok prysnął w jednej chwili.

Pogodziłem się z porażką. Podziękowałem kelnerce i zabrałem się za wątróbkę z purée. Była lekko gorzka, ale największą goryczą przepełniała mnie myśl, że nie dowiedziałem się niczego ciekawego. Ani nie potwierdziłem obecności Mąkiewicza, ani nie zdobyłem informacji, na kogo tu czekał tamtego feralnego dnia – ostatniego w jego przechlapanym życiu.

Wychodząc z lokalu, kątem oka zauważyłem dwa tiry, które zatrzymały się w najbardziej odległym kącie lekko garbatego parkingu. Z daleka było je kiepsko widać, nie na tyle jednak źle, by nie zauważyć, że do otwartych drzwi jednej z kabin podbiegła ni stąd ni z owąd skąpo ubrana kobieta w jaskrawoczerwonym mini.

A może Mąkiewicz przyjechał tu na prostytutki?

Podszedłem do samochodu, spoglądając co chwila w stronę tira i mizdrzącej się u jego drzwi tirówki. Krótkie negocjacje handlowe nie doprowadziły chyba do zawarcia kontraktu, bo kobieta trzasnęła demonstracyjnie dłonią w karoserię i ruszyła zdecydowanym krokiem ku drugiej kabinie. Tam jednak nie zastała żywego ducha, więc nadąsana skręciła w stronę lasu.

Wsiadłem do samochodu, odpaliłem silnik i szybkim manewrem zajechałem jej drogę. Zatrzymałem się z piskiem tak blisko jej nóg, że odskoczyła odruchowo do tyłu.

– Co jest?! – Mimo swojej profesji wyglądała na zaskoczoną.

Szybko jednak opanowała emocje.

– Tradycyjnie dwie stówki, bez gumy trzy. Chyba że chcesz... – wyrecytowała.

– Nie chcę – wyjaśniłem szybko sytuację. – Ale dam ci pięć dych,

jeśli mi coś powiesz.

– Phi! Za pięć dych to nawet nie otwieram buzi – odpowiedziała beczelnie.

Z daleka wyglądała na młodszą, w rzeczywistości była mocno zmęczoną życiem czterdziestką, z kiepskim makijażem i zwiędłym biustem.

– Jak chcesz – uznałem, że to jednak nie ma sensu. – To na razie.

– Poczekaj. – Położyła dłoń na klamce. – A... co właściwie chcesz wiedzieć?



Przysiadła się obok, oglądając z nieskrywaną pogardą wnętrze mojego mocno archaicznego escorta. Śmierdziała jakimiś kosmetykami, wylanymi na siebie w zdecydowanym nadmiarze.

– A co ten twój wóz taki stary? Zgrywasz się na Pana Samochodzika? – błysnęła dowcipem.

Zignorowałem jej uwagę. Zamiast się obruszyć, wyciągnąłem z portfela sinobłękitny banknot z Kazimierzem Wielkim. Była w tym jakaś ironia losu – król, który wymurował niegdyś Polskę, miał teraz pomóc belfrowi od historii w zdobyciu informacji od – trzymając się średniowiecznej nomenklatury – zwykłej ladacznicy.

Na widok pieniędzy moja rozmówczyni zgubiła gdzieś ironiczny uśmiezek, z jakim wsiadła do mojego forda.

– Kiedy to miało być? – zapytała.

– We wtorek przed południem – powtórzyłem.

– Czyli wczoraj – podsumowała przytomnie.

Zmarszczki na jej czole świadczyły o tym, że usilnie przypomina sobie wtorkową listę płac.

– A jak ten fagas wyglądał?

– Napakowany jak Sylvester Stallone. Wysoki, był ratownikiem...

– Był? – W jej głosie wyczułem drżenie, oznakę niepokoju.

– Był czy jest, nieważne – uciąłem szybko drażliwy wątek. – Wiem,

że kręcił się tutaj. A konkretnie wokół tego wigwamu. Jakby na kogoś czekał...

Wytapetowana makijażem twarz kobiety rozjaśniła się nagle.

– Faktycznie, był tu ktoś taki – powiedziała, zerkając w stronę banknotu z Kazimierzem. – Krótco. Może z pół godziny, góra godzinę. Chodził to w lewo, to w prawo. Chyba z kimś się umówił. Ale to był prymityw. Kiedy go zagadnęłam, czy może tego... sam wiesz... to mnie zrugął, zwyzywał od najgorszych. Powiedział, żebym mu opinii nie psuła czy jakoś tak...

– Tak powiedział? – Z wrażenia omal nie połknąłem własnego języka.

Na kogo czekał Mąkiewicz, skoro tak dbał o swoją opinię?

– Coś w tym guście. – Kobieta wyciągnęła z torebki gumę Wrigley i zaczęła ją nerwowo żuć.

W łapczywych ruchach jej szczęk, w towarzyszącym im mlaskaniu było coś ordynarnego.

– I co? Ktoś do niego przyjechał?

Tirówka nadmuchała balon i strzeliła nim efektownie przed moim nosem.

– Chyba nie – odpowiedziała.

– Chyba?

– Słuchaj, gościu! – zirytowała się niespodziewanie. – Czy ja jestem jego matka, żeby go pilnować? Klient z niego był żaden, to go miałam w dupie! Przyjechali inni chętni i tyle!

– Ale nikt do tego faceta?

– Tak mi się wydaje. Ale...

– No?

– Ale głowy nie dam sobie uciąć.

– I potem odjechał?

– No tak.

– W którą stronę?

– Może jeszcze zapytasz, o której godzinie?!

Irytowała mnie, ale zachowałem spokój. Podałem jej banknot, który chwyciła szybkim ruchem i natychmiast schowała do torebki.

A potem obrzuciła mnie spojrzeniem, które miało stanowić kwintesencję jej dawno utraconej zalotności.

– Może jednak? – zapytała nagle przymilnym, mruczącym głosem. – Z rabacikiem, po starej znajomości?

Zrobiło mi się niedobrze.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Hałas silnika wypłoszył ją z wnętrza. Wyskoczyła urażona, ostentacyjnie trzaskając drzwiami.

Gdy odjeżdżałem spod Hubertusa, miałem kwaśną minę. Prześladowało mnie przeczucie, że straciłem pół stowy i zmarnowałem sporo czasu.

A jednak nie zmarnowałem.

10.

Bałeś się nudy, co?

Było mi trochę wstyd przed Markiem, że bez jego wiedzy rozpocząłem nieformalne śledztwo. Dlatego nie pochwaliłem się przed nim wyprawą do Hubertusa. W krótkich zdaniach opowiedziałem mu jedynie to, co usłyszałem od Gromadzkiego. Słuchał mnie bez większego zainteresowania, jakbym mu sprawozdawał jakąś nudną konferencję szkoleniową z zagadnień BHP. Ożywił się tylko raz. Właściwie trudno to było nazwać ożywieniem – uniósł tylko na moment brew, gdy wspomniałem, że według informacji naszego dzielnego dziennikarza Mąkiewicz był widziany w dniu śmierci pod zajazdem.

– No właśnie! – podchwyciłem natychmiast ślad jego zainteresowania. – Co on mógł tam robić? Na kogo tam czekał?

Marek westchnął i wzruszył ramionami.

– Może umówił się tam ze swoją kobietą? Robert ci przecież powiedział, że Krzychu miał jakąś pannę w Lesznie...

– A wiesz, że o tym nie pomyślałem – musiałem przyznać, że Marek mimo wszystko słuchał mojej opowieści uważnie. – Mareczku, wiesz może, o kogo chodzi?

– Boguś, nie przeceniasz mnie przypadkiem? Ostatni dłuższy kontakt z Krzychem miałem w liceum, a więc ćwierć wieku temu. Ćwierć wieku, rozumiesz, panie historyku?! W tym czasie Mąkiewicz mógł mieć co najmniej kilka, jak nie kilkanaście pańienek!

– Masz rację – przyznałem. Niby skąd, Marek, miałbyś znać tę ostatnią?

Kumpel obrzucił mnie krótkim, acz uważnym spojrzeniem.

– Co? – zareagowałem nerwowo.

– Nic – skwitował swoim beznamiętnym, zupełnie wypranym z emocji głosem. – Widzę, że znowu dopadł cię syndrom śledczego amatora.

– Że co?

– Już ty wiesz, Boguś, co.

– Nie wiem.

– Nie udawaj, stary. Już raz widziałem cię takiego podnieconego. Rok temu o mały włos nie przyplaciłeś tego życiem.

– Daj spokój! – zachnąłem się dla zasady, ale w duchu nie mogłem nie przyznać mu racji.

Historia tajemniczej śmierci Zamiejskiego, a już zwłaszcza nasze wspólne makabryczne odkrycie nad jeziorem nie dawały mi spokoju. Coraz więcej o nich rozmyślałem, czując na plecach dreszczyk emocji. Taaak, Agnieszka Witeź zdecydowanie odpłynęła w siną dal... Nie wypadało zaprzeczać, że wschowska zagadka kręciła mnie coraz bardziej. Nie liczyłem na takie niespodzianki w małym mieście na peryferiach Lubuskiego.

– No dobra... – spasowałem, nie mogąc sobie poradzić z krytycznym spojrzeniem kolegi. – Przyznaję, że ta cała historia wydaje mi się wciągająca...

– Wciągająca! – zachnął się Marek.

– Może... po tej ubiegłorocznej historii z biegaczem brakuje mi trochę adrenaliny? A może po prostu chciałbym przeżyć tego lata coś naprawdę interesującego?

Zaraz pożałowałem swoich słów.

– Bałeś się nudy, co? – Marek poczuł się dotknięty. – Pewnie nie chciałeś mi powiedzieć, ale ziewałeś z nudów, kiedy oprowadzałem cię po mieście? W końcu co ciekawego można znaleźć w takiej dziurze?

To był cios poniżej pasa, ale zniosłem go mężnie.

– Nie opowiadaj głupot – obruszyłem się. – Jeśli chcesz wiedzieć, sprawdziłem wcześniej, dokąd jedziemy. I ucieszyłem się. Naprawdę! Ucieszyłem się, że to fajne miejsce, ciekawe, z przeszłością. I już

przed wyjazdem wiedziałem, że to będzie strzał w dziesiątkę.

- Ściemniasz.
- Nieprawda.
- Nie wierzę ci.
- Trudno. Jakoś to przeżyję.

Do pokoju Marka, w którym rozmawialiśmy, zajrzała pani Beata. Pokręciła siwą głową na wszystkie strony, jakby wyczuwała, że atmosfera w obozie niespodziewanie oklapła.

– Co słyhać, chłopcy? – zagadnęła z wesołą miną do dwóch starych baranów grubo po czterdziestce. – Przestańcie już rozmawiać o tym, co się stało. Trudno, wydarzyło się. Ale to już za wami. Koniec! Trzeba się skupić na sobie, sprawić sobie jakąś przyjemność. Może byście poszli na piwko?

Propozycja wydała mi się godna rozważenia, ale Marek spojrzał na matkę z wyrzutem.

- Co też mama! – westchnął. – Nie mam nastroju na żadne knajpy.
- Nie pójdziesz z Bogdanem? Jaki z ciebie gospodarz?
- Mamo, daj mi spokój... Może jutro...

Podniosłem rękę na znak, że rozumiem kumpla i popieram jego wniosek.

– Dajmy mu trochę czasu – zaproponowałem. – Skoro obiecał, że jutro pójdzie na piwo, będę go trzymał za słowo.

– Ech, chłopaki! – Pani Beata machnęła zasmucona dłonią i wycofała się na z góry upatrzone pozycje w kuchni.

– Widzisz, co narobiłeś? – zganiłem Marka, ale łagodnie, bez nerwów.

– Matka tak ma. Ciągle by chciała, żebym się śmiał jak szalony. Ale nie rozumie, że czasem zwyczajnie nie ma powodu do radości.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Na zewnątrz ciągle panował upał, ale w grubych murach barokowej kamieniczki rządził przyjemny chłód. Mimo to wstałem z fotela, by raz jeszcze wygrzać kości.

- Przejdę się po mieście – rzuciłem do Marka.

Siedział w swoim fotelu jak sfinks. Nawet nie zareagował na moje

słowa.

Aby nie urazić pani Beaty, wymknąłem się chyłkiem z mieszkania.



Słońce z wolna przechylało się na zachodnią stronę nieboskłonu, znacząc śródmiejskie kamieniczki miedziano-złotą sepią. Dominująca nad rynkiem budowla ratusza zdawała się o tej porze wymarła. I pewnie była, bo miejscowi urzędnicy dawno już pałaszowali w domach spóźnione obiady albo pluskali się w wodach jeziora Lgińsko.

Miasteczko miało swój urok. I nie chodziło wcale o to, że zachowało dawny układ staromiejskich ulic, a w północno-wschodnim rogu rynku odbudowano niedawno pierzeję, spaloną podczas „wyzwolenia” tego niemieckiego wówczas miasta w 1945 roku. W powietrzu wisiał posmak swobody. Tak, czułem się tutaj – z dala od Poznania i obowiązków – jak człowiek wolny. Pewnie dlatego, że tempo życia w tej niedużej miejscowości nie przypominało pogoni w półmilionowej metropolii. A także dlatego, że wszędzie tu było blisko. W granicach pięciu, dziesięciu minut spokojnego marszu. Coraz bardziej mi to odpowiadało. I coraz bardziej się tym cieszyłem.

Tym razem obrałem marszrutę w kierunku widocznego z daleka prześwitu w starych murach obronnych. Przeszedłem przez nieduży, zadbany skwer z nową fontanną, położony *vis-à-vis* głównej fasady ratusza, przypominając sobie opowieść Marka o pomniku braterstwa broni polsko-radzieckiego. Przez dekady PRL stał nieopodal miejsca, w którym z basenu tryskał teraz ku niebu gejzer wody. Po upadku komuny pomnik z płaskorzeźbą polskiego i sowieckiego żołnierza został zdemontowany, co wywołało w mieście spore emocje. Ale po tylu latach sprawa zdecydowanie przycichła. Siedzący na ławeczkach emerycy przyglądali mi się w milczeniu, z pewną nieufnością. Uśmiechnąłem się do nich, ale nie przełamane ich rezerwy. Pewnie wyczuli, że jestem tu obcy. Co zrobić?

Po prawej ręce minąłem trzy sklezione w jedną całość, efektowne barokowe kamieniczki o wyjątkowo dekoracyjnych szczytach. Czerwona tabliczka na jednej z nich informowała, że mieści się tutaj Muzeum Ziemi Wschowskiej. To tu przez długie lata pracował zapewne kustosz Zamiejski, uświadomiłem sobie nagle. Wąską, krytą nierównym kamiennym brukiem uliczką przekroczyłem wyłom w odrestaurowanej linii murów obronnych i znalazłem się w parku pełnym starych drzew, rosnących na terenie dawnej fosy – a dziś plant.

Po lewej, na kilkumetrowym wzniesieniu zauważyłem starą budowlę z zakratowanymi oknami. Stanowiła spory prostokąt z cegły, posadowiony na środku wzgórza. Z nielicznych starych planów, które przestudiowałem jeszcze w Poznaniu, wynikało, że właśnie tutaj jeszcze trzysta-cztery lata wcześniej stał wschowski zamek. Obronne walory tego miejsca łatwo było dostrzec nawet teraz. Obniżenie terenu wokół dawnego zamku, w miejscu niegdysiejszej fosy, dawało wyobrażenie o trudnościach, z jakimi borykali się w przeszłości oblegający miasto.

Przez drzewa prześwitywał plac i wiaty pobliskiego dworca autobusowego. Zdecydowanie ciekawej było jednak przy zamkowym wzgórzu, więc zatoczyłem szutrową alejką szeroki łuk wokół wyniesienia. Spacer był przyjemny, rozłożyste konary kasztanowców i lip dawały schronienie przed słońcem.

Posuwając się wzdłuż dawnych murów miejskich, mimo upływu lat doskonale widocznych wokół staromiejskiej zabudowy, doszedłem do miejsca, w którym ciąg kamienic kończył się nagle szeroką ulicą Bohaterów Westerplatte. W ten sposób zupełnie niespodziewanie znalazłem się znowu w miejscu dawnej Bramy Polskiej, pod szerokim, owalnym fundamentem baszty. To właśnie tędy przed wiekami do miasta wielokrotnie wjeżdżali polscy królowie. I pewnie tylko leniwi Wettynowie pukali częściej w Bramę Głogowską niż w Polską. No cóż, podróżując z Saksonii, nie mogli inaczej...

Nawet nie zauważyłem, że znalazłem się pod gmachem banku, a więc znowu u wylotu Garbarskiej. Niski budynek w głębi ulicy

kusił, by do niego podejść. A już zwłaszcza policyjne taśmy, którymi oklejono drzwi. Zamiejski mieszkał samotnie – to była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy. Gdyby było inaczej, policja nie mogłaby tak po prostu zamknąć lokalu na stałe.

Rozejrzałem się wokół. Ruch na ulicach był niewielki. Na Garbarskiej, wyłożonej jeszcze w niemieckich czasach betonowymi płytami, nie było żywego ducha. A może by tak podejść bliżej i rozejrzeć się w sytuacji?

Aby nie wzbudzać nadmiernego zainteresowania, ruszyłem wąziutkim chodnikiem położonym po przeciwnej stronie ulicy. Zostawiłem za sobą błyszczącą fasadę banku i już po chwili znalazłem się naprzeciw parterowego domku Zamiejskiego. Stojąc w bramie domu pod numerem pierwszym, przez dłuższą chwilę przyglądałem się czterem szczelnie zasłoniętym oknom dawnego lokum kustosza. Dopiero teraz dostrzegłem, że przysadzisty, mało efektowny budynek miał coś w rodzaju poddasza z pięcioma niewielkimi, kwadratowymi okienkami. Ciekawe, jakie skarby trzymał tam ten tajemniczy mężczyzna? Choć nie miałem okazji go poznać, byłem przekonany, że poddasze domu Zamiejskiego skrywa niejedną niespodziankę.

A może by tak...

Ruszyłem w głąb ulicy, bo dostrzegłem, że za sąsiadującym z domem kustosza budynkiem ze skośnym dachem po lekkiej pochyłości odchodzi w górę węższa od Garbarskiej ulica. Tabliczka zdradziła jej mało oryginalną nazwę – Nowa. Przeskoczyłem przez Garbarską i po kilkunastu krokach zatrzymałem się ponownie. Miałem nosa! Stałem teraz przed otwartą na oścież, mocno wysłużoną drewnianą bramą. Za jej skrzydłem, wiszącym na betonowym słupku z odpadającymi dachówkami na szczycie, widziałem dokładnie podłużne, wyłożone płaskimi kamieniami podwórko, prowadzące na tyły mieszkania Zamiejskiego. Przyklejona do sąsiedniego budynku brzoźka zasłaniała nieco widok na ścianę lokalu kustosza. Nie na tyle jednak, bym nie dostrzegł rdzewiejącej, metalowej furtki, prowadzącej zapewne od tyłu do budynku, w którym w niedzielę dokonano

morderstwa.

Podwórko było puste, choć otwarta brama zdawała się sugerować, że ktoś lada chwila może tu wrócić. Kusiło mnie, by zajrzeć do środka i podejść do furtki odgradzającej podwórko od domu Zamiejskiego. Powstrzymałem jednak ciekawość. Zaparkowane wzdłuż Nowej samochody oznaczały, że w każdej chwili ktoś mógł do nich zajrzeć. Obawiałem się dekonspiracji. Gdyby ktoś doniósł na mnie policji, że kręcę się wokół domu zamordowanego, miałbym murowane problemy do końca wakacji!

Zawróciłem ku Garbarskiej. Przechodząc obok głównego wejścia do domu Zamiejskiego, raz jeszcze spojrzałem w okna. Zobaczyłem jedynie zasłonięte firany. To niepowodzenie nie zmartwiło mnie jednak – odkryłem bowiem coś ważniejszego. Niewykluczone, że osoba, która zakradła się do Zamiejskiego, by pozbawić go życia – a zapewne czegoś jeszcze – niekoniecznie dostała się do wnętrza od frontu. Równie dobrze mogła sforsować furtkę od zaplecza i niezauważona włamać się do mieszkania, by poczekać w nim na swoją ofiarę. O ile oczywiście chciała zaskoczyć Zamiejskiego.

Nie można było przecież wykluczyć, że znała swoją ofiarę i została przez nią wpuszczona do środka.



Ulica Bohaterów Westerplatte, stanowiąca kręgosłup w szkieletcie ulic Wschowy, wydała mi się tego popołudnia pozbawiona życia. Przechodniów można było policzyć na palcach obu rąk. Minąłem budynek z zieloną fasadą, przyozdobiony na wysokości piętra barwną figurą murzynka, a potem aptekę o dumnej nazwie Pod Orłem, salon fryzjerski, cukiernię Szarlotka i kilka sklepów. Za chwilę znowu znalazłem się na głównym skrzyżowaniu miasteczka, pod budynkiem dawnego hotelu, przerobionym teraz na dyskont.

Ponownie spoglądałem na budynek, w którym mieszkał jako dziecko Bronisław Geremek. Na lewo od niego stał rozłożysty gmach

Centrum Kultury. Gdybym poszedł teraz w górę ulicą Daszyńskiego, w trzy minuty byłbym w pubie, w którym poznałem Gromadzkiego. Nie miałem jednak ochoty na piwo. Wybrałem więc jedyny kierunek, którego jeszcze nie znałem. Przeszedłem przez ulicę, minąłem po lewej skwer z nieco pokręconym świerkiem i ruszyłem wzdłuż ulicy Niepodległości, w stronę klasztoru.

Na wysokości banku poczułem głód. Pewnie dlatego, że przechodziłem akurat obok baru z kebabem. Wchodziło się do niego po wyłożonych klinkierową cegłą schodach. Lokal sprawiał dobre wrażenie, więc uległem pokusie. Zamówiłem kebab w bułce, zapłaciłem i usiadłem przy jednym ze stolików, oczekując na posiłek. Chcąc nie chcąc, usłyszałem fragment rozmowy toczonej obok przez dwóch nastolatków pałaszujących frytki.

– ...bo on podobno trzymał z Krzywym.

– Jakim Krzywym?

– No co ty, o Krzywym nie słyszałeś? Siedział niedawno za dragi czy włamanie. Sam już nie pamiętam...

– A! To ten gangster, co go gliniarze aresztowali pod Lesznem?

Mimowolnie nadstawiłem ucha.

– No! Ten kafar, co terroryzował cały powiat!

– I co, ten ratownik trzymał z Krzywym? A skąd wiesz?

– Gościu, gdzie ty żyjesz? Z fejsa. Moja siorka wrzuciła link, od godziny o tym trąbią...

Hasło „Krzywy” nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia, ale wspomnienie o ratowniku spowodowało, że serce momentalnie zabiło mi mocniej.

Czyżby redaktor Gromadzki wyciągnął z policji kolejnego newsa i wrzucił go do serwisu?

Przestałem wsłuchiwać się w coraz bardziej fantastyczne teorie tworzone naprędce przez rozgrzane do czerwoności głowy nastolatków i sięgnąłem po smartfon.

Portal Wschowski był naprawdę godzien podziwu. O 16:50 wrzucił newsa z tytułem podbitym czerwonym paskiem: *Zamordowany Krzysztof M. był człowiekiem Krzywego?*

Z lektury wynikało, że prowadząca śledztwo w sprawie zabójstwa Mąkiewicza policja rozpatruje nowe poszlaki. Redaktorowi Gromadzkiemu udało się wyniuchać, że prześwietlający niedaleką przeszłość ratownika śledczy uchwycili bliskie związki zamordowanego z niejakim Tomaszem Krępy, w lokalnym półświatku znanym bliżej jako gangster o pseudonimie Krzywy. Krępy, jak można było przeczytać w obszernym akapicie o jego dokonaniach, był weteranem powiatowego życia przestępczego, a jego sława wykraczała daleko poza pogranicze lubusko-wielkopolskie. W życiorysie miał między innymi odsiadkę za znalezione przy nim dragi, a także aresztowanie w związku z włamaniem do kasy miejscowej cukrowni w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Nieco starszy od Mąkiewicza, miał się z nim zetknąć przy okazji podejrzanego handlu samochodami sprowadzanymi z niewiadomych źródeł w Niemczech. Zastrzegający swoje nazwisko informator Gromadzkiego sugerował, że auta były kradzione za Odrą i niemal natychmiast sprzedawane na wschód, głównie Białorusinom i Ukraińcom. Mąkiewicz miał być wkręcony w ten interes od ładnych pięciu lat, choć nikt nigdy nie złapał go za rękę. Uchodził za bliskiego współpracownika Krzywego, jednak niedawno z niejasnych przyczyn podpadł swojemu bossowi i ponoć zerwał z nim wszelkie kontakty. Przynajmniej jeśli wierzyć opowieści anonimowego źródła Portalu Wschowskiego.

W tym kontekście najciekawsza w całym artykule była informacja o tym, że niedawno, a konkretnie w ubiegłym tygodniu, Mąkiewicz był widziany razem z Krzywym na rynku w Lesznie. Ich rozstanie było dość burzliwe, doszło do rękoczynów. Podobno gdyby nie przypadkowa interwencja strażników miejskich, polałaby się krew...

Oderwałem wzrok od małego ekranu i zastanowiłem się nad wymową tekstu. Relacje o wieloletnich zażytych kontaktach ratownika z miejscowym bossem, a już zwłaszcza doniesienia o dramatycznym pogorszeniu się ich kontaktów wreszcie typowały potencjalnego przewodnika Mąkiewicza w drodze na tamten świat. Przypomniało mi się, że ratownik zrobił na mnie odpychające

wrażenie. Wydało mi się nawet, że ekscytował się zabójstwem Zamiejskiego. Jakby sprawdzał, co o tym sądzimy. Było w tym coś nienaturalnego i niezdrowego. Mocno niezdrowego...

– Proszę. – Młoda dziewczyna z obsługi podała mi do stolika bułkę ze stosem naciętego kebabu.

Podziękowałem i odłożyłem telefon na stół. Pałaszując przyspieszoną kolację, zastanawiałem się, w czym Mąkiewicz mógł podpaść swojemu niedawnemu szefowi.

Muszę zapytać Marka, postanowiłem. Choć akurat tym razem pomysł ten wydał mi się mocno ryzykowny.

11.

Krzywy i jego armia

Zastałem kumpla w odrobinę lepszym nastroju. Chyba z wolna dochodził do siebie, bo mój widok wyraźnie go ucieszył.

– I co tam nowego, Sherlocku? – zagadnął z sarkazmem w głosie. – Już wiesz, kto morduje we Wschowie?

Zamiast odpowiedzi podsunąłem mu pod nos smartfon z najnowszymi ustaleniami naszego kolegi redaktora. Niechętnie, ale jednak spojrział na ekran. Powoli, z uwagą przeczytał cały artykuł. A potem wzruszył ramionami, jakby wszystko to wcale go nie zaskoczyło.

– No tak – skomentował bez emocji. – Kiedy ktoś zadaje się z Krzymym, to prędzej czy później kończy martwy.

– To aż taki diabeł? – pociągnąłem Marka za język.

– Nie wiem, nie miałem okazji poznać go bliżej. Ale to zdecydowanie typ spod ciemnej gwiazdy. Kto wie, czy zresztą nie lepiej znany za naszą wschodnią granicą. Niektórzy żartują, że wyposażył w niemieckie samochody pół Lwowa. Faktem jest, że przez jego ręce przeszły setki wozów.

– I policja nigdy go nie przyskrzyniła?

– Wpadł za inne sprawy. Raz znaleziono przy nim nieduże ilości narkotyków. Odsiedział niedługi wyrok, chyba trzy lata. A potem wrócił na rynek, ale Wschowa szybko zrobiła się dla niego za ciasna. Miał ambicje, rozwijał lewe interesy w Lesznie, Głogowie, nawet we Wrocławiu. Tak przynajmniej słyszałem od osób uchodzących za wtajemniczone. Ale nie wiem, ile w tym wszystkim prawdy.

– Myślisz, że Krzywy byłby w stanie zabić swojego dawnego kumpla?
– Diabli wiedzą. – Marek podrapał się po głowie zakłopotany. – Jakoś dotychczas nigdy nie zarzucono mu zabójstwa. A przynajmniej ja o tym nie słyszałem. Ale mogę być w tym względzie kiepskim źródłem.

– Jak myślisz, czym Mąkiewicz mógł się narazić temu gangsterowi?
– Nie mam pojęcia. Może poszło im o jakieś dawne rozliczenia? Zwykle jak nie wiadomo, o co chodzi, to niemal na bank idzie o pieniądze.

Rozumowaniu Marka trudno było odmówić logiki. Jeśli rzeczywiście między Krzywym a Mąkiewiczem doszło do scysji, jedynym powodem wydawała się kasa. Skoro obracali przed laty dużymi sumami z handlu samochodami, mogli się kiedyś poróżnić. Wystarczyło, że Krzychu nadepnął Krzywemu na odcisk albo stał się zbyt samodzielny – i poszedł do piachu. A może raczej pod wodę.

Nagle przyszło mi jednak do głowy coś zupełnie innego.

– Ty, Marek! Przecież Mąkiewicz miał jakąś kobietę w Lesznie!

– No niby tak...

– A z Krzywym pobił się niedawno właśnie tam!

– No i co z tego?

– Jak to co? Może po prostu poszło im o kobietę?

Kolega matematyk zerknął na mnie jak na obłąkanego.

– Wiesz co, chyba jesteś zmęczony – orzekł szorstkim tonem. – Mąkiewicz nie należał do sympatycznych gości, ale musiałby być kompletnie szalonym, żeby próbować odbijać laskę czołowemu gangsterowi w regionie.

– A może jednak... Przecież nie możemy tego wykluczyć.

– Musiałby najpierw spisać testament i wybrać sobie miejsce pochówku. To wykluczone, Bodziu. Słyszałem, że Krzywy zawsze trzymał swoją armię krótko. Gdy tylko ktoś chciał mu podskoczyć, kończył z przestrzelonym kolanem. Albo z dziurawą głową.

– Skąd wiesz? Mówiłeś, że nigdy nie zarzucono mu zabójstwa...

– Jemu nie. Ale to nie znaczy, że dawniej nie ginęli ludzie.

Poczułem, jak włosy jeżą mi się na głowie. A więc ta historia ma

drugie dno! Tylko czy konieczne należy je poznawać?

– Wiele było takich zaginięć? – nie mogłem się powstrzymać.

– Wiem, że w latach dziewięćdziesiątych kilku ludzi zniknęło na zawsze. Jeździłem wtedy na studia do Poznania, po drodze nasłuchiwałem się w pociągach o ruskiej mafii, która podobno grasuje w zachodniej Polsce i likwiduje na zlecenie lokalnych bossów niewygodnych ludzi. We Wschowie też mieliśmy taki przypadek. Rodzina znalazła nad ranem męża i ojca w samochodzie zaparkowanym pod jego własnym domem. Miał przestrzeloną głowę.

Z wrażenia przełknąłem ślinę. Dopóki rozmawialiśmy o sprawie czysto teoretycznie, nie zdawała się taka namacalna. Ostatnie słowa Marka uświadomiły mi jednak, że te historie są nam bliższe, niż się wydają.

– I co? Policja do czegoś doszła? Zatrzymała zabójcę?

– Nie żartuj. Wtedy, w latach dziewięćdziesiątych, wykrywalność sprawców w takich przypadkach była bliska zera. Policja była wtedy słaba, źle wyposażona, nieprzygotowana na nowe wyzwania. I pewnie skorumpowana. Nic dziwnego, że do dziś nie ustalono, kto strzelał do tego człowieka. Wracając do Krzywego... Nie wiem, jak bliskie były jego relacje z zakapiorami zza wschodniej granicy, ale faktem jest, że z nimi handlował. Więc jak myślisz: gdyby poprosił ich o przysługę w imię kolejnych interesów, odmówiliby mu? Taki Mąkiewicz to dla nich był nikt. Pionek na szachownicy. Do odstrzału, gdy inaczej się nie da.

– Sądziś, że Krzywy mógł się pozbyć Mąkiewicza rękoma swoich... partnerów handlowych?

– Ładnie ich nazwałeś, nie ma co! Nie wiem, Boguś. Naprawdę nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. A w dodatku mamy morderstwo Zamiejskiego. Jakby w pakiecie z tym drugim, nie masz takiego wrażenia?

Miałem, a jakże! Sęk w tym, że ciągle mogliśmy rozmawiać wyłącznie o naszych odczuciach, domysłach i spekulacjach. Byliśmy jedynie biernymi widzami, a to uwierało mnie coraz bardziej.

– Wiesz co, Mareczku?

- No?
 - Może ten pomysł twojej mamy nie był taki zły?
 - Jaki pomysł?
 - Schłodzony primator świetnie podsumowałby trudny dzień.
 - Daj mi spokój. Nie mam ochoty.
 - E tam! Daj się namówić, wyskoczymy tylko na jednego.
 - Na jednego? – Nuta zawahania w głosie Marka dała mi nową nadzieję.
 - Na jednego. Jak to mawiają Niemcy? *Einmal ist keinmal*^[3]. W kwestii piwa można ich uznać za fachowców, nieprawdaż?
 - *Jawohl*^[4] – wysapał niespodziewanie Marek. – Ale tylko na jedno, OK?
- Gdy wychodziliśmy, dostrzegłem w końcu korytarza uśmiechniętą twarz pani Beaty.
- Tylko weźcie klucze – poradziła życzliwie.
- Chyba znała życie lepiej od swojego syna.



Gdy około dwudziestej zameldowaliśmy się w zacnym pubie przy ulicy Daszyńskiego, w jego wnętrzu oraz na zewnątrz panował wesoły gwar. Miłośnicy złotych trunków zza Sudetów dzielili się wrażeniami z kolejnego letniego dnia. Przechodzące w gorejący róż niebo nad ich głowami zapowiadało pogodny czwartek.

Piwo smakowało tego wieczoru jakoś lepiej, intensywniej. Brodaty barman przyglądał się nam z zaciekawieniem, jakby chciał zapytać: „A gdzie wasz trzeci muszkieter?”.

Na redaktora Roberta Gromadzkiego nie trzeba było długo czekać. Choć nie spodziewaliśmy się, że się zjawi, przyszedł do lokalu mniej więcej kwadrans po nas. Wziął w dłoń szklanicę z piwem, porozmawiał przez chwilę z szefem, a potem – nie pytając nas nawet o zdanie – przysiadł się do naszego stolika pod murem pubu. W milczeniu podaliśmy sobie dłonie. Ściskając rękę Marka,

dziennikarz przyjrzał mu się z wyrazem obawy na twarzy.

– Czytałem – powiedziałem w ramach powitania. – Wyrazy uznania. To wszystko bardzo ciekawe. Mam wrażenie, że zaczyna się układać w całkiem logiczny ciąg wydarzeń.

Gromadzki zmierzył mnie swoim lisim spojrzeniem spod zmrużonych powiek. W szklach jego okularów zagrały jakieś ogniki.

– Ciąg wydarzeń? – podchwycił moje słowa. – A jakich wydarzeń, panie kolego?

Zgrywa się czy co?, pomyślałem.

– Przecież sam napisałeś, że Mąkiewicz zadawał się z Krzywym. I że się o coś pożarli. Więc Krzywy zlecił robotę swoim wschodnim kompanom i ci uciszyli naszego ratownika. Ta teoria ma ręce i nogi – podsumowałem.

– Pozornie tak – przytaknął niechętnie, wyciągając swojego ulubionego, smrodliwego i wąskiego jak zapałka papierosa.

– Pozornie?

– No tak. Teoretycznie wszystko gra.

– Więc w czym problem?

Gromadzki znowu zmrużył oczy, zaciągnął się i z dużą satysfakcją posłał w niebo pierwszy dymek.

– Ciągłe nie znamy motywu – odpowiedział.

– Mówisz o nieznanym jeszcze szczegółach. Z grubsza można jednak przyjąć, że pokłócili się w interesach. Mocno pokłócili. Można by powiedzieć: śmiertelnie.

– Może tak było. – Redaktor zaczynał mi działać na nerwy tym swoim zwyczajem cedzenia słów. – A może nie...

– Albo im poszło o kobietę – pokusiło mnie, by podzielić się swoją drugą hipotezą.

– Nie sądzę – sprowadził mnie na ziemię Gromadzki.

– Właśnie próbowałem to wytłumaczyć Bogdanowi, ale jakoś nie dotarło – odezwał się niespodziewanie posepny dotąd Marek.

– To niemożliwe, kolego. – Dziennikarz poprawił się w fotelu. – Z bardzo prostej przyczyny...

– Tak? A niby jakiej?

– Tajemnicą poliszynela jest, że Krzywy to gej.

Zaniemówiłem z wrażenia. Lider lokalnego świata przestępczego, który trzęsie sporym fragmentem tej części Europy, a już na pewno nielegalnym handlem samochodami, kocha inaczej? I wiedzą o tym lokalne media?

– To pewna informacja?

– Jak preferencje seksualne prezydenta Słupska. Krzywy nie mógł się więc dobierać do dziewczyny Mąkiewicza – podsumował spokojnie Gromadzki.

Marek pokiwał smętnie głową. Sprawiał wrażenie, jakby z wolna wracał do równowagi. I do gry. W jego oczach ciągle czaił się jeszcze smutek, ale on sam nadażał za naszą dyskusją. A to już było dużo, zważywszy na jego stan sprzed południa.

– Tak czy owak kolega ratownik zapłacił prawdopodobnie za stare grzeszki w kontaktach z Krępyim – powtórzyłem swoje przypuszczenie.

– Tak to wygląda, przynajmniej na pierwszy rzut oka. – Redaktor Portalu Wschowskiego pozostał na pozycjach umiarkowanie sceptycznych. – I tak to widzi policja. Zdaje się, że intensywnie poszukuje Krzywego.

Nadstawiłem uszu, bo Gromadzki najwyraźniej zapragnął podzielić się kolejnymi nowościami z komendy.

– Zdaje się? – pociągnąłem go za język.

– Na to wygląda. Rozesłali po kraju wizerunek gościa i jego rysopis. Poszukują go na razie w związku ze sprawą zabójstwa, a nie jako podejrzanego. Ale to się może zawsze zmienić.

Dopiłem piwo i poprosiłem o drugie. Marek tymczasem sączył wolno złoty płyn ze szklanki – najwyraźniej postanowił dotrzymać obietnicy, że wyskoczy tylko na jeden browar.

– A co nowego w sprawie Zamiejskiego? – zapytał niespodziewanie.

Gromadzki przyjrzał się uważnie Markowi, jakby oceniając, czy przyjaciel doszedł już do siebie.

– Niewiele – odpowiedział. – Analizują materiał z mieszkania kustosza. Sam jestem ciekaw, czy znaleźli tam cokolwiek.

– A co mogli znaleźć? – zapytałem.

– A któż to wie?

Usłyszeliśmy sygnał telefonu. Gromadzki wywrócił oczami, odstawił piwo i z dużym trudem wyszarpnął aparat z ciasnej kieszeni spodni. Gdy przyłożył go do ucha, jego oczy rozszerzyły się jakby łyknął espresso.

– Co?! Właśnie teraz?! – krzyknął do telefonu. – Rozumiem. O której? Tam, gdzie zwykle?

Wymieniliśmy z Markiem szybkie spojrzenia. Nie ulegało kwestii, że redaktor Rober Gromadzki odebrał właśnie sygnał o ważnym newsie. Jak ważnym?

– Dzięki, będę! – rzucił dziennikarz do telefonu i rozłączył się.

Nerwowo zaczął szukać portfela.

– Coś ważnego? – zapytałem.

– Tak – odpowiedział i podniósł się z fotela. – Panowie, przepraszam was bardzo. Mam niezaplanowane spotkanie.

– Rozumiemy – przytaknęliśmy niechętnie.

W środku aż mnie skręcało z ciekawości. Gromadzki nie zamierzał jednak puścić farby – i nie puścił do samego końca.

– Będziemy w kontakcie – powiedział.

I tyle go widzieliśmy.

– Sprawa Zamiejskiego czy Mąkiewiczza? – zapytałem Marka, gdy zostaliśmy sami.

– A może coś z Krzywym? – podsunął trzecią możliwość.

Ta niepewność spowodowała, że mimo trzech wypitych tego wieczoru piw długo nie mogłem zasnąć.

[3] (niemieckie przysłowie) Raz się nie liczy.

[4] (niem.) Tak jest.

12.

Siepacze są wśród nas

Zanim dowiedzieliśmy się, dlaczego redaktor Gromadzki został w trybie pilnym wezwany przez swojego tajnego informatora, sami otrzymaliśmy zaproszenie do komendy powiatowej policji. Stało się to w prosty, wręcz banalny sposób: około dziewiątej rano, gdy pożeraliśmy wspaniałą jajecznicę na boczku przygotowaną przez panią Beatę, ktoś zadzwonił do drzwi. Był to młody policjant w granatowym uniformie. W ręce trzymał jakieś urzędowe pismo.

– Panowie Marek Cichoń i Bogdan Popiołek? – odczytał z niego nasze nazwiska.

– Tak jest.

– W związku ze śledztwem w sprawie zabójstwa Krzysztofa Mąkiewicza proszeni są panowie o pilne stawienie się w komendzie.

– Jak pilne?

– Jeśli mogę prosić o wspólne zejście do radiowozu...

– Chwileczkę – rzuciłem błagalnym tonem. – Tylko dokończymy śniadanie...

Funkcjonariusz okazał się wyrozumiały. Dał nam niezbędny czas, byśmy zjedli jajecznicę do końca i popili ją kawą. Pięć minut później byliśmy już na dole, na staromiejskim bruku. W cieniu ratusza czekała na nas policyjna kia, a w niej dwóch mundurowych.

Wsiedliśmy do tyłu i ruszyliśmy – zdaje się – w kierunku dworca PKP. Trzy minuty później byliśmy na miejscu. Przysadzisty, długi gmach miał jedno piętro i poddasze z trzema płaskimi lukarnami. Rosnące przed komendą świerki nieco ocieplały wizerunek siedziby

stróżów prawa. Nasi przewodnicy wskazali nam drzwi do budynku, a potem poprowadzili przez drzwi dyżurki na korytarz. Na małym ekranie telewizora dyżurnych mignęła nam zadzierzysta sylwetka prezydenta USA ściskającego dłonie polityków „dobrej zmiany”. Donald Trump rozpoczynał właśnie oficjalną część wizyty w Warszawie.

Schodami doszliśmy do niedużego, jasnego pokoju na piętrze. Przez okno widać było parking przed komendą i auto, którym przyjechaliśmy.

– Dzień dobry – przywitał nas pulchny podoficer o wygolonej gładko głowie, przypominający nieco aspiranta Mietka z serialu *Ojciec Mateusz*. – Starszy aspirant Wojciech Kula. Proszę usiąść. – Wskazał nam miejsce za stołem.

Sam usiadł naprzeciwko, a jego koledzy opuścili ascetycznie urządzone gabinet, ozdobiony jedynie godłem państwowym.

– Wezwaliśmy tu panów, by uzupełnić wasze zeznania, złożone w dniu przedwczorajszym nad jeziorem Lgińsko. Proszę się nie martwić, to nie zajmie nam dużo czasu...

Otworzył szarą teczkę, w którą miał wpięty plik policyjnych sprawozdań oraz zdjęć. Choć starał się nam ich nie pokazać, dostrzegłem na jednym z nich martwy korpus Mąkiewicza.

– Panowie znaleźliście denata około godziny 17:45. Tak zeznaliście we wtorek przed aspirantem Polnym.

– Tak było – przytaknęliśmy, spoglądając z przejęciem na uruchomiony przez policjanta dyktafon.

– Stało się to w trakcie połowu ryb?

– Właśnie tak.

– Jak natrafiliście na ciało?

Zerknąłem na Marka. Był blady i coraz gorzej znosił powrót do tamtej upiornej chwili.

– Ja opowiem – zaproponowałem. – Ten nasz połów ryb był bardzo, że tak powiem, amatorski. To znaczy, szybko poplątaliśmy żyłki. I kiedy zaczęliśmy je zwijać, okazało się, że moja utknęła gdzieś w zaroślach. Nie mogłem sobie z nią poradzić, więc przejął ją Marek.

Udało mu się ją wyszarpnąć, ale wtedy z trzciny coś wypłynęło. Kiedy zobaczyliśmy, co to było, zrobiło się nam niedobrze...

– Rozumiem – uciął litościwie ten wątek starszy aspirant Kula. – We wtorek zeznaliście też, że nie próbowaliście podjąć akcji ratunkowej.

– Tak, bo to już nie miało sensu – powiedziałem. – Ciało leżało twarzą do dna. Kiedy obróciliśmy je za pomocą kija, było jasne, że on już nie żyje.

– Czy wtedy, gdy odkryliście zwłoki, w ich pobliżu znajdowało się cokolwiek jeszcze, co przykuło waszą uwagę?

– Przepraszam, ale nie rozumiem pytania – przyznałem.

Kula odchrząknął, jakby lekko zażenowany.

– Chodzi mi o to, czy przy denacie znaleźliście jakieś przedmioty?

– Nie – odezwał się Marek.

– Jesteście panowie pewni, że nic nie przeoczyliście? Na przykład kiedy przekładaliście ciało na wodzie... Nic nie wypadło z garderoby denata? Na przykład z jego spodni?

– Nie – uciąłem ten wątek. – Na pewno byśmy to zauważyli.

Kula spojrzał na nas niepokieszony. Chyba spodziewał się więcej po naszej relacji.

– Nie widzieliście żadnego portfela czy dokumentów? Może jakąś plastikową kartę?

– Nic takiego nie pamiętam – oświadczyłem zgodnie z prawdą.

Zapamiętałem za to straszne, przekrwione oczy Mąkiewicza. Nie zdradziłem się jednak przed policjantem z tym okropnym wspomnieniem.

– Ja też nie – poparł mnie Marek.

– No cóż... – Policjant postukał palcem w blat. – Jeszcze jedno pytanie. Chyba najważniejsze. Byliście tam, na pomoście, ponad godzinę.

– Tak.

– Czy w tym czasie widzieliście kogoś kręcącego się po lesie za waszymi plecami? Kogokolwiek? Może jakiś samochód? A może coś wzbudziło waszą ciekawość? Niepokój?

Zrozumieliśmy, że policja dramatycznie szuka jakichś punktów

zaczepienia. Znaczyło to ni mniej, ni więcej, że dotychczas nie ustaliła niczego pewnego.

- Niestety nie – odpowiedział za nas Marek.
- A dlaczego Niestety? – zainteresował się starszy aspirant Kula.
- Bo ten utopiony to był mój kolega z klasy, proszę pana.



Wyszliśmy z komendy w dziwnym nastroju. Z jednej strony docenialiśmy drobiazgowość policji i jej dbałość o ustalenie wszystkich aspektów sprawy, z drugiej jednak nie sposób było pozbyć się wrażenia, że funkcjonariusze prowadzą śledztwo trochę po omacku. Otyły aspirant zrobił na mnie dobre wrażenie, ale z jego pytań nie wywnioskowałem, by stan wiedzy policji na temat zabójstwa Mąkiewicza poszerzył się w ostatnim czasie w skali rewolucyjnej. Chyba że policja celowo pytała nas tylko o detale sprawy, nie odkrywając kart.

Na odchodnym starszy aspirant Kula przeprosił Marka za to, że jego wędki muszą jeszcze pozostać w komendzie „jako dowody w materiałach śledztwa”. Zapewnił jednak solennie, że „w stosownym czasie” sprzęt zostanie zwrócony prawowitemu właścicielowi. Choć były to pamiątki po ojcu, nie odniosłem wrażenia, by Markowi spieszyło się je odzyskać.

Wracając pieszo do centrum, minęliśmy niski budynek z neonem Portal Wschowski.

- Wejdziemy? – rzuciłem do Marka.

Skrzywił się i odmówił.

- Pewnie Robert i tak już wszystko opisał – uzasadnił.

I nie pomylił się. Nie zdążyliśmy jeszcze dojść do rynku, a pod zakładem fryzjerskim na Ratuszowej usłyszeliśmy ożywioną dyskusję. Siwy wschowianin w podkoszulku i krótkich spodniach opowiadał coś kobiecie w podobnym wieku, żywo przy tym gestykulując. Dyskusja wcale nie dotyczyła słynnej grzywki Trumpa ani najnowszej kreacji

jego żony Melanii.

– Szybko go capnęli, pani Wieczorek. Już wczoraj go mieli... – doleciały do moich uszu intrygujące słowa.

– Już wczoraj? A gdzie go złapali, tego gangstera? We Wschowie? Siwy sprzedawca newsów rozłożył ręce.

– Nie, pani szanowna, we Wrocławiu! Zatrzymali go ponoć na samym rynku, w jakimś lokalu czy knajpie.

– A czego on tam w tym Wrocławiu szukał?

– Gromadzki napisał, że był tam w interesach... Tak mi syn powiedział, co się na internecie zna. I właśnie przeczytał...

– A, jak w internecie jest, to musi być prawda! – potwierdziła kobieta. – Mój wnuczek niedawno znalazł tam przepis na maść na ból kolan. Rewelacja, mówię panu! Od tej pory każdemu mówię, że w internecie jest wszystko.

– No więc właśnie, pani szanowna. Właśnie w tym internecie napisali, że złapali Krzywego...

– I chwała Bogu, panie Czopiński! Jednego bandziora mniej...

Złapałem się za głowę. A Marek tylko uśmiechnął się smutno i nie zatrzymał się ani na moment.

– No i po sprawie – podsumował kilkanaście kroków dalej, gdy byliśmy już na rogu rynku. – Teraz policji pójdzie jak z płatka. Zobaczysz, że prędzej czy później Krzywy się przyzna.

– Do czego?

– Do porachunków z Krzychem. Ostatecznie Mąkiewicz sam się nie utopił...

Wszystko to wydawało mi się zbyt szybkie i zbyt proste. Intuicyjnie czułem, że to jeszcze nie koniec. W końcu jakie dowody przeciwko Krzywemu może mieć policja? Opowieść świadka ich niedawnej bójki w Lesznie? Niewiele jak na zarzut morderstwa. W całej tej historii zbyt wiele było domniemań, a za mało konkretów. Policja nie ukręci na gangstera bicza z piasku, nawet w czasach „dobrej zmiany”.

– Wiesz co, może jednak zobaczymy, co też napisał nasz kolega redaktor? – zaproponowałem.

Usiedliśmy w ogródku piwnym vis-à-vis kamienicy, w której

mieszkała mama Marka, zamówiliśmy po schłodzonym lechu i odpaliliśmy smartfony. Kobieta spod fryzjera w jednym miała rację: w internecie można znaleźć wszystko. Portal Wschowski natychmiast wypuścił news dnia na czerwonym pasku:

Tomasz K., pseudonim „Krzywy”, aresztowany we Wrocławiu w związku ze śmiercią Krzysztofa Mąkiewicza.

Artykuł ilustrowało zdjęcie potężnego mężczyzny o wygolonym karku, prowadzonego za skute kajdankami dłonie przez dwóch policjantów. Twarz gangstera ukryta była za celowo rozmytymi pikselami.

Robert Gromadzki informował poniżej, że „agenci Centralnego Biura Śledczego na polecenie Komendy Wojewódzkiej Policji w Zielonej Górze zatrzymali poprzedniego dnia wieczorem byłego mieszkańca Wschowy Tomasza K. w związku ze śledztwem prowadzonym w sprawie zabójstwa Krzysztofa Mąkiewicza”. Szef portalu opisał okoliczności zatrzymania Krzywego w jednym ze staromiejskich pubów. Nie stawiał oporu, funkcjonariuszom powiedział tylko trzy słowa: „To są kpiny!”.

Zatrzymanie Tomasza K. może sugerować, że mężczyźni zostaną niebawem postawione zarzuty udziału w morderstwie Krzysztofa Mąkiewicza lub tzw. sprawstwa kierowniczego. Jak nam powiedział pragnący zachować anonimowość policjant z komendy wojewódzkiej, sprawa jest rozwojowa i w każdej chwili należy się spodziewać postawienia zarzutów zatrzymanemu, który, jak wiadomo, przez lata trudnił się m.in. nielegalnym handlem kradzionym autami. Jak już informowaliśmy, Krzysztof Mąkiewicz i Tomasz K. byli niegdyś współnikami w interesach, ostatnio jednak ich relacje uległy dramatycznemu załamaniu. Czy ta ostatnia informacja to klucz do zagadki śmierci ratownika z plaży w Lginiu? – puentował pytaniem Gromadzki.

W relacji pojawił się nowy motyw – wynikało z niej, że Krzywy mógł kierować zabójstwem dawnego kompana, choć niekoniecznie w nim uczestniczył. Słabo znałem prawo karne, ale termin „sprawstwo kierownicze” nie pozostawiał żadnych wątpliwości: zdaniem policji gangster mógł się zemścić na Mąkiewiczzu na odległość, za pomocą swoich siepaczy.

Gdy to sobie uświadomiłem, poczułem gęsią skórę na ramionach. Jeśli to wszystko prawda, byliśmy o krok od losu, jaki stał się udziałem Mąkiewicza. Gdybyśmy przypadkiem natknęli się na ludzi Krzywego, zacierających ślady po akcji, prawdopodobnie nie byłoby nas już wśród żywych. I tym samym nie pilibyśmy sobie beztrąsko piwa w cieniu ratusza.

Marek też to chyba zrozumiał, bo spojrzał na mnie nieswojo. Nie wiem, jak jemu, ale mnie lech przestał jakoś smakować.

– Wdepnęliśmy w niezłe gówno. – Mój kumpel ocenił sprawę jak na matematyka przystało: precyzyjnie.

– Wiesz, co to może oznaczać? – myślałem na głos, choć wolałbym nie dzielić się tymi refleksjami. – Jeśli ta historia z Krzywym jest prawdziwa, gdzieś po okolicy mogą się nadal kręcić jego cyngle. Kręcić i mścić się...

– Ciiiicho... – Marek skulił się i nerwowo rozejrzał po sąsiednich stolikach, w większości pustych. – Odbiło ci? Może jeszcze wejdiesz na wieżę ratusza i oświadczysz, że to my znaleźliśmy ciało Krzycha?

Zrobiło mi się głupio. Choć na szczęście gości w ogródku można było policzyć na palcach jednej ręki. Siedzieli zresztą w sporej odległości, delektując się piwem.

– Musimy trzymać język za zębami – powiedziałem.

– Chyba ty, Bodziu.

– No dobrze, muszę się bardziej kontrolować. Dopóki nie wyjaśni się sprawa z Krzywym, lepiej nie kusić losu.

– Nareszcie mówisz z sensem – dogryzł mi raz jeszcze.

Zegar na wieży ratuszowej wskazywał kwadrans przed jedenastą. Mieliśmy przed sobą niemal cały dzień. Zerknąłem w stronę mojego forda, zaparkowanego na płycie rynku.

- Jedziemy się wykapać? – zagadnąłem z głupia frant.
- Też mi pomysł! – syknął Marek. – Na ryby także mnie nie namawiaj. Wolę nie sprawdzać, co złowimy tym razem...
- Prawda – mruknąłem. – To... Co można robić w środku pięknego dnia we Wschowie?

13.

Narada wojenna

Rowery były zdezelowane, ich łańcuchy skrzypiały wstydliwie, ale wytrzymały jakoś morderczy podjazd po starym, nierównym bruku w górę ulicy Daszyńskiego. Za to w nagrodę czekała nas niesamowita frajda: kiedy z wywieszonymi jęzorami dochrapaliśmy się wysokości stacji benzynowej, ulica zdążyła już przejść w łątany asfalt i zaczęła gwałtownie opadać, wprawiając nasze przedpotopowe wehikuły w niebezpieczną, za to euforyczną prędkość. Miasto zostało daleko za plecami, a w uszach świstał nam teraz wiatr, gdy z szybkością światła minęliśmy zabudowania należące do sióstr salezjanek i wysadzaną wiekowymi lipami drogą pomknęliśmy ku rondu, wyznaczającemu granice współczesnej Wschowy.

– Jabadabaduuuu! – wrzasnąłem jak opętany, z niejasnym jeszcze przeczuciem, że hamulec w pedałach sprawdza się umiarkowanie.

Tkwiał w tym jakiś atawizm, a może wspomnienie z przeszłości, z zamierzchłych czasów, gdy z amerykańskiej kreskówki o Fredzie Flinstonie i Barneyu Rubble’u zaśmiewała się cała Polska, zwana wtedy PRL-em.

Po chwili zacząłem się jednak obawiać, czy do zatrzymania mojego wehikułu nie będę musiał użyć metody Flinstona – czyli wcisnąć piętę w podłoże – w nadziei, że to wystarczy. Takie rzeczy zdarzają się jednak tylko w bajkach...

– Marek! Jak zatrzymać ten rower?! – spanikowałem, daremnie kręcąc pedałami w tył.

Rozmyty obraz ogródków działkowych po prawej ręce uświadomił mi

bowiem, że moja prędkość dawno już przekroczyła normy uważane za bezpieczne.

– Noga w szprychy! – krzyknął zuchwale Marek.

– To nie jest śmieszne! Mareeeek!

– Przyłóż podeszwę do opony! Słyszysz?!

– Co?!

– Podeszwę do oponyyyyy!

– Ra... Ratunku!

Głośny furgot, zarzucanie roweru i swąd palonej gumy – wszystko to świadczyło o tym, że udało mi się w ostatniej chwili wykorzystać wskazówkę kolegi. W ostatniej – bo inaczej jak nic wpadłbym rozpędzony na rondo, wprost pod kręcącego na nim karkołomnego młynka tira. Na szczęście hamulec zastępczy z podeszwy moich butów spisał się na medal. Zatrzymałem się z lekkim zarzutem w prawo tuż przed wjazdem na tarczę ronda. Inna sprawa, że spód mojego buta nie wyglądał olśniewająco.

– Specjalnie dałeś mi taki rupieć! – Wymierzyłem w kumpla palec w oskarżycielskim geście. Jego jednoślad zatrzymał się bez zbędnych sensacji.

– Akurat! Już nie pamiętasz? Sam go wybrałeś. Pewnie dlatego, że ma wygodniejsze siodełko.

– Mogłeś uprzedzić, że poza siodełkiem to zwykła kupa złomu.

– No, no! Więcej szacunku proszę! Skąd miałem wiedzieć, że obudzisz w sobie demona?

Ciężko dysząc, przeprowadziliśmy pojazdy pamiętające zapewne jeszcze pierwszą komunię Marka przez jezdnię i sprytnie ominęliśmy zatłoczone rondo, stanowiące element miejskiej obwodnicy. Chwilę później skręciliśmy w lewo, ku Osowej Sieni i ponownie wsiedliśmy na eksponaty muzealne. Droga wiodła teraz lekko pod górkę, więc hamulce grały w tym momencie drugorzędną rolę.

– Wiesz, że to ulica 55. Poznańskiego Pułku Piechoty? – zagadnął Marek.

– Poznańskiego? – zdziwiłem się. – Przecież przed wojną była tu Rzesza...

– Bo była. Ale 2 września 1939 roku, gdy niemieckie czołgi przerwały na Śląsku front i prwały na Warszawę, nasi żołnierze z tegoż właśnie pułku dokonali wypadu na teren Niemiec. Rozpoznawczego, ale sobie pohulali. Dotarli gdzieś w te okolice. Z działek ostrzelali Wschowę, wtedy zwaną Fraustadt, wywołując panikę wśród ludności cywilnej. Gdzieś słyszałem, że Niemcy zaczęli uciekać w kierunku Głogowa. Wyobrażasz to sobie?

Szczerze mówiąc, nie wyobrażałem. Ale coś mi zaczęło świtać. Przypomniałem sobie o tym mało znanym epizodzie kampanii wrześniowej. Nie odegrał żadnej roli w przebiegu działań wojennych, ale wspaniale wpisywał się w heroiczną narrację o bohaterskich żołnierzach, którzy starali się odpowiedzieć agresorom pięknym za nadobne. Podobnie jak polscy ułani, którzy wtargnęli na moment na teren Prus Wschodnich.

– Co dał naszym ten ostrzał? – zapytałem, ciężko dysząc.

– Podobno zginęło trzech cywili, byli także ranni. Pociski uszkodziły też Kripplein Christi i kościół parafialny. Niemieckie władze oczywiście urządziły potem pokazowy pogrzeb ofiar. Wszystko to zapewne wspaniale wpisywało się w hitlerowską propagandę o niegodziwych Polakach, którzy rzekomo wywołali tę wojnę swoim tępym uporem...

W oddali, na niedużym wzniesieniu zamajaczyła kępa drzew. Gdy podjechaliśmy bliżej, rozpoznałem wśród nich charakterystyczny obelisk ze zwierzęciem hodowlanym na szczycie. Buhaj Ilon, z którym zawarliśmy już znajomość w niedzielę, prezentował się iście majestatycznie. A szczególnie – jego potężne genitalia, na których niegdyś oparto wszak sukces pobliskiej hodowli zarodowej.

Podprowadziliśmy nasze wehikuły pod górkę i z radością opadliśmy na ławki, stojące wokół tego osobliwego pomnika cielca. Gdzieś z oddali dobiegał nas odgłos pracującego traktora, od czasu do czasu wąską szosą przemknęło pojedyncze auto. Leżąc na ławkach i wpatrując się w sunące po niebie zwiewne chmurki, łatwo można było zasnąć.

– A wiesz, że gdzieś na tych polach wokół nas leży prawie dziesięć

tysięcy żołnierzy? – usłyszałem głos Marka.

– Dziesięć tysięcy? Mareczku, chyba coś ci się pomieszało. W 1939 roku pułk liczył mniej żołnierzy, a przecież nie wszyscy polegli...

– Nie pomieszało. Wiem, co mówię, panie historyku. Nie słyszał pan o bitwie pod Wschową? Potrzebna panu „podpórka”? To rzucę hasło: wojna północna.

– No jasne, rok 1706. – Zaskoczyłem jak stary gramofon, który po szorstkim wstępie trafia w końcu igłą na właściwą ścieżkę. – Rzeczywiście, zwracam honor. Szwedzi sprali tu na kwaśne jabłko Sasów i, zdaje się, Rosjan. Ejże, ejże, a czy przypadkiem nie doszło tu do zbrodni wojennej? Czy po bitwie Szwedzi nie wykończyli kilkuset Rosjan?

Marek obrócił się na boku w moją stronę.

– Tak to byśmy dzisiaj nazwali – powiedział, mrużąc oczy od słońca.
– Ale wtedy? Ty przecież wiesz lepiej, że wówczas nie obowiązywała jeszcze konwencja genewska, a jeńców traktowano jak piąte koło u wozu.

– Fakt. W dodatku Szwedzi nie cenili Rosjan zbyt wysoko – dodałem. – Przynajmniej prostych żołnierzy. A poza tym zemścili się za zbrodnie na swoich, popełnione wcześniej w Inflantach przez Rosjan.

– No tak. Wojna zawsze wygląda tak samo.

W oddali widać było kontury miasta: nadzwyczaj strzelistą wieżę fary, a także niższą ratusza i przysadzistą klasztoru. Bardziej na prawo, za miastem, nad koronami drzew najbliższego lasu górowała pokryta dachówką dawna wieża ciśnień. Marek opowiadał, że choć została wyremontowana, stała zamknięta, by uniknąć dewastacji. Ukochali ją bowiem obsikiwać okoliczni menele.

Śledziłem błogim wzrokiem szarobiałe latawce chmur i nie mogłem się oprzeć myśli, że coraz bardziej podoba mi się w tej niepozornej miejscinie na wschodnich obrzeżach Lubuskiego. Kiedyś była ostatnim miastem na zachodnich krańcach Wielkopolski, przy uczęszczanym szlaku na Śląsk, potem wpadła we władanie Prus, czyli Niemiec. Jej barwna, polsko-niemiecka przeszłość, której ślady były

aż nadto widoczne niemal na każdej ulicy, odkrywała się w zupełnie niespodziewanych momentach z całym bogactwem inwentarza, a jakie bym jej nigdy nie posądział. Tu buhaj Ilon, perła w koronie czasów socjalizmu, tam opowieść o polskich żołnierzach, ostrzeliwujących w akcie symbolicznego odwetu przygraniczne niemieckie miasto. Trzysta lat wcześniej – wielka batalia na okolicznych polach, która położyła na łopatki mocarstwowe zapędy króla Augusta Mocnego, prywatnie wielkiego miłośnika Wschowy. A może jakiejś wschowianki? Znając legendy o kilkuset potomkach Wettyna z nieprawego łoża, jego upodobanie do tego miasta mogło mieć całkiem prozaiczne podstawy. W końcu, Jego Królewska Mość nocował tu nie raz i nie dwa...

– Dzięki, Mareczku – powiedziałem spontanicznie.

– Za co?

– Za te dni tutaj. To naprawdę fajne miejsce.

Mam nadzieję, że zabrzmiało to szczerze – bo mówiłem to całkowicie uczciwie, w zgodzie z sobą. I ze swoją głową, z której, jak Boga kocham! szaleńczy zjazd bicyklem wywiały ostatnie wspomnienia pewnej blondyny. Niech jej Dubrownik miły będzie!

– Tylko że giną tu ludzie. – Uśmiechnął się kwaśno Marek.

– O tak! Jak muchy! – dorzuciłem zgryźliwie.

– Ktoś ich morduje, choć nie wiadomo dlaczego...

– Ano właśnie – westchnąłem. – Chociaż może już wiadomo. Wszystko zależy od tego, co policja wydobędzie z Krzywego.

– Nie spodziewam się, że się przyzna, jeśli o tym myślisz – mruknął kumpel.

– Jak to?! – spojrzałem na Marka zdziwiony. – Przecież jeszcze dwie godziny temu byłeś pewny, że ten gangster wszystko wyśpiewa.

– Zmieniłem zdanie – odpowiedział. – Na jego miejscu też szedłbym w zaparte.

– O ile to rzeczywiście on lub jego ludzie zabili Mąkiewicza – zaznaczyłem.

– To akurat wydaje mi się wielce prawdopodobne.

Przyszedł czas, by opowiedzieć Markowi o mojej wyprawie do

Hubertusa. O wypytywaniu o Mąkiewicza, który czekał tam nie wiadomo na kogo przez pół godziny – tego samego dnia, w którym pożegnał się ze światem żywych. O rozmowie z prostytutką. I o nikłych rezultatach mojego dochodzenia. A przynajmniej o wrażeniu, że nic nie osiągnąłem.

Marek słuchał mnie z zaciekawieniem, bez żalu, że informuję go dopiero teraz. Gdy skończyłem, spojrział na mnie z lekką przyganą.

– A rozejrzałeś się chociaż, kto tam mieszkał? – zapytał rzeczowo.

– Gdzie? W Hubertusie? – W pierwszej chwili nie zrozumiałem.

– No tak. Mają tam pokoje.

– O holender, ale ze mnie pierdoła... – Złapałem się za głowę. – Racja! Przecież on mógł czekać na kogoś, kto tam mieszka! Że też sam na to nie wpadłem...

– Może chociaż kogoś tam widziałeś? Może stały tam jakieś samochody?

Matematyczno-analityczny umysł Marka działał precyzyjnie, bez zarzutu. Coś mi się nagle przypomniało.

– Stały tam dwie skody, zdaje się na lubuskich rejestracjach, z F na początku. I kia sportage.

– Skąd?

– Z napisów na obramowaniu rejestracji wynikało, że przyjechała gdzieś spod Drezna.

– Czyli Niemcy. Co robią w takiej dziurze?

Hm... Pytanie Marka wydało mi się całkiem zasadne. Hubertus – z całym szacunkiem dla jego standardu jako restauracji – nie wydał mi się hotelem, w którym wyobraziłbym sobie turystów z Niemiec. No chyba że lubią polską prowincję.

Albo polskie dziewczyny... – odpowiedziała mi intuicja.

Zaraz potem do głowy przyszła mi inna myśl. Przerazająca.

– Myślisz, że Mąkiewicz pojechał tam, nie spodziewając się, że czeka na swoich zabójców?

– A skąd wiesz, że jest ich dwóch? – Głos Marka był dużo bardziej opanowany niż mój. – Stary, na razie nie wiadomo nic pewnego. Owszem, możemy przyjąć, że Krzychu nie utopił się sam. To fakt. Ale

to jeszcze nie oznacza, że po okolicy krąży jakieś zabójcze komando. Może umówił się pod Hubertusem ze swoją kobietą? No wiesz, tą z Leszna? Może pochodził i powzdychał, a ona ostatecznie dała mu kosza i nie przyjechała. Więc odjechał. Sam rozumiesz, akurat ta historia mogła mieć całkiem banalny podtekst i finał.

Trudno było z nim polemizować. To, co mówił Marek, miało ręce i nogi. A przynajmniej jakiś fundament prawdopodobieństwa...

Ostry pisk hamulców wyrwał nas z rozważań. Podnieśliśmy się z ławek, by zobaczyć, jak na wprost podjazdu pod pomnikiem Ilona zatrzymał się nieduży, czerwony samochód. Przez okno fiata punto wychylał się w naszą stronę znajomy okularnik.

Gromadzki machał do nas ręką, jakby szukał nas od dawna. To, co krzyczał, zjeżyło nam włosy na karku:

– Chłopaki! Nie zgadniecie! Wy-pu-ści-li Krzywego!

14.

Ty tego nie zrozumiesz, man!

Siedzieliśmy jak otumanieni, nie wierząc w to, co usłyszeliśmy. Choć pozornie wieści nie brzmiały źle, razem z Markiem poczuliśmy się mniej bezpieczni.

– Policja musiała to zrobić, bo Krzywy ma mocne alibi – tłumaczył nam Gromadzki. – W czasie pierwszego, jak i drugiego zabójstwa był poza Wschową.

– To morderstwo Zamiejskiego też kojarzono z Krzywym? – zdziwiłem się nieprzyjemnie.

Ta historia śmierdziała coraz bardziej.

– Najwidoczniej policja brała go pod uwagę w obu przypadkach – odpowiedział król lokalnego rynku medialnego. – Ale musiała spasować, bo szybko okazało się, że zarówno w niedzielę, jak i we wtorek Krępy był w gościach u swoich przyjaciół we Wrocku. Tak się składa, że zeznali to dość zgrabnie i spójnie. A nawet poręczyli majątkowo za kompana, który dwóch godzin jest na wolności.

– Mam nadzieję, że nie jedzie teraz do Wschowy – jęknął Marek.

– Tego nie wiemy. – Uśmiech Gromadzkiego wydał mi się mało optymistyczny. – Wiemy natomiast coś innego. I to chyba nawet ważniejsze, panowie. Otóż... na miejscu zabójstwa Zamojskiego policji udało się znaleźć odciski palców...

– O cholera!

– ...i nie są to odciski Krzywego.

– A czyje? – Na razie nie wiadomo. Policja sprawdza bazy danych, porównuje i typuje sprawcę. Myślę, że to już bardziej kwestia godzin

niż dni.

– To chyba dobrze. – Po raz pierwszy odsapnąłem z ulgą.

– To się dopiero okaże, panie kolego – Po ustach Gromadzkiego błąkał się ironiczny uśmiech.

Jego maniera dystansowania się, podkreślania na każdym kroku własnego sceptycyzmu działała mi na nerwy. Powściągnąłem jednak emocje. Może dlatego, że spoglądał teraz na mnie jak na wariata.

– To jeszcze nie przesądza o niewinności Krzywego – zauważyłem ze spokojem. – Odciski palców mogli zostawić ludzie Krępego, wynajęci do likwidacji tak Zamiejskiego, jak i Mąkiewicza.

– Jeśli tylko byli oni kiedykolwiek notowani, policja znajdzie ich w bazie i zidentyfikuje – skomentował Robert. – Gorzej, jeśli to ktoś bez kartoteki. Wtedy sprawa się skomplikuje, a zabójców trudno będzie odnaleźć.

– Może nie będzie tak źle – pocieszył mnie Marek. – W końcu istnieje wysokie prawdopodobieństwo, że ślady znalezione u Zamiejskiego pokryją się z danymi z policyjnych archiwów. Tak się dzieje w większości takich przypadków.

– Może... – westchnął Gromadzki. – W każdym razie uważajcie na siebie. Po mieście już się rozniosło, że rano zeznawaliście na policji. Ludzie już wiedzą, że to wy natknęliście się na ciało Mąkiewicza. A to oznacza, że do Krzywego też to pewnie dotrze.

– I co z tego? – Wzruszyłem ramionami, choć wewnątrz aż drżałem z emocji. – Poza tym nie mamy ze sprawą nic wspólnego.

– Właśnie – poparł mnie Marek. – Przecież to był zwykły przypadek...

– To prawda. – Szef Portalu Wschowskiego podniósł się z ławki i ruszył wolnym krokiem ku fiationowi. – Ale ostrożność nie zawadzi. Widzimy się wieczorem na browarku?

– Może... – burknąłem.

Ani primator, ani żadne inne, nawet najwspanialsze, piwo nie były mi teraz w głowie. Zrozumiałem, że w pewnym sensie staliśmy się z Markiem zakładnikami sytuacji. Niby nie zrobiliśmy niczego złego, ale w mieście już huczało, że to my odkryliśmy najważniejszy dowód

zbrodniczej działalności. Tylko... czyjej?

Wracając na rozklekotanych rowerach do miasta, nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak blisko prawdy znaleźliśmy się przez jedną krótką chwilę, spędzoną w cieniu buhaja. Sęk w tym, że mignęła ona tylko na horyzoncie i zgasła jak świeczka pośród potężnej łuny fałszywych tropów.



Znajomość z redaktorem Gromadzkim była jednocześnie szczęściem i nieszczęściem. Szczęściem – bo dzięki niej mieliśmy z Markiem rzadki przywilej dowiadywania się o nowościach w śledztwie z pierwszej ręki, zanim jeszcze kolejnego newsa poznali mieszkańcy miasta. Nieszczęściem – bo każde nowe informacje wprowadzały nas w stan podenerwowania, żeby nie powiedzieć: paniki. No, może słowo „panika” trąciło pewną przesadą, nie ulegało jednak wątpliwości, że wiadomość o szybkim wypuszczeniu Krzywego z policyjnego aresztu zburzyła nasz – i tak już mocno nadwątlony – spokój ducha. Od spotkania z Robertem rozmawialiśmy w zasadzie tylko o jednym, zupełnie jakbyśmy byli nakręceni. Dopiero pani Beata zorientowała się, że coś z nami nie tak, i wytrąciła nas z tego osobliwego stanu podekscytowania, wysyłając Marka na targ po ziemniaki, a mnie do sklepu mięsnego po filety z kurczaka.

Wyprawa do mięsnego, w którym reklamowano „Śląską z PRL”, dobrze mi zrobiła. Musiałem skupić się na zakupach i oderwać od niepotrzebnych czarnych myśli. Co ma być, to będzie – uznałem, wracając z mięsem do domu Cichoniów. Chyba nie mogło nas już spotkać nic gorszego niż widok martwego Mąkiewicza, unoszącego się jak kłoda na wodzie...

Popołudnie upłynęło nam na czytaniu książek i drzemce. Z dalekiej Skandynawii zadzwoniła Marta, żona Marka. Z reakcji kumpla w trakcie rozmowy wywnioskowałem, że pobyt naukowy jego żony w Szwecji przebiega bez zakłóceń. Przynajmniej za Bałtykiem nie

wydarzyło się nic nieprzewidzianego czy groźnego.

Marek nie wspomniał Marcie o ostatnich wydarzeniach we Wschowie, najwidoczniej nie chciał jej martwić. Nasz wypoczynek przedstawił w tak świetlanych barwach, że nieświadomie przypomniał mi lektorów kronik filmowych z lat wczesnego PRL. Na miejscu Marty z miejsca zaniepokoiłbym się tak przesłodzoną relacją.

Pod wieczór zrobiło się chłodniej. Marek pomagał mamie w pracach porządkowych w wąskiej i słabo oświetlonej piwnicy. Przesławiali jakieś słoiki i butelki w starym regale. Zaproponowałem pomoc, ale pani Beata spojrzała na mnie z niesmakiem:

- Bogdanie, przecież nie przyjechałeś tutaj do pracy!
- Kiedy mogę zrobić coś pożytecznego – zaprotestowałem.
- Sam widzisz, że tu ciasno, ledwie się we dwójkę mieścimy.

Dziękuję za chęci, ale tylko byś się pobrudził!

Nie chcąc siedzieć sam w mieszkaniu, wpadłem na świetny pomysł. Od ubiegłego roku biegałem w miarę regularnie po okolicy, w której mieszkam. Cel był jeden, raczej mało chlubny: pozbyć się choć kilku centymetrów w pasie. Nie chciałem przerwać tej skromnej tradycji, dlatego zabrałem do Wschowy spodenki, koszulkę i buty biegacza. Właśnie nadarzała się okazja, by zrobić z nich użytek.

- Leć! – Marek nie miał pretensji, że wybieram się sam. – Ja nie lubię biegać. Męczy mnie to. A ciebie nie?

- Jakoś coraz mniej – odpowiedziałem, wskoczyłem w sportowy strój i szczęśliwy wyszedłem na rynek, pogrążony już w głębokim, wieczornym cieniu.

Miło będzie po wysiłku wypić piwko w knajpie na Daszyńskiego – włączył się od razu mój wewnętrzny system motywacyjny. Wiadomo – uśmiechnąłem się sam do siebie – piwo pomaga na zakwasy, to udowodnione naukowo.

Przez chwilę zastanawiałem się nad wyborem trasy, a potem skierowałem się dokładnie w tę samą stronę, w którą poszedłem podczas poprzedniego spaceru.

Widok czterdziestopięcioletniego faceta w krótkich gaciach i sportowej koszulce, opinającej jego wydatny brzuch, wzbudził

sensację wśród kilkunastu bywalców pobliskiego ogródka piwnego. Usłyszałem za sobą kilka gwizdów, ale nie wyczułem w nich dezaprobaty, raczej uznanie. Pewnie pomyśleli sobie, że przyjezdny z Poznania wyszedł trochę poszpanować. No i mieli teraz widowisko.

Nie przejmując się publiką, potruchtałem spokojnie w stronę trzech przyklejonych do siebie niemal identycznych kamieniczek, w których mieściło się muzeum. Przez wyłom w dawnym murze miejskim wybiegłem poza obrys starego miasta i nieco przyspieszyłem. Biegłem teraz alejką prowadzącą przez tutejsze planty. Po lewej stronie miałem wzgórze zamkowe, po prawej – teren PKS-u. Byłem tu już poprzedniego dnia, wiedziałem więc, że alejka okrąża resztki murów miejskich i prowadzi pod basztę, pamiątkę po dawnej Bramie Polskiej.

Kilka minut później przebiegłem przez pustą ulicę i wbiegłem na przedłużenie alejki, prowadzące teraz wzdłuż masywnego korpusu Kripplein Christi ku widocznej z daleka, strzelistej wieży fary. Jej wysokość naprawdę robiła wrażenie. Tak się na nią zapatrzyłem, że omal nie zahaczyłem o wyciągnięte nogi dwóch meneli, siedzących na ławce i pociągających z gwinta bliżej nieokreślone wino marki wino.

– Soooory! – W ostatniej chwili przeskoczyłem nad ich chudymi kończynami.

Mój desperacki wyczyn nie zmącił ich błogostanu. Przyspieszyłem bieg, by uporządkować nieco chaotyczny oddech. Dwutygodniową przerwę w treningu odczułem boleśnie w klatce piersiowej, a może nieco niżej. Chyba łapała mnie kolka.

Biegłem wybrzuszoną groblą między starym drzewostanem. W chłodnym powietrzu poczułem słodki zapach kwitnących lip. Po mojej lewej ręce ciągnął się kamienny mur miejski, po prawej – położony w miejscu dawnej fosy trawnik z kolorowymi klombami. Na horyzoncie dostrzegłem Lwi Mostek z charakterystycznym królem zwierząt, podtrzymującym kartusz z herbem miasta. Okalające go dwa kamienne puchary przydawały lwu dostojności...

Właśnie wbiegłem na chodnik z zamiarem skrętu ku farze, gdy przy krawężniku z przeraźliwym piskiem opon zatrzymało się wielkie

czarne bmw. W uchylonym oknie zauważyłem masywną postać z rzucającym się od razu w oczy krzywym nosem.

– To ty znalazłeś Mąkę? – rzucił do mnie gruby dżentelmen z goldem na otłuszczonej szyi.

Na kierownicy zaciskał nerwowo wielkie dłonie. Wpatrywał się we mnie badawczym wzrokiem.

– Kogo? – Byłem tak zaskoczony, że w pierwszej chwili nie zrozumiałem, o kim mowa.

– Mąkę! Znaczą się, Krzycha, ratownika – sprecyzował osobnik zza kierownicy.

– No... tak... – jęknąłem niepewnie.

Nogi się pode mną ugięły, bo zrozumiałem, z kim mam do czynienia. Krzywizna orlego nosa gangstera czyniła jego pseudo zupełnie zrozumiałym.

Z bmw wyskoczyło dwóch ogolonych na łyso osiłków, uniemożliwiając mi ucieczkę. Kieszenie ich spodni były dziwnie wypchane, przywodząc na myśl podejrzenie, że skrywają broń.

– Wsiadaj, frajerze – usłyszałem stanowcze polecenie z auta. – Tylko nie rób numerów! Nie chcemy żadnej zadymy.



Bez wątplenia wieźli mnie poza miasto, choć nie w kierunku Lginia. O ile dobrze się orientowałem, jechaliśmy na zachód. Po obu stronach drogi ciągnęła się długa wioska, raz na skrzyżowaniu mignął mi przed oczami stary, bodaj średniowieczny kościółek z kamienia i cegły. Goryle Krzywego siedzieli po moich bokach, nie odzywając się ani słowem. Żadnej szansy na ucieczkę!

Choć na zewnątrz zapadał z wolna mrok, zdziwiłem się, że nie zasłonili mi oczu. Pocieszałem się w myślach, że gdyby chcieli zlikwidować wszystkich powiązanych z morderstwem Mąkiewicza, zgarnęliby nas obu – Marka i mnie – za jednym zamachem. W przeciwnym razie moje zniknięcie mogłoby niepotrzebnie

zaalarmować Marka...

Różne refleksje przelatywały przez moją głowę. Niektóre wstyd przytaczać. Dość powiedzieć, że najadłem się strachu, jak chyba nigdy. A jeśli zamierzali mnie jednak sprzątnąć? A potem zakopać w jakimś leśnym zakątku? Czy ktokolwiek odkryje kiedyś miejsce mojego pochówku?

– Te, frajer, coś taki blady? – Krzywy spojrział chwilę dłużej w lusterko, jakby czytał mi w myślach. – Nie pękaj, *man!* Nie mamy złych zamiarów.

To zapewnienie wcale nie pomogło mi opanować drżenia rąk. Byłem spocony od biegu, ale chyba jeszcze bardziej z niepewności o swój los. Sielskie wakacje w uroczym miasteczku dawno już przekroczyły granice beztroskiego wypoczynku, nie spodziewałem się jednak, że osiągną tak niebezpieczne ekstremum.

Ostatnie zabudowania przy szosie zostały daleko za nami, przed maską bmw pojawiła się ciemna linia lasu. Obok nas mignął zielony drogowskaz z napisem „Lgiń 6”. Skręciliśmy za jego wskazaniem na nierówny, wąski asfalt, prowadzący prosto w stronę lasu.

Odwróciłem się, bo minęliśmy tablicę z nazwą miejscowości. Zdażyłem tylko zauważyć, że zaczynała się na „Ł”. Zaraz potem dwaj sąsiedzi przywołali mnie do porządku.

– Nie gap się, gnoju – poradził mi życzliwie ten z prawej.

Potem były dwa zakręty, które Krzywy wziął na dużej szybkości, ścinając kąt natarcia. Rzuciło nas z tyłu na boki, co dało mi wyobrażenie o muskulaturze ludzi gangstera.

Chwilę później wszystko wokół pociemniało. Znaleźliśmy się w lesie, do którego nie przenikało już światło zachodzącego słońca. Zerknąłem ukradkiem na zegarek. Była 20:30.

Samochód skręcił w wyboistą leśną ścieżkę. Wytrzępane resory starego bmw słabo amortyzowały nierówności terenu, więc do małej polany dojechaliśmy poturbowani. Krzywy zatoczył samochodem koło i zatrzymał się na wprost drewnianego domku, charakterystycznego dla dawnych ośrodków wypoczynkowych z czasów komuny. Biała farba łuszczyła się na nim jak stara skóra na wężu. Domek miał coś

w rodzaju werandy, zadaszonej szarą płytą z azbestu. Po trzynastu latach w Unii rakotwórczy materiał mógł się uchować tylko na takim zadupiu.

– Wyskakuj! – poleciał mi Krzywy.

Ton jego głosu nie zdradzał jednak agresji. Czerpałem z tego nadzieję.

Poprowadzili mnie na jeden z kilku plastikowych foteli stojących na tarasie. Kazali usiąść, a sami zapalili zwisającą nade mną na kablu lampę i usadowili się naprzeciw. Wyglądali jak jakaś komisja śledcza. Tyle że ich grubo ciosane twarze zdecydowanie nie pasowałyby do sejmowych kuluarów na Wiejskiej.

– To gadaj! – rozkazał Krzywy.

Teraz byłem już w stu procentach pewny, że to on. Jego obfita sylwetka, skryta pod luźną lnianą koszulą, do złudzenia przypominała postać, którą zobaczyłem na zdjęciu zamieszczonym na Portalu Wschowskim.

– Ale o czym? – zapytałem.

Byłem roztrzęsiony, w dodatku od razu rzuciły się na mnie bezlitosne komary. Moja spocona twarz stała się dla nich wymarzonym lądowiskiem, a może raczej tankowcem. Musiałem wyglądać żałośnie, klepiąc się nieustannie dłońmi po policzkach.

– Jak to o czym, *maaen*? – Krzywy zaciągał ostatnie słowo z angielska, jakby chciał koniecznie udowodnić, że jest ze światem za pan brat. – Napierdzielaj, jak znaleźliście Mąkę. No wiesz: wtedy w jeziorze... Policja jakoś nie chciała mi tego opowiedzieć, he, he, he!

Towarzystwo zgodnie zarechotało z dowcipu szefa, a mnie serce zabiło mocniej. Może nie będzie najgorzej? Może oni rzeczywiście chcą się tylko dowiedzieć, co przytrafiło się Mąkiewiczowi?

Ale zaraz... Przecież to właśnie oni mieli skasować tego nieszczęsnego ratownika!

Zupełnie zgłupiałem. Skoro Krzywy zlecił zabójstwo Krzycha, bo się o coś pożarli, to dlaczego pyta mnie teraz o to, jak wyglądało ciało ofiary? Chyba nie sprawdza w ten sposób skuteczności działań

swoich podwładnych? O co, do cholery, w tym wszystkim chodzi?

– No, czego milczysz, *man*?! – W głosie gangstera można było wyczuć pierwsze oznaki zniecierpliwienia. – Języka w gębie zapomniałeś czy co?

– Ale... – zawahałem się, bo pokusa zagrania w otwarte karty w pierwszej chwili mnie przerażyła. – Ale dlaczego o to pytasz? Słyszałem, że to ty... Znaczy się, zleciłeś...

– Gdzie słyszałeś? – obruszył się Tomasz Krępy.

– To znaczy, czytałem... – poprawiłem się szybko. – Czytałem w necie, że ty i Mąka mieliście kosę.

Celowo użyłem slangu, by skrócić dystans i jakoś uwiarygodnić się w oczach Krzywego. Ten spojrział jednak na mnie mało przychylnie.

– Prasa kłamie – oświadczył tonem tak pewnym, jakby właśnie stwierdził, że Ziemia jest okrągła. – Pismaki wymyślają różne gówna! A potem ludzie te gówna jedzą, rozumiesz mnie, *maan*? I nimi rzygają dookoła! To bzdury, *man*, rozumiesz? I ta cała akcja psów we Wrocku też! Osaczyli mnie jak jakiegoś przestępcę! Tylko dlatego, że jakiś debil coś gdzieś napisał!

Chrząknąłem, by odwrócić uwagę Krzywego od autora tekstu, którego przypadkiem znałem. Nie chciałem uczestniczyć w jego ewentualnej identyfikacji.

– Ale podobno pokłóciliście się z Mąkiewiczem? – odważyłem się zapytać. – Ludzie widzieli waszą bójkę na rynku w Lesznie.

Sytuacja przybierała kuriozalny obrót. Facet, którego przywieźli do lasu jak na egzekucję, nagle zaczął zadawać pytania lokalnemu bossowi.

– No i co z tego? – Krzywy wydał pogardliwie wargi. – Mieliśmy małą różnicę zdań w pewnej sprawie. Ale nic więcej. Nieważne!

– Dla policji najważniejsze. – Chyba straciłem rozum, że skomentowałem jego wypowiedź.

Otyły szef lokalnej mafii posłał mi spojrzenie, po którym powinienem paść na ziemię jak rażony gromem. Ale nie padłem.

– Ty tego nie zrozumiesz, *man*! – orzekł, przyglądając mi się z niejaką pogardą. – Krzychu był moim starym przyjacielem.

Rozumiesz, co to znaczy: „stary przyjaciel”? Męska przyjaźń, *man*. Mówi ci to coś? Z Krzychem robiłem pierwsze interesy. Złote lata, nie ma co! Stare dzieje, jak cholera...

Bawił się goldem na szyi i chyba się nawet wzruszył, wspominając początki swojej przestępczej kariery. Odniosłem wrażenie, że przez moment zaszklify mu się oczy. A może było to tylko złudzenie?

– Sam rozumiesz, że nie mogę tak tego zostawić – podsumował Krępy.

– Czego?

– Nie mogę pozwolić, by ktoś bezkarnie likwidował jednego z moich najlepszych przyjaciół – wyjaśnił Krzywyy. – To sprawa honorowa. Rozumiesz mnie, *man*?

Rozumiałem, a jakże! Najlepiej pojąłem jednak to, że być może wyjdę z tego porwania cały i względnie zdrowy. Dla takiej nagrody warto było trochę się wysilić. Choćby miała to być opowieść dla człowieka o najgorszej reputacji w całym województwie.

– No dalej, grubasie! – popędził mnie Krępy mało elegancko; akurat w jego ustach zabrzmiało to dość przewrotnie. – Opowiadaj, jak znaleźliście Krzycha w wodzie.

Co miałem robić? Zdałem Krzywemu i jego obstawie w miarę szczegółową relację z naszej wyprawy na ryby. Gangster słuchał, nie przerywając mojej opowieści żadnym gestem. Mimo kiepskiego światła widziałem, że jego twarz kilkakrotnie stężała. Był wyraźnie zaskoczony niektórymi szczegółami historii. Na przykład sugestią, że jeśli było to zabójstwo, morderców musiało być co najmniej dwóch – jeden raczej nie dałby przecież rady zaciągnąć takiego tura jak Mąkiewicz w trzciny i utopić.

– Widzę, że masz to nieźle przemyślane – pochwalił mnie niespodziewanie na koniec, co niewątpliwie podniosło mój *rating* w oczach jego kompanów.

Chyba wszyscy zrozumieliśmy, że jako świadek ważnej historii zasługuję jeszcze na kilka dni życia. Może nawet na tydzień...

– Powiedz mi, koleś, kto to mógł zrobić – zaproponował znacznie przyjemniejszym tonem Krzywyy.

– Nie mam pojęcia, panie Krzywy – palnąłem z przejęcia, na szczęście bez konsekwencji. – Nie jestem z policji, nie znam też dobrze tutejszego środowiska. Znalazłem się we Wschowie całkowicie przypadkowo, jeśli mogę tak powiedzieć...

– Nie pierdol – uciął moje nieporadne tłumaczenia Krępy. – W poniedziałek na plaży w Lginiu gadałeś z Mąką. Ludzie cię widzieli, nie zaprzeczysz!

Zrozumiałem, że Krzywy nie marnował czasu i co nieco już ustalił.

– Poznałem go dzięki mojemu koledze, który znał się z Krzychem ze szkoły... – odpowiedziałem.

– I co? Co mówił? Wspominał o kimś? Denerwował się? A może bał się kogoś?

– Mąkiewicz? – Zachciało mi się śmiać, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili. – Sorry, rozmawialiśmy może kilka minut, ale nie wyglądał na kogoś, kto się czegoś boi. Albo kogoś. Był pewny siebie. Bardzo pewny. Taki... nieprzyjemny.

– Jaki? – Krzywy wyglądał na zaskoczonego.

– No, źle się odnosił do mojego kumpla – pospieszyłem z wyjaśnieniami.

– E, to mnie nie obchodzi. – Krępy wyswobodził rękę bawiącą się dotąd goldem, żeby machnąć nią teatralnie. – Lepiej mi powiedz, czy nie zachowywał się jakoś dziwnie.

– Przepraszam, co to znaczy „dziwnie”?

– Nie wiem. Ty mi powiedz, *man!* O czym gadaliście?

Wytężyłem pamięć. Mąkiewicz czepiał się Marka, tyle zapamiętałem. Ale... Zaraz, zaraz... Przecież on zagadywał nas o zabójstwo kustosza!

– Właściwie, to w jego zachowaniu było coś dziwnego – przyznałem, sam zaskoczony swoim odkryciem. – Mąkiewicz wydawał się bardzo podekscytowany zabójstwem Zamiejskiego...

– Kogo?

– Zamiejskiego, byłego kustosza muzeum. Znaleziono go martwego w niedzielę wieczorem w jego mieszkaniu.

– A tak, tego starego pijaczka... – przypomniał sobie gangster. – A co Krzychu miał z nim wspólnego?

– Nie wiem, chyba nic. Ale pamiętam, że strasznie to przeżywał. Powtarzał, że ofiara dostała nożem pod żebro, że to musiał być jakiś „rzeźnik”. Nawet mnie zagadnął, co o tym sądzę... Chyba zapytał, kto to mógł zrobić.

– I co mu powiedziałaś? – W oczach Krzywego błysnęło zainteresowanie.

– Rzuciłem coś na odczepnego.

– Ale co?

– Że to na pewno ktoś poza podejrzeniem.

– Skąd wiesz?

– Nie wiem. Ale tak zwykle bywa w filmach kryminalnych.

Otyły boss wybuchnął nagle śmiechem, od którego zjeżyły mi się włosy na karku.

– A to dobre! – zaskrzeczał chrapliwie. – Taki kit wciskałeś Mące? I co, kupił to? No tak, intelektem to on nigdy nie grzeszył!

Opustoszały, ciemny las wokół nas nie nastrajał mnie do śmiechu. Wyczuwałem jednak, że jakimś cudem zyskałem u Krzywego mały kredyt zaufania. Miałem tylko nadzieję, że nie będę musiał szybko spłacać rat.

– No dobra, *men!* – Gangster wytarł wierzchem dłoni łzy z oczu i spojrzał na mnie odrobinę życzliwiej niż dotychczas. – Posłuchaj! Od tej pory mamy sztamę. Układ, znaczy się. Rozumiemy się? Masz mnie informować o wszystkim, czego się dowiesz w sprawie Krzycha. Ale nie przylatuj z byle gównem. Liczą się tylko ważne informacje. Cel mamy jeden, wspólny: dopaść gnoja albo gnojów, którzy posłali Mące na tamten świat. Musisz mi w tym pomóc, *men!* Masz wiedzę, potrafisz ludziom wciskać kit – dasz sobie radę! Rozumiemy się?

Jeśli była to akcja werbunkowa, to – mimo subtelnych argumentów, a nawet czegoś na kształt pochlebstw – chybiła celu. Nie zamierzałem zostać kolejnym zbirem Krzywego. Przyjechałem tu tylko na wakacje i nadal zamierzałem się tego trzymać.

Nie mogłem jednak powiedzieć tego wprost. Wybrałem owijanie w bawełnę.

– Kiedy pojutrze wyjeżdżam... – zełgałem dość sprawnie. – To za

mało czasu, by cokolwiek ustalić...

– Nie pierdol, *men.* – Boss najwyraźniej nie znosił sprzeciwu. – Pochodź trochę, rozejrzyj się, popytaj. Na pewno znajdziesz coś ciekawego. To mała dziura, wszyscy się tu znają. Jak jeden pierdnie na Wolsztyńskiej, to za chwilę obgadują go na Kazimierza Wielkiego.

– He, he, he! – zarechotały orły Krzywego.

– Ale... – chciałem zaoponować, tyle że nie zdążyłem.

– Nie ma żadnego „ale”. Tylko pamiętaj: żeby ci nie przyszło do łba gadać o naszej umowie z policją. Bo jak przyjdzie... – Szef bandy zawiesił wymownie głos.

Nerwowo poruszyłem głowę na boki, co Krzywy zinterpretował jako potwierdzenie, że rozumiem.

– No to obgadaliśmy temat! – podsumował i poderwał się z fotela, ścierając z szyi czerwony ślad po komarze. – No, a teraz do wozu, panowie, bo te ścierwa wyssą z nas całą krew! Pierdolone wampiry!

15.

Odciski

Wysadzili mnie na niewielkim placu u zbiegu – nomen omen – Rzeźnickiej i Łaziebnej. Zostałem sam w chmurze spalin pod zabytkową, ośmioboczną fontanną, stojącą tuż za jednym z narożników rynku. Zdobila ją rzeźba kobiety w zbroi, wykonana chyba z piaskowca. Niewiasta dzierżyła w dłoni chorągiew z herbem Wschowy, a na głowie miała koronę. Spoglądała na mnie z cokołu cokolwiek sceptycznie, zadzierając lekko brodę. Jakby chciała mi powiedzieć: „Z ładnym towarzystwem się zadajesz, pogratulować!”.

Spod jej stóp tryskała wąskimi strumieniami woda. Pochyliłem się nad nieką basenu i pozwoliłem cieczy zwilżyć moje rozgrzane czoło. Chyba miałem gorączkę, a moja twarz wyglądała jak po ataku całej eskadry komarów. Zimna woda przyniosła prawdziwą ulgę.

Podniosłem się znad fontanny, by dostrzec niezwykłą urodę tego słabo oświetlonego zakątka. Za moimi plecami jaśniał iluminowany nocą ratusz, przede mną otwierała się wąska uliczka prowadząca na tyły fary. W tle majaczył fragment muru obronnego. Po prawej miałem okazałą kamienicę wspartą na ceglanych łukach, ze schodkami prowadzącymi do jej wnętrza. Całość komponowała się w sympatyczny plac, nad którym w mroku wznosiła się posępna wieżyca kościoła farnego.

Muszę tu przyjść za dnia – postanowiłem jakby na przekór temu, że jeszcze pół godziny wcześniej drżałem o życie. A potem ruszyłem w stronę domu Cichoniów. Zanim jednak dotarłem do północnej strony rynku, na bruku rozpoznałem dobrze mi znaną sylwetkę

mężczyzny w moim wieku.

– Bogdan! – Marek dramatycznie rozłożył ręce w geście wielkiej pretensji. – Szukam cię od godziny! Gdzie ty byłeś, do jasnej cholery?!

Takie słowa w ustach Marka Cichonia mogły oznaczać tylko jedno: był naprawdę zdenerwowany.

– To długa historia – odpowiedziałem, z wolna opanowując drżenie rąk. – Wiesz co? Najlepiej opowiem ci wszystko przy piwie.



Marek nie uwierzył w to, co usłyszał ode mnie w pubie na Daszyńskiego. Wcale mu się nie dziwiłem, bo mi samemu to, co wydarzyło się w ciągu ostatniej godziny, wydawało się nierzeczywiste. Kumpel przyglądał mi się jak piwoszowi, któremu za mocno zaszumiało chmielem we łbie i który plecie trzy po trzy, żeby tylko oszołomić słuchacza. Sęk w tym, że ani trochę nie konfabulowałem.

– Wpadliśmy po uszy – podsumował Marek, gdy zakończyłem chaotyczną relację z porwania mnie przez ekipę Krzywego. – Niby wpadłeś ty, ale wiadomo, że chodzi o nas. Przecież ten gangster o mnie wie.

To prawda. Tak samo jak to, że Tomasz Krępy oczekiwał ode mnie współpracy przy wyrównaniu swoich rachunków z ciągle nieznanym zabójcą jego przyjaciela. Lub zabójcami. Tak czy owak, zostaliśmy wciągnięci w niezłe szambo. Krzywy nam teraz nie odpuści, aż dostarczymy mu informacji wartościowych.

– A może pogadać z policją? – Marek z ust mi wyjął myśl, która nasuwała się nieodparcie od chwili pożegnania z szajką Krępego.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odpowiedziałem szeptem, bo odnosiłem wrażenie, że towarzystwo z sąsiedniego stolika od pewnego czasu przysłuchiwało się naszej rozmowie. – Krzywy zagroził, że jeśli pójdę z tym na policję, to zrobi nam coś złego...

– Co? – Oczy Marka rozszerzyły się jak pod działaniem jakiegoś narkotyku.

– Sorry, tego nie powiedział – zirykowałem się trochę tym pytaniem.
– Dał jednak do zrozumienia, że nam tego nie daruje.

– No to ładnie! – syknął kolega matematyk. – Znaleźliśmy się właśnie między młotem a kowadłem, w dodatku bez możliwości ucieczki. Mamy przerąbane, Bodziu. Przerąbane! I pomyśleć, że obiecywałem ci sielankę w sennej pipidówie...

– Daj spokój! – przerwałem mu, choć jego diagnoza, krótka i treściwa, wydała mi się wyjątkowo trafna. – Nigdy nie jest tak źle, żeby nie mogło być gorzej.

Rozejrzałem się wokół, czy ktoś nas nie podsłuchuje, a potem pochyliłem się nad piwem i kontynuowałem półszepem:

– Przede wszystkim: ani słowa twojej mamie. Po co ma się martwić? Jeszcze nie daj Boże pójdzie z tym do aspiranta Kuli albo innego policjanta – i będzie pasztet. Zasada naczelna: nie mieszamy w nasze problemy innych. Dotyczy to również tego mądrali Gromadzkiego. To raz. A dwa: staramy się robić swoje. Oczywiście w granicach naszych możliwości...

– Ej, jest jeszcze jedno wyjście z tej sytuacji – ożywił się nagle Marek. – Możemy po prostu wyjechać do Poznania i pozbyć się problemu.

– Naprawdę tego chcesz? – zapytałem, a on natychmiast zrozumiał, jaką gafę palnął.

Gdybyśmy nagle zniknęli, do czyich drzwi zapukaliby w pierwszej kolejności ludzie Krzywego?

– A poza tym, z całym szacunkiem, Poznań to nie Nowy Jork. Krzywy i jego ludzie znaleźliby nas w dwa dni. I na pewno nie mieliby wtedy nastroju na wysłuchiwanie wyjaśnień – podsumowałem.

– To co robimy? – Mój przyjaciel wyglądał na autentycznie przejętego sytuacją.

– Już mówiłem: musimy zabawić się w śledczych...

– Ładna mi zabawa! – mruknął kumpel. – Sam wiesz, jakie to może być niebezpieczne.

– Chyba nie bardziej niż podpaść Krzywemu – uznałem zdroworozsądkowo. – Zresztą co nam szkodzi troszkę się rozejrzeć?

Może akurat wpadniemy na jakąś informację, która spowoduje, że Krępy da nam spokój?

– Chcesz im kogoś wystawić? – przeraził się Marek. – Stary, lepiej w to nie idźmy. Jeśli gang Krzywego zacznie jakąś krwawą jatkę w okolicy, będziemy współwinni!

– Ciszej! – Szturchnąłem Marka w ramię tak mocno, że ten wylał nieco piwa. Poczułem się bowiem urażony. – Nikt nie mówi o takich rzeczach! Chodzi mi o stwarzanie pozorów, nic więcej. Czy poważnie sądzisz, że chcę pracować dla tego zakapiora ze złotym łańcuchem na szyi? Naprawdę tak słabo mnie znasz? Nie, nie zamierzam pomagać w rozpętaniu lokalnej wojenki. Chcę natomiast cały i zdrowy wrócić z tych spokojnych wakacji do Poznania. I tobie życzę tego samego. Jednak żeby to osiągnąć, musimy symulować współpracę z Krzywym. Symulować, rozumiesz? Podrzucać mu cokolwiek, żeby w końcu się od nas odczepił.

– Obawiam się, że już nie da nam spokoju – powiedział grobowym głosem mój kolega.

– Ech, stary! Głowa do góry! Nie z takich opresji wychodziło się cało – próbowałem natchnąć go nadzieją.

Wypadło to słabo i nieprzekonująco. Marek wpadł w wisielczy humor.

– „Wnet i tak zginiemy w zupie” – zacytował znienacka znany z dzieciństwa wiersz Brzechwy.

W mroku letniego, pozornie beztroskiego wieczoru fragment dziecięcej poezji zabrzmiał absurdalnie. Siorbnałem głośno piwem i odpowiedziałem:

– A to feler, westchnął seler...

Marek uśmiechnął się kwaśno. Byliśmy w kłopotcie, bez dwóch zdań. W naprawdę dużym kłopotcie. I nie wiedzieliśmy, jak się z niego wykaraskać. Tego wieczoru nie było nam jednak dane wymyślić nic naprawdę sensownego. Za plecami Marka pojawił się bowiem redaktor Gromadzki. Zważywszy na newsa, jakiego sprzedał nam rano pod Ilonem, mogłem obstawiać w ciemno, że znowu będzie heroldem złych wieści.

Nie pomyliłem się. Gromadzki sprawiał wrażenie podekscytowanego. Obdarzony dotychczas angielską flegmą, teraz aż się palił, żeby nam o czymś powiedzieć.

– I co wy na to? – wypalił bez powitania.

– Na co? – Marek obrócił się zaskoczony w jego stronę.

– Jak to? Nie czytaliście? – Robert zdawał się urażony. – Trąbi już o tym cała Wschowa!

Spojrzałem teatralnie na boki.

– Jakoś nie słyszałem – skomentowałem nie bez złośliwości.

– Nie? – Pismak nie dał się łatwo zbić z tropu. – To żałujcie, że nic nie wiecie.

– A niby czemu? – Wzruszyłem ramionami.

Fochy Gromadzkiego zaczynały mnie bawić.

– Bo policja zidentyfikowała odciski palców na nożu, którym zamordowano Zamiejskiego – odpowiedział chłodnym tonem.

Poczułem mocniejsze uderzenie serca.

– I co? Kto zabił kustosza?

Dziennikarz oparł się rękoma o fotel Marka, spojrzał na mnie z wyższością i wycedził:

– To odciski palców Mąkiewicza.

Część II



PODEJRZENIE

16.

Drugie dno

Po raz kolejny w ciągu ostatnich dni poczułem na plecach dreszcze.

W jednej chwili zrozumiałem, że oba zabójstwa w tym małym mieście miały ze sobą związek. I że łączył je zapewne nie tylko Mąkiewicz. Dlaczego zabił starego człowieka w jego mieszkaniu? Czego tam szukał? Dla siebie czy dla kogoś innego? A jeśli dla kogoś, to kim był zleceniodawca tego odrażającego zabójstwa? I w końcu: czy Mąkiewicz zginął z rąk swojego zleceniodawcy?

Pewne rzeczy stały się dla mnie jaśniejsze. Na przykład zaskakujące zachowanie Mąkiewicza na plaży. Krzychu był niesamowicie nakręcony sensacją, jaką wywołało w lokalnej społeczności zabójstwo Zamiejskiego. Wyglądało to tak, jakby się w niej płał. Sprawiała mu niewątpliwie sporą satysfakcję, co stawiało pod znakiem zapytania jego kondycję psychiczną. Było to jednak zagadnienie dla psychologa, może psychiatry. Było – dobrze powiedziane. Nikt już nie będzie wszak w stanie ocenić, czy Krzysztof Mąkiewicz był zdrowy na umyśle...

Niemal natychmiast zrozumiałem też, że w reakcji Krzywego na śmierć Mąki nie było żadnej zgrywy czy ściemy. Boss musiał być naprawdę zaskoczony nagłym końcem życia przyjaciela, skoro rozpoczął własne śledztwo i wciągnął w nie mnie, czyli nas. Na pewno przeczytał już informację o odciskach palców jego dawnego kumpla na nożu w plecach Zamiejskiego. Co teraz? Jak się zachować, kiedy zechce mu się znowu pokonferować ze mną w leśnych ostępach?

Na wszelki wypadek postanowiłem nie informować Gromadzkiego

o zawarciu bliższej znajomości z dawnym szefem Mąki. Lepiej, żeby to się nie rozniosło, bo jeszcze zainteresuje się tym policja... Mrugnąłem do Marka, by milczał. Zrozumiał moje przesłanie.

– Czyli historia ma znacznie głębsze dno, niż sądziliśmy – podsumowałem sensacyjne ustalenia Gromadzkiego.

Robert przysunął sobie fotel i dosiadł się do naszego stolika.

– Co najmniej drugie dno – dopowiedział. – Właściwie ta informacja wszystko zmienia, nie uważacie? Matko, co tu się u nas dzieje, do jasnej cholery? To było takie spokojne miasto...

– Najważniejsze pytanie brzmi: co łączyło Mąkiewicza z Zamiejskim? – wszedłem mu w słowo. – Dlaczego Mąkiewicz znalazł się w mieszkaniu byłego kustosza? I dlaczego go zabił?

Dziennikarz westchnął i zamyślił się na chwilę.

– W policji mówią, że nie był to mord na tle rabunkowym – powiedział w końcu. – Z mieszkania Zamiejskiego nie zginęło nic wartościowego. Znalaziono zresztą przy nim portfel, a w nim bodaj pięćset złotych. To znaczy, że Mąkiewicza nie interesowały zwykłe korzyści...

– Właśnie! – przytaknąłem. – Mąkiewicz znalazł się w mieszkaniu Zamiejskiego z powodu, którego nawet sobie nie wyobrażamy. Ale musiał to być bardzo ważny motyw, skoro nie zawahał się zabić starego człowieka. Tylko co to mogło być? Robert, znałeś Zamiejskiego. Masz jakieś przypuszczenia?

Gromadzki poprawił okulary na nosie. Spodziewał się chyba tego pytania, ale nie miał dobrej odpowiedzi.

– Sęk w tym, że nie mam żadnych pomysłów – wyznał bezradny. – Pan Juliusz był skrytym człowiekiem. Rzadko się otwierał. Intuicyjnie wyczuwałem, że nosił w sobie niejedną tajemnicę. Musiały być cenne, skoro oddał dla nich życie...

Wesoły śpiew licznej kompanii popijającej piwo za naszymi plecami nie rozproszył w nas niepewności, którą wniósł swoją informacją Gromadzki.

– Co jeszcze wiesz o miejscu zabójstwa kustosza? – zapytałem.

– Niewiele – przyznał. – Policja nie stwierdziła w domu śladów

włamania. Wygląda więc na to, że Zamiejski wpuścił Mąkiewicza do środka, nie spodziewając się niczego złego z jego strony. Chyba mu ufał. Tak to przynajmniej wygląda. Na miejscu nie stwierdzono też śladów walki. Zabójca zaskoczył swoją ofiarę. A ponieważ działo się to prawdopodobnie w trakcie gwałtownej burzy, nikt z sąsiadów niczego nie usłyszał. Gdyby nie odciski palców, policja miałaby problem z ustaleniem sprawcy.

– Ten cały Mąkiewicz był aż takim ignorantem? – zdziwiłem się. – Zostawił narzędzie zbrodni, które trzymał wcześniej gołą dłonią?

Gromadzki wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Może nie spodziewał się, że zostawi na rękojeści jakieś ślady? Tak czy owak, policja jest przekonana, że to on zabił kustosza. A potem ktoś skrócił jego żywot. I zapewne miało to związek z zabójstwem Zamiejskiego. Przyznacie, że to dość logiczny wniosek.

– Chyba jedyny, jaki może się nasunąć – podsumowałem.

Tajemnica śmierci Zamiejskiego i Mąkiewicza coraz bardziej zaprzętała moje myśli. A fakt, że zdążyłem poznać drugiego z zamordowanych, mobilizował mnie do działania. Owszem, osiłkowany ratownik nie był kimś, z kim chciałbym zawrzeć głębszą znajomość. Szczerze mówiąc, zrobił na mnie odpychające wrażenie. Jednak świadomość, że tak blisko zetknąłem się z nim, a potem z jego zagadkową śmiercią, stanowiła dla mnie rodzaj wyzwania. Wiedząc, że ten nieprzyjemny facet wcześniej zabił starego człowieka, nie potrafiłem już zostawić tej sprawy swojemu losowi. Dlaczego Mąkiewicz zamordował byłego kustosza? Dlaczego zginął dwa dni później? I wreszcie: kto był w obu przypadkach prawdziwym panem ich życia i śmierci?



Pewnie to moje zboczenie zawodowe, w końcu żyję z uczenia gimnazjalistów o przeszłości, podskórnie czułem jednak, że wszystko to, co stało się w tym małym mieście w ciągu ostatnich pięciu dni,

musi mieć jakiś związek z przeszłością Zamiejskiego. W końcu nie zginął przypadkowo, zamordowany w ciemnym zaułku dla pieniędzy. Jego zabójca musiał wiedzieć, po co udaje się do mieszkania byłego kustosza. Mało tego, zapewne coś z jego lokum zabrał. To, że policja nie stwierdziła, by z mieszkania zginęło coś wartościowego, wcale jeszcze nie oznaczało, że nic nie zniknęło. Śledczy nie mieli przecież kompletnej wiedzy o tym, co były muzealnik trzymał w swoich szufladach albo schowkach. Niewykluczone, że do dziś nie odkryli miejsc, w których Zamiejski coś ukrył.

Im dłużej o tym wszystkim myślałem, tym bardziej korciło mnie, by bliżej przyjrzeć się postaci nieżyjącego kustosza. W pewnym sensie czułem z nim braterstwo dusz, o ile oczywiście można tak napisać o osobie zmarłej. Pewnie gdybym kiedykolwiek mieszkał we Wschowie, moje życie potoczyłoby się bardzo podobną ścieżką.

Tamtego wieczoru siedzieliśmy w pubie do późna, próbując nieudolnie zgłębić sens ostatnich dramatycznych wydarzeń. Gęstniejąca nad naszymi głowami noc wydawała się nam symbolem ciemności, w jakich sami się znaleźliśmy, skazani na niejasne domysły i niedowarzone hipotezy. Nawet się nie obejrzeliśmy, jak daliśmy tej makabrycznej historii zawładnąć naszymi umysłami, wyobraźnią i chęciami. Snuliśmy coraz bardziej fantastyczne teorie, coraz bardziej oddalone od rzeczywistości. A im więcej piwa wypiliśmy, tym bardziej szumiało nam w głowach, co nie wróżyło nic dobrego konstruktywności obrad.

– Idziemy – zdecydował w końcu Marek, ziewając znad kolejnej osuszonej szklanicy.

– Idziemy – mruknąłem i wstałem od stolika.

– Tylko uważajcie na siebie – poradził nam jeszcze zaskakująco trzeźwo Gromadzki.

Zaraz potem omal nie sturlaliśmy się się w dół po pochyłości ulicy Daszyńskiego. Piwo szumiało nam w głowach, gdy szliśmy wyraźnie chwiejnym krokiem w stronę rzęsiście oświetlonej wieży ratusza. Na moment zapomniałem o dwóch denatach, nerwowej przejażdżce z Krzywym i detalach tajemniczych zbrodni. Liczyło się tylko to, by

dojść do domu mamy Marka i rzucić się na łóżko – choćby i w ubraniu. Tego dnia wydarzyło się zdecydowanie za dużo, a mój wewnętrzny akumulator sygnalizował dramatyczny spadek mocy. Wystarczyło jej, by dowlec się na piętro kamieniczki i bez mycia opaść na łożo.

Sen był rwany, chaotyczny i durny. Śnił mi się Krzywy i jego wieloletni przyjaciel Mąka. Podawali sobie dłonie na pomoście w Lginiu. Zaraz potem ratownik – niby dla żartu – wepchnął bossa do wody. Kiedy obrócił się w moją stronę, zauważyłem, że nie ma twarzy – tylko nagie kości policzkowe i puste, zielone oczodoły.

Obudziłem się zlany potem – nie pierwszy raz tej nocy. I nie ostatni.

17.

Ziarno od plew

Obudziłem się z bólem głowy. Był on całkowicie zrozumiały, zważywszy na ilość piwa, którą wlałem w siebie poprzedniego wieczoru. Byłem na siebie zły, że tak łatwo poddałem się wczoraj bachusowemu szaleństwu. Ale skoro uległ mu nawet Marek, którego uważałem za człowieka trzeźwiej patrzącego na świat niż ja, w jednej chwili rozgrzeszyłem moje wczorajsze pragnienie. Gdyby jeszcze tylko łeb nie pulsował tak tępo...

Zwlokłem się z łóżka i poszedłem do kuchni. Mimo wybuchu w głowie całkiem przytomnie założyłem, że spotkam tam panią Beatę. A ta pomoże mi dotrzeć do jakichś środków przeciwbólowych.

Mama Marka zmartwiła się moją skwaszoną miną. Ale nie zapytała o upojny wieczór w pubie.

– Proszę, mam ibuprom sprint. Powinien pomóc. – Podała mi listek z tabletkami i szklanek wody.

Bez dwóch zdań była aniołem, wyrozumiałym i pełnym empatii.

Podziękowałem i natychmiast połknąłem tabletkę. A zaraz potem wróciłem do łóżka, by poczekać na moment, gdy ból odpuści na tyle, bym mógł ubrać się i zastanowić, co dalej.

Marek chyba jeszcze spał, bo przez uchylone drzwi jego pokoju słychać było równy, miarowy oddech zmęczonego człowieka. Przymknąłem oczy, mając nadzieję na krótką drzemkę, ale moje myśli były już na tyle rozbiegane, że szybko porzuciłem nadzieję na chwilę błogostanu. Na szczęście ibuprom okazał się godny swojego przydomku i w iście sprinterskim tempie złagodził tępe pulsowanie

w mojej głowie. Ale nie potrafiłem już zmrużyć oka. Choć nie pracowałem w policji, a w dodatku byłem na urlopie, nie mogłem odepchnąć od siebie rozważań o tym, co takiego łączyło zabójstwo Zamiejskiego ze śmiercią Mąkiewicza.

W moich kalkulacjach musiałem brać pod uwagę Krzywego i jego cichy patronat nad moimi ewentualnymi działaniami. Niewykluczone, że któryś z jego drabów właśnie obserwuje kamieniczkę Cichoniów i w razie potrzeby zraportuje szefowi, co się dzieje – pomyślałem. Było to całkiem realne. W końcu niby dlaczego Krzywy miałby mi zaufać na tyle, by mnie nie śledzić? Skoro pofatygował się w jeden dzień z Wrocławia do Wschowy i zdążył wszcząć tu coś w rodzaju własnego śledztwa, na pewno nie zostawi mnie samemu sobie. Było to pewniejsze niż korki na autostradzie nad morze.

Jak tu więc cokolwiek ustalić, nie ciągnąc za sobą ogona? Tak, wyrwanie się spod kurateli gangstera wydawało mi się kluczową sprawą. Jeśli chciałem czegokolwiek się dowiedzieć, musiałem niepostrzeżenie opuścić kamienicę. Tylko jak? Odpowiedź nasunęła się błyskawicznie: podwórkiem na tyłach domu. Już w niedzielę zauważyłem, że placyk za kamienicą skręca łagodnie ku prześwitowi między domami, prowadząc na ulicę na tyłach kamienicy. Znalazłem więc prosty sposób na opuszczenie domu Marka bez obawy o „plaster”.

No dobrze, tylko dokąd iść? Trzeba by zapytać Marka, czy wie, gdzie mieszkał Krzychu. Ale najpierw... najpierw popytam wśród sąsiadów świętej pamięci Zamiejskiego. Pewnie policja już ich przesłuchiwała. Jednak przy odrobinie szczęścia... W jakiś niewytłumaczalny sposób wierzyłem w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Zegarek wskazywał kwadrans przed dziewiątą. Marek ciągle smacznie spał, gdy po cichu, by nie niepokoić pani Beaty, wychodziłem z mieszkania do ciemnego, pogrążonego w półmroku korytarza. Z pietyzmem domknąłem drzwi najciszej, jak tylko potrafiłem, a potem, delikatnie stawiając kroki na trzeszczących drewnianych stopniach, zszedłem na parter budynku.

Drzwi na podwórze za domem były otwarte. Biło od nich ostre

światło porannego słońca. Po korytarzu niósł się zapach smażonej jajecznicy na boczku. Zmrużyłem oczy i ruszyłem do przodu. Chwilę później minąłem metalowy trzepak, skręciłem w prawo i byłem już na ulicy.

Zanim na nią wyszedłem, rozejrzałem się na boki. Nie zauważyłem niczego podejrzanego. Jeśli jakiś drab Krzywego śledził wejście do kamieniczki, nie mógł mnie dostrzec z płyty rynku. Poszedłem więc spokojnym krokiem w stronę domu Zamiejskiego.

Nie myślałem wtedy, że łąduję się w jakąś kabałę. Że czymś ryzykuję albo działam nierozsądnie. Przyświecała mi jedna myśl: muszę coś w tej sprawie zrobić. Za długo byłem tylko świadkiem, a nawet pionkiem, który próbował ostatnio przesunąć na szachownicy lokalny mafioso. Coś we mnie pękło – raz i nieodwracalnie. Wiedziałem tylko, że muszę. I że nie mogę się już wycofać.

Znowu minąłem masywny korpus dawnego zboru wschowskich luteranów, zwany za czasów swojej świetności Kripplein Christi. To musiała być niegdyś imponująca świątynia. Powstała z połączenia i przebudowy kilku stojących w tym miejscu kamienic. Teraz była zamknięta na klucz, z odrapanym przez wilgoć tynkiem. Podobno całkiem niedawno prowadzono w niej badania archeologiczne, wspomniał o tym wczoraj przy piwie Marek, zanim nadmiar złotego płynu odebrał mu sporo z elokwencji. Czego szukali tam badacze – i co znaleźli – tego Marek nie wiedział.

– Zdaje się, że odkryli dwa groby we wnętrzu kościoła – odezwał się wtedy Gromadzki.

Skinęliśmy tylko głowami: w końcu co innego można było odkryć pod posadzką dawnej świątyni?

Myśli o Kripplein Christi szybko wywietrzały mi z wolnej już od bólu głowy, gdy znalazłem się po raz kolejny na rogu ulic Bohaterów Westerplatte i Garbarskiej. Znowu stałem pod wejściem do PKO BP i spoglądałem na niepozorny budynek po przeciwnej stronie Garbarskiej, doklejony do wyższej kamienicy. Jego drzwi nadal oklejone były policyjną taśmą, strzegącą dostępu do wnętrza

i tajemnicy. Co się w nim wydarzyło w ostatnią niedzielę, że gość starego kustosza zadał mu śmiertelne ciosy nożem? Czy od początku swojej wizyty wiedział, że pozbawi go życia? A może nie miał takiego zamiaru, ale coś pokrzyżowało jego trudne do odgadnięcia plany?

Wszystko pozostało między Mąkiewiczem a jego ofiarą. Tylko oni widzieli, co się stało i dlaczego. Jedyne, co mogłem zrobić, to spróbować dowiedzieć się nieco na temat okoliczności zapoznania się Zamiejskiego z jego przyszłym oprawcą. Tylko to mogło rzucić jakieś światło na przyczyny tych tragicznych wydarzeń.

Nie namyślając się długo, zajrzałem do położonej na rogu piekarni. Przypomniałem sobie, że w niedzielę zawarłem coś w rodzaju znajomości z właścicielem tego zakładu. Zapamiętałem, że wśród gapiów wokół domu Zamiejskiego stał mężczyzna w białym fartuchu i kręcił z niedowierzaniem głową, powtarzając: „Niewiarygodne, po prostu niewiarygodne...”. Zdaje się, że nazywał się Wiśniewski. To on wspomniał o kuzynie Zamiejskiego, który miał odkryć zwłoki i wybiec z mieszkania, krzycząc o nożu...

Miałem szczęście, zastałem Wiśniewskiego za ladą, sprzedającego bosko pachnące mąką bochny chleba i zarumienione, pewnie jeszcze ciepłe bułeczki. Woń świeżego chleba poruszyła soki trawienne w moim żołądku, od razu przypomniałem sobie, że nie jadłem jeszcze śniadania.

– A co dla pana, panie przyjezdny? – Szczupły, siwiejący szef piekarni w nienagannie białym fartuchu rozpoznał mnie momentalnie. – Mamy wspaniałe bułeczki, prosto z pieca!

Uśmiechnąłem się z wdzięcznością, ale nie poprosiłem o pieczywo. Odczekałem kilka sekund, aż lokal opuści jedyny obsługiwany przez piekarza klient, a potem powiedziałem na tyle cicho, by nie usłyszeli mnie pracujący za drzwiami w głębi piekarni pracownicy:

– Przepraszam, ja w innej sprawie. Możemy porozmawiać na osobności?

Spojrzał na mnie zaskoczony. Raczej nie spodziewał się takiej prośby. Ale widocznie uznał mnie za człowieka godnego rozmowy, bo

bez zbędnej zwłoki zawołał swoją pomocnicę, a potem skinął na mnie ręką:

– Pan pozwoli za mną.



Zaprowadził mnie na piętro, prawdopodobnie do swojego mieszkania. Przez uchylone okna i balkon pełen kwiatów zobaczyłem ceglany gmach poczty z niedużą wieżą na narożniku. Zegar na jej szczycie wskazywał równo dziewiątą. Poniżej z wolna narastał gwar i furkot opon aut po bruku. Z oddali dobiegł nas dźwięk pełnej godziny, wybijanej przez ratuszowy zegar.

Wiśniewski wskazał dwa fotele pod ścianą, pod obrazem stanowiącym imitację jednego z dzieł Kossaka.

– Pewnie chce pan porozmawiać o Julku? – zapytał, gdy usiedliśmy.

– A skąd pan wie? – zdziwiłem się.

– Panie przyjezdny! Wschowa to małe miasto. Tu ludzie nie mordują się co tydzień, jak u was w Poznaniu, ale raz na parę lat, może nawet na dekadę. Nie ma się co dziwić, że to zabójstwo wstrząsnęło wszystkimi i cały czas jest komentowane...

Odnotowałem, że wiedział, skąd jestem, choć mu tego nigdy nie powiedziałem. Nie wydało mi się to zresztą dziwne: od momentu odnalezienia zwłok Mąkiewicza Marek i ja znaleźliśmy się w centrum zainteresowania dorosłej populacji miasta. A może nie tylko dorosłej. W końcu Krzywy bez problemu ustalił, z kim należy gadać o odnalezieniu Mąki.

– W dodatku zaraz potem doszło do odkrycia drugiego nieboszczyka.

– Wiśniewski puścił do mnie oko, potwierdzając tym samym, że zna mój udział w całej historii. – Od kilku dni ludzie w kolejkach nie rozmawiają o niczym innym. A ile się rodzi spekulacji albo zwykłych plotek! Nie zazdroszczę naszej policji, że musi odsiewać ziarno od plew. Im dalej w las, tym więcej drzew...

Chrząknąłem możliwie uprzejmie, by wybić Wiśniewskiego

z monologu. Uniósł siwą brew, jakby zdziwiony, że nie chce go dalej słuchać.

– Ja właśnie w tej sprawie – powróciłem łagodnie do tematu. – Mówi pan o zamordowanym per „Julek”. To znaczy, że znaliście się bliżej?

Zerknął na mnie sceptycznie, z dystansem.

– Przepraszam, a kim pan jest, że mnie o to pyta?

Przełknąłem nerwowo ślinę. Wiedziałem, że najtrudniejszy będzie początek rozmowy.

– Jestem kolegą Marka Cichonia, pan wie, syna pani Beaty. Jestem ich gościem. Pan Zamiejski był krewnym Cichoniów, wiedział pan o tym? Mocno przeżyli jego śmierć, dlatego staram się im pomóc...

– Pomóc w czym?

– W ustaleniu podstawowych faktów – odpowiedziałem natychmiast, bo wyczułem, że potraktował mnie serio.

Nawet jeśli odrobinę zablefowałem z żałobą w rodzinie Cichoniów, nie czułem się z tym głupio. W końcu działałem w dobrej sprawie. Całe szczęście, że nie słyszał tego Marek – on na pewno by się obruszył i wszystko zepsuł!

– Wie pan, że przesłuchała mnie już policja? – zapytał Wiśniewski, drapiąc się zakłopotany po głowie. – Co więcej mogę dodać? Chyba powiedziałem już wszystko, co wiem...

– Nie jestem z policji. I nie wiem, co im pan opowiedział – przypomniałem. – Ale czuję się w obowiązku dowiedzieć, kim był Julian Zamiejski i jak poznał swojego zabójcę. Jestem to winny koledze i jego matce.

– Rozumiem pana intencje. – Wiśniewski wyprostował nogi, odchylając się na oparcie fotela. – Ale co ja mogę wiedzieć? No dobrze, niech pan pyta. Zobaczymy, co z tego wyniknie.

Uśmiechnąłem się do niego z wdzięcznością. Zdaje się, że zdobyłem u niego mały kredyt zaufania.

– Dobrze znał się pan z Zamiejskim?

– Myślę, że tak. Był naszym klientem, w końcu mieszkał rzut kamieniem. Codziennie rano przychodził do nas po bułki. Zawsze brał trzy. Czasem poprosił też o drożdżówkę. Ale nie przepadał za

słodkim. Ostatnimi czasy zaglądał do nas jednak rzadziej. Częściej widywano go w markecie, jak brał z półek tanie wino albo inny alkohol...

– Rozmawialiście ze sobą często?

– Prawie codziennie.

– O czym?

– Najczęściej o pogodzie. Albo o wynikach naszej ligi. Kibicował Lechowi. Cieszył się, że w tym sezonie Lechowi dobrze idzie, że ma szansę na mistrza...

Poruszyłem się zniecierpliwiony. Na podstawie tych informacji można by zbudować ciekawy portret człowieka, ale mnie wydawały się one bezużyteczne.

– Podobno szukał starych rzeczy. Na polach czy w lasach... – podsunąłem trop.

– O tym mi nigdy nic nie opowiadał. Ale był trochę zwichrowany, nie przeczę...

– Co to znaczy?

– Mieszkał samotnie i miał fizia na punkcie swojej pracy. To znaczy, dawnej pracy. Bo go wyrzucili z muzeum, to pan chyba wie? Choć mieszkał tuż za rogiem, nigdy u niego nie byłem. Ale od osób, które go odwiedzały, wiem, że trzymał w chałupie mnóstwo żelastwa.

– Żelastwa?

– Raczej skorodowanych pozostałości po dawnej broni czy uprząży... Czort go wie, skąd to miał i po co. Był starym muzealnikiem, w całym swoim życiu nie robił chyba nic innego, więc trudno mu się dziwić, że gromadził takie rzeczy. To, zdaje się, była jego jedyna pasja.

– A kto go odwiedzał? Skąd pan o tym wie?

– Już nie pamiętam, kto mi o tym opowiedział.

– Kiedy? Gdzie?

– Chyba u nas, w kolejce po chleb.

– Czy Zamiejski przyjaźnił się z kimś blisko?

– Tego nie wiem. Ale nie wydaje mi się. To był typ człowieka zamkniętego w sobie. Otwierał się chyba tylko w tych programach, które w internecie puszczała na Portalu Wschowskim. Panie, jak on

wtedy potrafił pięknie opowiadać o przeszłości! Szkoda, że nie pisał książek.

– Ale ponoć tworzył wiersze – przypomniałem sobie wieść gminną.

– Wiersze? – Wiśniewski wzruszył ramionami. – Nie wiem, panie przyjezdny. Ale niewykluczone, każdy ma ponoć jakiegoś bzika.

– Niech pan sobie przypomni! Bardzo proszę... Kto opowiadał panu o tym, co Zamiejski trzymał w domu?

Zakłopotany znowu podrapał się w głowę.

– Mój Boże, codziennie obsługuję dziesiątki klientów... Jak mam zapamiętać każdą rozmowę? W dodatku to było już dawno temu...

– Proszę sobie przypomnieć, to bardzo ważne – nalegałem. – Jeśli Julian Zamiejski stronił od ludzi, każda relacja kogoś, kto poznał jego świat od wewnątrz, może się okazać kluczowa. W końcu zależy nam na odkryciu prawdy o jego śmierci, zgodzi się pan?

Po raz pierwszy spojrzał na mnie inaczej: bez rezerwy.

– Pan na pewno nie jest z policji? – upewnił się.

– Nie, broń Boże!

– Wie pan, to dziwne, ale kiedy byłem przesłuchiwany w komendzie, nikt nie zapytał o te fanaberie Zamiejskiego z poszukiwaniem staroci na polach.

– Może uznali to za fakt powszechnie znany – skomentowałem.

– Może – westchnął. – No dobrze, miło się z panem rozmawia, ale każdy ma swoje obowiązki. Praca czeka, klienci też...

Chciał wstać z fotela, ale napotkał mój proszący wzrok.

– Tak?

– Jeszcze chwila, panie Wiśniewski – osadziłem go na moment. – W niedzielę, gdy wynoszono ciało Zamiejskiego, powiedział pan, że to niewiarygodne. Dlaczego?

Zawahał się z odpowiedzią, choć starał się to zamaskować, udając namysł. Bardzo nieudolnie.

– Bo... to był taki miły człowiek... – powiedział w końcu. – Komu on mógł zaszkodzić? I jak? Nie, to się po prostu nie mieści w głowie!

– Nie sądzi pan... – mimowolnie ściszyłem głos, choć nie mieliśmy świadków – ... że pan Julian miał jakieś tajemnice, które mogły

okazać się dla niego groźne?

Strzeliłem w ciemno, zupełnie nie wiedząc, czego się spodziewać.

Piekarz Wiśniewski przyjął moje pytanie zupełnie naturalnie i z dużym spokojem.

– To był tajemniczy człowiek, bez dwóch zdań – odparł pewnym tonem. – Ale idę o zakład o całą moją firmę, że nikt nie wiedział, co tak naprawdę w nim siedzi.



Wracałem od piekarza z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony odniosłem wrażenie, że nie powiedział mi nic szczególnego. Z drugiej – dręczyło mnie dziwne przeświadczenie, że w jego relacji znalazło się coś istotnego. Tylko co? Nie mogłem sobie tego przypomnieć.

Zamiejski był niewątpliwie ciekawym człowiekiem, ale miejscowi uważali go za dziwaka. Czy zapłacił cenę za własne, głęboko skryte pasje, niezrozumiałe dla małomiasteczkowego otoczenia?!

Ktoś za moimi plecami nacisnął mocno klakson. Odwróciłem się gwałtownie, by zauważyć czarne bmw, przyspieszające z piskiem opon po śliskim bruku. Wóz miał otwarte okna – pewnie po to, bym rozpoznał jego pasażerów. Na tylnej kanapie, z ramionami rozpostartymi szeroko na skórzanych oparciach, siedział niewątpliwie Krzywy. W pewnym momencie uniósł w górę prawą dłoń z wyciągniętym palcem. Na szczęście nie środkowym, tylko wskazującym. Zupełnie jakby chciał mi w ten sposób powiedzieć: „Mamy cię na oku, *maaan!*”.

Stara beemwica ryknęła przepalonym tłumikiem i pomknęła w stronę rynku, zostawiając za sobą śmierdzącą chmurę spalin.

18.

Trzej muszkieterowie

– To fakt, Zamiejski żył w swoim własnym świecie – potwierdził kwadrans później Marek. – I nie wydaje mi się, by komukolwiek udało się do niego przeniknąć. Nawet Robert, który kręcił z nim naprawdę fajne filmiki na swój portal, nie może powiedzieć, że poznał go dobrze. To był kontakt czysto zawodowy, nic więcej.

Z piekarni Wiśniewskiego wróciłem z siatką bułeczek, co zostało życzliwie przyjęte przez mamę Marka. Były rzeczywiście smaczne, zresztą jedną wrzuciłem w siebie już w drodze powrotnej. Chrupiące, pachnące i kuszące, zniknęły z talerzy w okamgnieniu jako dodatek do ustrojonego ciętym szczypiorkiem omletu, stosownego w tym dniu. Pani Beata była osobą głęboko wierzącą, o czym świadczył brak wędlin na piątkowym śniadaniu.

– Myślisz, że kustosz nie miał żadnego bliskiego przyjaciela? Zupełnie nikogo? Null? Zero? – dopytałem, przetykając ostatni kawałek potrawy.

– Nie spodziewałbym się. – Marek nie miał złudzeń. – Co najwyżej kilku znajomych meneli z ławeczki pod murami.

– O! To już jakiś trop! – zażartowałem. – O ile oczywiście alkohol nie wypalił już w ich mózgach stref odpowiedzialnych za pamięć!

Parsknęliśmy śmiechem, wprawiając jednocześnie w dobry humor panią Beatę, krzątającą się przy zlewie. Wyczuwałem, że bardzo jej zależało, byśmy się dobrze bawili. A przynajmniej by lato we Wschowie nie kojarzyło się nam wyłącznie z trupami, policją i zeznaniami. Dla osiągnięcia tego celu przymknęła oko na nasze

wczorajsze alkoholowe ekscesy. Pewnie uznała je za reakcję na stres, sposób odreagowania makabrycznych przeżyć. Przez całe przedpołudnie ani słowem nie zahaczyła o drażliwy temat naszych bachanaliów. Nie ulegało dla mnie wątpliwości, że była bardzo mądrą kobietą.

Nagle Marek spowaźniał – tak nagle, jakby ktoś chlusnął go z nienacka kubłem zimnej wody.

– Ty wiesz, to wcale nie jest głupi pomysł... – powiedział.

– Co?

– Ci menele! – Marek jakby nabrał wiatru w żagle. – Tak, że też o tym nie pomyślałem! Zamiejski w końcu życia naprawdę się stoczył, sam widziałem go kilka razy pijanego na ławce w parku albo pod Murzynkiem...

– Jakim znowu Murzynkiem? – wytrzeszczyłem oczy. – Marek, co ty...

– Lepiej mnie posłuchaj! – uciął mój wywód wysoko uniesioną dłonią. – Do niedawna pod murami stała fontanna z figurką Murzynka flecisty. Wokół niej gromadziła się od lat lokalna żulia. Pociągała byle wino, czasem wódeczkę i snuła pomysły na lepsze życie, które jakimś trafem nigdy nie chciały się zrealizować. Otóż we Wschowie, brachu, nie ma lepszych obserwatorów niż menele! Przesiadują całymi tygodniami na ławkach w parkach i na plantach. Tak, to więcej niż pewne: jeśli Zamiejski do nich przystał, musieli coś wiedzieć. A już na pewno zauważyć! Po prostu musieli!

Przypomniałem sobie kilka wychudzonych, wystawiających krzywe nogi na ostatnie promienie słońca postaci w starych ciuchach, które spotkałem poprzedniego dnia, trenując wokół murów miejskich. O mały włos się przez nich nie przewróciłem! Mój Boże, czyżby to był jakiś znak niebios? Czyżby potencjalne źródła informacji same pchały mi się w ramiona, tylko ja w swojej ślepotcie ich nie dostrzegłem?

– Możesz mieć rację – powiedziałem. – Ale najpierw trzeba to sprawdzić. Chyba wiem, gdzie ich znajdziemy. Wczoraj przeskakiwałem przez nich nieopodal Kripplein Christi...

– Ech, Bodziu! Jestem przekonany, że będą wszędzie! I wiesz co? –

Marek rzucił okiem na zegarek. – Myślę, że akurat o tej porze ich wartość dowodowa może okazać się jeszcze całkiem wysoka.



Odnalezienie miłośników taniego wina nie nastąpiło nam specjalnych trudności. W zasadzie wystarczyło opuścić płytę rynku, przemknąć placem Farnym tuż pod potężną wieżą i wyjść na zadrzewiony skwer, położony w wyraźnym zagłębieniu wzdłuż kamiennych murów miejskich z czasów Kazimierza Wielkiego, a może raczej jego następców.

Marek nie pomylił się. Już na pierwszej z brzegu ławeczce dostrzegłem nieogolonego mężczyznę w trudnym do określenia wieku, z papierosem w jednej dłoni, a butelką w drugiej. Zaraz naprzeciwko, na znajdującym się w dużo gorszym stanie siedzisku wygrzewało w słońcu kości dwóch jego kompanów w równie niejednoznacznym wieku, za to z mniejszym zarostem. Wszystkich ich łączył jeden i ten sam atrybut – wąska flaszka w dłoni. Ze zdumieniem skonstatowałem, że tylko na jednej z nich widniała etykieta wina „Relax”.

Relaksujący się koledzy nie przejęli się specjalnie niespodziewanymi gośćmi. Przez dłuższą chwilę ignorowali naszą obecność, dając nam subtelnie, acz wytrwale do zrozumienia, że zawartość ich butelek stanowi zdecydowanie ciekawszy temat zainteresowań. Sęk w tym, że temat szybko się wyczerpał. Chcąc nie chcąc, musieli w końcu zwrócić na nas uwagę.

– A wyyy co?! – zagadnął mało sympatycznie jegomość z papierosem, gdy ostatecznie upewnił się, że z jego butelki nie wycieknie już ani jedna kropla trunku. – Wina już nie ma! Nie ma!.. Znaczą się... dupa.

Odrzucona przez niego flaszka wylądowała w krzakach pod murem. Autor rzutu rozłożył dłonie w dramatycznym geście.

– Du-uupa – powtórzył, czkając żałośnie.

Wymieniliśmy szybko spojrzenia. I to ma być nasz świadek w sprawie? Nie, Zamiejski chyba nie upadł aż tak nisko.

– Panie szanowny. – Marek zaczął przemowę z wysokiego C. – Sprawę mamy. Pogadać chcemy.

Menel wywrócił oczyma, które sprawiały wrażenie mocno zamglonych.

– Pogadać chcemy. Rozumie pan?

– A sssso mam nie tego... – wypowiedź potencjalnego informatora i jej intonacja nie dawały specjalnej nadziei na zdobycie cennych informacji akurat z tego źródła.

Prawdopodobnie wino marki „Relax” buzowało już zdrowo w krwiobiegu tego gościa.

– Ej, mistrzowie! – obrałem za cel ataku parę żulików na przeciwległej ławce. – Pomożecie kolegom? Chodzi nam o takiego jednego, Julek mu było...

Na moje słowa z ich dłoni wypadły puste butelki. Poza tym nawet nie drgnęli. Zupełnie jakby doznali nagle rozległego paraliżu. Ten widok zbił mnie z tropu.

– Przecież widzisz, że odlecieli. – Marek prawie skapitulował. – Daj im spokój, tam siedzą następni... – Wskazał w stronę parku.

– Zaraz! – Nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Podobno nic nie działa lepiej niż dobrany stosownie do grupy odbiorców system motywacyjny.

– Panowie, jeszcze po buteleczce? – zaproponowałem bez owijania w bawełnę.

Marek spojrzał na mnie zgorszony, ale nie zwracałem na niego uwagi. Baczenie natomiast śledziłem mimikę dwóch delikwentów wygrzewających się na sfatygowanej ławce przede mną. Niemal jednocześnie, jak na magiczną komendę, twarze miłośników relaksu odzyskały zdrową, czerwoną barwę, a ich oczy nabrały pełnego życia blasku.

– Tylkooo wesssście na zamiankę... – zalecił nam całkiem trzeźwo ten niższy, po czym zaczął nagle macać teren wokół ławki w poszukiwaniu upadłego szkła. – Bęsssie taniej o zetę...

Marek pokręcił z niedowierzaniem głową. Pewnie z jego ulubionego rachunku prawdopodobieństwa wynikało, że nie mamy żadnych szans na jakąkolwiek interakcję. Nie po raz pierwszy jednak okazało się, że warto było postawić na kolejny cud nad Wisłą.

Bezwstydnie pomogłem moczymordzie podnieść butelkę, a potem drugą. I wtedy stał się kolejny cud: przypomniał o sobie trzeci ochlapus, który cisnął swoją flaszkę w krzaki.

– Jesssszcze moja! – włączył się niespodziewanie do dyskursu, nieudolnie pokazując, gdzie szukać szkła wartego zetę.

Marek pospieszył za jego wskazaniem i chwilę później trzymaliśmy w dłoniach trzy zadatki ciekawej rozmowy. A trzech rozebranych przez trunek i słońce miłośników relaksu spoglądało na nas z rosnącą nadzieją – i coraz bardziej widocznym pragnieniem.

– Jest tylko jeden problem – powiedziałem powoli, by do nich dotarło. – Gdzie kupić wam nowe trunki?

Jeden przez drugiego pokazali kierunek, choć nie mogli się podnieść ze swoich siedzisk. Zgodnie z ich wskazaniem obrałem azymut na prześwitującą przez liście drzew basztę. Z bełkotu rozmówców wywnioskowałem, że sklep monopolowy znajdę zaraz za pocztą.

W normalnych warunkach miałbym zapewne opory przed takim działaniem, w końcu wspierałem alkoholizm w czystej postaci. Tym razem jednak wszelkie obiekcje odłożyłem na bok – sprawa szła przecież o rzeczy zdecydowanie ważniejsze niż jeden pijacki sen więcej. Nawet jeśli miał być liczony potrójnie. Tu chodziło o zagadkę śmierci starego człowieka. Zresztą wcale niewykluczone, że byłego kompana trzech muszkietierów spod muru.

Przyznam, że nie spieszyłem się przesadnie po nową dostawę. Zdawałem sobie sprawę, że ożywienie wywołane moją ofertą i przeciągające się oczekiwanie powinny nieco otrzeźwić towarzystwo. Lepiej, żeby nie dostali sikacza zbyt szybko, bo inaczej ich walory informacyjne spadną w zastraszającym tempie. Albo, jakby to ujął Marek, w postępie geometrycznym. A na to nie mogliśmy sobie pozwolić. W końcu inwestycja musiała się zwrócić.

Sklep z tanim alkoholem znalazłem w ustronnej uliczce zaraz za

rogiem poczty. Trzy wina marki „Relax” z wymianą butelek uszczupliły stan mojego portfela o osiemnaście złotych. Przy pięćdziesiątce, którą dostała lala pod Hubertusem, ta lokata okazała się śmiesznie mała.

Gdy wracałem wolnym krokiem do naszej grupy badanych, mimowolnie obejrzałem się przez ramię. Może mi się wydawało, ale gdzieś w oddali znowu mignęła ciemna sylwetka bmw. Mój anioł stróż czuwał... Chyba że uległem złudzeniu.

Gdy wróciłem na miejsce przesłuchania, świadkowie wyglądali na zdecydowanie zmotywowanych. Klecili już całe zdania, których wartość logiczna z każdą chwilą osiągała nowe, coraz wyższe szczyty.

- Noooo, tera jest, kurwa, szasssunek...
- No, dawaj pan te winko...
- Tylko sssię nie osssiągaj, ssstary...
- Kurrrde mol, no dawaj! Sssso się zgrywasz, kumpli nie posssnajeszszsz?

Śledziłem tę narastającą nerwowość źródeł ze stoickim spokojem.

Może było to okrutne, ale pozostałem nieugięty. Dobrze wiedziałem, że wstanie z ławek chwilowo przekracza możliwości tych sympatycznych osobników, dlatego celowo zwlekałem ze spełnieniem ich żądań. Tym bardziej że zaordynowany im odwyk – fakt, że specyficzny – zaczynał przynosić coraz bardziej wymierne i optymistyczne efekty. Zakładając oczywiście, że wzbierająca irytacja świadków nie wywróci całego planu do góry nogami.

– Panowie! – Uniosłem butelki, by uprzytomnić im raz jeszcze, o jaką stawkę toczy się gra. – Skupcie się! Julek! Julian! Julian Zamiejski! Znaliście go? Piliście razem winko? Tu czy gdzie indziej? No, panowie? Znaliście Julka?

Zamiast odpowiedzi w moją stronę popłynął potok bluzgów. O tyle groteskowych, że mało które przekleństwo brzmiało poprawnie. Potencjalni informatorzy bardzo chcieli mi dopiec – ale cóż, chyba nie byli w stanie.

– Ej, mistrzowie! – wypróbowałem poprzedniej śpiewki. – Tu są wasze relaksy. Musicie nam tylko coś opowiedzieć... Chodzi o Juliana

Zamiejskiego. Za-miej-ski! Znaliście go?

Ich zbaraniałe miny, a jednocześnie nabiegłe krwią twarze nadal nie wróżyły sukcesu.

– Odpuść – rzucił do mnie Marek. – Zapytajmy tamtych!

Wskazał na dwóch żulików, zajmujących ławeczkę bliżej masywnej sylwetki Kripplein Christi. Ale właśnie w tym samym momencie spisani na straty mężczyźni wzniesli się niespodziewanie na wyżyny współpracy.

– Zaraaaa! – zaprotestował najbardziej dziki z nich, nieogolony.

– Nie maaaa! – poparł go bezzębny sąsiad z naprzeciwka.

A trzeci z wrażenia złapał się za głowę. Wizja utraty paliwa przeraziła go bardziej niż krzyk kompanów.

– Co jest? – zapytałem grzecznie. – Coś jednak pamiętacie? Julek Zamiejski, mówi wam to coś?

Ten z najstarszym zarostem, dotychczas w beznadziejnym stanie, najwyraźniej się przebudził.

– Panie, cssso mi tam nazwisko... – wysapał. – Żadnechoo tam Julka nie znałem... Lepiej pan powiesss, jach on wyglądał...

To zdanie wybrzmiało pięknie, niczym zachęta do konstruktywnej i owocnej współpracy.

Spojrzałem z nadzieją w stronę Marka, w końcu sam nigdy nie widziałem Zamiejskiego.

– Mały, gruby. Z łysym czołem – Marek szybko wymienił szczegóły rysopisu Zamiejskiego. – Zdaje się, że często nosił spodnie moro... No wiecie, takie wojskowe, w łaty. I zawsze miał przy sobie finkę. Taki harcerski nóż, rozumiecie? Musieliście go znać, pewnie tu zachodził na winko...

Na dźwięk tego słowa wzrok meneli, skupiony przez chwilę na twarzy Marka, znowu powędrował w stronę butelek z rubinową cieczą.

– Eee, żadnego Julka nie pamiętam – wyznał w końcu jeden z przesłuchiwanym.

Było to jednak budujące, przecież dla alkoholu mógłby się przyznać do wszystkiego.

– Ja też nie... – dorzucił drugi.

– Aaaa... Jak on wyglądał? – wykazał inicjatywę najbardziej zarośnięty.

Tyle że najwidoczniej nie odnotował opisu przytoczonego przed chwilą przez Marka.

– Sam widzisz, że to na nic – orzekł mój przyjaciel. – Trzeba by zapytać tamtych spod...

– Panie, sssso się pan tak spieszyszszsz? – Pierwszy z żuli uczeplił się ręki Marka, zerkając lękliwie w stronę nieodległej konkurencji. – A chdzie on mieszkał, ten cały Julek? Co? Wieszszsz pan może?...

– Na Garbarskiej. Zaraz za piekarnią – rzuciłem odruchowo, zupełnie bez wiary w sukces.

Moczymordzie aż zaświeciły się oczy.

– Kustoszzsz! – krzyknął niespodziewanie, jakby zobaczył ducha. – Chooopaki, idzie o tego dziada kustosza!

– W serce nożem oberwoł! – dorzucił natychmiast najniższy z oszczymurków.

– Bo skarby zbierał! – wydarł się jego towarzysz z ławki.

– Wszystko wiemy, panie! Wszystkooo! Tylko daj łyka! Łyka, bo gorąco jak chłoolera!



Spoglądaliśmy na siebie z Markiem jak na kosmitów. Co my, gimnazjalni belfrzy i wychowawcy, robiliśmy, do jasnej anielki, pośród zapijaczonych mord i szturchających nas nachalnie kościstych rąk? Czy żądza sukcesów śledczych tak nas oślepiła, że zatraciliśmy już zupełnie poczucie przyzwoitości, czy tylko okoliczności przesłuchania przerosły naszą skromną wyobraźnię? A może i jedno, i drugie?

Pierwszy oprzytomniał Marek. Z matematyczną precyzją sformułował komunikat zrozumiały nawet dla zlasowanych wysokimi procentami mózgów.

– Cisza! – wrzasnął z energią, o jaką bym go nigdy nie podejrzewał,

wyrywając mi z rąk dwie butelki. – Albo się zamknijcie, albo rozbiję te flachy!

Twarze świadków złagodniały w jednej sekundzie, przybierając wyraz niewypowiedzianej pokory. Pijaczkowie wyglądali teraz jak wynędzniali, średniowieczni mnisi. I tylko ich oczy, śledzące gorączkowo ruchy trzymającej bełty dłoni Marka, zdradzały ich prawdziwe intencje.

– Czyli znaliście kustosza? – zapytałem, gdy zupełnie się uspokoili.

– Dziada kustosza – poprawił mnie ten znajdujący się w najlepszej formie. – Tego, co to kosę pod żebro dostał... No zaglądał tu do nassss, nie powiem. Ale on panisko wielkie zgrywał, nami pomiatał...

– Jakie panisko?

– No zwyczajnie, panie... Sam wina nigdy nie przyniósł... Nie poczęstował kolegów... Panisko, nie pogadaszsz. Ale od nas to wypić lubił! Oj, lubił! Jak już sam piniądzów nie miał, to my go częstowali, panie... Aż żal było patrzeć...

Nie wątpiłem, że żulik mówił prawdę. Ale nie o takie zeznania mi chodziło.

– A z kim on się zadawał, ten dziad? – przejąłem terminologię ochlapusa. – Przychodził tu z kimś czy sam? Miał jakichś przyjaciół?

Pamiętałem, że Zamiejski miał opinię odludka, ale zarzuciłem wędkę. A nuż coś się złapie?

– Nie miał – odezwał się ten najniższy, gorliwie, jakby chciał przebić zeznaniami poprzednika. – Sam do nas zawsze przychodził... Sam!

– Ale raz nie był sam! – zaperzył się ten zarośnięty. – Nie pamiętasz, jak ten gnój Władkowi nos rozpierdolił?

Przykre wspomnienie wykrzywiło twarz trzeciego z meneli, zapewne wspomnianego Władka.. Na jego nosie widniała różowa szrama.

– Pamiętam tego luja! – potwierdził zarośnięty. – No tak, przeca ten dziad kustosz go tu przyprowadził! Cheba na wiosnę to było, czy jak?

– Nie, tera, całkiem niedawno! – zaoponował Władek.

Zeznania nakręcały się same, nie trzeba już było dorzucać do ognia.

– To był ten chuj z plaży! Mąka, czy jakoś tak... – przypomniał sobie niespodziewanie najniższy z moczymord.

Nagły łomot w piersi wstrząsnął mną, aż się wzdrygnąłem. Natychmiast nadstawiłem uszu. Marek też.

– Aaaaa... A jak to się chwalił, że sss dziadem tam szegoś szukają...
– ciągnął zeznanie żulik. – ... po polach niby szegoś... szegoś... – zaciął się, na szczęście tylko na krótką chwilę. – ...szegoś tam tego... Ale cholera wie, szego...

– Skup się pan! – Chwyciłem go za chude ramię. Było bezwładne, miałem wrażenie, że trzymam nieboszczyka. – Skup się pan, do diabła! Czego szukali na tych polach?! No?!

– Polach czy lassach... – sapnął męt. – A szy to takie waszszne?

– Co jeszcze mówili?! Dziad kustosz i ten gnój Mąka?! – Nawet nie zauważyłem, kiedy przeszedłem na ich język.

Nie było jednak czasu na subtelności, kontakt zaczął się rwać. Źródła zdradzały objawy wysuszenia, najwyraźniej wyczekiwały już na podlanie.

Ten zwany Władkiem chwycił się za nos.

– Ale mi pizgnął w jape... – syknął. – Prawie mi nos złamał, chuj jeden! A ja się tylko sssapytałem... Tylko... sssa...

– O co, do cholery?!

– ...się tylko ssssapytałem, po kiego im te sssskarby...



Cisza, jaka nastąpiła po tych słowach, była dziwna i nienaturalna. Hasło „skarby” zabrzmiało jak magiczna formuła, która wszystkich nas, nie wyłączając meneli, pozbawiła daru mowy.

– Jakie skarby?! – wypaliłem w końcu, bo czułem, że jeśli nie zapytam, to się uduszę. – Człowieku, o czym ty opowiadasz?!

Władek zrobił poważną minę. Zdaje się, że przez ułamek sekundy poczuł się kimś naprawdę ważnym. Ostatnio mówił coraz bardziej do rzeczy i gorąco liczyłem na to, że wreszcie powie coś naprawdę godnego uwagi. Zwłaszcza po takim wstępie!

– Oni tam szegoś szszszukali. Tak mówił ten Mąka. – Menel

wywrócił oczyma, jakby był już strasznie zmęczony. – I dlatego mi przypierdolił...

– To już wiemy! – zaczynałem się irytować, ale pohamowałem złość.
– Czego szukali, facet?! Gadaj konkretnie!

– No, jakichś tego... – Władek jak na złość się zaciął.

– Ten dziad napierdalał o jakiejśś bitwie – wypalił niespodziewanie jego kompan, wyglądający na znacznie mniej rozgarniętego. – Znaczy się... jakieś hopsasa, czy coś tego...

– Hopsasa?!

– No! – Nasz informator czknął radośnie. – Że niby jakieś Szwedy tańczyły hopsasa, czy jakoś tak... Panie, daj pan łyka, może się przypomni...

Wahałem się, czy podać mu zamkniętą plastikową zatyczką butelkę. Z jednej strony chciałem go jeszcze pociągnąć za język. Ale z drugiej ryzykowałem całkowite odcięcie od źródła. Jaka bitwa? Jaki taniec? Hopsasa? Szwedzi? O czym bredził ten stary ochlapus? Przemawiał z taką pewnością siebie, że nie mógł sobie tego zmyślić. Słyszał, że dzwonią, tylko nie wiedział, w którym kościele. Jak to z niego wydobyć?...

Nagle doznałem olśnienia. Przyszło tak nieoczekiwanie, jakby było darem z nieba. Wakacyjny tryb życia chyba stępił moją czujność, skoro od razu nie pojąłem, o co chodziło temu moczymordzie!

Boże, przecież to było pieruńsko proste!

Nie żadne tam hopsasa, tylko Sasi! A skoro także Szwedzi, to o jaką bitwę mogło chodzić kustoszowi i Mąkiewiczowi?

Przecież to jasne: o bitwę pod Wschową z 1706 roku!

O tę samą, o której rozmawialiśmy niedawno z Markiem w cieniu buhaja Ilona! O starcie, w którym Szwedzi w kilka godzin roznieśli połączone siły sasko-rosyjskie!

Porażony tym odkryciem, sam zatoczyłem się jak pijany. Czyżby Zamiejskiego i Mąkiewicza połączyła wspólna pasja? A może tylko wspólny interes? Czyżby razem czegoś poszukiwali? Na podstawie krótkiej znajomości z Mąką jakoś nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Ale skoro były kustosz u schyłku życia się stoczył, to czemu nie?

– Tu chodzi o bitwę pod Wschową – rzuciłem do nie mniej ode mnie zdumionego Marka. – Zamiejski i Mąkiewicz musieli coś razem robić...

Moja uwaga była zbyt cenna, kumpel już dawno to rozumiał. Stał teraz zdezorientowany z butelkami relaksu w dłoniach, jakby zastanawiając się, czy przypadkiem nie uwolniliśmy z nich złego dzina.

Naszego osłupienia w ogóle nie zrozumieli trzej muszkietierowie z alejki pod miejskim murem. Wpatrywali się w nas teraz z wyraźną obawą o losy naszej niepisanej umowy. I o przyszłość butelek.

– Mówili wam, co znaleźli? – rzuciłem jeszcze *pro forma* w ich stronę, choć nie miałem złudzeń. – Kustosz i ten Mąka? Pamiętacie, mistrzowie?

Głucha cisza też była odpowiedzią. Zrozumieliśmy, że nie wyciśniemy z nich nic więcej. Przynajmniej nie za pomocą dotychczasowych środków. Na inne zwyczajnie nie miałem pomysłu.

Przesłuchanie w fosie odbiegło końca. Trzy relaksy trafiły wreszcie w łapczywe dłonie spragnionych.

Oddalając się z miejsca, w którym uzurpowaliśmy sobie prawo do działań śledczych, odczułem niewypowiedzianą ulgę. Zadanie zapewne nas przerosło, ale warto było. Nareszcie mieliśmy jakiś trop. Ślad. Cokolwiek! Nareszcie chwyciliśmy nić, która dziwnym zrządzeniem losu połączyła dwie tak krańcowo odmienne postacie, jak kustosz Zamiejski i ratownik z Lginia.

– *In vino veritas*^[5] – uśmiechnąłem się do Marka szelmowsko. Była to największa mądrość wyniesiona spod starego muru.

[5] (łac.) W winie prawda.

19.

Grubo się mylisz!

Przeprawa z osobliwymi źródłami informacji mocno wysuszyła również nas. Zatrzymaliśmy się więc w ogródku piwnym przy rynku. Wzięliśmy dwa lechy i usiedliśmy w cieniu parasola, delektując się smakiem schłodzonego płynnego chmielu. Musieliśmy ochłonać, a piwo nadawało się do tego wyśmienicie.

Zegar na wieży ratuszowej wybił jedenastą, powietrze było coraz cieplejsze, a grzejący się w słońcu bruk podnosił temperaturę. Nic jednak nie podniosło jej bardziej niż wprawdzie bełkotliwe, ale jakże sensacyjne zeznania lokalnych meneli. Siedziały nam w głowach i nie chciały się ulotnić.

– Chyba powinniśmy pójść z tym na policję – odezwał się w końcu Marek.

– Chyba nie. A przynajmniej jeszcze nie – byłem odmiennego zdania. – Bo co powiemy na komendzie? Że kilku żuli widziało razem Zamiejskiego i Mąkiewicza? Też mi nowość: przecież policja wie, kto zabił kustosza. Największą wartość ma informacja o tym, że oni czegoś razem szukali. A teraz wyobraź sobie, jak nas potraktują, gdy dowiedzą się, w jaki sposób zdobyliśmy to zeznanie. Raz, że informacja pochodzi od notorycznie nietrzeźwych, a dwa – została pozyskana w wyniku nęcenia alkoholików kolejną dawką procentów... Stary, obawiam się, że gliniarze wzięliby nas za idiotów.

Chyba przyznał mi rację, bo nie wracał już do tego wątku. Naszła go za to inna refleksja. Osobista.

– Opowiadałem ci kiedyś, jak mój ojciec odbijał od Ruskich lotnisko

w Łysinach? – zapytał. – Właściwie należałoby powiedzieć: jak odpijał. – Roześmiał się niespodziewanie na to wspomnienie: mocno, perliście. Zupełnie jak nie on. – To było chyba w 1992 albo 1993 roku. Pewnie nie wiesz, ale mój ojciec zasiadał wtedy w radzie miasta i gminy, pierwszej wybranej w wolnych wyborach po upadku komuny. Mieli co robić, kraj zmieniał się w tempie diesla turbo. A w 1992 roku trwało w najlepsze wycofywanie Armii Czerwonej z Polski. No wiesz, pamiętasz... Te rozmowy Wałęsy z Jelcynem... Tak się składa, że w Łysinach, jakieś pięć kilometrów stąd, na sporej połaci ziemi pośród lasów Ruscy zbudowali za PRL swoje lotnisko...

Łysiny! To tę nazwę zobaczyłem w ułamku sekundy na tablicy, gdy ludzie Krzywego wywieźli mnie poza miasto! Patronat gangstera przypomniał mi się znowu w najmniej oczekiwanym momencie. Nie dałem jednak tego po sobie poznać.

– ...Stacjonowały tam głównie ich śmigłowce bojowe, często latały nam nad głowami w latach osiemdziesiątych – ciągnął opowieść Marek. – Mieli tam wszystko: płytę startową, hangary, ukryte w ziemi zbiorniki na paliwo. Słowem: po upadku komuny Ruscy mieli co sprzedawać.

– Sprzedawać? Nam, Polakom? – zdziwiłem się.

– Nie pamiętam już szczegółów, ale wiem, że Ruscy przed wyjazdem wyprzedawali elementy wyposażenia lotniska komu się tylko dało. Akurat wtedy mieli do zaoferowania płyty betonowe, którymi wyłożono teren lotniska. Negocjacje prowadził na miejscu jakiś generał, zdaje się ściągnięty na tę okoliczność z Bornego-Sulinowa^[6]. Gmina chciała te płyty nabyć. Możliwie tanio, żeby je potem z zyskiem odsprzedać. Zainteresowane kupnem było ponoć Świnoujście. Wzmacniali wtedy nabrzeże portu i te ruskie betony były dla nich jak znalazł. Ale żeby wytargować u Ruskich dobrą cenę, trzeba się było z nimi napić...

Marek puścił do mnie oko. I wtedy wreszcie zrozumiałem, skąd się wzięła potrzeba tej opowieści.

– Na pertraktacje do Łysin pojechała mocna delegacja rady miasta. Kilku chłopca z zapałem i dobrymi chęciami, ale zupełnie

nieświadomych skali zadania. Bo Ruscy okazali się twardymi zawodnikami. Można powiedzieć: entuzjastami negocjacji. Nikt się nie dowie, ile poszło wtedy butelek stolicznej czy żytniej. Jedno jest w każdym razie pewne: rokowania przedłużyły się do późnej nocy. Pamiętam doskonale, jak się zakończyły: ojca przywieźli – tak, tak: przywieźli! – samochodem urzędowym gdzieś po północy. Wsparty na ramieniu kierowcy, był tylko w stanie paść na łóżko. Następnego dnia po domu niósł się specyficzny zapach parującego spirytusu. I głośne chrapanie naszego dzielnego negocjatora. Nawet mu matka specjalnie o to głowy nie suszyła, gdy już jako tako doszedł do siebie. W końcu, jakby nie patrzeć, walczył o odzyskanie fragmentu naszej ojczyzny! O jej wolność! Ku chwale ojczyzny! Do dziś pamiętam tę charakterystyczną chrypkę w głosie ojca, gdy już względnie doszedł do siebie. Zapadła mi w pamięć, bo ojciec nigdy specjalnie „trunkowy” nie był. A wieczorem następnego dnia – gdy był już w stanie coś z grubsza opowiedzieć – triumfował! Świecił przy tym fioletowym nosem, bo okazało się, że nasi włodarze dzielnie dotrzymali pola ruskiemu generałowi i jego oficerom! Ostra libacja się opłaciła: gmina Wschowa kupiła płyty od Ruskich za bezcen, a potem korzystnie odsprzedała je Świnoujściu. Co ciekawe, zadowoleni byli też towarzysze sowieccy. A jak naszych negocjatorów chwalili! *Mołodcy!* Ha, ha, ha...

Uśmieśliśmy się nad piwem, jakbyśmy sami byli pijani w belę. Po raz kolejny okazało się, że życie pisze najwspanialsze scenariusze. I kiedy właśnie mieliśmy wrócić do spraw jak najbardziej aktualnych, usłyszałem nerwowy stukot drewniaków po bruku.

Odwróciłem się, bo chód człowieka wydał mi się znajomy. Nie pomyliłem się. To był piekarz Wiśniewski – tak zaaferowany, że nie porzucił nawet białego fartucha.

– O, jak dobrze, że pana znalazłem! – wykrzyknął w naszym kierunku. – Już wiem! Już sobie przypomniałem!

– Co, panie Wiśniewski?

– Kto mi opowiadał o mieszkaniu Zamiejskiego.

Zaprosiliśmy go do naszego stolika, a ponieważ nie byliśmy jedynymi klientami w ogródku, poprosiłem piekarza, by zechciał mówić ciszej. Po co pół miasteczka ma wiedzieć, że dłubiemy wokół Zamiejskiego?

Wiśniewski był spocony, ale odmówił piwa. Wyglądał na przejętego swoim odkryciem.

– Przepraszam, panie przyjezdny – usprawiedliwił się. – Skleroza mnie już zżera, jak Boga kocham! Jak mnie pan zapytał o to żelastwo w domu Zamiejskiego, to coś mi się we łbie jakby zablokowało i nie chciało otworzyć. A przecież pamiętałem, kto mi o tym opowiadał! Męczyłem się z tym ze dwie godziny, aż w końcu jakiś korek w głowie mi odskoczył i masz: już wiem! To była Zuza Gabrielska, nasza bibliotekarka. Znaczy się, już na emeryturze, ale całe lata spędziła pomiędzy półkami z książkami.

– To znajoma mojej mamy – wszedł mu w słowo Marek.

– To ona odwiedziła kiedyś Zamiejskiego i powiedziała panu, że trzyma w domu znajdowane w okolicy starocie? – dopytałem.

– Właśnie – Wiśniewski przytaknął skwapliwie, łapiąc wreszcie oddech. – Kiedyś mi w kolejce powiedziała, że ten Zamiejski to zaczyna się w złomiarza przeistaczać. Że niby wcześniej zbierał tylko jakieś drobiazgi, a teraz przynosi do chałupy co popadnie. Nawet chyba kółko dłonią przy skroni zrobiła, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że Zamiejski dziwaczeje...

– Widziała w jego mieszkaniu coś jeszcze?

Szef piekarni spojrział na mnie zaskoczony.

– Ale co konkretnie?

– Nie wiem, może zauważyła tam jeszcze coś intrygującego?

– E! Chyba nie – skrzywił się. – Między nami mówiąc, panowie: ona też wcale nie gorsza wariatka. Zamiejski zbierał stary złom, a ona na starość tonie w makulaturze.

– Tonie?

– Gromadzi każdą, nawet najgorszą książkę. A że tych nie brakuje,

to jej mieszkanie w bloku zamienia się w skup makulatury. Wiem, co mówię – byłem u niej niedawno w innej sprawie. Mówię wam, ludziom na starość dziwne rzeczy przychodzą do głowy...

– Aha. – Poczułem się nieco zbity z tropu.

– A gdzie ona mieszka? – Bardziej przytomny okazał się Marek.

– A pan jesteś synem Beaty, prawda? – Piekarz uśmiechnął się przymilnie. I zaraz odparł: – Na Osiedlu Zwycięstwa. Pan tutejszy, to wie, gdzie to jest...



Chciałem go jeszcze dopytać o numer mieszkania, ale to, co zobaczyłem przed sobą, zupełnie odebrało mi mowę. Do ogródka niespodziewanie wtoczył się bowiem sam Krzywý. Po raz pierwszy mogłem go zobaczyć w całej okazałości w świetle dnia. Poprzednio widziałem go w mrokach zapadającej nocy. Był rzeczywiście gruby, wyglądał niemal jak gumowy Jabba z *Gwiezdných wojen*, tyle że wbity w szerokie spodnie na szelkach. Przy jego godnych szacunku rozmiarach mój piwny brzuszek wydał mi się w jednej chwili piłeczką pingpongową.

Również tym razem Krzywemu towarzyszyła dwuosobowa obstawa. Jego gogusie podstawili bossowi krzesło, a sami podeszli do baru, żeby przynieść trzy piwa.

Tymczasem Tomasz Krępy rozsiadł się za stołem dokładnie naprzeciw nas i wpił się wzrokiem w nasze skromne osoby. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: „Co to za tajne zebranie, *maaan?!*”.

Najpierw całkiem mnie zatkało. Ale zaraz potem wezbrała we mnie złość. Gość pozował na króla sytuacji i do obrzydzenia demonstrował, że trzyma mnie na smyczy i oczekuje jakichś wieści. Najlepiej konkretnych, ostatecznych: kto zaciukał Mąkiewicza i dlaczego. A jeszcze lepiej: gdzie go można aktualnie odnaleźć!

Zapomniałem, co to kontrola. Poderwałem się z krzesła, nie zważając na przerażoną twarz Marka i zdziwione oblicze piekarza,

i trzema długimi krokami podszedłem do stolika Krzywego.

Wyglądał na zaskoczonego, ale nie zareagował żadnym gestem. Poderwali się za to jego wygoleni goryle.

– Zostawcie! – Jego okrzyk zatrzymał ich dłonie, zmierzające w kierunku mojej koszuli.

– Jeśli myślisz, że mnie zastraszysz, to grubo się mylisz! – wypaliłem nieświadomy komicznego brzmienia przysłówka, który mi się nasunął. – Odpuść sobie, człowieku, bo za chwilę całe miasto będzie wiedziało, że czegoś od nas chcesz! Nie musisz mi przypominać! Nie musisz!

Krzywy łypnął na mnie jednym okiem, a drugie potarł otłuszczoną dłonią, jakby właśnie wpadł mu w nie pył lub kurz. *Gold* na jego pulchnej szyi błyszczał w słońcu, nadając mu groteskowego charakteru. W koszulce na ramiączkach, z niewygolonymi pachami i czapce bejsbolówce przypominał raczej typowego Amerykanina z prowincji niż lokalnego króla światka przestępczego.

– Co ci odjebało, *men*? – zapytał, gdy ucichłem. – Browca nie można się napić?

A potem demonstracyjnie, niczym kiepski aktor, sięgnął po butelkę i pociągnął z niej spory łyk.

Byłem pewny, że dla poniżenia mnie głośno beknie, ale jakimś cudem na to nie wpadł. Zamiast tego kazał usiąść swoim ludziom i udał, że mnie kompletnie ignoruje.

Gdy odwróciłem się i ruszyłem do moich towarzyszy, usłyszałem jednak, jak Krzywy syknął do swoich ochroniarzy:

– To kretyn. Jeszcze za to zapłaci.

[6] W PRL miejsce lokalizacji jednej z baz sowieckich na Pojezierzu Drawskim.

20.

Mówił tylko o jednym

Wschowskie osiedla z wielkiej płyty zbudowano na północnym końcu miasta, po obu stronach drogi wylotowej na Wolsztyn. Jak opowiedział mi Marek w drodze na Osiedle Zwycięstwa, większość tych trzy- i czteropiętrowych bloków powstała jeszcze za komuny. Ludzie, którzy dostali tu mieszkania w końcu lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, czuli się z jednej strony szczęśliwcami, z drugiej jednak narzekali na kiepski poziom wykończenia wewnątrz: krzywe ramy drzwi czy nieszczelne okna. W nowych, kapitalistycznych czasach mieszkalne klocki ocieplono, pokrywając je kolorowym tynkiem. Remont musiał jednak być już odległą historią, bo elewacje budynków odpadały teraz całymi płatami, szpecąc dawną dumę PRL.

Blok, w którym mieszkała Zuzanna Gabrielska, emerytowana pracowniczka Miejskiej Biblioteki Publicznej, też nie wyglądał zachęcająco – tracił na potęgę bordowo-biały tynk. Stał za to na wzniesieniu, z którego roztaczał się ciekawy widok na starą część miasta. W dole zauważyłem dachy domów i wieżę klasztoru franciszkanów. Nad wszystkim – jak wszędzie we Wschowie – dominowała strzelista, przypominająca kształtem gigantyczną raketę wieża fary.

Wskazówki Wiśniewskiego okazały się precyzyjne. Gabrielska mieszkała na pierwszym piętrze pod numerem trzecim. Pełen nadziei zapukałem energicznie w jej drzwi, Marek stał za moimi plecami.

Usłyszałem szuranie nóg i po chwili w drzwiach pojawiła się niska,

krępa kobieta pod siedemdziesiątkę. Nawet gdybym nie wiedział, kim niegdyś była, grube szkła okularów z miejsca zdradziłyby jej profesję. Na mój widok oczy w szklach rozszerzyły się jakby ze strachu, a Gabrielska cofnęła się o krok, chwytając za klamkę.

– Proszę się nie bać. – Uśmiechnąłem się, jak tylko potrafiłem najładniej. – Dzień dobry, nazywam się Bogdan Popiołek i...

Chyba nie wypadło to dobrze, bo mina kobiety zrobiła się zacięta.

– Bo zawołam sąsiada... – zagroziła, chowając się już bez skrępowań za drzwi.

Jak to mawiali starożytni Rzymianie, sprawa doszła do trzeciego szeregu, z którego do akcji wyskoczył Marek.

– Pani Zuzanno, to ja, Marek Cichoń! Nie poznaje mnie pani? – Delikatnie, acz stanowczo uniemożliwił jej pole manewru, wstawiając nogę w szparę drzwi.

– Marek Cichoń? Syn Beatki? – Twarz Gabrielskiej złagodniała w jednej chwili, by rozpromienić się niemal natychmiast. Całe szczęście, że mama Marka przyjaźniła się od lat z bibliotekarką! – A co ciebie do mnie sprowadza, skarbie?

– Chcielibyśmy porozmawiać o Julianie Zamiejskim. Pani wie, że nie żyje od niedzieli?

– Tak, słyszałam. To straszne... A ten pan to kto? – Znowu spojrzała na mnie nieufnie.

– To mój kolega z pracy, Bogdan Popiołek. Uczymy razem w gimnazjum w Poznaniu.

– Aha... – Uśmiech wrócił na jej twarz. – Trzeba było tak od razu... No dobrze, panowie. Zapraszam. Tylko... Wybaczcie, nie mam was czym podjąć, żadnych ciastek, nic. Gdybym wiedziała... To może chociaż kawę albo herbatę zrobię?

Otworzyła szeroko drzwi i wpuściła nas do niedużego mieszkania, składającego się z wąskiego korytarza, dwóch niewielkich pokoi, kuchni i łazienki.

Piekarz Wiśniewski nie przesadził: niemal wszystkie ściany tego lokum obudowane były prostymi drewnianymi półkami, uginającymi się wręcz pod ciężarem starych i nowych wydań książek. Dawne,

PRL-owskie druki o wyblakłych grzbietach niskiej jakości mieszały się na regałach z pięknymi wydawnictwami z ostatnich lat. Widać było, że Zuzanna Gabrielska wybrała sobie pracę, którą szczerze kochała. Książki były, zdaje się, jej dziećmi, których nie miała w życiu prywatnym. Wydawała zapewne ostatnie złotówki z niedużej emerytury na literackie nowości, świadczyły o tym dobitnie jej skromna bluzka i stara spódnica.

– Proszę, usiądźcie tutaj. – Wskazała nam kanapę pod ścianą, a sama zajęła miejsce w fotelu, którego design sugerował lata sześćdziesiąte. – A dlaczego właściwie przychodzicie w tej sprawie do mnie? Przecież ja nie znałam się wcale tak dobrze z Julianem.

– Znaliście się jednak na tyle dobrze, że pan Zamiejski zaprosił kiedyś panią do swojego mieszkania. – Marek przeszedł do istoty sprawy.

Postanowiłem dać mu wolną rękę. W końcu Gabrielska ufała mu zdecydowanie bardziej niż mnie. W zasadzie lepiej byłoby, żebym się nie odzywał.

– Ach, takie tam... – Pani Zuzanna machnęła ręką lekko zażenowana, a na jej policzki wystąpiły rumieńce. – Lubił mnie, to wszystko. Kiedy mnie gdzieś w mieście spotkał, to pochwalił się, co u niego dobrego. Ale ostatnimi laty w jego życiu niewiele dobrego się działo. Oj nie. Raz czy dwa widziałam go nawet na ławeczce z butelką dłoni. Tak, tak, z butelką! I to w jakim towarzystwie... Wstyd wspominać!

Wymieniliśmy z Markiem szybkie spojrzenia. Kolejna osoba właśnie potwierdziła, że zamordowany miał ścisły związek z miejscowymi menelami. Tym samym ich relacja stawała się jeszcze bardziej wiarygodna.

– A jak to było z tymi odwiedzinami u pana Julka? – Marek uśmiechnął się do Gabrielskiej. – Pamięta pani, kiedy to było? I co tam pani zobaczyła?

Kobieta zamrugła oczami zaskoczona.

– A czy to takie ważne? – zapytała.

– Bardzo ważne, proszę pani – wyrwało mi się nieopatrznie.

Nie mogłem zachować się gorzej. Marek natychmiast zgromił mnie wzrokiem, ale na szczęście Gabrielska nie zauważyła, że wtrąciłem swoje trzy grosze. Mocno się bowiem nad czymś zastanawiała.

– Kiedy to było? – odezwała się po chwili namysłu. – Wydaje mi się, że w maju. No, może na początku czerwca. Ale nie później. Na pewno! W każdym razie zdecydowanie przed Bożym Ciałem. Spotkałam go na ulicy, pod samą pocztą. Oj, był czymś zaaferowany. Wiecie, panowie, ręce mu się trzęsły. To było dziwne, bo on zwykle był człowiekiem bardzo taktownym, opanowanym. Zawsze ważył słowa. A wtedy był jakiś inny, nieswój. Jakiś taki podekscytowany. „Zuza, musisz coś zobaczyć” – powiedział. Zgodziłam się pójść z nim do jego domu, mieszkał zresztą o kilka kroków. Boże, to jego mieszkanie! Tony kurzu i żelastwa! Jakies fragmenty uzbrojenia, jakies pogięte, zardzewiałe szable czy rapiery. Jaki on był z nich dumny! Oprowadzał mnie po tym swoim brudnym lokum jak po jakimś królestwie. A może raczej jak po własnym, prywatnym muzeum. Rozwodził się nad każdą ołowianą kulą, jaką gdzieś tam znalazł czy wykopał pod Osową Sienią...

– Osową Sienią? – powtórzyliśmy mimowolnie.

– No tak! Opowiadał o szwedzkich i saskich dowódcach, wymieniał dziesiątki obcobrzmiących nazwisk. Pamiętam, że w pewnym momencie zapytałam go: „To co właściwie chciałeś mi pokazać?”. A on się roześmiał i sięgnął do szuflady. Wyjął z niej coś, co wyglądało jak mocno skorodowany, a może tylko szerniały medalion. Zabytek był w tak beznadziejnym stanie, że trudno się było na nim czegokolwiek dopatrzeć, ale Julian był szczęśliwy jak nigdy. „On tu był” – powiedział tylko.

– On? Czyli kto?

– Wymienił jakieś niemieckie nazwisko. Kilkakrotnie powtarzał, że to ważny dowód w jakiejś sprawie. Ale ja nic z tego nie rozumiałam. Nigdy przecież nie fascynowałam się tą bitwą tak jak Julian...

Słuchaliśmy emerytowanej bibliotekarki z rozdziawionymi buziami. Właśnie dotknęliśmy wielkiej tajemnicy, której istnienie wyczuwaliśmy co najmniej od przesłuchania pijaczków w fosie. Były

kustosz miejscowego muzeum Julian Zamiejski do końca swoich dni prowadził najwyraźniej jakieś dochodzenie związane z batalią, która rozegrała się pod murami miasta ponad trzy wieki temu. Skoro znosił do domu różne pamiątki po bitwie, musiał czegoś szukać. Tylko czego? I jaka była w tym wszystkim rola tego prostaka Mąkiewicza? Jakim cudem pomagał Zamiejskiemu w poszukiwaniach? I co zaszło między nimi, że uczeń zamordował mistrza?

Chrząknąłem delikatnie, by uprzedzić, że chcę się włączyć do rozmowy. Zuzanna Gabrielska spojrzała na mnie bodaj po raz pierwszy bez obawy.

– Powiedziała pani, że Julian Zamiejski fascynował się tamtą bitwą. Jak pani sądzi, dlaczego?

– To raczej łatwo zrozumieć – odpowiedziała. – W dziejach tego miasta był to chyba, poza zdobyciem go przez Kazimierza Wielkiego w XIV wieku, najbardziej krwawy epizod. Gdybym była kustoszem, też bym się tym interesowała. Trudno mu się dziwić, że w zasadzie mówił tylko o jednym: o bitwie pod Wschową. Znał ją doskonale, przeczytał na jej temat wszystko, co wydano w Polsce i poza naszymi granicami.

– Skąd to pani wie?

– Pamiętam, co zamawiał w bibliotece. Kazał sobie nawet ściągnąć ostatnią rewelacyjną książkę szwedzkiego historyka Oskara Sjöströma. Znacie ją, panowie?

Pokręciliśmy głowami. Mnie – historykowi z wykształcenia – zrobiło się trochę wstyd.

– Sjöström to doktor nauk historycznych na uniwersytecie w Sztokholmie – poinformowała nas Gabrielska. – A proszę sobie wyobrazić, jego książka o bitwie pod Wschową była w 2008 roku nominowana w Szwecji do tytułu historycznej książki roku! Bodaj pięć lat temu wyszła po polsku. Julian bardzo chciał ją przeczytać i kiedy wypożyczył ją z naszych zbiorów, dwukrotnie musiałam go upominać, bo przekroczył wszelkie terminy oddania książki. A na koniec okazało się, że nie ma z czego zapłacić kary... Ale on chyba tylko tak mówił, że nie ma. Nie wierzę, że wszystko przepił...

– Wspomniała pani o niemieckim nazwisku, które wymienił Zamiejski. O kogo chodziło?

– Dobry Boże, nie pamiętam! Zapamiętałam tylko, że brzmiało z niemiecka i było długie. A może dwuczłonowe? Naprawdę nie pamiętam. – Podniosła dłonie na znak, że się poddaje. – W każdym razie Julian wymienił je przy mnie tylko raz. Gdybym wiedziała, że to ważne, na pewno bym je zapamiętała...

– Ale z kontekstu wynikało, że chodziło o uczestnika bitwy? – dopytywałem.

– Raczej tak – odpowiedziała dość pewnie. – Nie wiem, czy nie był to przypadkiem jakiś oficer... Julian wyrażał się o nim z szacunkiem. Tak, to był chyba jakiś dowódca. Nazwiska jednak nie zapamiętałam...

Pokiwaliśmy głowami z wyrozumiałością. Z opowieści byłej bibliotekarki wynikało, że Zamiejski odnalazł coś, co z jakichś względów było dla niego ważne. Jeżeli dobrze rozumiałem, chodziło o medalion, który potwierdzał udział w bitwie jakiegoś oficera. Po co było to jednak potrzebne dawnemu kustoszowi? Dlaczego było dla niego tak ważne? Pytania mnożyły się, a odpowiedzi brakowało.

– A czy był z nim wtedy Krzysztof Mąkiewicz? – wypaliłem w ciemno.

– Kto? – zdziwiła się Gabrielska.

– Krzysztof Mąkiewicz, dobrze zbudowany mężczyzna w naszym wieku – wyjaśniłem natychmiast.

– Nie, nie. Julian był wtedy absolutnie sam. Zarówno gdy zaczął mnie na ulicy, jak i później, w swoim mieszkaniu. On, zdaje się, nie miał żadnych przyjaciół.

– Nie wspominał nic o Mąkiewiczu?

– Nie wydaje mi się. Przepraszam, a kim jest ten mężczyzna?

To pytanie wprowadziło nas w zakłopotanie. Najwidoczniej Gabrielska nie śledziła informacji o ustaleniach policyjnych śledczych.

– Wiemy, że pomagał panu Julianowi w poszukiwaniach pamiętek po bitwie – odpowiedział Marek.

Na tyle sprytnie, by nie rozminąć się z prawdą.

– Nic o nim nie słyszałam – odpowiedziała emerytka. – Ojej... Może jednak zrobię tę herbatę? Tak mi wstyd, że nie mogę panów niczym poczęstować...

– Proszę się nie przejmować – uspokoilem ją z szerokim uśmiechem.
– Nie będziemy już dłużej pani męczyć. Gdyby tylko była pani tak dobra i zapisała mi na kartce nazwisko tego szwedzkiego historyka, o którym pani mówiła... To naprawdę bardzo by nam pomogło.

– Oczywiście – zgodziła się Gabrielska. – Z największą przyjemnością.

Po chwili trzymałem w dłoni jej dawną wizytówkę. Na odwrocie wypisała szwedzkie nazwisko z dwoma ö. Już wiedziałem, że czeka mnie pilna lektura.

Zerwaliśmy się z kanapy, dziękując za relację. Gabrielska wyglądała na zadowoloną z naszych odwiedzin. Najwyraźniej w ostatnich latach nie narzekała na nadmiar kontaktów. W drzwiach zatrzymała nas jeszcze krótkim pytaniem:

– Wiecie może, panowie, kiedy będzie jego pogrzeb?

Nie wiedzieliśmy. Ale w drodze powrotnej uznaliśmy, że trzeba się dowiedzieć.

21.

Takie nieszczęście!

- Myślisz, że on znalazł coś wartościowego?
 - Kto? Zamiejski?
 - Tak. Może ten medalion był bardzo cenny? I może właśnie dla niego Mąkiewicz zabił kustosza?
 - Nonsens. Nie słyszałeś, co mówiła Gabrielska? Medalion był w fatalnym stanie.
 - Nie w fatalnym, tylko w złym.
 - Powiedziała, że był skorodowany. A skoro tak, nie mógł być cenny. Złoto albo srebro nie pokrywa się rdzą...
 - Określiła medalion słowem „szerniały”. To wcale nie musiało oznaczać rdzy. O ile wiem, srebro pokrywa się z czasem szarym nalotem. A po tylu wiekach...
 - Bodziu, chyba nie wierzysz, że Mąkiewicz zabił bezbronnego człowieka dla dawnej błyskotki?

Nasza dyskusja nad pierogami nie była łatwa ani przyjemna. Ja podrzucałem coraz to nowe pomysły i interpretacje, a Marek znajdował niebywałą przyjemność w chłodnym, rzeczowym obalaniu moich hipotez. W pewnym sensie nieźle się uzupełnialiśmy. O ile moje teorie wносиły do naszego śledztwa coś w rodzaju ożywczego fermentu, o tyle sceptycyzm specjalisty od tego, co policzalne i wymierne, systematyzował je i odsącał z nich tylko to, co miało jakąś wartość. Jak gęste sito, przez które poszukiwacze złota przepłukiwali niegdyś wodę w poszukiwaniu choćby śladowych ilości cennego kruszcu.

– Masz rację. Ten medalion to trochę za mało – powiedziałem, wpatrując się przez szybę lokalu w narastający ruch na głównej ulicy miasta. – Wydaje mi się, czuję to, że w tej historii było coś więcej. Coś, co nakazywało Zamiejskiemu wychodzić zawzięcie na pola w poszukiwaniu śladów tamtej batalii. On naprawdę czegoś szukał. Czegoś znacznie ważniejszego niż to, co pokazał Gabrielskiej.

– Być może – zgodził się ostrożnie Marek. – Ale nie zapominaj, że nie szukał sam. A przynajmniej nie w ostatniej fazie. W jakiś sposób przyplątał się do niego Krzychu. Jak? Dlaczego? Obawiam się, że trudno to będzie ustalić. Myślę, że nie zrobił tego bezinteresownie. A już na pewno nie z miłości do historii, co do tego nie mam żadnych złudzeń.

– Rzeczywiście nie sprawiał wrażenia człowieka żyjącego przeszłością – poparłem wniosek kolegi. – Ale pozory mają to do siebie, że często mylą.

– Daj spokój, Boguś! – zachnął się Marek. – Podobno nie mówi się źle o zmarłych, ale gwarantuję ci, że akurat Krzychu Mąkiewicz był człowiekiem nad wyraz czytelnym. Jestem pewien, że nie odróżniał wojny północnej od secesyjnej, a Augusta Mocnego od cesarza Augusta...

– A ty odróżniasz? – zażartowałem.

I zaraz pożałowałem, bo Cichoń dźgnął mnie łokciem pod żebro, a ja o mały włos nie udławiłem się niepogryzionym ruskim.

– Przypomnę, że to pewien magister historii miał spore problemy ze skojarzeniem bitwy pod Wschową – odbił piłeczkę Marek. – Jak również nie wiedział nic o słabości Wettynów do tego miasta.

– Nieprawda! – zaprotestowałem. – Po prostu jestem na wakacjach, moja pamięć użytkowa funkcjonuje na lekko zwolnionych obrotach!

– Pamięć użytkowa! Zwolnione obroty! Proszę, jak pan magister sobie zgrabnie wymyślił!

Pośmialiśmy się z siebie, kończąc smaczne, domowe pierogi w niedużej restauracji przy Ratuszowej. Zanim uregulowaliśmy rachunek, zgodziliśmy się jeszcze co do jednego: trzeba się było dowiedzieć czegoś więcej na temat ratownika, którego znaleźliśmy

w jeziorze.

Obydwaj czuliśmy, że jego nagła miłość do historii była nad wyraz podejrzana.



Mąka mieszkał w kamienicy naprzeciw stawu, położonej poza ścisłym centrum. Z okien mieszkania widział zapewne budynek miejscowego liceum i boiska szkolnego z owalem bieżni i na pewno często zostawiał tam siódme poty na lekcjach wuefu. Ale samego liceum nie wspominał chyba z sentymentem. W drodze do jego domu Marek opowiedział mi dlaczego: Krzychu miał od zawsze problemy z nauką, a maturę zdał jakimś trudnym do zrozumienia cudem.

– Zdaje się, że także później ciągle mieszkał u matki. Ale mogę się mylić, bo od kilkunastu lat nie miałem z nim kontaktu – wyjaśnił mój kolega śledczy.

Kamienica była wysoka, dwupiętrowa. Do głównego wejścia, znajdującego się na tyłach budynku, prowadził wjazd na podwórze, przebiegający pod jednym z mieszkań. Gdy zagłębiliśmy się w cień bramy, omal nie rozjechał nas jakiś małolat za kierownicą rozklekotanego małego fiata. Odskoczyliśmy na boki niemal w ostatniej chwili.

– Niezłe jaja – skwitowałem, wdychając mimo woli smród spalonych oktanów.

Na podwórzu dostrześliśmy niskie, dość szpetne garaże i metalowy trzepak. Siedziało na nim dwóch wyrostków gapiących się w ekrany swoich telefonów komórkowych. Nawet nie podnieśli wzroku, gdy ich minęliśmy. Z aparatu jednego z nich do naszych uszu dobiegły proste dźwięki discopolowego przeboju:

*Przez twe oczy,
te oczy zielone,
oszalaaaaałem...*

Zenek Martyniuk miał liczne grono fanów także w Lubuskiem.

Weszliśmy na klatkę schodową i rzuciliśmy okiem na mocno już wypłowiały, wykonany odręcznie spis lokatorów. Pod siódmką znaleźliśmy wpis: Patrycja Mąkiewicz.

– To jego matka – powiedział nie wiedząc czemu szeptem Marek.

W jednej chwili poczułem się jak w konspiracji. Skinąłem głową i w milczeniu weszliśmy po wytartych drewnianych schodach na drugie piętro. Kiedy stanęliśmy przed drzwiami mieszkania Mąkiewiczowej, Marek zaczął zdradzać objawy paniki.

– Stary, raczej nie dam rady... – pisnął i zbladł. – To chyba zbyt świeża sprawa. Ledwie go znaleźliśmy...

– Ej, nie rób mi tego! – zdenerwowałem się. – Wiem, że to trudne, ale bez ciebie ta kobieta mi nie zaufa!

– No tak... Ale tu jest inna sytuacja. Tu chodzi o matkę...

Rozumiałem go, ale nie mogłem pozwolić, by wycofał się w ostatniej chwili.

– Widziałeś reakcję Gabrielskiej na moją gębę? – odwołałem się do doświadczeń sprzed kilku godzin. – Chcesz, żeby matka Krzycha zamknęła się w sobie i nic nam nie powiedziała?

Ten argument chyba przemówił do Marka. Wyglądał jednak na przejętego sytuacją. Szczerze mówiąc, nie chciałem być w jego skórze. Żeby nie uciekł w ostatniej chwili, zapukałem stanowczo w drzwi.

Ledwie to zrobiłem, otworzyły się dość gwałtownie i stanęła w nich zażywna kobieta w czerni. Sprawiała wrażenie, jakby właśnie gdzieś wychodziła.

– A panowie do kogo? – Zatrzymała się w pół drogi.

– Dzień dobry, my do pani – przemówił Marek. – Pewnie mnie pani nie poznaje. Marek Cichoń, kolega Krzyśka z klasy...

Patrycja Mąkiewicz skryła twarz w dłoniach i zaszlochała gwałtownie.

– To ty go znalazłeś, prawda? – powiedziała łamiącym się głosem. – Wejdźcie, proszę... Takie nieszczęście! Takie nieszczęście...

Poprowadziła nas do dużego pokoju z dwoma oknami i wysokim sufitem. Na ścianie głównej wisiał obraz Matki Boskiej Częstochowskiej. Jej smutne oblicze współgrało z bólem odmalowanym na twarzy matki Mąkiewiczza. Usiedliśmy wszyscy na starej kanapie – my z jednego brzegu, ona z drugiego. Wpatrywaliśmy się w siebie w milczeniu, jakby szukając odpowiednich słów do trudnej rozmowy.

– Zawsze stawiałam mu ciebie za wzór – odezwała się w końcu Patrycja Mąkiewicz, patrząc na Cichonia. – Mówiłam, żeby brał z ciebie przykład. Żeby uczył się, odrabiał lekcje, niczego nie zaniedbywał. Mówiłam mu: „Popatrz na Marka, z niego na pewno będą ludzie. Tak się stara! Jak nic pójdzie na studia i będzie lekarzem albo prawnikiem”. Ale Krzysiu nie chciał mnie słuchać. Odkąd opuścił mnie mąż, chłopak popadł w złe towarzystwo. I na żadne studia nie poszedł...

Marek zrobił się czerwony, jakby został przyłapany na czymś wstydlivym. Milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

Zaczynałem rozumieć, skąd się wzięła ta specyficzna mieszanka nonszalancji i pogardy, z jaką Krzychu Mąkiewicz odnosił się do Marka kilka dni temu na plaży w Lginiu. Jeśli matka codziennie powtarzała mu jak mantrę historię o pilnym Marku, a jemu zwyczajnie nie szło – ani w szkole, ani w życiu – musiał w końcu znienawidzić podsuwany mu nachalnie przykład. Choć nie było w tym żadnej winy Cichonia.

– Tak mi przykro, proszę pani – zebrał się w końcu w sobie Marek. – Krzysztof... Krzysztof należał do moich najlepszych kolegów.

Spojrzałem na niego z podziwem. Kiedy nie chcemy kogoś zranić, stać nas na największe kłamstwa. To przeszło przez gardło kolegi stosunkowo gładko.

– Marek opowiedział mi o pani synu wiele dobrego – zełgałem

równie sprawnie, czując, że akurat tym razem niebiosy nam wybaczą.
– Nie możemy uwierzyć w to, co się stało. I zachodzimy w głowę daczego.

Matka Mąkiewicza spojrzała zapuchniętymi oczami na Matkę Boską. Dolna warga kobiety drżała ze wzruszenia.

– No właśnie – wyszeptała. – Policja też mnie o to pytała. I wtedy, na komendzie, i wczoraj, kiedy do mnie przyszli. A ja nie potrafię na to nic odpowiedzieć. Zupełnie nic, rozumiecie?

Poczekaliśmy, aż wytrze oczy i nos w chustkę, którą znalazła w kieszeni spódnicy. Było mi jej żal, ale starałem się nie poddawać emocjom.

– Czy Krzysztof nie wydawał się pani ostatnio jakiś niespokojny? – zapytałem najdelikatniej, jak potrafiłem.

Spojrzała na mnie wzrokiem, w którym nie było nic prócz żalu.

– Nie, był wręcz bardzo spokojny – odpowiedziała, łkając. – Wydawało mi się nawet, że wreszcie wychodzi na prostą. Wiecie, on miał za sobą zły okres. Zamotał się w jakieś lewe interesy. Podobno coś dla tego gangstera robił... Ale mi nigdy o tym nie mówił. Nigdy. Tylko się denerwował, kiedy mu proponowałam, żeby poszedł do pośredniaka o zwykłą pracę zapytać. Ale wiem, że z tym Krzywym, to ponoć zerwał. Tak ludzie w mieście mówią, bo od niego nic się nie dowiedziałam. A kiedy tę robotę ratownika podłapał, to się nawet ucieszyłam. Pomyślałam, że wreszcie się chłopak ustabilizuje, może dziewczynę jakąś pozna? Może coś dobrego z tego wyniknie? Człowiek się łudził, nie ma co... A potem dostał cios w głowę... Myślałam, że mi serce pęknie!

Znowu zanosła się płaczem. Marek podał jej chustkę higieniczną, ale jej nie przyjęła.

– A teraz jeszcze piszą, że mój Krzysiu zabił tego kustosza! – wybuchła. – Nawet nie wiem, czy w to wierzyć! Policja nie chce mi nic powiedzieć. Zupełnie nic! Po co to robić takie tajemnice? Po co?! Czy matka nie ma prawa wiedzieć?...

Marek znowu zbladł, a na jego czoło wystąpiły krople potu.

Sytuacja nas przerosła, choć przecież mogliśmy się spodziewać, że

idąc do matki, która właśnie straciła syna, wpadniemy w sam środek nieutulonej żałoby. Siedzieliśmy cicho jak trusie, bojąc się powiedzieć coś niestosownego. Dotknęliśmy żywej rany, więc na wszelki wypadek nie grzebaliśmy w niej więcej.

– Nie wiem, co i dlaczego się stało. – Patrycja Mąkiewicz nie pozostawiła nam żadnych złudzeń, że chwycimy jakiś trop. – To się wydarzyło tak nagle, że ciągle nie mogę się z tym pogodzić...

– Pani Patrycjo – zaczął ostrożnie Marek. – Czy to prawda, że Krzysztof znał się blisko z kustoszem Zamiejskim?

– Nic o tym nie wiem – odpowiedziała bez namysłu.

Zbyt naturalnie, by podejrzewać, że nie mówi prawdy.

– A tego dnia, gdy to się wydarzyło... – zaryzykowałem. – Czy syn nie mówił pani, z kim się zamierza spotkać? Albo jakie ma plany?

Naiwny byłem, to fakt. Szybko zostałem sprowadzony na ziemię.

– On mi się nigdy nie spowiadał – usłyszałem. – Wtedy powiedział mi jedynie, że jedzie do pracy. Tylko tyle... Nawet pan nie wie, jaka byłam w tym momencie szczęśliwa! Mój syn wreszcie miał normalną robotę, o którą dbał. Miał jakieś widoki. Ratownik to niby nic wielkiego. Praca na lato, na kilka miesięcy. Ale to mógł być dobry początek. Tak się o to modliłam! Tyle razy dawałam na mszę, żeby Krzysiu się zmienił, poprawił... – Znowu spojrzała na zboląłą twarz Matki Boskiej Częstochowskiej. – A teraz proszę: mogę jedynie pokazać policji jego pokój. I opowiedzieć o nim jak o jakiejś historii, która się zakończyła... Powiedzcie sami, czy to jest sprawiedliwe?

Odpowiedź zdawała się tak oczywista, że ją zmilczeliśmy.

– A tak chciałam, żeby on był taki jak ty. – Kobieta znowu zwróciła się do Marka. – Widziałam, jaka dumna była twoja matka na wywiadówkach. Jak ja jej wtedy zazdrościłam!

Sytuacja stawała się niezręczna. Trzeba się było wycofać, bo ból matki Mąkiewiczza narastał. Szanse na jakąkolwiek nową informację spadały do zera. Ale w tym morzu nieszczęścia mój kolega błysnął niespodziewanie przytomnością umysłu.

– Czy... mógłbym zobaczyć jego pokój? – zapytał.

– Byli tu policjanci. Dwaj, z naszej komendy – wyjaśniła, otwierając przed nami drzwi, odgradzające korytarz od synowskiego świata, który niespodziewanie zatrzymał się w miejscu.

To było dziwne: facet grubo po czterdziestce mieszkał ciągle u matki. Czyżby nigdy nie odczuł potrzeby usamodzielnienia się? Przecież spotykał się z kobietami, na przykład z tą z Leszna. Gdzie się wtedy umawiali – u niej czy może w Hubertusie? To musiało być kłopotliwe. Chyba że miał drugie mieszkanie, o którym nie powiedział matce...

Nie miałem czasu, by zastanawiać się nad tym dłużej. Zobaczyłem bowiem wewnątrz pokoju Krzysztofa Mąkiewicza. Lokum nie było duże, miało może dziesięć metrów kwadratowych. Przez wąskie okno od podwórza wpadało słabe światło. Nie na tyle jednak słabe, by nie zauważyć regału z wieżą, elektrycznej gitary opartej o stojak wraz ze wzmacniaczem, niepościelonego łóżka i plakatów z roznegliżowanymi panienkami na ścianie nad nim. Odniosłem dziwne wrażenie, że znalazłem się w pokoju nastolatka, a nie starego kawalera – pardon, singla. Półnagie piękności w wyzywających pozach nieźle kontrastowały z Matką Boską w pokoju za ścianą.

Matka Krzycha podążyła wzrokiem za moim spojrzeniem i chyba się trochę zawstydziała.

– Kilka razy kazałam mu je zdjąć, ale nigdy mnie nie posłuchał – usprawiedliwiła się, choć wraz z Markiem z pewnością nie byliśmy komisją do spraw moralności.

– O, tu są książki – wyrwało mi się, gdy podszedłem do regału.

Oparte o wieżę stały jakieś albumy. Wziąłem kilka z nich do ręki. *Historia BMW* – przeczytałem. Dwa kolejne dotyczyły futbolu, a następny – rodzajów whisky. Tak, Krzysztof Mąkiewicz miał niewątpliwie rozległe zainteresowania. Ale raczej akurat nie te kosztowały go życie.

W oczach Marka dostrzegłem rozczarowanie. Czułem dokładnie to

samo. Spodziewaliśmy się znaleźć tu Bóg wie co, a tymczasem naszą uwagę najbardziej przyciągały brudne dzinsy, ciągle zwisające z krzesła.

– Krzysztof miał laptop, ale zabrała go policja – dopowiedziała matka zamordowanego. – Powiedzieli, że oddadzą go po analizie.

– Rozumiem. – Wycofałem się grzecznie z ciasnego pokoju.

W korytarzu zapytałem raz jeszcze o to, co łączyło jej syna z byłym kustoszem. Po raz drugi odpowiedziała, że nic o tym nie wie.

– Krzysztofa widziano z Zamiejskim w mieście – podrzuciłem.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Już powiedziałam, że mi się nie spowiadał. Może to szkoda...

Podziękowaliśmy, ucałowaliśmy dłoń kobiety w żałobie i z ulgą opuściliśmy mieszkanie Mąkiewiczów.

Gdy schodziłem po schodach, prześladowało mnie poczucie bezradności. Niby coś wiedzieliśmy, a nie wiedzieliśmy nic. Matka Mąki nie pomogła nam ani o krok przybliżyć się do prawdy o śmierci syna – wykolejeńca.



– Biedna kobieta – westchnął Marek, gdy znaleźliśmy się na podwórku.

Na trzepaku dwóch nastolatków nadal gapiło się bezwiednie w ekrany smartfonów.

– Biedna – przytaknąłem. – I nie powiedziała nam nic nowego. Cholera, co tu jeszcze można zrobić? Mam wrażenie, że znaleźliśmy się w ślepej uliczce.

– Trzeba próbować – syknął Marek. – Uważaj...

Nagle skręcił w stronę wyrostków okupujących metalową konstrukcję. Pospieszyłem za nim, nie wierząc, że ma to jakikolwiek sens.

... jak do tego doszło, nie wiem,

miłość o sobie dała znać...

– usłyszeliśmy znowu słowa discopolowego hitu sączącego się słodko-mdłym dźwiękiem z telefonu jednego z małych.

– Hej, chłopaki! – Na dźwięk głosu Marka z trudem oderwali oczy od ekranów.

*...Co poradzić mogę na to,
że miłość przyszła właśnie dziś...*

– Możemy porozmawiać?

*...że w sercu mym jest lato,
a w moich myślach jesteś ty...*

– Zależy o czym – odparł jeden z nich, wracając wzrokiem do krępej postaci Zenka na ekranie.

Bez dwóch zdań mieli nas w poważaniu. Głębokim poważaniu.

*...Przez Twe oczy, te oczy zielone, oszalałem,
gwiazdy chyba tym oczom oddały, cały bla-a-a-ask...*

– Panowie, jest forsa do zarobienia – rzuciłem mało etycznie. Muzyka ucichła w okamgnieniu. Spojrzeli najpierw na siebie, a potem na mnie.

– Jakiś problem? – zapytał ten nieco wyższy i chyba starszy.

Wyglądali na braci. Obaj blondwłosi, piegowaci, z tym samym, dość bezczelnym wyrazem twarzy. Dogadamy się, pomyślałem. Wymownie położyłem dłoń na kieszeni spodni.

– Znaliście dobrze Krzycha z drugiego piętra?

– Kto by nie znał Mąki? – Starszy wypowiedział ksywę denata z wyczuwalnym szacunkiem. – A... o co chodzi?

– Jesteśmy jego kumplami. On z budy, ja z interesów – zablefowałem. – Chcemy się dowiedzieć, z kim Mąka ostatnio się

spotykał. Chyba wiecie, co mu się stało?

Pokiwali w milczeniu głowami, a w ich oczach pojawił się respekt. Czyżby te chłopaki zdawały sobie sprawę, z kim zadawał się Mąkiewicz? I dlaczego teraz kumple Krzycha pytają ich o jego kontakty? A może sami dla niego pracowali?

– Znaliście Zamiejskiego? – kułem żelazo, póki gorące.

– Nie.

– Nic wam nie mówi to nazwisko?

– Nic.

– A kto przychodził ostatnio do Krzycha?

– Ostatnio to chyba nikt.

– Jak to nikt?

– Normalnie. Bo on tu rzadko mieszkał. Z matką miał kosę, znaczy się.

– A jak już tu był, to nikt do niego nie zaglądał?

– Nie.

– Nigdy? Ani razu?

– No, chyba nigdy.

– Chyba? – Znowu poczułem piekący zawód.

Czyżby Mąkiewicz był odludkiem, który jeździł wyłącznie do kobiety w Lesznie? Jakoś nie chciało mi się w to wierzyć.

– No, raczej nie.

To „raczej” pozostawiało jakiś cień nadziei.

– Krzychu miał kobietę. W Lesznie. Nigdy tu nie przyjechała? – uchwyciłem się jej jak tonący brzytwy.

– Nie widzieliśmy tu żadnej laski.

Straciłem impet, nie wiedząc, o co jeszcze mógłbym zapytać.

– A może ktoś po Krzycha przyjeżdżał? – rzucił znienacka Marek. – Naprawdę nic nie widzieliście?

Młodszy z chłopaków poruszył się niespokojnie na metalowej belce.

– Tak? – Zrobiłem krok w jego stronę.

– Jakiś tydzień temu... – odezwał się niepewnym tonem. – Na pewno przed niedzielą. Siedzieliśmy tak jak teraz, stąd dobrze widać cały wjazd...

Odwróciłem się. Faktycznie, trzepak był doskonałym punktem obserwacyjnym.

– I co?

– Gdzieś tak o dwunastej przed domem zatrzymał się taki ładny koreańczyk...

– Koreańczyk?

– No, tak, kia sportage. – Młody wypowiedział tę nazwę całkiem poprawnym angielskim. – Pan wie, taka niby terenówka, tylko krótka.

– Aha... – Serce zabiło mi mocniej.

– Usłyszeliśmy go, bo mu hamulce zapiszczały – dorzucił starszy z chłopaków. – I wtedy z piętra zbiegł Mąka. Machnął nam nawet ręką i poleciał do tego samochodu. Zaraz potem odjechali.

– Ilu ich było? W tym samochodzie?

– Nie widziałem dokładnie przez czarne szyby – odpowiedział znowu starszy. – Ale ta kia była taka brązowa. I miała niemieckie blachy.

– Niemiecką rejestrację?

– No tak. To znaczy, była z Dojczlandu...

Poczułem, że drżą mi ręce. A zaraz potem zrobiło mi się zimno. Właśnie sobie coś przypomniałem. Coś bardzo ważnego.

– Co ci jest, Boguś? – zaniepokoił się Marek. – Źle się czujesz?

– Widziałem już ten samochód – odpowiedziałem, nie zważając na świadków.

– Gdzie? Kiedy?

Chwyliłem go za rękaw i odciągnąłem od trzepaka na tyle daleko, żeby łebki nie usłyszały.

– Wtedy pod Hubertusem – wyszeptałem.

22.

Stary będzie wściekły

Wyrostki z podwórka Mąki rzetelnie zapracowały na swoje dwie dychy. Choć jako stary belfer nie pochwalam takich metod, w tym jednym przypadku przymknąłem oko. Waga zdobytej w ten sposób informacji usprawiedliwiała jej koszty. Zresztą niewspółmiernie małe w stosunku do jej znaczenia.

Nagle w tej dziwnej historii coś istotnego wskoczyło na swoje miejsce. Zupełnie jakby w obrazie z puzzli odnalazł się brakujący, kluczowy element. Niemal natychmiast przypomniałem sobie, że kia miała rejestrację wskazującą na Drezno. A Drezno to przecież... stolica Saksonii! Tej samej Saksonii, której armia została pobita w 1706 roku pod murami Wschowy przez Szwedów. Czyżby obecność obcokrajowców w Hubertusie miała jakiś związek z tamtą bitwą? A może z tajemniczymi poszukiwaniami prowadzonymi przez Zamiejskiego? Poszukiwaniami, w których staremu kustoszowi pomagał ponoć Mąkiewicz?

– Musimy zawiadomić policję! – zdecydowałem, gdy tylko opuściliśmy podwórko kamienicy Mąkiewiczów. – Oni nadal mogą mieszkać w tym zajeździe!

Teraz wszystko zdawało się całkiem jasne. Zapewne Krzychu pojechał na spotkanie z Niemcami, właścicielami koreańskiego samochodu. Tylko co go z nimi łączyło? I czy na pewno?

– Oni mogą być niebezpieczni – stwierdził całkiem przytomnie Marek. – Lepiej rzeczywiście powiadomić policję.

Wskoczyliśmy do mojego forda i w kilka minut znaleźliśmy się pod

komendą powiatową, w której całkiem niedawno składaliśmy zeznania. Na nasze stanowcze żądanie dyżurny wywołał aspiranta Polnego, którego poznaliśmy nad brzegiem jeziora, gdy jego ekipa wyjmowała z wody zwłoki Mąkiewicza. Polnemu towarzyszył starszy aspirant Kula, który z kolei przesłuchał nas niedawno piętro wyżej.

– Mamy ważne informacje w sprawie zabójstwa Krzysztofa Mąkiewicza – oznajmiłem im bez ogródek.

Widząc nasze rozgorączkowanie, zaprosili nas natychmiast do środka.

Miałem niegdyś złe doświadczenia z policją, ale tym razem jej funkcjonariusze zachowali się bez zarzutu. Bez zbędnych ceregieli – i bez niepotrzebnych pytań o motywacje naszych dotychczasowych działań – wysłuchali mojej opowieści o naszej wizycie u matki Mąkiewicza, uzupełnianej co jakiś czas cennymi uwagami Marka. Starałem się mówić zwięźle i na temat, a i tak Marek kilka razy naprowadził mnie z powrotem na główną ścieżkę. Kula i Polny słuchali z przejęciem. Gdy doszedłem do momentu, w którym w mojej relacji pojawiła się kłopotliwa sportage z Drezna, starszy aspirant Kula wyraźnie się ożywił.

– Coś jeszcze? – rzucił w moją stronę, jakby chciał się upewnić, że może już przerwać moje zeznanie.

– Powiedziałem już chyba najważniejsze – odpowiedziałem.

Dopiero później uświadomiłem sobie, że ani słowem nie wspomniałem o rzekomej przyjaźni Zamiejskiego z Mąkiewiczem. Wyjątkowo podejrzaną przyjaźni, poświadczoną przez grupę miejscowych żulików. Pewnie nie powiedziałem o niej ze względu na „jakość” źródeł. A może coś mnie tknęło, żeby tego nie ruszać?

– Panowie, dziękuję za obywatelską postawę! Panowie wybaczą, musimy działać. Natychmiast! – Kula podniósł zza stołu swój okazały brzuch. – Tomek, zbieraj ekipę i jedźcie do Hubertusa. Zgarnijcie tych Niemców i przywieźcie ich na komendę. Ja w tym czasie zorganizuję tłumacza.

– Się robi! – odkrzyknął Polny i wybiegł z gabinetu.

Starszy aspirant Kula pomacał się po spoczonej łysinie.

– Zeznanie panów spisujemy za chwilę – wyjaśnił tonem człowieka przywiązanego do formalności, które muszą ustąpić pod naporem chwili. – Brakowało nam takich sygnałów. Cieszę się, że panowie do nas przyszliście. Mam nadzieję, że wreszcie chwycimy byka za rogi...

Taka szczerość w ustach funkcjonariusza mogła zdradzać tylko jedno – frustrację. Wyglądało na to, że policja nie mogła się dotąd pochwalić niczym szczególnym w śledztwie w sprawie śmierci Mąkiewicza. Musiało to uwierać lokalnych stróżów prawa, zważywszy na fakt, że to ratownik okazał się zabójcą Zamiejskiego. Wyobrażałem sobie miny śledczych, gdy dowiedzieli się, kto zamordował byłego kustosza.

– Oby – mruknąłem, nerwowo zacierając ręce.

Emocje dosłownie mną targały, ale starałem się trzymać je na wodzy. Marek również wyglądał, jakby miał się za chwilę przewrócić. Zżerały nas stres i niepewność.

Przez uchylone okno usłyszeliśmy tupot nóg kilku ciężkich osób i trzask drzwi radiowozu. Zaraz potem kierowca uruchomił silnik i auto ruszyło spod komendy z piskiem opon.

Rzuciłem okiem na zegarek. Dochodziła czternasta.



Gdy specjalna grupa pod dowództwem aspiranta Polnego pędziła w stronę zajazdu, razem z Markiem powtórzyliśmy nasze zeznania w obecności innego policjanta, który spisał je sprawnie na komputerze. Z nerwów kilkakrotnie myliłem się w opowieści, ale na szczęście Marek wszystko skorygował. Gdy podpisywałem swoją część zeznań, ręka nadal trzęsła mi się z emocji. Pocieszyłem się, że Marka również.

Po naszych zeznaniach aspirant Kula odprowadził nas do wyjścia.

– Dziękujemy za pomoc. Proponuję, byście panowie nie wyjeżdżali dziś z miasta – powiedział. – Możecie być jeszcze potrzebni.

Nie bardzo wiedząc, co z sobą zrobić, usiedliśmy na ławce przed

komendą. Od wyjazdu ekipy upłynęło już dobre pół godziny – policjanci na pewno dawno dotarli na miejsce. Czy zatrzymali Niemców?

Odpowiedź przyszła w najmniej spodziewany sposób. Przez uchylone okno na piętrze dobiegł nas niespodziewanie podniesiony głos Kuli.

– Ty nie słuchaj, tylko raportuj! – krzyczał, zapewne do słuchawki. Macie ich?! Na moment zapadła cisza. Polny zapewne sprawozdawał w tym momencie Kuli wyniki akcji. – Jak to: nie ma ich w Hubertusie?! – wybuchnął otyły aspirant. – Wyjechali dwa dni temu?!

Wyobraziłem sobie policjantów kręcących się bezradnie wokół zajazdu i po pobliskim parkingu. Musieli być rozczarowani i źli. Czy natknęli się na prostytutkę, z którą rozmawiałem? Raczej wątpliwe, na pewno zesłała im z oczu.

– Czyli wyjechali we wtorek?! – upewnił się Kula. Ton jego głosu zdradzał wzburzenie. – W dniu odnalezienia zwłok Mąkiewicza! I co z tego, że jeden mówił po polsku?! Też mi informacja! Szlag by to trafił! A ten Polak? Też się nie przedstawił? Taaa, Jan Kowalski! A jego kumpel na pewno Hans Kloss! Kurwa mać! Wracaj, Tomek, do komendy! Stary będzie wściekły...

23.

Porachunki i news

Ten czwartek dał nam nieźle popalić! A wcale jeszcze się nie skończył. Aż strach było pomyśleć, co czeka na nas za rogiem. Wracaliśmy do domu z duszą na ramieniu. Ale też z wściekłością, że nasze odkrycie nie przełożyło się na sukces śledztwa. Doskonale rozumiałem gorycz, która towarzyszyła starszemu aspirantowi Kuli. Wyjaśnienie zagadki zdawało się tak bliskie! Tymczasem los po raz kolejny zagrał nam wszystkim na nosie.

W pierwszym odruchu chciałem wsiąść w samochód i pojechać do Hubertusa. Nie wierzyłem wprawdzie, by jego pracownicy byli skłonni powiedzieć mi coś więcej, niż zeznali policji. Pomyślałem jednak, że może odnajdę prostytutkę z parkingu i dowiem się od niej więcej na temat mężczyzn, którzy mieszkali w zajeździe. Zrezygnowałem, gdy dotarło do mnie, że nalot policji na pewno skutecznie ją wypłoszył.

Ledwo opadliśmy na fotele w mieszkaniu Cichoniów, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Redaktor Gromadzki miał rozbiegane oczy, zdradzające dezorientację.

– Panowie, co się dzieje? – Wpadł do środka, nie czekając na zaproszenie. – Słyszałem, że była jakaś akcja policji w Hubertusie! Podobno wcześniej składaliście zeznania na komendzie...

Patrząc na spoconego dziennikarza, wreszcie poczułem satysfakcję. Po raz pierwszy w tej sprawie to my znaleźliśmy się przed medialnym człowiekiem-orkiestrą. Lokalny Murdoch sprawiał wrażenie oszołomionego tak błyskawicznym rozwojem wypadków.

– Tak, byliśmy – odpowiedział Marek.

– Musicie mi wszystko opowiedzieć. – Gromadzki poprawił nerwowym ruchem oprawki okularów, choć te spoczywały stabilnie na jego nosie.

– Musimy? – rzuciłem prowokacyjnie.

Lekkie zarozumialstwo tutejszego żurnalisty kilka razy mocno zapadło mi w pamięć, ale koniec końców opowiedzieliśmy mu pobieżnie, co odkryliśmy, i dlaczego pofatygowaliśmy się na komendę. Gdy wyznałem Robertowi, że po jego informacji o Mąkiewiczu w Hubertusie pojechałem tam powęszyc, z emocji, a może też z zazdrości, przygryzł wargę. Nie skomentował jednak faktu, że nic mu o tym nie wspomniałem.

– Ależ historia! – Aż przymknął oczy, podsumowując naszą chaotyczną relację. – Muszę natychmiast wrzucić ją na portal.

Zdaje się, że zamierzał pobiec do redakcji. Miał w końcu niedaleko, może ze sto metrów.

– Chwileczkę. – Powstrzymałem go ruchem dłoni. – Nie wiem, jakie masz źródła w policji i jakimi zasadami się kierujesz, ale jeśli chodzi o nas, kategorycznie zabraniamy pisania o tym, kto poinformował policję o nowym wątku w śledztwie.

Nie wspomniałem mu ani słowem, że niejaki Krzywy tylko czeka na takiego newsa. I że niestety zawarłem z nim bliższą znajomość, która groziła pogłębieniem się w przypadku ujawnienia, że wraz z Markiem znamy nowe okoliczności w sprawie śmierci Mąki. Zamiast tego wstawiłem Gromadzkiemu gadkę o tym, że nie chcemy stracić wiarygodności w oczach policji, która jest przecież naszym sojusznikiem. Musiałem wypaść przekonująco, bo dziennikarz dość szybko przyjął mój punkt widzenia.

– No dobra, panowie. – Z emocji zacierał ręce. – Nie ujawniam was jako moich źródeł. Piszę, że policja zdobyła nowe informacje w sprawie kontaktów Mąkiewicza tuż przed jego śmiercią. I że w sprawę jego zabójstwa mogą być zamieszani obcokrajowcy. Bardzo ogólnie wspomnę też o próbie zatrzymania podejrzanych w zajeździe pod Wschową. Oczywiście zadzwonię po oficjalny komentarz do komendanta Borkowskiego, ale jak znam życie, powie mi kilka

okrągłych zdań. Bez jego wypowiedzi tekst nie może się jednak ukazać...

– W twój warsztat dziennikarski nie ingerujemy. – Puścił oko Marek.

– Zrobisz to na pewno świetnie – połechtalem podrażnione ego Gromadzkiego.

– Daj mi swój numer telefonu – poprosił. – Marek, twój stary numer jest OK?

Wybiegł z domu jak szalony, byle tylko szybciej znaleźć się nad klawiaturą komputera. Trochę mu współczułem, ale chyba na wyrost – nie wyglądał na nieszczęśliwego.

Pół godziny później na głównym miejscu Portalu Wschowskiego ukazał się tekst zapowiedziany sensacyjnym tytułem: *Nagły zwrot w śledztwie?*

Trzeba przyznać, że Gromadzki dotrzymał słowa. Powoływał się na policję lub na bliżej nieokreślone „źródła”. O nas w tekście nie było ani słowa.



Wizyta Gromadzkiego, pełna emocji, zaniepokoiła panią Beatę. Zajrzała do pokoju Marka, w którym zastanawialiśmy się co dalej. Spojrzała na nas z uwagą, próbując wysondować, w jak poważnych znaleźliśmy się tarapatach.

– Usłyszałam przez uchylone drzwi, że zgłosiliście się na policję? – zapytała. – Znowu?

– Nie „znowu”, mamu, bo wtedy po nas przyjechali. – Marek był rozdrażniony jej zainteresowaniem. – A teraz pojechaliśmy tam sami, z własnej i nieprzymuszonej woli.

– Ale dlaczego?

Chcąc nie chcąc, Marek w skrótowej formie przedstawił nasze ostatnie ustalenia. Nie wdawał się w szczegóły, by nie martwić matki. I ani słowem nie napomknął o naszych związkach z Krzywym. Beata Cichoń i tak wysłuchiwała go zafrasowana i jakby wystraszona.

– Dobrze zrobiliście, chłopcy – powiedziała, gdy skończył. – Ale może odpocznijcie trochę od tej zabawy w detektywów... Od takich spraw jest policja. A poza tym... ta historia stała się niebezpieczna.

Trafiła w punkt, bez dwóch zdań. I to nie tylko z powodu Krzywego, o którym przecież nie wiedziała. Historia dwóch morderstw popełnionych w ciągu zaledwie dwóch dni powinna nas skutecznie odstraszać od zgrywania bohaterów. A jednak klimat grozy nie potrafił nas odstraszyć. Wszystko przez tę cholerną tajemnicę. Dlaczego zwykły, średnio rozgarnięty ratownik z plaży w Lginiu z niejasną przeszłością u boku Krzywego zabił Bogu ducha winnego kustosza po przejściach? Kto odpłacił Mąkiewiczowi pięknym za nadobne, wrzucając jego ciało do jeziora? I o co w tym wszystkim, do diabła, chodzi?

– Ma pani rację – przytaknąłem nie tylko z grzeczności. – Problem w tym, że sprawa dotyczy człowieka, którego znaleźliśmy. To znaczy Marek bardziej, a ja krótko. Pewnie gdyby był dla nas obcą osobą, jego śmierć nie poruszyłaby nas tak bardzo.

Pani Beata pokiwała głową, ale w jej oczach nie dostrzegłem akceptacji.

– Bardzo was proszę, chłopcy: odpuście to sobie – powiedziała łagodnym tonem. – Przecież przyjechaliście tu odpocząć, prawda? Pogoda dopisuje, wykorzystajcie ten czas w dobry sposób. Mogę was o to prosić?

– Dobrze, mam – odpowiedział Marek.

Świetnie wiedział, że to nie takie proste. Zwłaszcza gdy jedziesz łowić ryby, a wyciągasz z wody martwego kolegę.



Kiedy przyszło w miarę spokojne popołudnie tego szalonego dnia, zdawało nam się, że limit niespodziewanych zdarzeń został wreszcie wyczerpany. I że dostaniemy w prezencie choć kilka leniwych godzin na nieśpieszne przemyślenie sytuacji.

Byliśmy jednak w błędzie.

Zanim jednak się o tym przekonaliśmy, doszliśmy do w miarę trzeźwego wniosku, że powinniśmy się wybrać na pogrzeb Juliana Zamiejskiego. Było więcej niż pewne, że w kondukcje żałobnym znajdują się osoby, które mogą mieć wiedzę na temat ostatnich tygodni życia byłego muzealnika. Na przykład dotyczącą jego związków z Mąkiewiczem. I tajemniczych poszukiwań, prowadzonych ponoć wspólnie przez tę dwójkę.

Pod wieczór zaczął padać deszcz, schładzając powietrze i obmywając zakurzone miejskie bruki. Wilgoć z zewnątrz działała niczym klimatyzacja, wnosząc do dusznego wnętrza kamienicy powiew świeżości.

– A może wyskoczylibyśmy na primatora? – zagadnąłem Marka.

Odczuwałem pilną potrzebę odreagowania napięcia.

– OK, to dobry pomysł – przyjął propozycję.

– Dokąd idziecie, chłopcy? – Pani Beata wychyliła się z kuchni, gdy drzwi pokoju lekko zaskrzypiały.

– Na piwko, mamó – Marek zrobił niewinną minę. – To dobre na sen.

– A tak, jedno piwko nie zaszkodzi. – Pogroziła nam palcem, odpowiednio akcentując kluczowe słowo.

Roześmieliśmy się, pomni skutków naszej ostatniej wieczornej eskapady. Atmosfera w kamienicy Cichoniów wyraźnie się poprawiła.

Na zewnątrz jeszcze siąpiło, nie na tyle jednak mocno, by groziło nam zmoknięcie. Powietrze było fantastyczne: rześkie i odświeżające. Pławiąc się w nim, ruszyliśmy znanym nam już szlakiem ku lokalowi na Daszyńskiego.

Gdy przechodziliśmy obok korpusu Kripplein Christi i towarzyszącej jej baszty, kątem oka zauważyłem znajomych meneli, kryjących się przed deszczem pod jedną z lip. Oni zresztą też nas dostrzegli i co gorsza – rozpoznali.

– Szefuńciu, jednego relaksa! – usłyszeliśmy ich radosne nawoływanie.

Przyspieszyliśmy kroku, udając, że ich nie dostrzegliśmy. Szybko

przekroczyliśmy główną krzyżówkę miasta i znaleźliśmy się na pochyłości ulicy Daszyńskiego.

Na ulicach było pustawo, wschowanie o tej porze siedzieli zapewne przed telewizorami, śledząc postępy „dobrej zmiany” w serwisach informacyjnych. Mnie polityka chwilowo przestała interesować. W głowie miałem ciągle te same pytania: dlaczego drab z plaży zamordował starego człowieka w kamienicy na Garbarskiej? I dlaczego zaraz potem sam podzielił jego los?

Do lokalu mieliśmy może ze sto metrów, gdy cały nasz plan runął nagle jak domek z kart.



Wszystko rozegrało się w kilka sekund.

Gdzieś na wysokości Banku Spółdzielczego z za wysokich topoli pobliskiego skweru z fontanną wyskoczyło kilku zbirów. Zwrot w tył niewiele nam dał, bo okazało się, że za plecami też już mamy obstawę. W jednej chwili znaleźliśmy się w kleszczach czterech osiłków, bez żadnej szansy na ucieczkę.

W dodatku bez żadnych świadków.

Wśród tych, którzy nadciągnęli od strony skweru, rozpoznałem jednego z goryli Krzywego. Wyraz jego twarzy zapowiadał kłopoty.

– Pora wyrównać rachunki – oświadczył z nieprzyjemnym uśmiechem, gdy jego kołesie wygięli nam ręce na plecy, zmuszając nas do marszu na drugą stronę ulicy.

Za nisko przyciętym żywopłotem dostrzegłem dwa samochody.



Tym razem nie pojechaliśmy do lasu pod Łysinami, tylko znacznie bliżej. Zawieźli nas na jakieś ogródki działkowe, w miejsce, w którym nigdy wcześniej nie byłem. Przez szybę volkswagena zobaczyłem w przelocie dworzec PKS i wysoki komin z cegły. Samochodem

zatrzęsło na wyboistej, gruntowej drodze i wjechaliśmy w alejkę wiodącą pomiędzy ogrodzonymi ogródkami. Po lewej i prawej mijaliśmy kolejne pasy ziemi uprawnej; każdy z nich „strzeżony” był przez mniej lub bardziej gustowną altanę.

Marek jechał w drugim aucie, zdaje się w starej hondzie. Wieźli go przede mną, więc miałem orientację, co się z nim dzieje. Widziałem przez tylną szybę samochodu jego głowę kołyszącą się wraz z autem na dziurach. Miałem tylko nadzieję, że nie zrobili mu nic złego. Ale pewny nie byłem.

Trzy minuty później samochody zatrzymały się przed jedną z największych działek, odgrodzoną od alei solidnym płotem z metalowych kratownic.

– Wypad! – rozkazał kierowca volkswagena.

Spełniłem jego żądanie i wyszedłem z samochodu wraz z członkiem „obstawy”.

Marek zrobił to samo. Spojrzeliśmy na siebie zdawkowo, jakbyśmy chcieli wzajemnie podtrzymać się na duchu. Zaraz potem draby popchnęły nas w kierunku bramy.

Za nią znajdował się wysypany żwirem podjazd prowadzący do czegoś, co stanowiło mało udany melanz drewnianej altany z domkiem letniskowym. W zamyśle właściciela miała to zapewne być letnia rezydencja – bez dwóch zdań największa na terenie ogrodów.

Wiedziałem, kogo w niej zastaniemy. Krzywy siedział w wiklinowym fotelu pod pergolą porośniętą winogronem. Mżawka ustąpiła, więc mógł w pełni delektować się pięknem lipcowego wieczoru. Nie wyglądał jednak na zrelaksowanego. Szczerze mówiąc, miał skwaszoną minę, a jego spojrzenie wzbudziło we mnie najgorsze obawy.

Cholera, chyba nie zrobią nam nic złego?

Posadzili nas na ciasnej wiklinowej sofie, obstawiając z boków i z tyłu. Zupełnie jakby czekali na sygnał, by w jednej chwili skrócić nam karki. Tomasz Krępy przyglądał się nam z pogardą przemieszana ze złością. Na jego szyi brakowało golda, co mogło znamionować jego gorszy nastrój.

– I co, kozaku?! – Pierwsze słowa skierował w moją stronę. – Warto tak było podskakiwać, *man*?

Nie wiedziałem, do czego zmierza. Na wszelki wypadek zwlekałem więc z odpowiedzią.

– No co, zatkało cię z wrażenia, zasrańcu? – Najwyraźniej boss gangu oczekiwał szybkiej odpowiedzi. – Co tak milczysz, gnoju jebany? Mowę ci odebrało?

– On nie chciał nic złego... – wyrwało się Markowi.

– Ciebie nie pytam – zgasił go natychmiast Krzywyy. – Do ciebie nic nie mam. W zasadzie mógłbym cię puścić... Ale nie! Lepiej, jak to zobaczysz.

Słowo „to” zabrzmiało cokolwiek niepokojąco. Z jednej strony zapowiadało, że za chwilę spotka mnie coś przykrego, z drugiej świadczyło o tym, że gangster działał według jakiegoś planu.

– Puście go – odezwałem się drżącym głosem. – Przecież do niego nic nie macie...

– O! Pan niemowa odzyskał głos! – zadrwił Krzywyy. – A jaki szlachetny! Popatrz, popatrz... Słuchaj, chuju! Pamiętasz, co ci wtedy powiedziałem? Wtedy w lesie?

Wysiliłem swoją pamięć. Targały mną najgorsze podejrzenia. Nie potrafiłem opanować drżenia rąk.

– Że jesteśmy sojusznikami – wypaliłem bez głębszego zastanowienia.

– To raz! – Szef bandy uniósł palec wskazujący, jakby szykował się do kazania. – Miałeś meldować o wszystkim, co ustalisz. A ty się stawiasz, gnoju! Publiczne numery mi robisz! Ale to jeszcze i tak mały pikuś, jebańcu. Bo co ci jeszcze powiedziałem? No, przypomnij sobie, szmaciarzu! Powiedziałem ci wyraźnie, żebyś w żadnym wypadku nie laź na policję! Było tak czy nie?!

Dopiero teraz dotarło do mnie, jak bardzo podpadłem Krzywemu. Oczywiście w jego oczach, bo przecież na policji nie pisałem ani słowem o umowie z gangsterem, zawartej nie z własnej i w dodatku z przymuszonej woli.

– To nie tak! – zaprotestowałem. – Na policję poszliśmy z innego

powodu! Oni...

– Nie interesuje mnie, po jakiego chuja tam poszedłeś! – Krzywy poderwał z fotela swoje sto kilo żywej wagi i skierował się w moją stronę. – Złamałeś słowo, szmato! A ja tego nie mogę tak zostawić! Kto się skurwił, musi mi zapłacić!

– Policja nic o was nie wie! – wykrzyknąłem ze strachu. – Poszliśmy do nich, bo pojawili się podejrzeni!

– Nie wciskaj mi tu kitu – wysapał gangster, wymachując mi pięścią przed nosem. – Może i jesteś w tym niezły, ale mnie nie zbajerujesz. Dawaj łapę!

– Kiedy to prawda! – Szarpnąłem się na ławce, ale daremnie.

Żyłaste ramiona obstawy natychmiast przywołały mnie do porządku.

– Wiemy, kto kręcił się przy Mące! – krzyknąłem przerażony.

– Dawaj rękę! – powtórzył Krzywy, szukając czegoś w głębokiej kieszeni spodni.

Nie ruszyłem się, więc goryle bossa natychmiast chwycili mnie za lewą rękę, wyciągając ją siłą w stronę szefa.

Krępy wyciągnął w końcu dłoń z kieszeni. Trzymał w niej efektowną srebrną zapalniczkę w kształcie małej piersiówki.

Poczułem, jak strużka potu spływa mi po szyi za koszulę.

– To ci będzie przypominać, co mi obiecałeś – syknął Krzywy, wznecając ruchem kciuka płomień wysoki jak pamiętny płonący szyb w Karlinie.

– Zostawcie go! – Marek poderwał się z miejsca, na moment opóźniając zamiar Krępego. – Zostawcie go, rzeźnicy!

Szybko został jednak spacyfikowany. Jeden z goryli przydusił go do oparcia sofy, drugi zakrył mu ręką usta. Wierzganie nogami nic mu nie dało. Wydało mi się nagle groteskowe i beznadziejne.

– Popełniasz błąd – powiedziałem, obserwując, jak Krzywy zbliża ogień do mojej dłoni.

Odruchowo próbowałem ją wyszarpnąć z objęcia osiłków, ale nie dałem rady.

– Popełniasz błąd, bo naprawdę wiem coś, co powinno cię

zainteresować – powtórzyłem. – Jeśli coś mi zrobisz, nie dowiesz się już niczego...

– Niczego? – prychnął Krzywy, ale wyczułem, że na moment się zawahał. – A co ty takiego możesz wiedzieć, szmaciarzu?

– Wiem, kto sprzątnął Krzycha – wycedziłem przez zęby dla zwiększenia efektu.

– Pierdolisz, *man!* – Płomień zapalniczki był tuż obok mojej dłoni.

– Nie pierdołę! Czekam na ważną wiadomość – zablefowałem w ostatniej chwili.

Chyba kupił tę bajkę, bo niespodziewanie zgasił zapalniczkę, zanim ogień liznął wierzch mojej dłoni.

– Puście go – rozkazał. – I tego wymoczka też.

Żelazny uścisk na moich ramionach zelżał i zniknął. Po raz pierwszy nabrałem nadziei, że jakoś się z tego wyłgamy. Żeby tylko Marek nie włączył się do rozmowy! Żeby tylko milczał!

– On ci nic nie powie, bo nie wie – wypowiedziałem te słowa nie tyle pod adresem Krzywego, ile Marka. – Ale ja mogę ci powiedzieć, kto stoi za zabójstwem Mąkiewicza. Kto p r a w d o p o d o b n i e stoi...

– Dobra już! Nie pierdoł, tylko nawijaj – Boss znowu się zdenerwował.

Zniecierpliwiony rozsiadł się ponownie w fotelu pod pergolą i obrzucił mnie wyczekującym spojrzeniem.

– Po Mąkę do mieszkania jego matki przyjechała raz kia sportage na niemieckiej rejestracji – powiedziałem możliwie spokojnym tonem. – Było w niej dwóch facetów, mieszkali w Hubertusie. Policja chciała ich zgarnąć, ale nie zdążyła, bo wyjechali.

Krzywy słuchał mojej relacji, pozornie nie przykładając do niej wielkiej wagi. Po jego zaskoczony minie rozpoznałem jednak, że opowieść zrobiła na nim spore wrażenie.

– Skąd to wiesz? – zapytał.

– Z pewnego źródła.

– A konkretnie?

– A czy to ważne? Bardzo możliwe, że policja szuka teraz brązowej kii na niemieckich tablicach w całej Polsce. To są w tej chwili główni

podejrzani.

Obrzucił mnie nieufnym spojrzeniem.

– I o tym gadaliście z psami na komendzie?

– Właśnie o tym.

– A czemu najpierw nie przyszedłeś do mnie, *man*?

– Bo chodziło o to, żeby podejrzanych złapać, a nie żeby ich... – zabrakło mi odwagi, żeby dokończyć.

Uśmiechnął się blado, ale jakoś tak smutno. W jego oczach dostrzegłem żal. Chyba zaczynał mi wierzyć. Nadal jednak nie było wiadomo, co z nami robi. Uważał nas za zdrajców, w dodatku wyjątkowo krnąbrnych. Gorączkowo zastanawiał się, jaką dać nam nauczkę...

Na szczęście nie zdążył podjąć żadnej decyzji.

Poczułem wibracje w kieszeni spodni, a zaraz potem wszyscy usłyszeliśmy dźwięk mojej komórki.

– Muszę odebrać – stwierdziłem poważnym tonem. – To może być coś ważnego.

Drżącymi z emocji rękoma wyjąłem telefon i przyłożyłem go do ucha.

– Słucham...

– Bogdan, to ty? – usłyszałem znajomy głos.

To był Robert Gromadzki. Sprawiał wrażenie rozchwianego emocjonalnie.

– Tak, co się stało?

– Musimy się spotkać!

– Ale... w czym rzecz?! – krzyknąłem w słuchawkę w obawie, że zaraz się rozłączy.

– Policja zatrzymała tych dwóch z kii!

Część III



TAJEMNICA

24.

Gorycz (nie tylko piwa)

– *I am watching you, man!* – powiedział na odchodnym Krzywy, grożąc mi placem.

Nie podejrzewałbym go nigdy o znajomość języków obcych, ale pozory ponoć mylą. Słowa gangstera huczały mi w głowie, gdy razem z Markiem biegliśmy w ciemnościach na spotkanie z Robertem. *I am watching you, man... I am watching you...* Szczerze mówiąc, pogrożki tego spasełego bossa obchodziły mnie w tej chwili tyle, co zeszłoroczny śnieg. Gromadzki miał newsa – i tylko to było ważne. Newsa, którym z pewnością nie podzieli się z nami policja, a którego zdobył dzięki swoim źródłom – i o którym chciał w pierwszej kolejności poinformować nas.

Miasto tonęło w ciemnościach, co można było łatwo wytłumaczyć: intensywna mżawka i ogólna wilgoć musiały źle wpłynąć na sieć oświetleniową. Latarnie celowały teraz w granatowe niebo jak karabiny bez amunicji. Przemykaliśmy między nimi, przeskakując kałuże i lawirując między sporadycznie mijanymi przechodniami z parasolami w dłoniach. Szybko zmokliśmy, ale pocieszałem się w myślach, że rychło ogrzejemy się w pubie na Daszyńskiego.

W sumie było to szalenie optymistyczne, że jednak do niego dotarliśmy. Wprawdzie na raty, ale co tam! Marek poprowadził nasz bieg jakimś skrótem tuż obok budynku szpitala. Pokonaliśmy dystans w ciągu kwadransa. Gdy ciężko zdyszani i zmoczeni wpadliśmy do wnętrza pubu, kilka obecnych tam osób obrzuciło nas nieufnymi spojrzeniami.

Wśród nieznanomych twarzy dostrzegłem też Gromadzkiego. Siedział w kącie lokalu, sącząc piwo. Palcami wolnej ręki majstrował coś na klawiaturze niedużego netbooka.

Na nasz widok oderwał się od pracy i pomachał do nas ręką. Pokazałem brodatemu właścicielowi, że zamawiamy dwa primatory, i przysiedliśmy się do lokalnego króla mediów.

– Gdzie byliście? – Zmierzył nas podejrzliwym wzrokiem, jakbyśmy właśnie wrócili z Marsa. – Szukałem was. Twoja mama, Marek, odesłała mnie tutaj. Ale tu też was nie było.

– Długo by gadać – uciąłem.

Nie miałem najmniejszej ochoty opowiadać mu o kolejnym spotkaniu z gangsterem, dyszącym żądzą zemsty za śmierć dawnego kumpla od interesów.

– Znowu coś wyniuchaliście? – Robert zrobił się czujny, w jego głosie brzmiało rozdrażnienie.

– Daj spokój, od policyjnej akcji pod Hubertusem nic nowego nie wiemy – wypowiedziałem te słowa swobodnym tonem, byle tylko skierować jego myśli na inne tory.

Lepiej by było, gdyby Gromadzki nie dowiedział się niczego o naturze naszych spotkań z Krzywym. Wprawdzie fajny z Roberta kolega, ale po co kusić jego zawodowe parcie na newsa?

– Opowiedz raczej, co z tą kią – odwrócił jego uwagę Marek. – Skąd wiesz, że ją zatrzymali? I gdzie to było?

Najlepiej poinformowany człowiek we Wschowie poczuł się od razu lepiej. I zdecydowanie pewniej.

– Właśnie wrzuciłem wszystko do netu – oznajmił triumfalnym tonem. – To znaczy, nie wszystko. Tylko to, co mogłem.

– Czyli? – ponagliłem Gromadzkiego.

– Zatrzymali ich na szosie pod samą Szlichtyngową. To było... jakieś dwie godziny temu. Policja dostała cynk od jednego z patroli, że brązowa kia na niemieckich blachach jedzie właśnie w stronę Głogowa. Naprędce zorganizowali blokadę przy wlocie do Szlichtyngowej. Faceci w aucie byli całkowicie zaskoczeni, kiedy zobaczyli stojący w poprzek radiowóz i wycelowane w siebie lufy

pistoletów. Szkoda, że nikt nie zrobił tam zdjęcia!

Rzeczywiście, to musiał być obrazek jak z amerykańskich filmów akcji!

I am watching you, man! – odezwało się znowu w mojej pamięci. Szybko wypłukałem to wspomnienie piwem, które przyniósł właściciel.

– No i co? Zamknęli ich, czy jak? – zapytałem, gdy zaspokoilem pierwsze pragnienie.

Ręce dopiero teraz przestały mi dygotać z emocji.

– Wzięli ich do siebie, do komendy. Pojechali w obstawie, z przodu i z tyłu policyjne wozy. – Gromadzki zerknął na zegarek. – Od półtorej godziny maglują ich w komendzie. To o tyle łatwe, że jeden z zatrzymanych świetnie mówi po polsku. Zresztą ma polskie obywatelstwo. A drugi pochodzi z Drezna.

Chłonęliśmy nowiny z szeroko otwartymi ustami. Gromadzki musiał to zauważyć, bo uśmiechnął się od ucha do ucha, zadowolony z siebie. I z tego, że znowu wrócił do roli mentora, łaskawie uświadamiającego zapóźnionych informacyjnie kolegów. O tak, ta pozycja bardzo mu odpowiadała.

– Muszą mieć na nich coś mocnego, skoro trzymają ich tak długo – wyraziłem przypuszczenie.

– Albo nie mają nic i szukają po omacku – zbił mnie z pantałyku kolega dziennikarz.

– I co teraz będziesz robił? – zapytał przytomnie Marek. – Pojedziesz pod komendę i będziesz czatował, aż coś się wydarzy?

Gromadzki spojrzał na niego z politowaniem. W szklach jego okularów znowu odbiły się ogniki sprytu.

– O tej porze? Po piwie? Absolutnie – oznajmił. – Na szczęście mam dobre wejścia w komendzie. Gdy tylko coś się wahnienie, zaraz się dowiem. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać.

To było miłe, że powiedział „nam”, a nie „mi”. Trzeba mu było oddać, że jak na trudne warunki pracy, był świetnie zorganizowany i trzymał rękę na pulsie. Procentowały zapewne lata doświadczeń zdobytych na tutejszym rynku medialnym. Gdyby jeszcze nie był

tak wkurzająco zrozumiąły, z pewnością dałoby się go lubić jeszcze bardziej.

– To czekamy – bąknąłem, pociągając kolejny haust piwa.

– Teraz wy! – Robert znowu wziął nas na cel. – Gdzie byliście o tej porze? Chyba nie zmokliście z zamięłowania do wieczornych spacerów? A może raczej, *pardon*, biegów?

Zaczynałem rozumieć, na czym polegał fenomen zdobywania newsów przez Gromadzkiego. Jeśli już kogoś lub coś chwycił, to nie odpuszczał, aż nie wyszarpał mięsistych szczegółów.

– Zgadłeś. Poszliśmy pobiegać – odpaliłem z obojętną miną.

– W dzinsach? W deszczu? – Robert rozpoczął grę w stopniowe rozmiękczenie rozmówców. – Ej, koledzy! Nieładnie tak bując kumpla...

Pewnie odpowiedziałbym mu coś niesympatycznego, gdyby nie leżąca na blacie komórka Gromadzkiego. Nagle zawibrowała jak szalona, wydając piskliwy sygnał. Gwiazda medialnej Wschowy poderwała aparat ze stołu w imponującym tempie.

– Taaaak? – Gromadzki wstał od stołu. – Poczekaj... Muszę znaleźć inne miejsce...

Nie zważając na siąpiący deszcz, wyszedł do ogródka. Tam rzeczywiście mógł być sam.

– Myślisz, że Niemiaszki przyznały się właśnie do winy? – zapytał mnie Marek.

Wzruszyłem ramionami. Raczej nie spodziewałem się szybkiego finału śledztwa. W końcu jakie dowody przeciwko zatrzymanym mogła mieć policja poza informacją, że Mąkiewicz wsiadł kiedyś do ich samochodu? Wszystko opierało się na poszlakach i ich interpretacji. Nawet mnie, laikowi, wydawało się jasne, że to za mało, by skutecznie posadzić podejrzanym.

– Nie sędzę – odpowiedziałem, dopijając piwo.

Gromadzki wrócił pięć minut później. Był zgaszony, miał kwaśną minę. W zasadzie nie musiał nam nic mówić. Ale powiedział:

– Przed chwilą ich zwolnili.

– A więc jednak... – westchnąłem.

– Goście z Niemiec mają mocne alibi. Utrzymują, że przyjechali tu wyłącznie w celach turystycznych. I twierdzą, że nie znają żadnego Mąkiewicza.

– O! A to już jest ciekawe! – skomentowałem, czując, jak serce szarpnęło mi mocniej w piersi. – Czyżby kłamali w żywe oczy?

– Przesłuchiwali ich Kula i Polny. Ale mimo wysiłków nie potrafili im nic udowodnić. – Robert znowu przysiadł się do nas. – W dodatku ten Szwab z Drezna zaczął się stawiać. Darł się po niemiecku, że został zatrzymany bezpodstawnie. Zagroził, że poskarży się konsulowi we Wrocławiu. Gliniarze musieli spuścić z tonu. Tłumaczyli się, że zatrzymali ich wyłącznie „w sprawie”. Na koniec przeprosili gości i grzecznie odprowadzili ich do samochodu. Musiało to być niezłe upokorzenie...

Wyobraziłem sobie czerwoną, spoconą, krągłą twarz starszego aspiranta Kuli w chwili, w której zdał sobie sprawę, że nie może przeciwstawić wersji zatrzymanych żadnej popartej mocnymi dowodami tezy. Zrozumiał, że przegrał, narażając się na śmieszność i przykrości. Cóż, nie chciałem być na jego miejscu...

– Powiedzmy sobie szczerze: inaczej być nie mogło – podsumował Marek. – Naiwnością było sądzić, że ci dwaj sami przyznają się do czegokolwiek.

Przyklasnałem mu w duchu, sam nie ująłbym tego lapidarniej.

– Ech... – Gromadzki uruchomił palcem swoje narzędzie pracy i szybko skorygował stan rzeczy w serwisie.

Czerwony tytuł o sensacyjnej wymowie zastąpił czarny, zdecydowanie bardziej stonowany w treści. Dzięki uaktualnionemu tekstowi na Portalu Wschowskim mieszkańcy Wschowy dowiedzieli się przed snem, że „podejrzani o związek” z zabójstwem Krzysztofa Mąkiewicza obywatele Polski i Niemiec zostali przesłuchaniu w komendzie powiatowej policji, a następnie zwolnieni „z braku dowodów na popełnienie czynu zabronionego”.

Gdybym tu mieszkał na stałe, po takim *dementi* spałbym spokojnie i twardo jak suseł.

Ponieważ jednak znałem kulisy wydarzeń, sen miałem wyjątkowo

ciężki.

25.

Miejsce w domu Ojca

Obudziłem się z dziwnym uczuciem, że w zasadzie wszystko wiem. I jednocześnie, że nie wiem prawie nic. To, że niejaki Kowalski (o ile było to jego prawdziwe nazwisko) wraz ze swoim niemieckim współnikiem musieli mieć coś wspólnego z zagadkową śmiercią Mąkiewicza, zabójcy Zamiejskiego, wydawało mi się wielce prawdopodobne. Czy wcześniej Mąka działał w porozumieniu z tą parą? Sam, z własnej inspiracji, zapewne nigdy nie nawiązałby kontaktu z kimś takim jak były kustosz. Pochodzili przecież z dwóch różnych światów. A jednak poznali się i wspólnie czegoś poszukiwali. Czego? I co spowodowało, że ten młodszy i silniejszy zgładził starszego i słabszego?

Wiedzieliśmy, a właściwie przeczuwaliśmy z Markiem coś jeszcze. Coś, co mimo wszystkich niepowodzeń nadawało naszym wysiłkom kierunek: tajemnica śmierci Zamiejskiego, a w konsekwencji również jego zabójcy, musiała mieć ścisły związek z bitwą pod Wschową z roku 1706. Wiedzieliśmy, że Zamiejski i Mąkiewicz czegoś zawzięcie poszukiwali. Czy ostatecznie to coś znaleźli? I czy to coś okazało się cenniejsze od ich życia?

Właśnie się nad tym zastanawiałem, gdy do mojego pokoju zajrzał Marek.

– Wstałeś już? – zapytał. – To chodź na śniadanie. Wiesz, czego dowiedziała się matka?

– Twoja matka? Gdzie? – Te pytanie świadczyły o tym, że nie byłem jeszcze do końca przytomny.

– Godzinę temu w mięsnym. Głośno już o tym w całym mieście.

– No?

– Dzisiaj jest pogrzeb Zamiejskiego. W samo południe, na cmentarzu komunalnym.

– To znaczy, że policja ostatecznie przebadła jego zwłoki – skwitowałem wieści ponurym tonem. – Pewnie lada chwila dowiemy się czegoś więcej z portalu tego chwalipięty.

Gdy poszedłem do łazienki, Marek szybko sprawdził w laptopie serwis powiatowy. Okazało się, że tym razem przeceniłem jednak możliwości Gromadzkiego. Nie okazał się aż tak onnipotentny, na jakiego pozował.

– I co, chłopcy? Pójdziecie ze mną na pogrzeb? – Pani Beata była ciekawa, czy wybierzemy się pożegnać byłego muzealnika, którego życie zdecydowanie nie rozpieszczało.

– Tak – odpowiedział twardo Marek.

Smażone kiełbaski z cebulą zjedliśmy w niemal całkowitym milczeniu.



W południe na cmentarzu było gorąco i duszno. Skwierczeliśmy jak na patelni, ustawieni wokół niedużej, klockowatej kaplicy. Mama Marka jakby przeczuwała kłopoty – przytomnie nałożyła na głowę przewiewny, ciemny kapelusz. Nam też radziła wziąć czapki z daszkiem, ale nie poszliśmy za jej radą. Zresztą facetom nie wypadało stać przed trumną w nakryciu głowy.

Zamiejski cieszył się sporym szacunkiem w mieście, po śmieci zgromadził imponujące grono żałobników. Wokół kaplicy było naprawdę tłoczno. Szczupły, siwy ksiądz proboszcz w asyście kilku ministrantów musiał wykonać męczący slalom między ludźmi, zanim dotarł do cienistego wnętrza kaplicy. Nie byłem w stanie policzyć wszystkich, którzy przyszli, by towarzyszyć zmarłemu w ostatniej drodze, ale było ich grubo ponad trzystu. Przyjechała nawet pani

burmistrz w czarnej garsonce, w towarzystwie zastępcy – Marek wskazał mi ich dyskretnie, gdy przeciskali się przez tłum w stronę domu pogrzebowego. Wiceburmistrz targał ze sobą okazały wieniec. Gdy przechodzili tuż obok nas, na jednej z szarf odczytałem fragment inskrypcji: „...od władz i mieszkańców Wschowy”.

Pochówek byłego kustosa tutejszego muzeum miał więc wszelkie cechy ważnego wydarzenia. Nic dziwnego, że w cieniu jednego z nielicznych drzew dostrzegłem również kronikarza naszych czasów. Redaktor Gromadzki wybrał nowoczesne środki przekazu – stał obok statywu, na którym spoczywała nieduża kamera cyfrowa, i w godny, bynajmniej nie nachalny sposób rejestrował przebieg uroczystości.

Po zwyczajowych modłach i śpiewach do mikrofonu raz jeszcze podszedł kapłan prowadzący ceremonię. Był już niemłody, choć trudno by było nazwać go rówieśnikiem denata.

– Żegnamy dziś naszego brata, świętej pamięci Juliana Zamiejskiego – powiedział. – Choć odszedł z tego świata w tragicznych okolicznościach, bądźmy pewni, że znalazł godne miejsce w domu Ojca. Znalazł, bo rzetelnie na nie zapracował i zasłużył swoim życiem. Poświęcił je dla naszego miasta, dla jego historii i dla pamięci o tych wszystkich, którzy byli tu przed nami...

Wysłuchałem się uważniej w słowa księdza. Odniosłem dziwne wrażenie, że – choć utrzymane w stylistyce kościelnej i nazbyt patetyczne – mogą się okazać jakąś wskazówką.

– Na zawsze zapamiętamy, drogi Julianie, twoją miłość do naszej małej ojczyzny. Twoją pasję i zaangażowanie, z którymi poszukiwałeś śladów przeszłości tej ziemi i jej dawnych mieszkańców – kontynuował mowę pożegnalną kapłan. – Na zawsze pozostaniesz w naszej pamięci jako niez mordowany orędownik ocalania i utrwalania historii naszej lokalnej społeczności. Za tę misję zapłaciłeś cenę najwyższą, wezwany przed oblicze Boga w chwili zupełnie niespodziewanej. Niech dobry Ojciec wynagrodzi ci twój trud. Postaramy się, aby nie poszedł on na marne!

Kapłan zakończył przemowę i odszedł od mikrofonu.

Zaraz potem ekipa grabarzy zabrała się skwapliwie do pracy,

chwytając za klamry przybite do skromnej, sosnowej trumny i przenosząc ją na wózek elektryczny. Wszyscy wpatrywali się w te czynności jak zahipnotyzowani, a ja w tym samym momencie zrozumiałem, że „dobry Ojciec” zesłał nam właśnie świadka, o którym od dawna marzyliśmy. Z wypowiedzi kapłana jasno wynikało, że dobrze znał się z Zamiejskim. A jego słowa o misji, za którą stary muzealnik zapłacił „cenę najwyższą”, przyprawiały mnie dosłownie o dreszcze.

„Termin Boskiego rozkazu wydano, W Księgę Żywota IMIĘ zapisano” – przypomniał mi się nagle fragment epitafium ze wschowskiego klasztoru.

Czyżby duchowny znał cel poszukiwań prowadzonych przez zmarłego?

Czyżby Julian Zamiejski mu się z czegoś zwierzył?



Po pogrzebie odprowadziliśmy mamę Marka do domu. W drodze wspominała Zamiejskiego jako człowieka życzliwego innym. Może nieco zamkniętego w sobie, ale oddanego swoim historycznym zamiłowaniom. Sympatycznego starszego pana, który zawsze kłaniał się jej wytwornie w stylu, przypominającym dawne, przedwojenne czasy, a jednocześnie erudyte, który potrafił niezwykle barwnie opowiadać o przeszłości miasta w cyklicznym programie lokalnej telewizji internetowej. O swoim pokrewieństwie ze zmarłym nie wspominała. Widocznie uznała, że jest zbyt dalekie.

Co spowodowało, że taki człowiek wszedł w podejrzany układ z kimś tak krańcowo odmiennym jak Krzychu Mąkiewicz? Czy połączyła ich skłonność do alkoholu? Mąkiewicz – taki, jakiego poznałem – nie sprawiał wrażenia uzależnionego od wódki. Ale pozory czasem mylą...

Gdy tylko pożegnaliśmy się z panią Beatą, zawróciliśmy błyskawicznie w stronę wąskiej ulicy Kościelnej. Rozumieliśmy się bez słów. Marek również uznał, że należy niezwłocznie odwiedzić

proboszcza. Znaleźć go mogliśmy na plebanii wschowskiej fary.

„Tylko Unia Leszno!” – mignął nam wykonany błękitnym sprayem napis na murze, świadczący dobitnie o żuźlowych sympatiach miejscowych. Potężny korpus kościoła farnego z każdym krokiem rósł w oczach, aż w końcu wpadliśmy na brukowany plac Farny, którego szerokość wyznaczała nawa główna świątyni. Chrystus, wiszący na krzyżu pod kamiennym łukiem ściany, przyglądał się naszemu półbiegowi z wymalowanym na umęczonej twarzy sceptycyzmem.

Po prawej stronie objawił się nam wysoki, piętrowy budynek plebanii ze skośnym dachem. Marek wskazał na doklejoną do plebanii salkę widoczną przez uchyloną bramę.

– Tu w latach osiemdziesiątych chodziło się po lekcjach na religię – przypomniał o dawnych czasach.

Doklejony do salki talerz telewizji satelitarnej był najlepszym dowodem, że musiało to już być dawno temu.

Pora była obiadowa, ale liczyliśmy na to, że ksiądz proboszcz parafii pod wezwaniem św. Stanisława, biskupa i męczennika, przyjmie nas z uwagi na znaczenie sprawy. Musiał już wrócić z pogrzebu, jego renault stał przed plebanią. Weszliśmy po czterech kamiennych schodkach, uchyliliśmy ciężkie drzwi i znaleźliśmy się w korytarzu plebanii. Na drzwiach na prawo wisiała tabliczka z napisem „Kancelaria parafialna” i godzinami przyjęć wiernych. Przychodząc tutaj we wczesne sobotnie popołudnie, z pewnością nie dopasowaliśmy się do jej wskazówek.

– Co robimy? – zapytałem Marka, bo w budynku panowała kompletna cisza.

Dochodzący gdzieś ze środka zapach gorącego rosółu dawał jednak nadzieję, że kogoś zastaniemy.

Nie zdążyliśmy się zastanowić, bo drzwi po przeciwnej stronie korytarza otworzyły się gwałtownie i stanął w nich kapłan, którego widzieliśmy na cmentarzu.

– A... panowie do mnie? – zawahał się, poprawiając koloratkę. – Kancelaria parafialna już dzisiaj nieczynna.

– Niech będzie pochwalony... – wymamrotaliśmy niezbornie.

- My w bardzo pilnej sprawie, proszę księdza – dopowiedział Marek.
- Ostatnie namaszczenie?
- Nie, na nie już raczej za późno...
- To o co chodzi? O kogo? – proboszcz obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem.
- O pana Zamiejskiego – wyjaśniłem pospiesznie, żeby tylko kapłan nas nie zbył. – Byliśmy na pogrzebie, słuchaliśmy mowy pożegnalnej księdza...
- Tak?
- Chcemy... Chcielibyśmy prosić księdza o rozwinięcie jednego z jej wątków.



Nie wiem, co proboszcz sobie o nas pomyślał, ale chyba zrobiliśmy na nim dobre wrażenie. Bez zwłoki wskazał bowiem ręką na drzwi kancelarii i powiedział:

- Zapraszam.

Weszliśmy do niedużego pokoju przegrodzonego w poprzek masywnym, starym biurkiem. Leżały na nim księgi parafialne i skoroszyty. W rogu blatu stał krzyż.

- Proszę siadać. – Proboszcz wskazał nam dwa obite materiałem krzesła stojące przed biurkiem.

Sam zajął miejsce w fotelu po drugiej stronie.

- To najpierw proszę powiedzieć coś o sobie – zaproponował. – Nie kojarzę panów twarzy, chyba nie jesteście z mojej parafii?

Uśmiechnęliśmy się mimowolnie. Marek zapewnił go, że jest wschowianinem od urodzenia, ale od dobrych kilkunastu lat mieszka w Poznaniu – dlatego nie miał okazji poznać się z proboszczem bliżej. Kiedy podał swoje nazwisko, w pamięci księdza otworzyła się natychmiast ważna szufladka. „Pan jest synem pani Beaty?” – zapytał. I ucieszył się, gdy okazało się to prawdą.

Podaliśmy się za przyjaciela Marka. Wyczuwałem, że nazwisko Marka

otwiera nam drzwi do dobrej rozmowy. Postanowiłem to wykorzystać.

– No dobrze, więc co właściwie panów do mnie sprowadza? – podsumował etap rozpoznania proboszcz.

– Próbujemy ustalić, dlaczego zginął Julian Zamiejski – wyjaśniłem. Kapłan poruszył się zaskoczony.

– Panowie jesteście z policji? Trzeba tak było od razu... – zaniepokoił się nie na żarty.

– Nie, nie! Proszę poczekać! – zrozumiałem, że muszę natychmiast go uspokoić. – Nie pracujemy w policji ani w żadnym CBS! Jesteśmy tu na wakacjach.

– Na wakacjach?

– Ale tak się dziwnie złożyło, że w trakcie naszego urlopu zamordowano dwie osoby: najpierw kustosza Zamiejskiego, a zaraz potem Krzysztofa Mąkiewicza, ratownika z plaży w Lginiu. Pewnie ksiądz o nim słyszał?

Skinął głową, ale w jego oczach nadal widziałem niepewność.

– No właśnie – kontynuowałem. – To był bliski kolega Marka ze szkoły. Najgorsze było to, że to my natknęliśmy się na jego zwłoki. W lesie, nad jeziorem. A jakiś czas potem okazało się, że to Mąkiewicz był zabójcą pana Juliana... Sam ksiądz rozumie, że mimo woli zostaliśmy wplątani w tę sprawę. I teraz szukamy jakiegoś wytłumaczenia, dlaczego tak się stało. I co właściwie wydarzyło się w ostatnich dniach we Wschowie...

Mówiłem na wydechu, szybko, z emocjami, byle tylko nie stracić życzliwości kapłana, która pojawiła się przed chwilą. Musiałem za wszelką cenę podtrzymać ten wąty płomyk zainteresowania z jego strony, bo intuicyjnie wyczuwałem, że ksiądz może nam powiedzieć coś istotnego. Coś, co może przysłużyć się rozwiązaniu zagadki dwóch śmierci.

– Ale dlaczego zajmujecie się tym akurat wy? – Proboszcz zmarszczył brwi i podrapał się po siwej głowie. Wyglądał teraz na zakłopotanego. – Przecież policja prowadzi śledztwo, sam wczoraj czytałem o jakichś podejrzanych, których zatrzymali... Ja rozumiem, że jeden z zamordowanych był pana kolegą, ale czyżbyście nie ufali

naszym organom ścigania?

Marek westchnął ciężko. Najwyraźniej nie chciał powiedzieć tego, co musiał powiedzieć.

– Gdyby ksiądz zobaczył martwego kolegę w wodzie... Takich rzeczy się nie zapomina. A to wydarzyło się cztery dni temu! Cztery dni, proszę księdza – uzasadnił. I zaraz dodał: – Nie mogę tak siedzieć z założonymi rękoma i nic nie robić. Nie możemy! Kibicujemy policji i dobrze jej życzymy. To po naszym doniesieniu zatrzymano wczoraj te dwie osoby. Chcemy dorzucić coś od siebie... Jakoś pomóc, wesprzeć policję. Chyba ksiądz to rozumie?

Byłem pełen uznania dla logiki wyводу mojego kumpla. Wyłożył sprawę z precyzją godną matematyka. I co najważniejsze, dotarł do proboszcza. Kapłan zdawał się być poruszony, na jego szarych policzkach wykwitły rumieńce zdradzające silne emocje.

– Ładnie to pan powiedział – podsumował przemowę Marka. – No tak, rozumiem... Jak najbardziej rozumiem. Ale... W czym mogę wam pomóc?

Gdzieś w środku zrobiło mi się cieplej. Pojąłem, że wspólnymi siłami wygraliśmy właśnie pierwszą batalię o zaufanie proboszcza.

Marek uśmiechnął się do duchownego z wdzięcznością.

– Chodzi o to, co powiedział ksiądz na cmentarzu – wyjaśnił. – Wspomniał ksiądz o jakiejś misji, którą z poświęceniem wypełniał Zamiejski.

– A tak, prawda. – Proboszcz przygładził włosy na tyle głowy. – Ale co w tym było dziwnego? Miałem na myśli wieloletnią służbę, tak, służbę. Praca Juliana na rzecz tutejszego muzeum nosiła znamiona służby. Nie ma we Wschowie osoby, która by tego nie potwierdziła. Julian był prawdziwym pasjonatem naszej lokalnej historii. Gdybyście panowie widzieli jego wystąpienia w telewizji internetowej...

– Widzieliśmy – zapewnił za nas obu Marek, choć w moim przypadku nieco nagiął rzeczywistość.

– Właśnie! – podchwycił skwapliwie proboszcz. – Julian po prostu żył tym, co robił. Jego praca była jego życiem.

– Znaliście się dobrze? – zapytałem szybko.

Było to oczywiste, zważywszy że proboszcz opowiadał o Zamiejskim po imieniu.

– Tak, oczywiście – przyznał chętnie. – Zdażyłem się z nim zaprzyjaźnić. I to nawet mimo jego ostatnich, hm... ekstrawagancji.

Miał zapewne na myśli butelkowy sojusz Zamiejskiego z miejscowymi żulikami.

– Musicie panowie wiedzieć, że Julian pomógł mi bardzo w pewnej sprawie – wyjaśnił. – Gdy razem z władzami miasta pisałem wniosek o dofinansowanie z funduszy unijnych remontu wieży naszej fary, świetnie przygotował merytoryczną, a więc historyczną stronę uzasadnienia. Urząd Marszałkowski nie miał żadnych powodów, by zakwestionować nasz wniosek. Szkoda tylko, że Julian nie doczeka już tego remontu...

Zawiesił smętnie głos. Wykorzystałem to, by skierować naszą łódkę w stronę brzegu.

– Przepraszam księdza, ale na cmentarzu zdawało mi się, że mówił ksiądz o jakiejś bardzo konkretnej misji Juliana Zamiejskiego. Nadmienił ksiądz, że została ona zakończona tak niespodziewanie... Chyba się nie mylę, prawda?

Proboszcz spojrzał mi prosto w oczy. Zauważyłem, że jego tęczęwki są tak samo szare, jak jego srebrne włosy w półcieniu parafialnego biura. W tych oczach był jakiś żal, smutek. Ale również zaskoczenie.

– A skąd pan to wie? – zdziwił się.

– Powiedzmy, że na cmentarzu uwierzyłem własnej intuicji.

– Ma pan nosa do tych spraw, panie Popiołek! Ależ mnie pan wyczuł! – Proboszcz pokręcił z niedowierzaniem głową. – No dobrze, rozumiem, że chcecie ode mnie wyciągnąć coś więcej? Obawiam się tylko, że to, co usłyszycie, może was rozczarować.

– Chętnie poddamy się temu testowi – zaproponował Marek.

– Proszę tylko poczekać, dam znać gosposi, żeby zaczęła z obiadem... Jeszcze się ziemniaki rozgotują i będzie awantura...

— — —

Gdy wrócił, rozsiadł się wygodnie w fotelu i chwycił w dłonie leżący na skraju biurka czarny różaniec. Nie po to jednak, by razem z nami odmówić zdrowaśki – raczej by skupić myśli i dać zajęcie dłoniom.

– Musicie panowie wiedzieć, że Julian Zamiejski był zakochany w dziejach tego miasta – rozpoczął opowieść. – Wschowa miała burzliwą historię, jako miasto na pograniczu Wielkopolski i Śląska była precjozum, klejnotem wydzieranym sobie przez wieki przez władców Poznania czy Głogowa. Zamiejski urodził się tutaj z małżeństwa przesiedleńców zza Buga, którzy przyjechali w 1945 roku bodaj z Wołynia. Od małego chłonał tutejsze klimaty, legendy, historie prawdziwe i zmyślane. Czuł to miasto każdym porem skóry, uwielbiał je. Osobliwie jednak rozmiłował się w epoce saskiej. Zapytacie panowie dlaczego. Przecież dla Polski to czas powolnego upadku. Nie jestem historykiem, ale od Julka wiem, że dla Wschowy były to po raz wtóry – po XVI wieku – złoty okres w historii miasta. Królowie August Mocny i jego syn August III bywali tu bardzo często, z tej prozaicznej przyczyny, że było to polskie miasto położone najbliżej ich ukochanej Saksonii. Wielokrotnie nie fatygowali się więc do Warszawy, tylko załatwiali sprawy państwowe tu, we wschowskim ratuszu. Może panowie nie uwierzycie, ale za panowania Wettynów w tym pogranicznym mieście aż siedmiokrotnie zbierał się Senat, a August III właśnie tutaj przyjął poselstwa z Turcji i Persji. August Mocny gościł w sumie we Wschowie siedem razy, a August III – osiem...

Słuchałem jak wniebowzięty. Wykład proboszcza świadczył o tym, że i on zaraził się od Zamiejskiego fascynacją dziejami miasta. Niechybnie musiał je studiować samodzielnie – nie chciało mi się wierzyć, żeby wszystko to poznał wyłącznie z opowieści starego kustosza.

– To właśnie w tamtych czasach osiadły w Rydzynie włoski architekt Pompeo Ferrari zbudował zasadniczy korpus naszej fary. Notabene to

August Mocny zobowiązał się do odbudowy kościoła, gdy ten spłonął w 1685 roku...

– To wszystko jest niezwykle interesujące – przytaknąłem. – Co to ma jednak wspólnego z Julianem Zamiejskim?

Kapłan spojrzał na mnie lekko rozczarowany.

– Już panom wspominałem, że epoka saska to był konik Juliana – przypomniał. – A skoro tak, to co takiego spektakularnego wydarzyło się za rządów Augusta II pod Wschową?

– Wiadomo, bitwa w 1706 roku – mruknąłem.

– Otóż to. Nie będzie przesady, jeśli powiem, że Julian miał na jej punkcie bzika. Zwłaszcza w ostatnim okresie swojego życia. Właściwie o niczym innym nie mówił. Chodził jak opętany, mamrocząc pod nosem o tym zbrojnym starciu...

Bingo! Omal nie podskoczyłem na krześle, przypominając sobie słowa bibliotekarki Gabrielskiej. Dlaczego jednak ta mało znana w dziejach Polski bitwa stała się obsesją byłego kustosza?

– Julian wiedział wszystko o przebiegu bitwy. Powiedział mi kiedyś, że była ona bardzo krótka, za to niezwykle krwawa. Najwięcej zginęło Rosjan. Tego także dowiedziałem się od Juliana podczas jednej z naszych pogawędek. Widywałem go często niedaleko stąd, pod starym murem obronnym. Wiecie panowie, gdzie to jest? No właśnie. Przesiadywał tam czasem z butelką jakiegoś taniego wina, opowiadając o bitwie tamtejszym pijaczkom...

Klik! W odtwarzanej przez nas historii ostatnich dni byłego kustosza coś znowu zaskoczyło na swoje, dobrze nam już znane, miejsce. Relacja proboszcza doskonale systematyzowała nam fakty i potwierdzała, że nasze ustalenia, dotychczas w dużej mierze oparte na intuicji, nie wzięły się z powietrza.

– Można go zresztą trochę zrozumieć, bo w ostatnich latach sprawa bitwy zrobiła się wreszcie głośna. Tak, tak – głośna. I to nawet poza granicami kraju. Wyobraźcie sobie panowie, że w trzechsetną rocznicę tej rzezi do Wschowy przyjechała delegacja ze Szwecji...

– Pamiętam to – wszedł proboszczowi w słowo Marek. – Przyjęto ich zresztą z wielką pompą.

– Otóż to, panie Marku – ożywił się na to wspomnienie kapłan. – Do naszego miasta przyjechał nawet attaché wojskowy ambasady Szwecji i kombatanci z jednostek armii szwedzkiej, które walczyły w XVIII wieku pod Wschową. Szumu wokół wizyty przedstawicieli króla Szwecji było naprawdę dużo, gorzej z jej trwałymi efektami... Ale nieważne! Ważne jest natomiast to, że przyjazd, a nawet przyjazdy kolejnych grup Szwedów podróżujących po Polsce śladem zwycięstw króla szwedzkiego Karola XII ożywiły legendę tej bitwy. Julian zintensyfikował wtedy swoje poszukiwania na polach i w lasach między Osową Sienią i Dębową Łęką, a więc na terenie, na którym rozegrała się bitwa...

– No właśnie! – przerwałem księdzu mało elegancko, odczuwałem jednak potrzebę przejścia do sedna sprawy. – Wiemy, że Zamiejski ciągle czegoś szukał. Bardzo intensywnie. Na tyle intensywnie, że wciągnął w to Mąkiewicza. Co to było, proszę księdza? Czego szukał Julian Zamiejski?

26.

Z czego zwalnia śmierć

Proboszcz obrzucił nas czujnym spojrzeniem. Zdawał sobie sprawę, że właśnie dotarliśmy do kluczowego momentu tej historii. I w ostatniej chwili jakby się zawahał. Czyżby się czegoś przestraszył?

Nerwowo zerknął na zegarek i wstał z krzesła.

– Panowie, bardzo was przepraszam... – zaczął się wycofywać. – Nie chciałbym robić przykrości naszej gosposi. Na pewno czeka z obiadem już od dobrego kwadransa...

Zachowanie kapłana tak rażąco kontrastowało z jego dotychczasową postawą, że zaniemówiliśmy z wrażenia. Na szczęście tylko na kilka sekund.

– Księżę proboszczu! – zaprotestowaliśmy niemal jednocześnie, zagradzając mu drogę odwrotu. – Tak nie wolno!

– Kiedy ja...

– Obiad można odgrzać – wyrwało mi się dość bezczelnie. – Przecież Julian Zamiejski był księdza przyjacielem!

Proboszcz opadł na fotel zrezygnowany i jakby zawstydzony. Wszystko to było dziwne i niezrozumiałe, ale wyczuwaliśmy, że niezwykle ważne. Za żadne skarby nie mogliśmy teraz pozwolić na przerwanie tej cennej relacji z pierwszej ręki. Jeszcze nigdy nie zbliżyliśmy się tak bardzo do postaci zamordowanego kustosa!

– No dobrze – machnął ręką, jakby ostatecznie pogodził się ze swoim losem. – Chociaż nie wiem, czy powinienem o tym mówić... Naprawdę to dla mnie trudne.

– Co?

– Julian mówił mi pewne rzeczy w zaufaniu. Nie wiem, czy jego śmierć zwalnia mnie z obietnicy, którą mu kiedyś dałem.

Spojrzeliliśmy na siebie zaintrygowani.

– Jakiej obietnicy?

Kapłan westchnął, jakby musiał złamać co najmniej tajemnicę spowiedzi. Choć przecież nie musiał.

– Pewnego razu, gdy wracałem wieczorem z odwiedzin u chorych w szpitalu, natknąłem się na Juliana – rozpoczął z wolna nową opowieść. Nie wiadomo dlaczego, nagle ściszył głos. – Wyglądał na podekscytowanego, sztucznie pobudzonego. I nie chodziło wcale o to, że wcześniej znowu wypił coś taniego, za to odpowiednio mocnego. Nie, nic z tych rzeczy! Tamtego wieczoru był absolutnie trzeźwy. Już samo w sobie było to podejrzane. Dziś myślę zresztą... Myślę, że to wcale nie było przypadkowe spotkanie. Czekał na mnie na tyłach szpitala. Musiał wiedzieć, że będę wracał o tej porze, może zobaczył mnie wcześniej, jak szedłem do chorych? Nieważne. Faktem jest, że zaczepił mnie w ustronnym miejscu na Garbarskiej, zresztą niedaleko swojego domu. To była jeszcze wiosna, chyba maj. Panowie pamiętacie, jak zimną mieliśmy w tym roku majówkę? No właśnie, to było chyba wtedy. Od ziemi ciągnął jeszcze ziąb, zanosilo się na przymrozek. I było już ciemno. Zdaje się, że chciał mnie nawet zaciągnąć do siebie „na herbatkę”, ale nie skorzystałem z zaproszenia. Jak już mówiłem, był dziwnie ożywiony. Wyczuwałem, że koniecznie chce mi coś powiedzieć...

– I co księdzu powiedział?

Z emocji chyba zapomniałem oddychać.

– Powtarzał w kółko nazwisko jakiegoś saskiego oficera. Przepraszam, nie mam pamięci do nazwisk. Ale opowiadał o nim jak opętany. Że walczył pod Wschową. Że zginął w tej bitwie. I że był z jakiegoś względu bardzo ważny. Aha! I koniecznie chciał mi pokazać jakiś rodowy medalion, który znalazł rzekomo na polu bitwy trzy wieki później. Wyobrażacie to sobie, panowie?

O tak, wyobraziłem to sobie jak cholera! Wszystko zaczęło się bowiem pięknie zazębiać. Tak pięknie, że w jednej chwili

przypomniała mi się relacja Gabrielskiej o szerniałym medalionie, którym pochwalił się przed nią Zamiejski. Mój Boże, relacje proboszcza i emerytowanej bibliotekarki znowu się zbiegły! To już na pewno nie był przypadek! To nareszcie było coś! Nareszcie mieliśmy wiarygodny trop!

– Powiedział ksiądz, że z jakiegoś powodu ten oficer był dla Zamiejskiego ważny. – Staralem się opanować emocje, ale dłonie drżały mi jak staruszkowi z parkinsonem.

– Tak.

– Dlaczego?

– Tego dobrze nie zapamiętałem – przyznał duchowny. – Wydaje mi się, że Julian opowiadał coś o pochówku tego oficera. O tym, że pogrzebano go we Wschowie, choć nie wiadomo do końca gdzie. I że on... że on stara się odnaleźć jego grób.

– Grób oficera? Dlaczego? – zapytał Marek.

– Panie Boże... – westchnął znowu proboszcz, targając z zakłopotania swoją siwą grzywkę. – Niestety tego nie wiem. I nie będę tu panom zmyślał.

Zapadła męcząca cisza. Gdy byliśmy już tak blisko, zabrakło odpowiedzi na kluczowe pytanie! Zawód – to było to, co właśnie przeżyliśmy.

– Ale, ale... – Proboszcz nagle się ożywił. – Myślę sobie, że może coś na ten temat będą wiedzieli w muzeum. Tak, to nawet wielce prawdopodobne. Tylko że dzisiaj mamy sobotę, a zwykle w sobotę muzeum jest zamknięte. Ale spróbujcie, panowie – zdarza się, że otwierają, jeśli tylko mają zgłoszoną wycieczkę lub grupę chętnych...

Spojrzałem na Marka. Skinął głową na znak, że to dobry pomysł.

– Panowie wiecie, gdzie jest muzeum?

– Już bliżej nie można – skomentował Marek z uśmiechem.

Zapowiadała się ciekawa sobota.



– A wiesz, że o bitwie pod Wschową śpiewa znany szwedzki zespół rockowy? – zagadnął mnie Marek, gdy zbiegaliśmy po schodkach plebanii na brukowaną ulicę.

– Niemożliwe.

– A jednak! Sabaton, znasz taką grupę?

Któż by nie słyszał o tej szwedzkiej kapeli! Słuchali jej na przerwach moi uczniowie, wystający ze słuchawkami w uszach w zaułkach szkolnego korytarza. To dzięki nim dowiedziałem się, że Szwedzi nagrali utwór o powstaniu warszawskim. I o obrońcach Wizny z 1939 roku. O piosence o bitwie pod Wschową nie miałem jednak bladego pojęcia. Fakt, że poświęcili kawałek mało znanej w Polsce batalii pośrednio zaświadczał, ile to zwycięstwo znaczyło w historii Szwecji. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby dla rockmanów starcie to było równie ważne, jak późniejsza klęska Karola XII pod Połtawą^[7].

– To tam! – Marek wskazał na pomalowany na kolor ochry, świeżo wyremontowany, podłużny budynek okalający od zachodu kościół farny i jego wysoką wieżę.

Widziałem już ten budynek, gdy wybraliśmy się na pierwszą przechadzkę po mieście. Postawiono go na planie łuku, wymuszonym zapewne przez ciasnotę działki między murem miejskim a świątynią. Wraz z kościołem tworzył klimatyczny zaułek. Jego prawe skrzydło ozdobił efektowny portal. Całość sprawiała bardzo solidne wrażenie. Z tego, co zapamiętałem z opowieści Marka, w tym efektownym budynku w XVIII wieku mieściła się misja jezuicka – kolegium, w którym kształcili się młodzi wielkopolscy szlachcice. Potem, w czasach pruskich, ulokowano tu między innymi szkołę dla podoficerów, a potem Królewskie Gimnazjum. W latach 30. władze miejskie przekazały budynek bezpłatnie NSDAP. Teraz służył jako nowa, druga już siedziba Muzeum Ziemi Wschowskiej i miejskiej biblioteki.

Czuliśmy, że jesteśmy o krok od odkrycia tajemnicy poszukiwań byłego kustosa tej placówki, który – święcie w to wierzyłem – nie zabrał jej ze sobą do grobu. Zagadka popędzała nas do działania. Niemal biegiem dopadliśmy do drzwi muzeum. Gdy naciskałem

klamkę, modliłem się w duchu, byśmy mieli szczęście.

Mieliśmy.



– I powiadacie, panowie, że nasz pan Julian poszukiwał miejsca pochówku jakiegoś oficera poległego w bitwie pod Wschową? – Nina Nałkowska, dyrektorka muzeum, szczupła kobieta z farbowanymi na blond włosami, złożyła ręce, opierając brodę na dłoniach, jakby nad czymś gorączkowo się zastanawiała.

– Saskiego oficera – dorzuciłem natychmiast. – Podobno pochowanego we Wschowie, choć nikt nie wie dokładnie gdzie.

Dyrektorka odgarnęła kosmyk włosów na skroni i niespodziewanie uśmiechnęła się tajemniczo.

– Może będę mogła panom pomóc – powiedziała. – Proszę za mną.

Ruszyliśmy za nią podekscytowani i szczęśliwi zarazem. Słowa szefowej muzeum brzmiały jak wyjątkowo nęcąca obietnica.

Poprowadziła nas schodami na pierwsze piętro. Wnętrza muzeum, schody, drzwi i ramy okienne – wszystko lśniło świeżością. Całkiem niedawno gmach dawnego kolegium jezuickiego gruntownie wyremontowano przy wsparciu funduszy unijnych. Pewnie trzysta lat temu po tych schodach stąpali zakonni profesorowie – przemknęło mi przez myśl, gdy przez nieduże okno wyrzałem na brukowaną uliczkę wygiętą w rogalik.

Wąskim korytarzem weszliśmy do sporej sali oświetlonej dyskretnym blaskiem ledowych żarówek podwieszonych pod stropem. Na ścianach wisiały obrazy, na których już na pierwszy rzut oka rozpoznałem kilku koronowanych władców Polski. W centralnym punkcie kwadratowego wnętrza stał potężny stół, a na nim – efektowna makietka dawnej Wschowy okolonej obwarzankiem murów miejskich i szerokiej fosy. Wśród historycznej zabudowy miasta dostrzegłem sylwetkę ratusza, nieco inną od znanej nam formy z XIX wieku, zamek na wzgórzu, dwie bramy wjazdowe z przerzuconymi

przez fosę mostami, kościół farny i protestancki Krippen Christi. Ba! Zauważyłem nawet wygięty w łuk budynek misji jezuickiej, w której właśnie się znajdowaliśmy!

– Mój Boże... – wyrwało mi się z zachwytu. – Dlaczego nie przyszliśmy tu wcześniej?

Marek spojrzał na mnie z poczuciem winy. Z opresji wybawiła go szybko Nałkowska:

– A panowie jesteście tu zawodowo czy prywatnie?

Musiałem się przyznać, kim jestem z zawodu. I skąd się znam z Markiem. A także dlaczego w ogóle fatygujemy ją w wolną sobotę.

– Nic takiego! – machnęła ręką. – Godzinę temu mieliśmy wycieczkę szkolną ze Sławy, dopiero co skończyłam ich oprowadzać. Proszę spojrzeć, tak wyglądała dawna Wschowa. – W jej głosie usłyszałem ciepło i zaangażowanie. A może nawet dumę. – Bywało, że znaczyła tyle, co Poznań i Kalisz. Była wszak stolicą Ziemi Wschowskiej. Ech, dawne dzieje...

– A ten saski oficer? – pchnąłem przytomnie rozmowę w pożądanym kierunku. – Chyba nie wisi tu gdzieś na ścianie pośród naszych królów elekcyjnych?

To miał być niewinny żart, ale z miny dyrektorki muzeum wyczytałem, że strzeliłem sobie w stopę. I to bardzo efektownie, o czym miałem się przekonać już niebawem.

– A właśnie, że wisi! – Uśmiechnęła się szeroko. – I to całkiem niedaleko, panowie. Poszukacie sami?

[7] Bitwa pod Połtawą na Ukrainie w 1709 r. była poważną klęską wojsk szwedzkich w starciu ze zreformowaną armią rosyjską dowodzoną przez cara Piotra Wielkiego.

27.

Trójkąt bermudzki

Chwilę później z sercem bijącym mocno pod samym gardłem wyruszyłem na poszukiwania portretu człowieka, dla którego być może stracił życie Julian Zamiejski. Właśnie wtedy – w tej trwającej ułamki sekund chwili – dotarło do mnie, co mógł czuć pan Tomasz, historyk i muzealnik z żyłką detektywa, bohater tak chętnie czytanej przeze mnie w nastoletnich latach serii książek Zbigniewa Nienackiego, gdy docierał do przełomowego momentu swoich poszukiwań. Albo gdy był o krok od kluczowej informacji, deszyfrującej tajemnicę opowieści. „Tam skarb twój, gdzie serce twoje” – tłukł mi się po głowie cytat, który stanowił osnowę jednej z głośnych, w dodatku sfilmowanych przygód Pana Samochodzika. I pewnie tak samo jak on odczuwałem ucisk emocji w piersi, słyszałem szum w głowie. Przez tę jedną, zupełnie niespodziewaną i niepowtarzalną chwilę znowu byłem trzynastolatkiem, pochylonym nad książką i planującym z ołówkiem i mapą wyprawę do nieznanych zakamarków naszego kraju, które niechybnie oczekiwały na swojego zdolnego odkrywcę...

Było jednak ponad ćwierć wieku później i dość szybko odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że chcąc nie chcąc, nieudolnie naśladowuję idola moich dziecięcych lektur. Nie przejąłem się jednak tym wyrzutem sumienia i logiki – potraktowałem rzecz jak wyrównanie rachunków z młodością, w której nie było mi dane przeżyć takich emocji. Coś jak bonus od losu za sprawy i tajemnice, które nie przydarzyły mi się nigdy wcześniej. Choć być może powinny.

Skupiłem się na obrazach wiszących na ścianach. Zresztą tak samo jak Marek. Miałem nad nim przewagę wykształcenia: już na pierwszy rzut oka oceniłem, że w tej sali nie ma portretu tajemniczego saskiego dowódcy. Gdy Marek pochylał się nad tabliczką z opisem obrazu Augusta Mocnego, ja przekroczyłem próg dzielący salę główną ekspozycji od sąsiadującego z nią pomieszczenia.

Dyrektorka muzeum postąpiła ochno za mną.

Wszedłem do dużo mniejszej sali z dwoma oknami wychodzącymi na plac Farny – i oniemiałem.

Z niewidocznych na pierwszy rzut oka głośników sączył się zgiełk batalii. Okrzyki nacierającej piechoty mieszały się ze szczękami oręża. Rapiery uderzały o pancerze, nieomal słyszeć było rżenie koni...

Na dobrze oświetlonym stole, okupującym środek pokoju, zobaczyłem sporej wielkości plan przedstawiający przebieg bitwy pod Wschową. Musiał być powiększonym przedrukiem jakiegoś dzieła z epoki, bo w charakterystyczny dla baroku sposób przedstawiono na nim ruchy wojsk szwedzkich oraz sasko-rosyjskich. Różnokolorowe plastikowe cegiełki pokazywały pozycje poszczególnych pułków i batalionów obu stron, a nakreślone na płaszczyźnie efektowne strzały dawały wyobrażenie o manewrach obu armii.

– To wyobrażenie bitwy zawarte w *Theatrum Europaeum* – wyjaśniła cichym głosem Nałkowska. – Wiecie, panowie, co to takiego?

Jej słowa zwabiły do mniejszej sali Marka Cichonia. Wszedł i zamarł tak samo jak ja, w bezruchu wpatrując się w plan bitwy, ale również w trzy manekiny ubrane w barwne mundury z epoki. O ile dobrze rozpoznałem, pod oknem stał żołnierz szwedzki w błękitnym uniformie z białymi wyłogami. Po lewej trzymał wartę żołnierz armii saskiej w krzykliwym żółto-czerwonym mundurze. W tle dostrzegłem zielony mundur rosyjski skrywający pod spodem czerwoną kurtkę. Na ścianach wisiały liczne wyobrażenia krwawego, morderczego starcia. A w gablotach leżały ołowiane kule z muszkietów i armat, zbierane zapewne w ciągu kolejnych stuleci na okolicznych polach przez chłopów i rolników...

– No, panowie... – Dyrektorka jakby się zniecierpliwiła naszym

rozbieganym wzrokiem. – Spójrzcie, do licha, w lewo!



Spojrzeliliśmy – i znowu zatkało nas z wrażenia.

Nic dziwnego, bo powiedzieć, że epitafium wiszące na ścianie było imponujące, to nie powiedzieć nic.

W efektownym barokowym obramowaniu pełnym rapierów, strzał w kołczanie, elementów osobistego uzbrojenia ówczesnych żołnierzy i innego wojennego ekwipunku, w dodatku zdobnego kartuszem herbowym tkwił owalny portret mężczyzny w sile wieku, w jakże charakterystycznej dla XVIII wieku peruce. Namalowano go na blasze. Oficer miał na sobie półpancerz, na jego ramionach spoczywała oficerska, rdzawoczerwona kurtka, zapewne wypłowiała w trudach wieloletniej kampanii. Mężczyzna był blady, a w jego spojrzeniu czaiło się coś dziwnego.

Zrozumiałem co, gdy spojrzałem na całą jego sylwetkę.

Palcem lewej dłoni oficer wskazywał niewielki, krwawy ślad na pancerzu. To tędy wpadła kula, która pozbawiła go życia. Kciukiem prawej ręki żołnierz w służbie Augusta Mocnego sugerował natomiast, by spojrzeć na scenę rozgrywającą się tuż za jego plecami. Przedstawiała moment, w którym żołnierz armii saskiej poniósł śmierć.

Zrobiłem dwa kroki i schyliłem się zaintrygowany nad obramowaniem. Znajdowała się tam obszerna inskrypcja w języku niemieckim. Zapis w staroniemieckim był trudny do odczytania, ale w morzu słów i liter szybko odnalazłem te najważniejsze.

– Nazywał się Ludwig Karl von der Osten. Był majorem wojsk królewskich i księcia Saksonii... Dowodząc pułkiem piechoty, poległ w bitwie pod Wschową w wieku trzydziestu ośmiu lat i sześciu miesięcy – przetłumaczyłem nieco chaotycznie.

– Zwany był Sacken, w źródłach występuje raczej jako pułkownik Osten-Sacken – uzupełniła dyrektor Nałkowska.

– Osten-Sacken! – Złapałem się za głowę.

Właśnie przypomniałem sobie, co powiedziała nam emerytka Gabrielska: że Zamiejski fascynował się postacią jakiegoś oficera o podwójnym, niemiecko brzmiącym nazwisku! Kolejny element układanki wskoczył więc na swoje miejsce, a z mozaiki chaotycznych fragmentów i przeczuć zaczął nareszcie powstawać zarys większego obrazu.

Ze skupionej twarzy Marka wnioskowałem, że on także zrozumiał sens naszych dotychczasowych odkryć. I że wyłapał motyw podwójnego nazwiska historycznej postaci.

– Co wiemy o tym oficerze? – zapytał bez zbędnej zwłoki.

Dyrektorka muzeum poczochnęła swoją fryzurę, przez chwilę zbierając myśli.

– Niewiele – przyznała w końcu. – Nigdy dotąd nie zgłosił się do nas żaden z członków jego rodziny. A z tego, co wiem, ród Osten-Sackenów był rozległy, ich drzewo genealogiczne do dziś sprawia problemy fachowcom. Na dobrą sprawę nie wiemy nawet, skąd pochodził...

– Nie z Saksonii? – zdziwiłem się.

– Wcale nie jest to pewne. Niewykluczone, że wywodził się z Kurlandii, czyli z terenów bliskich Inflantom, do których rościł sobie pretensje August II, co zresztą stało się zarzewiem wojny północnej. Przydomek „von der Osten” potwierdzałby jego wschodnie pochodzenie. Wiemy, że służył w armii saskiej, że dowodził jednym z pułków piechoty. Nie znamy dokładnego miejsca jego śmierci podczas bitwy pod Wschową, ale raczej zginął na polu walki. Jeśli wierzyć nieznanemu autorowi tego epitafium, dostał postrzał w serce. Przypuszczam, że spadł z konia, taka rana oznacza szybką śmierć.



Wyobraziłem sobie tę scenę: nacierający Szwedzi, pułkownik Osten-Sacken usiłujący zorganizować twardy opór swoich piechurów miota

się na koniu między przełamującymi się pod naporem wroga liniami piechoty – i nagle dostaje postrzał prosto w pierś. Wystrzelona z bliskiej odległości kula przebija półpancerz niczym lichą tekturę i śmiertelnie rani oficera. Chwytając się za pierś, pułkownik w milczeniu osuwa się z siodła, spadając wprost pod dziesiątki, setki nóg kotłujących się w dramatycznej walce piechurów... Nie miał szans, by wyjść z tego starcia cało. Nawet gdyby rana nie była tak groźna, zostałby zapewne stratowany przez masy walczących stron.

– To wyobrażenie śmierci pułkownika wcale nie należy do częstych rozwiązań artystycznych tamtego okresu, co czyni całe epitafium dziełem naprawdę wyjątkowym. Autor obrazu mimo naszych kwerend pozostaje nieznany – ciągnęła swoją opowieść Nałkowska, uśmiechając się tajemniczo. – Jednak wysoka jakość dzieła sugerowałaby, że to fundacja rodzinna. Zabytki tego typu występują w Saksonii.

Spoglądaliśmy raz na naszą przewodniczkę, raz na poważne oblicze pułkownika Osten-Sackena, który z możliwym tylko na portrecie spokojem wskazywał palcem miejsce postrzału kończącego jego życie i służbę Augustowi II. I w głowach mieliśmy chyba obaj to samo pytanie.

– Julian Zamiejski szukał zatem grobu pułkownika. Czy wiadomo coś na temat miejsca jego pochówku? – zapytałem.

– W tej sprawie również nie ma żadnej pewności. – Dyrektorka zmarszczyła brwi. – Bezspornie pochowano go we Wschowie. Ale gdzie dokładnie? Według niektórych przekazów w Kripplein Christi, był to przecież zbór luterański, a Osten-Sacken był właśnie tego wyznania. Znalazłam zapis w źródłach odnoszący się do epitafium pułkownika wiszącego rzekomo w pomieszczeniu znajdującym się bezpośrednio pod biblioteką. Fundacja biblioteki w Kripplein Christi wiąże się z wnukiem pastora Herbergera, który umarł jako student w Królewcu. Na początku XVIII wieku Kripplein Christi pachniała jeszcze świeżością odbudowy po pożarze w 1685 r. Wnętrze kościoła wypełniły liczne fundacje wschowian, gdańszczan, wrocławian... No, ale nie o tym mamy rozmawiać! – zreflektowała się Nałkowska. Widać

było, że ewangelicki zbór to jej ukochany temat. – Wracając do pochówku Osten-Sackena... Według Johannes Friedricha Spechta, autora wydanej w połowie XIX wieku historii Kripplein Christi po tytułem *Nowy Syjon*, dowódcę saskiego pułku piechoty pochowano w „nowo wybudowanej krypcie” w obrębie świątyni. Czy krypta mogłaby znajdować się akurat pod biblioteką, jak zanotował ponad sto lat wcześniej Lauterbach? Myślę, że pochowano go raczej w samym kościele. Biblioteka nie była przecież miejscem grzebania zmarłych, chociaż... w tej historii nie można wykluczyć niczego. Tym bardziej że według zapisków pastora Lauterbacha – przypominam: z roku 1711, a więc sporządzonych zaledwie pięć lat po bitwie – epitafium pułkownika wisiało wtedy właśnie w sali położonej dokładnie pod biblioteką w Kripplein Christi... Kto wie, może była to również krypta.

– A niech to! – wyrwało mi się mimowolnie. – To jest już jakaś wskazówka!

– W dodatku dość wiarygodna. Można bowiem założyć, że pięć lat po bitwie pamięć o niej była w ówczesnej Wschowie jeszcze dość świeża. Dlatego powieszenie epitafium akurat pod biblioteką, mieszczącą się w dobudówce od strony północnej, jest zastanawiające. Z drugiej jednak strony mój obecny kustosz uważa, że pułkownik mógł zostać pochowany na cmentarzu ewangelickim znajdującym się wówczas poza murami miasta, na północny wschód od Bramy Polskiej. Istnieje nawet przekaz o jakimś pomniczku czy kamieniu nagrobnym na jego cześć, który miał tam rzekomo stać. Choć w tej hipotezie coś się nie zgadza. Pomnik miał bowiem stać w zachodniej części cmentarza, a z tego, co wiemy, akurat tam chowano miejską biedotę, w dodatku w zbiorowych mogiłach. Trudno się spodziewać, że w ten sposób potraktowano zwłoki przedstawiciela szlacheckiego, wysoko postawionego rodu...

– Może chodziło o czas? – Marek myślał na głos. – Bitwa była krwawa, tak wielka liczba ciał mogła grozić wybuchem epidemii... Może skorzystano z faktu, że w części cmentarza dla biedoty były już gotowe doły?

– Nie można wykluczyć takiej możliwości – przytaknęła Nałkowska.
– Aczkolwiek bitwa rozegrała się w środku zimy. Temperatury były niskie, prawdopodobnie panował mróz. W takich warunkach nie ma pośpiechu z chowaniem zabitych.

– Cmentarz ewangelicki? A gdzie to jest? – zapytałem zaintrygowany.

– Dzisiaj w tym miejscu znajduje się lapidarium rzeźby nagrobnej – wyjaśniła dyrektorka muzeum z szerokim uśmiechem na twarzy. – To otoczony murem teren nieopodal cmentarza katolickiego. Pan Marek na pewno wie, jak tam trafić. Cmentarz powstał sto lat przed bitwą, na początku XVII wieku. Spoczywa na nim między innymi Mały Luter. Słyszał pan kiedyś o kimś takim?

Pokręciłem głową.

– Tak nazywano wówczas pastora Valeriusa Herbergera, bardzo zasłużonego dla wschowskiej reformacji. Ale to już zupełnie inna historia.

Im więcej znałem detali, tym bardziej wciągała mnie ta historyczna rekonstrukcja. Trzeba przyznać, że działała na wyobraźnię! Śmierć oficera na polu bitwy, tajemnica jego pochówku, wreszcie imponujące epitafium – wszystko to nadawało tej opowieści wyjątkowy klimat. Wcale nie dziwiłem się Zamiejskiemu, że uległ magii tajemnicy i na własną rękę poszukiwał grobu Osten-Sackena. Tylko... dlaczego w ogóle go szukał? Co tak ważnego lub cennego zabrał ze sobą do grobu oficer armii saskiej?

– Wspomniała pani, że nigdy nie pojawił się we Wschowie żaden przedstawiciel rodu Osten-Sacken. Ale może zgłosił się ktoś, kto wiedział cokolwiek o epitafium? – Chwyciłem się ostatniej deski ratunku.

– Niestety. – Nina Nałkowska wymownie rozłożyła ręce. – Epitafium było częścią wyposażenia biblioteki parafialnej w Kripplein Christi niemalże do końca ostatniej wojny. W styczniu 1945 roku niemieccy mieszkańcy ówczesnego Fraustadt – bo tak nazywała się Wschowa od drugiego rozbioru – uciekli na zachód przed Armią Czerwoną. Opustoszałe miasto stało się polem grabieży i szabru. Naszym

epitafium zajęły się, że tak powiem, „osoby zainteresowane sztuką”. Ktoś zabrał epitafium, jak również wiszące w Kripplein Christi portrety pastorów, i wywiózł do Warszawy. W stolicy portret Osten-Sackena wisiał przez kilka kolejnych dekad w prywatnej kolekcji. Po śmierci mężczyzny, który wszedł w posiadanie obrazów, doszło do sporu między jego potomkami. Próba wywiezienia obrazów za granicę spełzła na niczym – zatrzymali je celnicy. I chwała im za to! Proces o ustalenie prawa własności do portretów trwał wiele lat, aż w końcu rodzina ostatnich właścicieli przekazała je parafii Krzyża Świętego w Warszawie. Portret pułkownika został jednak wyłączony z procesu. A ponieważ w zbiorach muzeum znajdowało się niekompletne obramienie obrazu, muzeum wykupiło go z rąk prywatnych. Dzięki temu ponad pół wieku później epitafium nareszcie można było scalić, poddać na nowo konserwacji – i wreszcie zaprezentować mieszkańcom Wschowy.

Duma płynąca z ostatnich słów dyrektorki muzeum wydała mi się w pełni uzasadniona. Do miasta wróciła wszak jedna z pereł, jeśli tak można powiedzieć o cennym zabytku. A wraz z nią – zapewne mocno już zapomniana historia śmierci – i pochówku – pułkownika Karla Ludwiga von der Osten-Sackena. Nic dziwnego, że za poszukiwanie jego grobu zabrał się Julian Zamiejski, wieloletni kustosz tego muzeum. Gdybym był na jego miejscu, też uległbym czarowi tej tajemnicy.

Ciągle jednak pozostawało niejasne, dlaczego Zamiejski szukał grobu oficera.

– Czy kiedykolwiek archeolodzy przebadali wnętrze Kripplein Christi? – zapytałem, bo to pytanie samo cisnęło się na usta.

– Tak, kilkanaście lat temu. Proszę sobie wyobrazić, że pod posadzką świątyni odkryli i wyeksplorowali dwa groby! W jednym z nich spoczywała kobieta. Dzięki bogatemu wyposażeniu pochówku szybko udało się zidentyfikować zmarłą – była to Zofia Radomicka, żona starosty wschowskiego Hieronima Radomickiego. Drugi pochówek był męski, niestety anonimowy, bez żadnych artefaktów, które pozwoliłyby zidentyfikować szczątki. I tu uwaga: ciała zabitych

w trakcie bitwy z reguły chowane były zupełnie bez niczego, nawet bez bielizny! Czy to oznacza, że archeolodzy odnaleźli już grób pułkownika? Nie potrafię odpowiedzieć. Ale taka interpretacja nasuwa się sama.

– Jest pani pewna, że to mogły być szczątki Osten-Sackena? – dopytałem.

Nałkowska westchnęła wymownie.

– Nie, nie jestem. Mówię tylko, że taka próba powiązania bezimiennego grobu z osobą, która miała spocząć w tym kościele, ma pewne szanse. Ale ciągle są to tylko szanse. Bez oficjalnego potwierdzenia.

– A czy archeolodzy zbadali też dawną bibliotekę?

Dyrektorka muzeum zaprzeczyła.

– Warto by zbadać ten fragment Kripplein Christi georadarem – przyznała.

– A gdzie jeszcze pochowano ofiary bitwy? Były ich przecież tysiące, na pewno nie przewożono ich wszystkich na cmentarz poza miastem... – drażyłem temat z uporem maniaka.

– Ma pan rację. Bitwa była niezwykle krwawa, szacuje się, że po obu stronach zginęło w sumie ponad siedem tysięcy żołnierzy. Najwięcej, ponad cztery tysiące ludzi, stracili Rosjanie, stratowani przez szwedzką jazdę. To było bodaj najbardziej krwawe starcie tej wojny przed Połtawą. Oczywiście zdecydowaną większość ciał grzebano na miejscu bitwy lub w jego pobliżu, wykorzystując na przykład naturalne zagłębienia terenu – opowiadała dyrektorka muzeum. – Wiadomo, że wykopano wielką zbiorową mogiłę dla ofiar bitwy. Nie wiemy jednak, gdzie dokładnie. Do dziś ani szwedzka, ani saska – a może raczej niemiecka – strona nie mają pojęcia, gdzie się ona znajduje. Istnieje tylko jedna mapa z przełomu XIX i XX wieku, na której zaznaczono coś, co nazywano wtedy „szwedzkim szanćcem”. Chyba na wyrost, bo wiemy, że przed bitwą Szwedzi żadnych umocnień ziemnych nie zdążyli zbudować. Co ciekawe, tak zwany szwedzki szaniec, a więc zapewne jakieś naturalne wyniesienie terenu powszechnie wówczas utożsamiane z dziełem dawnej sztuki wojennej,

został „odnowiony” w 1906 roku, a więc w dwusetną rocznicę bitwy, przez ówczesne niemieckie władze powiatu.

– Nigdy nie doszło do żadnych profesjonalnych poszukiwań tego miejsca? – Wprost nie mogłem w to uwierzyć.

Dyrektorka uśmiechnęła się smutno.

– Razem z obecnym kustoszem próbowaliśmy zainteresować tym tematem archeologów, ale prywatne firmy archeologiczne oczekiwały zarobku. A gmina nie miała pieniędzy na przedsięwzięcie, które wcale nie gwarantowało sukcesu. I nic z tego nie wyszło.

– Nie wiecie nawet w przybliżeniu, gdzie była ta gigantyczna mogiła? Na szczupłej twarzy Nałkowskiej wykwił tajemniczy, nieco ironiczny uśmiech.

– Oczywiście, że z grubsza wiemy. Ale nigdy nie podamy tego do publicznej wiadomości.

Spojrzeliliśmy z Markiem zdziwieni, ale zaraz zrozumieliśmy dlaczego.

– Boicie się tłumu dzikich poszukiwaczy?

– Właśnie. Lepiej nie wywoływać wilka, a raczej wilków z lasu. Taka informacja od razu spowodowałaby niepotrzebne zainteresowanie. Na pytanie o ten zbiorowy grób zawsze odpowiadamy: gdzieś między Wschową a wsiami Dębowa Łęka i Osowa Sień.

– Prawie trójkąt bermudzki – zażartowałem.

– Tyle że u nas nie znikają ludzie – spuentowała nasza przewodniczka.

– Znikają, szanowna pani. Sęk w tym, że znikają.

28.

Mieliśmy dziwną wizytę

Miałem oczywiście na myśli zarówno Zamiejskiego, jak i Mąkiewicza – postacie z diametralnie innych światów złączone jakąś niepojętą dla mnie tajemnicą. Zagadką, która staremu kustoszowi nakazywała przeszukiwać okoliczne pola i lasy w trójkącie pod miastem, a średnio rozgarniętemu ratownikowi z Lginia – asystować mu posłusznie w tych dziwnych poszukiwaniach. Posłusznie do czasu. Co zaszło między nimi, że uczeń zgładził starego mistrza? A może to nie był wcale uczeń, tylko zwykły parobek, silny fizycznie koń pociągowy, przydatny do taszczenia żelastwa, skorodowanych szpad szwedzkiej kawalerii i innych pamiątek po starciu wielkich armii sprzed trzystu lat? Może Zamiejski najzwyczajniej w świecie wykorzystywał Mąkiewicza, a robol zbuntował się i w afekcie ugodził go nożem?

Coraz lepiej rozumiałem postępowanie Zamiejskiego. Ileż było niewyjaśnionych spraw związanych z tamtą odchodzącą z wolna w niepamięć batalią! Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że Zamiejski postawił sobie za punkt honoru odkrycie masowego grobu żołnierzy i godne ich upamiętnienie. Leżeli wszak w ziemi, w nieoznaczonym grobie, jak bydłota. Czy podobnie było z poszukiwaniami grobu pułkownika? Czy Zamiejskiemu przyświecał tylko szczytny cel? A może chodziło o coś jeszcze?

Wszystkie te myśli przelatowały mi w ułamkach sekund przez głowę, gdy stałem przed zacnym epitafium ku czci pułkownika Karla Ludwiga Osten-Sackena, przysłuchując się fascynującej opowieści dyrektorki muzeum o pobocznych, ale jakże ludzkich wątkach dawno

już przegranej przez Sasów i Rosjan bitwy. Naszła mnie wtedy inna, gorzka refleksja: mięso armatnie zawsze kończy tak samo, niezależnie od epoki i wodzów. Takich bezimiennych dołów z tysiącami szkieletów ziemia skrywa tysiące.

– Nie wiem, na ile znacie, panowie, tę historię, ale po bitwie najgorszy los spotkał rosyjskich jeńców – kontynuowała swoją opowieść Nałkowska. – O ile rozbici Sasi wycofali się w nieładzie na Głogów, o tyle do szwedzkiej niewoli dostało się co najmniej kilkuset żołnierzy rosyjskich z korpusu generała Wostromirskiego. Byli w zielonych mundurach, które przed bitwą dla niepoznaki wywinęli na drugą, czerwoną stronę.

– Po co? – zdziwił się Marek.

– Żeby zmylić Szwedów. Trzeba bowiem pamiętać, że w pierwszej fazie wojny Rosjanie dopuścili się wielu zbrodni na szwedzkich jeńcach w Inflantach. Zła sława szła za żołnierzami Piotra Wielkiego do końca konfliktu, dlatego pod Wschową obawiali się rewanżu. Niestety, jakby przewidzieli swój los.

– Szwedzi ich zabili? Przecież to zbrodnia wojenna! – oburzył się Marek.

– Tak to byśmy określili współcześnie – uprzedziłem z odpowiedzią naszą przewodniczkę. – Ale wtedy, w odległej przeszłości, takie sprawy były niestety na porządku dziennym. Jeńców się wybijało, bo stanowili kłopot.

– Szwedzi natychmiast odkryli, jaki jest prawdziwy kolor mundurów jeńców – dopowiedziała dyrektorka. – A ponieważ uważali ich za ludzi bezwartościowych, których nie opłaca się nawet trzymać dla okupu, bez skrupułów zemścili się za Kurlandię. Za jeńców saskich Szwedzi spodziewali się sowitego okupu. Próbowali też zaciągnąć ich pod swoje sztandary. Musicie, panowie, pamiętać, że w XVIII wieku europejskie armie stanowiły istny konglomerat narodowości. Przecież zdarzało się, że w armii szwedzkiej służyli również Polacy...

– Dziwne czasy – wyrwało się Markowi.

I trudno było się z nim nie zgodzić.

– Rolnicy do dziś znajdują na swoich polach drobne destruktury:

ołowiane kule, zamki od pistoletów czy muszkietów – dodała na marginesie muzealniczka. – Widzicie je, panowie, tutaj, w tych gablotach. – Wskazała na przeszklone pojemniki pełne okruchów po bitwie.

– Ale archeolodzy nigdy nie badali tych terenów? – wolałem się upewnić.

– Według mojej wiedzy nie.

– Chyba próbował ich zastąpić Julian Zamiejski.

– Nie wykluczam, że tak było. Pan Julian... Pan Julian miał na tym punkcie jakąś obsesję.

Na chwilę zamilkliśmy, pozwalając, by wspomnienie zmarłego wróciło na moment w te stare mury. Właściwie nie musiałem prosić uprzejmej dyrektorki o doprecyzowanie, co miała na myśli. Z opowieści coraz liczniejszych świadków wyłaniał się obraz zdegenerowanego, być może zapijaczonego starego człowieka, który mimo nizin społecznych, w jakie popadł, potrafił się bez reszty oddać swojej pasji. Ewidentnie chciał coś wyjaśnić. Bez dwóch zdań poszukiwał miejsca pochówku człowieka, którego nieznany malarz uwiecznił na blasze w epitafium o heroicznej wymowie. Tylko, u diabła, w jakim celu?!

– Znała go pani dobrze? – zapytałem.

– Niezupełnie. Gdy obejmowałam stanowisko, był już poza muzeum. Decyzję o zwolnieniu podjął jeszcze mój poprzednik. Z tego, co wiem, nie miał wyboru. Pan Julian miał zły okres w swoim życiu. Popadł w depresję, wyjścia szukał w coraz mocniejszych trunkach. Zdaje się, że dobrze poznali go nasi lokalni pijaczkowie...

Potwierdziliśmy z Markiem skinieniami głowy.

– No właśnie. Pod koniec ciągu, w który wpadł, ponoć nie było dnia, żeby nie stawiał się w pracy nietrzeźwy. Aż w końcu w ogóle przestał do niej przychodzić. Ja nie odbieram mu kompetencji, broń Boże! Zarówno papiery, jak i doświadczenie miał zapewne świetne. Problem w tym, że stał się hm... mało dyspozycyjny. Potem, już za mojej tutaj obecności, zaglądał czasem do nas, kiedy jeszcze urzędowaliśmy w kamieniczkach w rynku. Czasem był całkiem „na chodzie”, raz czy

dwa nawet mi coś fajnego podpowiedział *à propos* ekspozycji. Ale częściej bywał – jak to się mówi – pod wpływem. Coś tam sobie wtedy mruczał pod nosem. Muszę jednak oddać mu sprawiedliwość: choć podпиты, nigdy nie widziałam go agresywnego. Nigdy też nie sprawiał kłopotów. Jeśli widział, że nie mamy ochoty na jego odwiedziny, grzecznie się wycofywał.

– Pytał kiedykolwiek panią o Osten-Sackena? Albo o bitwę? – Byłem tego strasznie ciekaw.

– Mój Boże! Mnie o pułkownika? O bitwę? A któż wiedział o nich więcej niż pan Julian? To ja mogłabym się u niego podkszałcić, jak Boga kocham! Gdyby tylko był na co dzień w ciut lepszej formie...

– A ostatnio? Pytał ktoś panią o pułkownika?

Nałkowska jakby się zawahała.

– Nie, nie pamiętam. Ale...

– Tak?

– Mieliśmy niedawno dziwną wizytę.

– Dziwną? Dlaczego?

– Hm... Jakby to powiedzieć... Zaskoczył nas pewien turysta z Drezna.



– Przyjechał brązową kią?! – Dosłownie podskoczyłem z emocji. – Czy przyjechał takim właśnie samochodem?!

Wystraszyłem kobietę tym krzykiem, nie ma co! Aż drgnęła, jakby nagle uświadomiła sobie, że w jej otoczeniu znalazł się człowiek obłąkany. Mimowolnie odsunęła się ode mnie na krok.

– Nie widziałam jego samochodu. Musiał zaparkować na rynku albo na placu Farnym za kościołem... – odpowiedziała niepewnym tonem, zbity z tropu.

– Kiedy to było? Proszę sobie przypomnieć, to naprawdę ważne!

– Chyba w poprzednim tygodniu. Tak, to mógł być zeszły piątek. A może nawet czwartek. Tak, tak, czwartek! Miałam wtedy urwanie

głowy z przygotowaniami do wystawy o wschowskim luteranizmie.

– Czego chciał? Pamięta pani?

– Kupił bilet i wszedł do muzeum. Zdaje się, że towarzyszył mu jakiś Polak...

– Tak, nazwiskiem Kowalski! – sarknąłem rozdrażniony.

Miałem dziwne przeczucie, że ta dziwna para od dawna wodzi nas za nos.

– Nie wiem, nie przedstawił się. – Dyrektorka obserwowała moje zachowanie z przymrużonymi oczyma, jakby szacując, ile jest we mnie rozsądku, a ile szaleństwa. Ocena wypadła chyba nie najgorzej, skoro zdecydowała się kontynuować: – W każdym razie zachowywali się dziwnie. Od razu bez żadnych wstępów pomaszzerowali do sali, w której teraz stoimy. Jakby dokładnie wiedzieli, czego chcą i gdzie tego szukać...

– Może wiedzieli.

– A potem stali przed epitafium dobre pół godziny, wpatrując się w nie w absolutnym milczeniu. Niemiec czytał uważnie tę inskrypcję na obramieniu, a Polak jakby go pilnował. A może raczej ochraniał? Krążył wokół niego jak jakiś bodyguard. Wiem dobrze, bo opowiadała mi pani Stasia, nasza pracowniczka, która pilnowała wtedy zbiorów. A potem sobie poszli. Nie zobaczyli więc nic innego. Nic ich nie interesowało poza epitafium! Teraz sobie myślę, że to było nawet podejrzan.

– Powiedziała to pani policji?

– Nie...

– Dlaczego? Przecież to bardzo ważne!

– Skąd miałam wiedzieć, że to ważne? Nie spodziewałam się. Policja mnie w ogóle nie przesłuchiwała, więc... dlaczego? – Nałkowska wyglądała na kompletnie zagubioną.

– To nie ma sensu – dość obcesowo skontrował mnie Marek.

– Co nie ma sensu? – zaprotestowałem.

Byłem zdenerwowany, a jednocześnie kompletnie zbity z tropu jego wystąpieniem. W tak ważnym momencie podcina mi skrzydła?

– Nie ma sensu iść z tym na policję – wskazał na pułkownika Osten-

Sackena, spoglądającego na nas spokojnie z obrazu sprzed trzech wieków. – I co z tego, że ci dwaj tu byli? I co z tego, że postali tu sobie i popatrzyli na obraz przez pół godziny? Nie mogli? A może są miłośnikami malarstwa z tej epoki? Zeznali, że są tylko turystami. Dobrze wiesz, że policja nie ma nic, co pozwoliłoby ich zatrzymać. Nawet nie mają statusu podejrzanych! Nie pójdzie na to żaden prokurator, a już na pewno nie klepnie tego żaden sąd.

Wziąłem dwa głębokie oddechy. Pomogło. Zrozumiałem, że kumpel ma rację. Co z tego, że podejrzewani przez nas mężczyźni interesowali się obrazem w muzeum? Nawet jeśli był to obraz postaci historycznej, wokół której kręcił się w ostatnich latach zamordowany Zamiejski. Wszystko to były tylko strzępy jakiejś dłuższej opowieści, której nie uda się sklecić śledczym na chybcika. Nie, to wszystko były okruchy ważne dla nas, ale zapewne zupełnie bez znaczenia w śledztwie prowadzonym przez profesjonalistów z komendy.

– Chyba masz rację – przyznałem z ociąganiem. – To rzeczywiście żaden dowód. Równie dobrze można to zdarzenie uznać za zwykły zbieg okoliczności.

– Na przykład. Albo za wyraz szczególnego zainteresowania historią tego regionu. Przecież nikt im tego nie zabroni!

Dyrektorka przerzucała swoje zdezorientowane spojrzenie raz na mnie, raz na Marka.

– Przepraszam bardzo, panowie, ale... o czym wy w ogóle mówicie? Co to byli za ludzie? Czy mam z tym iść na policję, czy nie?

Przeprosiliśmy ją za zamieszanie. Powiedziałem, że policja zatrzymała niedawno dwóch mężczyzn, którzy odwiedzili jej muzeum – ale wyjaśniłem dlaczego. I dodałem, że jeszcze tego samego dnia ich wypuszczono. Mimo tego zapewnienia Nałkowska wyraźnie pobladła. Nie wyglądała na przekonaną, że bagatelizowanie niedawnej wizyty obu mężczyzn to dobry pomysł.

– Może jednak powinnam poinformować policję? – wahała się.

– Zrobi pani, jak uzna za stosowane – powiedziałem, starając się ją uspokoić pewnym tonem swojej wypowiedzi. – W każdym razie obaj mężczyźni nie są oficjalnie podejrzewani o nic złego.

Chyba przekonałem ją, że nie ma sensu wykonywać nerwowych ruchów. Choć jeszcze przed chwilą sam wybuchnąłem z emocji.

– Dobrze, zastanowię się nad tym – obiecała cichym głosem.

Potrzebowaliśmy pilnie zmienić temat. Marek zrozumiał to najszybciej.

– Czy można wejść do Kripplein Christi? – zapytał.

Dyrektorka pokręciła głową.

– Nie można, w tej chwili to właściwie plac budowy. Choć na razie niewiele się tam dzieje – wyjaśniła. – Krypel, jak dawniej mawiano na wielkopolskie zbory, to własność gminy. A ta nie ma na razie środków na renowację wnętrza. Dlatego świątynia jest zamknięta, żeby nie kusić poszukiwaczy skarbów i nie narażać ich zdrowia. Gdyby nie daj Boże wydarzyło się tam coś złego, gmina musiałaby płacić kary, a może nawet odszkodowania.

– Ale przecież czasem oprowadzacie tam wycieczki – przypomniał sobie Marek.

– Coraz rzadziej. Wnętrza pokazujemy sporadycznie, bo jednak stanowią realne zagrożenie. To znaczy, budynek jest zabezpieczony. Dzięki środkom z Niemiec wzmocniono niedawno więźbę dachową. Teraz trzeba by wymienić poszycie dachu... Tak, proces restauracji tego obiektu będzie kosztowny i długotrwały.

– Miała tu powstać sala koncertowa – odrzucił znowu mój przyjaciel.

– Oj, pomysłów było w ostatnich latach wiele. Ale wszystko rozbiło się o pieniądze. Ta świątynia powinna być perełką, przecież to najstarszy kościół ewangelicki w dawnej Wielkopolsce, zbudowany zupełnie od podstaw. Nie wiem, czy panowie wiecie, jak powstał ten kościół? Otrzymał wyjątkowe, rzadkie w Polsce imię Żłóbka Chrystusa, nadane mu przez pastora Valeriusa Herbergera.

– Tego Małego Lutra? – przypomniałem sobie jej wcześniejszy wykład.

– Właśnie. Świątynia powstała w 1604 roku w błyskawicznym jak na tamte czasy tempie. Decyzją króla Zygmunta III Wazy, który, jak wiadomo, sprzyjał kontrreformacji, ewangelicy musieli zwrócić

katolikom kościół farny. Który notabene wcześniej odbudowali po pożarze. Luteranie musieli w szybkim tempie zbudować własną świątynię – i zrobili to. Jesienią 1604 roku wykupili dwa domy położone przy Bramie Polskiej, a należące wcześniej do szewca Georga Schwana oraz do Georga Menzla, i zaadaptowali je na kościół. Powstała prosta w formie hala, zresztą południową ścianę kościoła stanowi dawny mur obronny. W wigilię Bożego Narodzenia 1604 roku ewangelicy w uroczystej procesji opuścili niedaleką farę, a następnego dnia w zborze, który właśnie wtedy otrzymał imię Żłóbka Chrystusa, odprawiono pierwsze nabożeństwo.

– Podobno Zygmunt III postawił przed ewangelikami zadanie nie do wykonania – pociągnął temat Marek.

– To legenda opisująca w malowniczy sposób, jak trudne zadanie czekało luteran – uśmiechnęła się Nałkowska. – Według niej, w decyzji wydanej ewangelikom przez króla zapisano, że nowa świątynia nie może stać ani w mieście, ani poza jego murami. Że nie może mieć ani prostokątnej, ani okrągłej wieży. I że musi powstać w ciągu trzech miesięcy. Wydawało się, że to warunki nie do spełnienia, a jednak luteranom udało się ich dotrzymać. Jak to możliwe? Po prostu bardzo szybko przystosowali kamienice do nowej roli. W dodatku – tak się szczęśliwie złożyło – stały one w tak zwanym międzymurzu, a więc pomiędzy pierwszym, zewnętrznym murem obronnym, a drugim, stanowiącym wewnętrzny pierścień fortyfikacji wokół Bramy Polskiej. Nie znajdowały się więc ani w mieście, ani poza nim. Wreszcie na dzwonnicy Kripplein Christi przerobiono basztę Bramy Polskiej, która – jak panowie wiecie – nie jest ani kwadratowa, ani okrągła...

Przypomniałem sobie wieczorną przebieżkę wokół murów miejskich – biegłem wszak wtedy w cieniu murów zboru. W pamięć zapadłam mi prosta, ascetyczna wręcz bryła dawnego domu Bożego z nielicznymi zakratowanymi oknami. Nawet nie przypuszczałem wtedy, że kilka dni później wrócę do niego myślami z zupełnie innego powodu.

– We wnętrzu kościół robił wielkie wrażenie. – Nina Nałkowska

jakby wyczuwała, o czym myślę. – Proszę sobie wyobrazić, że trzy piętra empor mogły pomieścić do dwóch tysięcy wiernych! I choć świątynię ewangelików kilka razy trawiły pożary, za każdym razem wierni odbudowywali ją jeszcze efektowniej. Strop i balkony pokryte były malowidłami o tematyce biblijnej, a ozdobą świątyni był połączony ołtarz.

– A dziś... – westchnął Marek.

– Cóż, dziś Kripplein Christi woła o pomoc. A to wymaga dużych, naprawdę wielkich pieniędzy – na przykład na renowację drewnianych empor. Deski są już w opłakanym stanie, nie sposób na nie wejść...

Nie wiem dlaczego, ale nagle bardzo zapragnąłem dostać się do wnętrza dawnego domu Bożego wschowskich ewangelików. Być może podziałała tak na mnie sugestywna opowieści naszej przewodniczki. A może uświadomiłem sobie, że to bardzo prawdopodobne miejsce pochówku człowieka, który ciągle spoglądał na nas z obrazu, wskazując palcem dziurę w swojej piersi. Instynktownie czułem, że to miejsce niezwykle ważne w całej tej historii, którą nieudolnie próbowaliśmy odtworzyć podczas wypoczynku, który miał być sielanką, a przerodził się w historyczne dochodzenie z dwoma nieboszczykami w tle. Jak najbardziej współczesnymi.

29.

Głupie rzeczy w stresie

O wpół do czwartej opuściliśmy chłodne mury dawnego kolegium jezuitów, pozostawiając w nich epitafium pułkownika Osten-Sackena, prawdopodobnie winnego ostatnich, współczesnych nieszczęść. Gdy wychodziliśmy z muzeum, słońce zawędrowało już daleko na zachód, świecąc teraz zza wygiętego w łuk dachu dawnej szkoły i doświetlając wszelkie ceglane ubytki potężnej wieży kościoła farnego. Tego samego, który w 1604 roku musieli opuścić luteranie pod wodzą pastora Herbergera, by demonstracyjnie przemaszerować do nieodległego przecież Kripplein Christi. Ciekawe, ile prawdy zawierała legenda o twardych warunkach postawionych ewangelikom przez ówczesne władze. Jeśli była autentyczna choć w połowie, luteranie niewątpliwie zagrali katolikom na nosie.

– Dokąd teraz? – zapytałem Marka nieco rozkojarzony, stojąc na bruku otaczającym wschowską farę.

– Może... – zaczął, ale już nie skończył.

Zza masywnej przypory wspierającej wieżę wyjechało z piskiem opon czarne bmw. Zaraz potem kierowca dał ostro po hamulcach, a trzy ogolone głowy w środku aż zakołysały się w przód.

Jeszcze tylko tego tu brakowało – przemknęło mi przez głowę.

– Nie wsiadamy – zdążyłem syknąć do Marka.

Nie potrafiłem sobie wyobrazić, że porwą nas w biały dzień spod kościoła.

Zaraz potem szyba w przednich drzwiach opuściła się i zobaczyliśmy jakże nam znajomą twarz człowieka, któremu

wydawało się, że rządzi okolicą niczym król. A może raczej Bóg. *Gold* na jego szyi zdawał się błyszczeć bardziej niż kiedykolwiek.

– Co jest, panowie? – zagadnął z nieprzyjemnym, obleśnym wręcz uśmiechem. – Co to za szopki w muzeum, a wcześniej z klechami? Chodźcie się do nich spowiadać, ha, ha, ha?!

Mieli nas ciągle na oku. Doskonale wiedzieli, gdzie i kiedy byliśmy. W końcu Krzywy zapowiedział: *I'm watching you, man!* Teraz rzucił hasło: „Sprawdzam!”.

– Na waszym miejscu zainteresowałbym się raczej dwoma gośćmi, którzy rozbijają się po okolicy brązową kią – rzuciłem w stronę bmw, unikając wzroku gangstera. – Mieli coś wspólnego z Mąkiewiczem, a na policji ściemniali, że niby w ogóle go nie znali...

Skamieniała twarz bossa świadczyła o jego zaskoczeniu.

– Co ty pierdolisz, *man*?! – zapytał. – Jacy goście w kii?!

– Już powiedziałem, wtedy na działkach! Ci dwaj faceci byli widziani pod domem Mąki, przyjechali po niego kilka dni przed jego śmiercią. To pewna wiadomość! Resztę musicie już sami sobie dośpiewać...

– No, no! Tylko mi tu nie chojrakuj! – Krzywemu nie przypadł do gustu ton mojej wypowiedzi. – A tych dwóch sprawdzimy, spokojna głowa! I więcej takich informacji, *men*! Więcej, a między nami będzie git!

Dwa osiłki towarzyszące bossowi wyszczerzyły zęby w uśmiechu, od którego powiało grozą. Krzywy wskazał palcem kierunek, po czym bmw skoczyło do przodu jak dźgnięty włócznią lampart. Na zakręcie szerokie opony wozu zapiszczały po bruku i poniosły auto w stronę klasztoru franciszkanów. Chwilę później po bandzie pozostał już tylko smród spalin.

– To nie było zbyt mądre, *maaan* – powiedział do mnie Marek, naśladowując koślawy angielski akcent Krzywego. – Jeśli coś zrobią tej dwójce, będzie na nas. W języku prawniczym nazywa się to podżeganiem do czynu zabronionego...

– E tam! – Machnąłem ręką. – Sam wiesz, że ci dwaj mają niejedno na sumieniu. Dlaczego kłamali na policji, że nie znają Mąkiewicza? Zresztą te mięśniaki na pewno ich nie znajdą. Idę o zakład!

Zgrywałem się, bo co mi pozostało? A tak naprawdę dopiero w tej chwili wystraszyłem się tego, co zrobiłem. Marek miał rację po trzykroć, po stokroć! Pozostało mi tylko modlić się o to, by podejrzani Polak i Niemiec nie wpadli w łapy Krzywego.



Człowiek w stresie robi głupie rzeczy. Rozmyślałem o tym, gdy wracaliśmy z Markiem do naszej kwatery w rynku. Z jednej strony pozbyłem się na jakiś czas natrętnego lidera tutejszego półświatka, z drugiej miałem kaca moralnego, że zrobiłem to w sposób prymitywny – i niebezpieczny dla innych.

– Wiesz co? – Zatrzymałem się nagle przy moim leciwym fordzie, stojącym dumnie w cieniu ratusza. – Może warto by pojechać raz jeszcze do Hubertusa?

– Gdzie?

– Do Hubertusa. A może raczej na parking obok.

– Ale po co, stary?

– Zobaczysz. Jedziesz ze mną?



Działałem pod wpływem impulsu, ale mój wewnętrzny kompas podpowiadał mi, że trzeba sprawdzić ten kierunek. Chwyciłem się tej myśli jak koła ratunkowego rzuconego na morze wątpliwości. Doskonale wiedziałem, po co jadę znowu pod zajazd. A raczej do kogo. I wiele sobie po tym obiecywałem.

Zanim dotarliśmy do miejsca, w którym – jak wynikało z ustaleń policji, ale też moich – nocowali przez pewien czas tajemniczy Polak i jego niemiecki wspólnik, przypomniałem Markowi o prostytutce, z którą rozmawiałem tam kilka dni wcześniej. Skrzywił się z niesmakiem, ale uznał, że może wiedzieć więcej, niż nam się wydaje. Niewykluczone przecież, że i ona zetknęła się z tymi, których

podejrzewaliśmy o najgorsze.

Policja gruntownie przesłuchiwała już pracowników zajazdu, więc odpuściłem sobie dublowanie ich pracy. Zaparkowałem na wprost budynku i po zamknięciu auta skierowaliśmy się od razu w stronę szerokiego, rozjeżdżonego przez tiry, wysypanego żwirem parkingu.

Upał był nieznośny, dawał nam po karkach i niczym nieosłoniętych głowach. Już pierwszy rzut oka na okolicę nie dawał dużych nadziei na spotkanie potencjalnej informatorki. Na postoju nie było żadnego tira, najwyraźniej warunki pogodowe były przesadnie dobre i – paradoksalnie – nie sprzyjały świadczonej tu rekreacji.

Pokręciliśmy się zawiedzeni po pustej przestrzeni. Nigdzie nie zauważyłem zmęczonej życiem kobiety w wyzywająco czerwonej miniówce. Tirówka chyba zrozumiała, że tego dnia nie będzie ruchu w interesie. A więc z rozmowy nici...

– Nie ma jej – powiedziałem. – Zbierajmy się.

– Tak, to był chyba głupi pomysł – przyznał Marek i ruszył w stronę samochodu.

Wlokłem się za nim, szurając butami po żwirze. Czułem głód i wzbierającą złość. Może by tak zjeść obiad w Hubertusie?

– Hej, panie znajomy! – usłyszałem gdzieś z boku damski głos. – Szuka mnie pan? Dzisiaj okazja, duży rabat!

Marek też to usłyszał. Przystanęliśmy zaskoczeni, rozglądając się na boki. Dopiero po dłuższej chwili zorientowałem się, skąd ona do nas mówi. Siedziała w cieniu drzew, skryta w przykurzonym fiacie panda. Zaparkowała sprytnie, schowana z jednej strony przed słońcem, z drugiej przed wzrokiem klientów zajazdu. Z tego miejsca miała doskonały widok na postój dla ciężarówek. Tyle że tym razem jej teren łowiecki był cichy jak nigdy.

Dałem Markowi znak, by poczekał przy samochodzie, a sam ruszyłem ku fiatowi. Tirówka wystawiła przez uchylone drzwi swoje długie nogi, łapiąc ostre słońce. Zupełnie nie wiem po co: od solarium były już niemal koloru hebanu. Na mój widok na jej mocno umalowanej twarzy pojawił się wulgarno-ironiczny uśmieszek.

– Już myślałam, że zabawimy się w trójkącik – zagadnęła.

– Może innym razem – zażartowałem, choć ona odebrała to całkiem serio.

– A co dzisiaj, panie detektywie? Szybko i ostro za dwieście? Czy może znowu smętne gadki za nędzne pół stowy?

– Miał być jakiś rabat – rzuciłem kąśliwie. – Chciałem pogadać. Mam ważny temat.

– To będzie bez rabatu, panie i władco.

Wskazała mi dłonią miejsce po drugiej stronie kierownicy. Chcąc nie chcąc, wszedłem do pandy i przyjrzałem się kobiecie z bliska. Wydała mi się jeszcze starsza niż poprzednim razem. Wysoka temperatura zdecydowanie szkodziła jej makijażowi, a piegowaty dekolt spływał potem.

– Dam ci pięć dych za pewną informację – powiedziałem, żeby nie przyszły jej do głowy żadne inne pomysły.

– Czyli nic nowego – fuknęła, ale przystała na ten układ.

W końcu nawet pięć dych piechotą nie chodzi. Na benzynę jak znalazł.

– Jesteś tu często?

– Codziennie. Chyba że pada.

– Więc jak tu siedzisz, to z grubsza wiesz, kto mieszka w Hubertusie.

– No... z grubsza. Bo czasem jednak jestem zajęta.

– Rozumiem. To teraz najważniejsze pytanie: w ubiegłym tygodniu przed zajazdem często parkowała brązowa kia sportage. Wiesz, jak wygląda ten samochód?

Skinęła głową na znak, że rozpoznaje marki i wie, o jaki wóz chodzi.

– Pamiętasz go?

– Pamiętam. Jeździło nim dwóch facetów w twoim wieku. No, może odrobinę starszych.

– Zgadza się – pochwaliłem ją na zachętę. – Pamiętasz, jak długo tu nocowali?

– O rany, a skąd mam to wiedzieć? Na pewno byli tu kilka dni, ale notatek nie robiłam. – Zaśmiała się nieprzyjemnie. – Jeden z nich był Polak, a drugi szprechał po niemiecku.

– Słyszałaś?

– Taaa... – mruknęła z niechęcią, która mogła znamionować tylko jedno: bliższą zażyłość.

Wolałem nie dopytywać o szczegóły tej znajomości. Ale kobieta wygadała się sama. Złość dosłownie w niej buzowała.

– Nie chciał zapłacić za numerek, kutafon jebany – bluzgnęła pod jego adresem. – A gdy zrobiłam awanturę, wepchnął mi w dekolt dwadzieścia euro! Dwa-dzie-ścia euro, wyobrażasz sobie? Niech sobie tym dupę podetrze, Szwab pierdolnięty! Albo lepiej fiuta!

Była odrażająca, ale przez to bardziej wiarygodna. Mruknałem coś w rodzaju „przykro mi”, choć musiało to zabrzmieć wyjątkowo głupio. Tirówce i tak było obojętne, co odpowiem.

Chrząknąłem, zaznaczając, że chcę kontynuować rozmowę, odchodząc od osobistych żalów prostytutki.

– Pamiętasz tamtego napakowanego gościa, o którego pytałem cię pierwszym razem?

– No, przypominam go sobie... Ratownik, czy jakoś tak?

– Widziałaś go kiedyś z tymi dwoma?

Zastanowiła się przez chwilę.

– Nie, do nich nikt nie przyjeżdżał.

– A ten napakowany? Może to na nich czekał? No wiesz, wtedy kiedy...

– Może – westchnęła zniecierpliwiona. – Długo jeszcze? Ty chyba jednak jesteś z policji. Tylko oni tak przynudzają...

Spojrzałem na nią cierpko. Zdecydowanie nie była miła. Nawet jak na obiecane pięć dych. Udałem jednak, że nie słyszę sarkazmu przebijającego z jej wypowiedzi. W końcu nie przyjechałem na ten zafajdany parking na miłe pogawędki. Oczekiwałem konkretów.

– Powiedz mi jeszcze coś o tej dwójce – zaproponowałem.

– A co tu opowiadać? Rano wyjeżdżali, wracali pod wieczór.

– Czyli nie siedzieli na miejscu?

– A niby po co? – Wzruszyła ramionami. – Wioska zabita dechami, nie ma tu co robić. Nawet staw wysechł.

– Nie usłyszałaś, o czym rozmawiali?

– Niespecjalnie. Ten Szwab zapierdalał po niemiecku, nic z tego nie rozumiałam. No, może poza *halt* i *Hände hoch*.

– Co? – Dosłownie mnie zatkało.

– Żartuję, facet! Ha, ha ha! – Zaśmiała mi się prosto w twarz, a ja zauważyłem, że za przesadnie wyszminkowanymi ustami kryły się braki w uzębieniu.

Poczułem obrzydzenie, a jednocześnie po raz pierwszy zrobiło mi się jej żal. Chciałem już skończyć tę absurdalną rozmowę, dać jej ten cholerny błękitny banknot i wyskoczyć z zakurzonej pandy – ale nie mogłem. Gdzieś w głębi duszy czułem, że ona może wiedzieć coś ważnego. I że jeszcze mi tego nie powiedziała.

– Byłaś u niego w samochodzie? – odważyłem się na to pytanie.

– Taaaa – odpowiedziała niechętnie.

Wiedziałem dlaczego. Staralem się być delikatny.

– Miał tam coś ciekawego? Jakies mapy, może dokumenty? Przepomnij sobie, to naprawdę bardzo ważne.

– Dlaczego? – zdziwiła się.

– Od tego może zależeć czyjeś życie. – Wcale nie miałem poczucia, że blefuję.

Jej podkreślone czarną kredką oczy po raz pierwszy rozszerzyły się zaskoczone.

– Aż tak... – szepnęła słabo, jakby nagle odkryła, że sama znalazła się o krok od śmierci. – No dobra... Coś tam rzuciło mi się w oczy, nie powiem...

– Tak?!

– No wiesz, kiedy pracowałam... przez chwilę mogłam sobie popatrzeć na kierownicę...

– I?

– Nie uwierzysz, koleś, co ten kutafon miał naklejone na jej środku. Znaczący się, na miejscu, w którym jest poduszka powietrzna.

Serce uderzyło mi mocniej, a świat wokół zawirował mi w oczach, jakbym miał zemdleć.

– No?! – zdołałem zadać najkrótsze pytanie.

– Zdjęcie jakiegoś faceta w długiej peruce. I chyba w zbroi. A pod

nim jakieś napisy po szwabsku. Facet w długiej peruce, łapiesz? I wtedy zrozumiałam, że ten kutafon jest zwyczajnie zboczony.



Oddychałem ciężko, jakbym dopiero co sam padł ofiarą świadczonych przez tirówkę usług.

Doskonale wiedziałem, o kim opowiada mi przydrożna prostytutka. Wiedziałem, bo już dawno przestało to być śmieszne. Nawet w interpretacji upadłej kobiety. Niemiec z kii ewidentnie woził ze sobą reprodukcję epitafium Osten-Sackena. Tylko po cholere przytwierdził ją do kierownicy swojego wozu? Dlaczego człowiek, który poległ od szwedzkiej kuli ponad trzysta lat temu na nieodległych błotnistych polach, był dla niego tak ważny?

A może...

Może Niemiec z kii był jego potomkiem?

Może postanowił za wszelką cenę dotrzeć do miejsca pochówku swojego praprzodka?

Tylko dlaczego musiało to oznaczać śmierć dwóch mieszkańców Wschowy?

Co takiego Karl Ludwig von der Osten-Sacken zabrał ze sobą do grobu?

I gdzie, do diabła, szukać jego trumny?



– Powiedział ci coś o nim?

– O kim?

– O tym w peruce.

– Nie. Bo ja nie zapytałam. No wiesz, praca i praca... A potem była chryja o te pieniądze. Pieprzone dwadzieścia euro! Do teraz mnie trzęsie, jak o tym myślę! Szwabski dupek!

– A ten drugi? Miałaś... z nim coś wspólnego?

– Nasz? Znaczy się Polak? Trzymał się ode mnie z daleka. Ale chyba tego Niemca niezbyt poważał.

– Jak to?

– Normalnie. Pokrzykiwał na niego jak na jakiegoś parobka. Zupełnie jakby to on rządził.

– Co do niego krzyczał?

– Nie wiem, po niemiecku to było. Ale ze dwa razy mu coś dogadał po polsku.

– Co?

– No wiesz, jakby wiedział, że ten drugi nie zrozumie... „Gadaj zdrów, szkopie”, czy jakoś tak. A raz, tak pod wieczór, to się nawet pokłócili. Przyjechali na parking i darli na siebie ryje. Mnie nie widzieli, bo zaparkowałam tak jak dzisiaj. I miałam widowisko! Ten Niemiaszek wymachiwał rękami, jakby chciał odfrunąć. I tylko w kółko powtarzał: *Was gemacht?! Du gemacht?* Czy jakoś tak. W kółko *gemacht* i *gemacht*. A na to ten Polak pchnął go na maskę samochodu i chciał go zdzielić z piąchy w pysk! „Zamknij się, Hans!”, krzyknął po naszymu, to zapamiętałam. I jeszcze dodał: „Jak się nie zamkniesz, to nas posadzą!”. Strasznie go od kretynów wyzwał, szkoda gadać...

Poczułem, że włos jeży mi się na głowie.

W jednej chwili wyobraziłem sobie tę scenę. Dwójka współników przyjeżdża pod zajazd. Jest wieczór, z wolna się ściemnia. Wysiadają z kii, mocno wzburzeni. Niemiec jest poruszony, załamuje ręce. *Was hast du gemacht?!^[8]* – wykrzykuje przerażony do współnika. Ale ten drugi nie chce słuchać pretensji, reaguje agresją. Omal nie bije Niemca. „Zamknij się, Hans! – krzyczy. – Jak się nie zamkniesz, to...”

Choć o to nie zapytałem, wiedziałem już, kiedy miała miejsce ta scysja.

To musiał być wieczór w ostatni wtorek.

Musiał!

Właśnie wtedy, gdy ci dwaj kłócili się pod Hubertusem, my znaleźliśmy w jeziorze zwłoki Krzycha Mąkiewicza.

[8] (niem.) Co ty zrobisz?

30.

Burza mózgów

Informacja od tirówki była warta zdecydowanie więcej niż pięć dych, które jej wręczyłem. Nie dałem tego po sobie poznać, ale gdy tylko opuściłem fiata pandę, podbiegłem do Marka, by podzielić się z nim wiadomością, która bez dwóch zdań wyjaśniała, że polsko-niemiecka para jest zamieszana w podwójne zabójstwo, jakie wstrząsnęło niedawno okolicą.

Marek myślał podobnie.

– Niemiec krzyczał do Polaka: „Co ty zrobiłeś?!”? – upewnił się.

– Tak, podobno niemal się pobili.

– Muszą tkwić w tym po uszy, Bodziu. Chyba trzeba będzie pofatygować się znowu na policję...

– Poczekaj! – nie byłem wcale przekonany, że to dobre rozwiązanie.

– Nie wydaje ci się, że to ciągle za mało? Nawet jeśli przesłuchają tę pindę z fiata, nie będą przecież mieli żadnych dowodów. Już raz się nacięli, pamiętasz? Zresztą po naszym doniesieniu. Myślisz, że tak chętnie dadzą nam znowu wiarę?

– Trzeba spróbować, Bogdan. To nasz obowiązek.

– Nie mówię, że nie. Ale jeszcze nie teraz. To naprawdę za mało.

Spojrzał na mnie uważnie, zastanawiając się nad moimi słowami. W końcu smętnie pokiwał głową.

– Być może masz rację – odpowiedział w swoim stylu.

To „być może” było jego znakiem firmowym, kwintesencją jego wrodzonego, a może raczej wkalkulowanego w niego sceptycyzmu.

– To co teraz robimy, Bodziu? – zapytał lekko zagubiony. – Przecież

nie będziemy szukać tych rzezimieszków na własną rękę. Po ostatnim zatrzymaniu przez policję pewnie nie ma już ich w kraju.

– A nawet jeśli nadal u nas siedzą, zaszyli się w jakimś motelu albo pensjonacie w najdalszej głuszy. Niech ich szuka banda Krzywego, przynajmniej zrobią coś pożytecznego.

Wypowiadając te słowa, po raz pierwszy nie poczułem żadnych wyrzutów sumienia. Było dla mnie oczywiste, że poszukiwani przez gangstera ludzie mają nieczyste sumienia. Obie strony rozgrywki zdawały się sobie warte.

– To co teraz? – powtórzył pytanie mój kumpel.

Zerknąłem na zegarek. Dochodziła piąta, słońce opadło już poniżej linii dachów, a upał zelżał. Dzień był intensywny jak cholera. A ja miałem ochotę zobaczyć coś jeszcze.

– Wiesz co, Mareczku? A to słynne lapidarium to gdzie właściwie jest?



Na terenie dawnego cmentarza ewangelickiego, który na początku XVIII wieku znajdował się poza murami miasta, stał ponoć niegdyś pomnik ku czci Osten-Sackena. Chciałem zobaczyć to miejsce na własne oczy. A moja ochota rosła z każdą chwilą, gdy siedzący obok mnie w fordzie wschowianin zaczął mi opowiadać o Campo Santo, jak w XVII wieku nazywano teren, na którym chowano miejscowych ewangelików. Cmentarz ewangelicki założył w 1609 roku pastor Herberger. Była to ponoć pierwsza w ówczesnej Polsce nekropolia położona poza obrębem murów miejskich. Campo Santo nawiązywało formą do idei włoskiego pola świętego: było nie tylko miejscem pochówku, stanowiło także kompozycję architektury i zieleni. Cmentarz zbudowano jako czworoboczny dziedziniec otoczony krużgankami. W ich ścianach umieszczano kamienne epitafia ku czci liderów ówczesnych wschowskich elit: kasztelanów, burmistrzów, radnych, kupców, lekarzy czy pastorów – takich jak Herberger.

– Po opanowaniu Wschowy przez Rosjan zimą 1945 roku cmentarz został zniszczony – ciągnął swoją opowieść Marek. – Choć trudno już dziś rozstrzygnąć, czy bardziej zawinili „wyzwoliciele”, czy może napływowa ludność polska z terenów wschodnich. Na pewno jedni i drudzy uznali, że to pozostałość po Niemcach, więc można ją bezkarnie zniszczyć. Dopiero w końcu PRL ktoś świątły wpadł na pomysł, by na terenie Campo Santo zorganizować Muzeum Rzeźby Nagrobnej.

Słuchając tej wciągającej opowieści – nie tyle o cmentarzu, ile o ludziach – dojechaliśmy pod bramę okazałego obszaru wyгородzonego z tkanki dzisiejszego miasta wysokim, nieco nadwyrężonym przez czas murem, nad którym górowały bujne gałęzie kasztanowców i lip, kryjąc teren dawnej nekropolii pod cienistym baldachimem.

– Tam dalej, w stronę osiedli, lapidarium sąsiaduje z katolickim cmentarzem, na którym chowano po 1945 roku nowych, polskich mieszkańców Wschowy – dorzucił Marek.

Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do żelaznej furty. Przez jej pręty zobaczyłem rozległy zielony teren pełen drzew i drózek wijących się malowniczo pomiędzy roślinnością i kaplicami. Porastający pnie drzew gęsty bluszcz nadawał temu miejscu nobliwy, a jednocześnie tajemniczy charakter.

Nacisnąłem chłodną klamkę i furta ustąpiła z cichym skrzypnięciem. Zaintrygowani weszliśmy do środka.

Ściany murów pokrywały kamienne epitafia skryte pod łukami krużganków. Z dat na płytach łatwo można było wywnioskować, że znaleźliśmy się w najstarszej części nekropolii. To tutaj, w miejscu położonym najbliżej dawnej Bramy Polskiej, oddalonym wszakże od niej o ładne pół kilometra, w 1609 roku zaczęto chować pierwszych zmarłych. Jakie szczęście, że te przepiękne epitafia z piaskowca uniknęły powojennej dewastacji!

– Gdzieś tutaj pochowano nadwornego medyka Zygmunta III Wazy^[9]
– pochwalił się swoją wiedzą Marek.

– Luteranin był medykiem na dworze arcykatolika, w dodatku

wspierającego kontrreformację? – zdziwiłem się.

– Niezbadane są wyroki nieba – westchnął Marek.

Rozglądałem się uważnie, zafascynowany tą cichą, wygrodzoną nawet dziś z życia miasta przestrzenią. Gdzieś za murem zaburczał na moment silnik motoru i znowu zaległa tu cisza. Pomiędzy żeliwnymi płotkami, oznaczającymi miejsca dawnych pochówków, snuł się zielony płaszcz bluszczu. Wystawały z niego gdzieniegdzie – jak skały na morzu – pojedyncze pomniki nagrobne i kamienne kolumny. Załamujące się pomiędzy konarami drzew światło słońca wydobywało ukryte piękno zapomnianych zaułków.

Świetna scenografia do filmu grozy – pomyślałem. I natychmiast zawstydziłem się prostactwa własnych myśli. Owszem, Campo Santo było godne filmu – tyle że porządnego, rzetelnego materiału dla Discovery Historia czy innej fachowej stacji.

– Czyli Osten-Sackena pochowano gdzieś tam? – Wskazałem dłonią w lewo, na zachodnie krańce cmentarza.

– O ile w ogóle tutaj – odpowiedział Marek.

– Chodźmy tam.

Ruszyłem alejką wiodącą wzdłuż południowego muru lapidarium. Nie był on w najlepszym stanie, w kilku miejscach sypał się z niego tynk, odsłaniając rzędy czterowiekowych cegieł. W milczeniu przeszliśmy jakieś dwieście metrów, dzielących nas od bramy w południowo-zachodnim narożniku ogrodzenia. Przed nami za niskim murkiem widniał teren używany przez konserwatorów do naprawy kamiennych płyt nagrobnych. Na drewnianych belkach spoczywało kilka epitafiów poddawanych zapewne konserwacji. Po dawnych pochówkach nie było żadnego śladu.

– I to by było na tyle – skomentował sarkastycznie Marek. – Kiedyś wsypywano tu do dołów biedotę, dziś na jej kościach naprawiają nagrobki bogaczy...

Nagle telefon w kieszeni kumpla rozdzwijał się jak szalony, przywracając nas do XXI wieku. W trybie bardzo pilnym.

– Kto? – Marek w pierwszej chwili nie dosłyszał, z kim rozmawia. – A, to ty, Robert?! Co znaleźli?! Gdzie?!...

Twarz kolegi z czerwonej zrobiła się blada, a potem na powrót pąsowa.

– Dobra, już jedziemy! – rzucił na koniec do telefonu i spojrzał na mnie wzrokiem człowieka, który właśnie dostał cios między oczy i usiłuje się pozbierać.

– I co tym razem wyniuchał nasz przyjaciel Gromadzki? – zapytałem.

– Policja ma wreszcie konkretny trop. A może raczej dowód.

– O!

– Niedaleko miejsca, w którym... odnaleźliśmy ciało Krzycha, policjanci fachowcy znaleźli ślady opon samochodu.

– Niech zgadnę: tym wozem była kia sportage.

– Trafiłeś, Sherlocku. Ale tym razem prawdopodobieństwo trafienia było bardzo wysokie.



Wszystko układało się wreszcie w logiczny ciąg. Mąkiewicz ewidentnie działał na zlecenie podejrzanego tandemu, który nocował w Hubertusie, by teraz – co chyba nie było przypadkiem – zapaść się pod ziemię. Zapewne na polecenie niejakiego Kowalskiego i jego niemieckiego wspólnika Mąka zaprzyjaźnił się ze starym Zamiejskim. Co więcej, zgrywał wielce zaangażowanego przyjaciela. Ale coś poszło nie tak. Mąkiewicz zamordował byłego kustosza, choć ciągle nie wiedzieliśmy dlaczego. A potem sam padł ofiarą swoich zleceniodawców.

Redaktor Gromadzki czekał na nas w pubie na Daszyńskiego, raptem o krok od lapidarium. Siedział ze szklanką piwa i stukał nerwowo palcami w blat stolika. Na nasz widok poderwał się z krzesła, co już samo w sobie było niezwykle, bo wydawał się z natury powściągliwy w reakcjach.

– No, to już wszystko jasne! – oświadczył, podając dłoń. – Już wiemy, kto utopił Mąkiewicza.

– Ale ciągle nie wiemy dlaczego – odbiłem chętnie piłeczkę. – Podobnie jak nie wiemy rzeczy najważniejszej.

– Jakiej? – Dziennikarz poprawił okulary na nosie.

– Dlaczego w ogóle doszło do tych morderstw.

Usiedliśmy w ciszy, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyliśmy. W ostatnim czasie wydarzyło się tak wiele, że trudno mi było skupić myśli.

– I co, policja pewnie już szuka tych drani z kii? – zapytał Marek.

– Tak. Moje źródło na komendzie twierdzi, że mimo soboty właśnie rozesłali za nimi europejski nakaz zatrzymania. Mają ich dane z poprzedniego przesłuchania, więc ujęcie tej dwójki jest tylko kwestią czasu.

– Obyś miał rację – skomentowałem.

– Dlaczego tak mówisz? – zachnął się Robert.

Chyba uraziłem jego dziennikarskie ego.

– Bo zakładam, że ich papiery były sfałszowane.

– Tego nie wiadomo. Ale policja chyba wychwyciłaby fałszerstwo...

Rudobrody właściciel knajpy przyniósł nam piwo, uśmiechając się przyjaźnie. Siorbnałem z ochotą pianę primatora. I nagle naszała mnie bynajmniej nie gorzka refleksja: że wyjazd do podstarzałej lali spod Hubertusa jednak okazał się przydatny. Policja na pewno chętnie ją przesłucha, zdobywając kolejną poszlakę. A może nawet dowód w sprawie.

– Ale wam się udały wakacje! – Pokręcił głową Gromadzki. – Sielanka, że hej! Trafiliście w sam środek afery kryminalnej. W dodatku z tajemnicą z przeszłości w tle! Piękny temat na książkę, nie uważacie?

Jakoś nie miałem ochoty na tego typu żarty. Popijałem cierpki trunek i ciągle rozmyślałem nad przyczyną tej podwójnej tragedii. Szczerze mówiąc, jako belfer od historii czułem się nie najlepiej, wiedząc, że sprawa ma drugie, wciąż nam nieznanne dno powiązane z historią sprzed trzystu lat. Fakt, że nadal nie znałem najważniejszego elementu tej układanki, drażnił mnie i ranił moją zawodową dumę. Nie mogłem tak tego zostawić. Zbyt wiele udało się

już wyjaśnić, by poprzestać na oddaniu pola policji.

– Wszystko zasadza się na postaci pułkownika Osten-Sackena – odezwałem się znad piwa, ignorując zaczepkę Gromadzkiego. – Wiemy, że poległ 13 lutego 1706 roku na polach pod Wschową od śmiertelnego postrzału w pierś. Zginął na miejscu, więc zapewne nie został pochowany od razu. I raczej nie w zbiorowej mogile na polu bitwy, której lokalizacja jest do dziś ukrywana przez muzealników z obawy przed dzikimi poszukiwaczami skarbów. Pułkownik musiał mieć przy sobie coś nadzwyczaj cennego, skoro ponad trzy wieki później jego grobu szukał ktoś tak doświadczony i obeznany z historią tamtej wojny jak Julian Zamiejski. I skoro dwóch idących jego tropem zabójców zgładziło Mąkiewicz, mordercę kustosza...

– Czyli? – Gromadzki wychylił ostatni łyk piwa i spojrzał na mnie, jakby oczekiwał ode mnie ostatecznej odpowiedzi.

– Czyli nie dojdziemy do tego, dlaczego zginęli Zamiejski i Mąkiewicz, jeśli nie odnajdziemy grobu pułkownika.

Zgodzili się ze mną bez słów. Zobaczyłem to w ich oczach. Ale łatwo było powiedzieć: odnaleźć grób. Tylko jak to zrobić? Przecież staremu Zamiejskiemu zabrało to kilka lat życia, a i tak nie znalazł kości Osten-Sackena. A może znalazł, tylko nikt o tym nie wiedział? Nikt poza morderczym komando zza zachodniej granicy?

Zamówiliśmy raz jeszcze piwo i zrobiliśmy burzę mózgów. Delikatne bąbelki ulatniające się z trunku niewątpliwie w tym pomagały.

– Nałkowska powiedziała nam, że w źródłach jest mowa o dwóch potencjalnych lokalizacjach pochówku pułkownika – zauważyłem.

– Byliście w muzeum? – Robert wydawał się zaskoczony. – A nic nie powiedzieliście...

Udałem, że nie usłyszałem pretensji w jego głosie.

– Przyjmując za pewne, że szlachetnie urodzonego oficera armii saskiej nie wrzucono do dołu z ciałami żołnierzy gdzieś między Dębową Łęką o Osową Sienią, możemy uznać, że pochowano go albo na terenie dzisiejszego lapidarium, albo w Kripplein Christi – kontynuowałem.

– To lapidarium to chyba blaga – uznał Gromadzki.

– Podobno w XVIII wieku stał tam kamień nagrobny ku czci pułkownika – wtrącił Marek.

Uśmiechnąłem się mimowolnie.

– Tak, ale to jeszcze nie przesądza, że to tam go pochowano – zapalił się do dyskusji żurnalista. – Bo musicie wiedzieć, że pomnik stał w zachodniej części cmentarza, a to oznacza...

– ...że postawiono go w miejscu, w którym chowano biedotę – wszedł mu znowu w słowo Marek.

Gromadzki zamrugnął nerwowo, łypiąc raz na Marka, raz na mnie. Wyglądał na głęboko niepocieszonego.

– To również wiecie od Nałkowskiej?

Chętnie skinęliśmy głowami, dając mu do zrozumienia, że nie jesteśmy ignorantami. Pogodził się z tym stosunkowo szybko.

– Czy sądzicie, że pułkownika armii Augusta II, który miał podczas tamtej wojny mocne poparcie wśród mieszkańców Wschowy, pochowano by tak samo, jak najmniej godnych obywateli tego miasta? – zapytałem.

Odpowiedź narzucała się sama.

– Czyli pozostaje nam Kripplein Christi – uznałem. – Jest to o tyle pewniejsza hipoteza, że według przekazów, które znalazła dyrektorka muzeum, kilka lat po bitwie w pomieszczeniu pod biblioteką parafii ewangelickiej w tymże kościele wisiało epitafium Osten-Sackena. Czy to oznacza, że biblioteka znajdowała się nad kryptą, w której rzekomo pochowano pułkownika? Tak, jeśli uwierzymy zapiskom pastora Lauterbacha z 1711 roku, a więc sporządzonych pięć lat po bitwie. Moim zdaniem data powstania tej notki powoduje, że to wiarygodny przekaz.

– Wysoce wiarygodny – zgodził się Marek. – Choć odniosłem wrażenie, że Nałkowska nie wierzy, by pułkownika pochowano pod biblioteką.

– Ja również – przytaknąłem. – Jak zrozumiałem, dyrektorka dopatruje się ewentualnego pochówku Osten-Sackena w jednym z dwóch grobów odkrytych we wnętrzu kościoła. Tyle że jedyny znaleziony tam męski pochówek pozbawiony był czegokolwiek poza

szczątkami zmarłego.

– To rzeczywiście nielogiczne – odezwał się Robert. – Przecież w całej tej aferze nie chodzi o pusty grób.

– A więc: to nie mógł być grób Osten-Sackena – wysunąłem jedyny logicznie nasuwający się wniosek.

Wymieniliśmy szybkie spojrzenia. Postronnym przypominaliśmy zapewne grupę spiskowców szykujących się do podjęcia jakiejś tajnej akcji. Szeptaliśmy między sobą, a nasze rozpalone oczy zdradzały nas na kilometr.

Zrozumiałem, że sprawa dojrzała do ostatecznych decyzji. Wiedzieliśmy sporo, a przy odrobinie szczęścia mogliśmy ostatecznie wyjaśnić przyczynę krwawych wydarzeń ostatniego tygodnia. Pokusa była nie do odparcia.

– Panowie, czas chyba wziąć ster we własne ręce i spróbować w końcu wyjaśnić, gdzie pogrzebano pułkownika armii Augusta Mocnego. Co wy na to? – zaproponowałem.

Aplauzu nie było, ale czułem, że moi kompani myślą tak jak ja. Cisza, jaka zapadła po moich słowach, utwierdziła mnie tylko w przekonaniu, że czas działać.

– Jest tylko jeden problem – odezwał się, oczywiście, Marek.

Oczywiście, bo on zawsze spoglądał na sprawy najbardziej trzeźwo.

– Jaki?

– Podstawowy, Boguś. Jak dostać się do Kripplein Christi? Przecież zbór jest od dawna zamknięty na trzy spusty.

Nie powiem, że ostudził mój entuzjazm, ale miał rację. Skoro dawny dom Boży wschowskich luteran był zamknięty na wielkie kłódki, jakikolwiek plan eksploracji jego wnętrza już na starcie palił na panewce.

Na twarz redaktora Roberta Gromadzkiego wypłynął zawadiacki uśmiech.

– Panowie, głowy do góry! – oświadczył niespodziewanie, z dumą sięgając po piwo i unosząc je, jakby chciał wznieść toast.

A potem pochylił się nad stolikiem, zmuszając nas do tego samego.

– Wiem, jak tam wejść nieoficjalnie – wyszeptał, puszczając do nas

oko. A potem zerknął na zegarek. – Mamy kwadrans do dziewiętnastej. O której rozpoczynamy akcję „Żłóbek”?

[9] Chodzi o Mateusza Vechnera (1589–1630), doktora medycyny i lekarza miejskiego we Wschowie.

31.

Zupełnie jak w Hadesie

To było niezwykle długie i stresujące oczekiwanie, choć spędzone przy piwie. Po trzecim primatorze dałem jednak kumplom znać, że zdecydowanie wystarczy. Jeśli mieliśmy być sprawni fizycznie i intelektualnie, nie mogliśmy przypominać naszych informatorów spod dawnego muru miejskiego. Choć tamci nad piwo przedkładali akurat tanie wino „Relax”.

Trzeźwo zdecydowaliśmy, że poczekamy, aż się ściemni. W lipcu ciemności zapadają jednak dopiero około dziesiątej. A to oznaczało, że musieliśmy przystopować i ochłonać. Wyhamowaliśmy więc, choć z trudem. Czas, który nam pozostał, poświęciliśmy na omówienie planu naszej zaimprovizowanej wyprawy. A przedstawiał się on, z grubsza rzecz biorąc, optymistycznie. Robert miał nas wprowadzić do Kripplein Christi przez furtę w murze miejskim, przez którą niegdyś, jeszcze w czasach komuny, chodził na lekcje religii. Według opowiadań Gromadzkiego furta prowadziła do ciemnego korytarza łączącego bryłę dawnego domu Bożego z kamienicą postawioną obok. Luteranie odkupili ją na początku XVII wieku od szewca, a następnie ulokowali w niej szkołę ewangelicką. Właśnie w jednej z jej sal, tej z niskim stropem, jeszcze w podstawówce Robert i Marek uczestniczyli w lekcjach religii – tyle że rzymskokatolickiej. Było to jeszcze w czasach socjalizmu, w których religię wycofano ze szkół.

– W korytarzu tej kamienicy istnieje słabo zabezpieczone wejście do Kripplein Christi – ujawnił nam lokalny władca newsów. – Trzeba jednak trochę zachodu, żeby tam wejść. Musimy zdobyć jakiś łom

albo tęgi kij.

– Wejść za pomocą łomu? Czy to nie będzie włamanie? – Marek miał skrupuły, które w pełni rozumiałem. – Lepiej chyba nie używać siły.

– E, to nic takiego – uspokoił go Gromadzki. – Chodzi tylko o odgięcie starej blachy. Nikt nie mówi o niszczeniu. Po prostu wejdziemy przez szparę, która i tak już istnieje. Co najwyżej... nieco ją poszerzymy.

Za szklami okularów Roberta dostrzegłem błysk emocji. A może nawet ekscytacji, o którą wcześniej nigdy bym go nie podejrzewał. Byłem jednak przekonany, że dziennikarz Portalu Wschowskiego nie szukał tym razem kolejnego sensacyjnego tematu do swojego serwisu – a przynajmniej nie w pierwszej kolejności. Widać było, że autentycznie udzieliła mu się atmosfera odkrywania tajemnicy sprzed wieków. Wiedziałem zresztą, że miał żyłkę do zagadek historycznych.

Nikt z nas wtedy nie pomyślał, że przymierzamy się do rzeczy, których robić nie wypada. Nie wiem, czy to wypite w nadmiarze piwo, czy rozgorączkowane głowy, a może i jedno, i drugie – faktem pozostaje, że tego wieczoru nie stać nas było na krytyczną refleksję. Z każdą przybliżającą nas do zapadnięcia mroku godziną wpadaliśmy w objęcia coraz większej euforii. Wydawało się nam, że rozwiązanie zagadki jest na wyciągnięcie ręki.

Marek zadzwonił jeszcze do domu, żeby pani Beata broń Boże nie czekała na nas z kolacją. I dobrze zrobił, bo zdaje się, że szykowała już kanapki.

– Wrócimy późno w nocy – zapowiedział pogodnym tonem.

Na tyle beztroskim, że nie wzbudził żadnych podejrzeń. Beata Cichoń zapewne pomyślała, że właśnie pozbywamy się stresów przy piwku.

Im bliżej było dwudziestej drugiej, tym częściej zerkaliśmy na zegarki. Od dziewiątej siedzieliśmy posępni przy pustym stole jak najbardziej zagorzali abstynenci. Kamil, brodaty właściciel, przyglądał się nam z ciekawością, jakby obserwował nieme zebranie anonimowych alkoholików. Tyle że akurat on doskonale wiedział, ile piw właliśmy w siebie wcześniej.

– Już! – rzucił Marek, gdy nasze zegarki wskazywały dziesiątą.

Podnieśliśmy się z krzeseł z mocnym postanowieniem dokonania przełomu. Dla siebie – i dla Zamiejskiego. Choć ten ostatni mógł nam co najwyżej pokibicować z tego ponoć lepszego świata.



Na tle upstrzonego gwiazdami, granatowego nieba ciężka bryła dawnej świątyni ewangelików z zamurowanymi oknami wyglądała jak potężna, ostro zakończona góra lodowa, która czeka na swojego „Titanica”. Podeszliśmy do niej od strony baszty, która w XVII wieku została zaadaptowana przez praktycznych luteran na wieżę kościoła. To z niej bił przed wiekami dzwon wzywający wiernych na nabożeństwa Słowa Bożego. Teraz stała cicha i wyniosła, celując w niebo swoją półkolistą kopułą. Baszta – ostatni ślad po dawnej bramie wjazdowej do miasta.

Ulice Wschowy, oświetlone latarniami, były niemal puste. Nawet jeśli przemykał nimi do domu spóźniony pieszy, z pewnością nie zainteresował się trójką mężczyzn po czterdziestce, którzy zaczęli się w mroku dawnej promenady, a dziś zwykłej spacerowej alejki, spoglądając łączywie w stronę Kripplein Christi. Gdzieś od zachodu zerwał się nagle wiatr, posyłając w naszą stronę chmurę kurzu. Owionęła nas jak chmura gazu trującego piechurów na froncie I wojny światowej. I choć wytrwaliśmy na stanowisku, obserwując sylwetkę starej świątyni spod wiekowej lipy, ten gwałtowny podmuch nie wróżył dobrze. Było parno i duszno, zanosilo się na burzę. Jakby na potwierdzenie moich obaw, nieboskłon po zachodniej stronie przecięły pierwsze błyskawice.

– Za komuny w zborze działała spółdzielnia rzemieślnicza, a potem ulokowano w niej magazyn – mruknął Gromadzki, podpierając się solidnym kijem. – A potem magazyn zamknięto i kościół do dzisiaj stoi pusty. To znaczy, sporadycznie zaglądali do niego archeolodzy. A raz weszli tam spece od skanowania wnętrza i udokumentowali

cyfrowo wszystko to, co zostało do dziś w środku zboru.

– A co konkretnie zostało? – zapytałem.

– Zobaczycie sami... No, wreszcie nikogo nie widać. Chodźmy!

Przemknęliśmy pochyleni pod ceglany murem niczym specgrupa GROM-u szykująca się do cichego ataku. Jedyna w okolicy latarnia rzuciła na stare cegły nasze groteskowo długie, wykrzywione cienie. Nie wyglądaliśmy bynajmniej na fachową ekspedycję badawczą, ale nie dbałem o to. Liczyło się tylko to, by jak najszybciej i jak najdyskretniej dostać się do środka dawnego zboru. A potem... Cóż, potem mieliśmy zdać się na łut szczęścia.

– To tutaj. – Robert mówił cicho, ale wyraźnie.

Wskazał ręką na odlane w betonie schody wspinające się do furty wybitej przed wiekami w kamiennym murze obronnym. Widniał nad nią – najwyraźniej odbudowany – ceglany łuk. Architektoniczny element był ładnie wpasowany w obrys dawnego muru miejskiego – furta musiała tu istnieć od dawna. Być może służyła już luteranom? Możliwe, że prowadził ich tędy do świątyni pastor Valerius Herberger, gdy w dumnym pochodzie na rozkaz królewski opuścili farę.

Przechodząc przez bramkę w obręb dawnych murów, poczułem się, jakbym skoczył w tył o kilka epok. Znaleźliśmy się na wąskim podwórku, które niegdyś było z pewnością elementem międzymurza. W ciemnościach, tylko delikatnie rozświetlonych wątym światłem z okna kamienicy, zauważyłem stary, metalowy trzepak i zamknięte na skobel drzwi jakiejś komórki.

Robert ponaglił nas machnięciem ręki, wskazując kijem na ciemny wylot korytarza. Przed wyjściem pożyczył od zaprzyjaźnionego szefa pubu latarkę. Wąski snop światła wydobył teraz z mroku obrys otwartych drzwi i nagły zakręt pogrążonego w mroku korytarza.

– Idziemy!

Nikommu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać, choć w ciemnościach wąskiego, zimnego korytarza poczuliśmy się trochę nieswojo.

– Zupełnie jak w Hadesie – zażartowałem, ale mój dowcip nie znalazł uznania.

Stąpając ostrożnie w ciszy i mroku, daliśmy się poprowadzić ciemnemu tunelowi w lewo do miejsca, w którym korytarz wydał nam się nieco szerszy. Po obu stronach zauważyliśmy masywne drzwi. Te na prawo, prowadzące zapewne do sali dawnej szkoły ewangelickiej, wzmocnione zostały żelazną sztabą i kłódką. Te na lewo były zdecydowanie niższe, właściwie przypominały drzwiczki do składu z węglem. Aby nimi wejść, trzeba się było mocno schylić.

– To tutaj – szepnął Gromadzki. – Jak dobrze, że wziąłem ten kij... Macie latarkę. Poświećcie tutaj...

Szybko zrozumiałem, o czym myślał. Drzwiczki obite były zaśnieżoną blachą, ale w ich dolnym rogu łatwo można było dostrzec pokaźną szparę. Odpowiednio podważone skrzydło dawało szansę na poszerzenie jej na tyle, by mógł się przecisnąć przez nią do wnętrza dorosły człowiek.

Gromadzki zaparł kij o porowatą posadzkę pod drzwiami i napał na nie całą masą swojego ciała.

Skrzypnięcie blachy zmroziło nam krew w żyłach, ale szybko okazało się tylko niemiłym epizodem zapowiadającym sukces.

– Robiłeś to już kiedyś? – zapytałem.

– Raaaazzzz – wysapał Robert. – No, dalej... Któóórrry pierwszy?



Najtrudniej było przedostać się lokalnej sławie dziennikarskiej – wchodził wszak jako ostatni. Z mozołem wcisnął się jednak do środka, nie dbając o hałas giętej blachy, jaki temu towarzyszył. Jej zgrzyt uświadomił nam, że nie ma już odwrotu. Nie martwiliśmy się jednak, jak wydostaniemy się ze zboru. Tajemnica, przed którą staliśmy, odsunęła w cień tak prozaiczne drobiazgi.

W środku panowały mrok i wilgoć. Obiekt z pewnością od dawna nie był wietrzony. Było to o tyle zrozumiałe, że wielkie okna po stronie zachodniej zamurowano lub przesłonięto metalowymi blendami. Dwa rzędy okien na ścianie wschodniej miały natomiast szyby, przez które

od ulicy sączyły się do środka słabe smugi światła z pobliskich miejskich latarni. Dzięki temu nasze oczy szybko przyzwyczyły się do panujących w środku ciemności. Pomogła też wiązka światła z latarki, którą trzymał teraz Marek. Zadarłem głowę do góry, kierując wzrok za jej światłem – i oniemiałem.

Nawę świątyni przedzielały trzy drewniane kolumny. Po obu ich stronach piętrzyły się niemal ku dachowi trzy rzędy efektownych empor. Choć farba polichromii dawno już z nich odpadła, sprawiały wrażenie, jakby należały do jakiegoś barwnego, tajemniczego teatru, w którym tylko przypadkiem zabrakło widzów. A może jednak tam byli, tyle że bezgłośni i niewidoczni dla nas, zwykłych śmiertelników?

Poczułem dreszcz na karku. Wyobraziłem sobie dwa tysiące wschowskich protestantów, których trzy wieki wcześniej mieściły szerokie na trzy rzędy ławek balkony. Ileż tutaj modłów wznoszono przez setki lat! Ileż intencji rozbrzmiewało z tych galerii lub wirowało w przestrzeni zboru niewypowiedzianych w słowach, a jedynie w myślach! Znaleźliśmy się w sercu martwego kościoła, który ocalał jako jedyny ślad po dawnej wspólnocie religijnej – i jako jedyny zaświadczał dziś przed współczesnymi, że w tym mieście obok katolików przez wieki żyli i wznosili swoje prośby ku niebu także wyznawcy też Marcina Lutera. Pospołu z katolikami i Żydami pisali karty dziejów Wschowy...

Podniosłem głowę jeszcze wyżej i zobaczyłem zdobny w złocone koła strop zboru. Gdzieś pod nim, przy ścianie wschodniej, stał niegdyś główny ołtarz świątyni. Pod jedną ze ścian dostrzegłem rzędy starych ławek. Wsparte o mur, czekały na lepsze czasy.

– Co za miejsce! – wyrwało mi się.

Tylko tyle potrafiłem z siebie wydobyć, zachwycony wnętrzem i klimatem zboru, który sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie olbrzyma. Giganta, który się jeszcze przebudzi. Tego akurat byłem więcej niż pewny.

– Piękne – dorzucił z dumą w głosie Marek Cichoń.

– Ciiicho, panowie – syknął dziennikarz i nasz przewodnik. – Lepiej spójrzcie tutaj!

Przejął od Marka latarkę i poświecił nią po porowatej, betonowo-ceglanej posadzce.

Najpierw zobaczyliśmy poprzeczne belki układające się w rusztowania na kształt wielkich drabin, które stabilizowały trzy biegnące środkiem świątyni kolumny. A zaraz potem w centralnym miejscu budowli zauważyliśmy dwie wyrwy w podłożu, uczynione niechybnie ręką badaczy. Znaczyły je brzegi z cegieł, jasno określające zasięg dawnych krypt odkrytych przez archeologów. Głuchy łoskot, dobiegający z zewnątrz, przypomniał nam, że burza jest coraz bliżej. Chwilę później nawa kościoła znowu rozbłysła na ułamek sekundy, a błyskawica przeszła płynnie w głuchy łoskot. Nawałnica nadciągała nad Wschowę gwałtownie i głośno, jak niegdyś pułki szwedzkie.

We wnętrzu świątyni zrobiło się jak w horrorze: na zewnątrz zaczął bębnić deszcz, wystukując na starej dachówce swoją równie starą melodię, a kolejne rozbłyski nieba co chwila doświetlały nam nawę kościelną. Mimo wszystko poczułem się trochę raźniej.

– Gdzie była ta biblioteka? – zapytał przytomnie Marek.

– W północnej dobudówce – przypomniałem sobie słowa Nałkowskiej.

– No dobra, ale gdzie to jest? – zdenerwował się Robert.

W pamięci odtworzyłem obraz makiety starej Wschowy, którą oglądaliśmy w muzeum. Skoro Brama Polska prowadziła w stronę północnego wschodu, to znaczyło, że dobudówka biblioteki musiała przylegać do Kripplein Christi i korpusu baszty!

W jednej chwili uprzytomniłem sobie, że przecież kilkakrotnie przechodziłem lub przebiegałem obok tego miejsca. Dawna biblioteka musiała się skrywać pod wydłużonym, spadzistym dachem zboru. Miała dwie kondygnacje i z zewnątrz sprawiała wrażenie zamkniętej na trzy spusty.

– To musi być gdzieś tam. – Wskazałem na długą, północną ścianę z trzema rzędami empor.

Najniższy poziom balkonów rzucał na podstawę murowanej ściany cień. Nie na tyle jednak mroczny, byśmy nie zauważyli wiekowych,

zapewne dębowych drzwi pod starym belkowaniem. Gdy na nie spojrzałem, poczułem, że serce rozpycha mi się gdzieś pod gardłem.

Dwudzielne drzwi były lekko rozchylone.

Zupełnie jakby zapraszały nas do środka.

Nie daliśmy się długo prosić.



To było wąskie, otynkowane pomieszczenie ze skutą posadzką. Łukowaty strop zdawał się sugerować, że miejsce to pełniło niegdyś funkcję kapliczki, a może raczej zakrystii? W mizernym zapewne stopniu doświetlały je w ciągu dnia dwa okna znajdujące się na północnej ścianie dobudówki. Oba były zaślepione kawałkami blachy.

– Chyba jesteśmy pod dawną biblioteką – szepnąłem przejęty. – Dajcie mi latarkę.

Na zewnątrz burza rozszalała się w najlepsze, bijąc wściekle piorunami i siekąc w stare wschowskie dachówki hektolitrami wody. Wziąłem latarkę od Gromadzkiego i posłałem snop światła na podłogę. A wtedy zrobiło mi się duszno z wrażenia. Posadzki już nie było, ale spod niej wystawał elipsoidalnie ułożony mur z wyraźną wyniosłością pośrodku sali.

Wiedziałem, co to może być.

Widywałem takie formy murarskie podczas wycieczek z uczniami po podziemiach poznańskich kościołów. Za każdym razem stanowiły zwieńczenie krypty grobowej. Czyżby pod tym cegłami również kogoś pochowano? Czyżby to tu spoczywały szczątki saskiego pułkownika?

– Myślisz, że to tutaj? – Markowi najwyraźniej nasunęły się te same skojarzenia.

– Co?! Myślicie, że on leży właśnie tu? – zachichotał radośnie Robert.

Przedwcześnie.

Zdecydowanie przedwcześnie.

– Pod ścianę, panowie! – ryknął ktoś gardłowym głosem za naszymi

plecami. – Ręce do góry i żadnych sztuczek!

Z ciemności świątyni wyłoniła się męska dłoń.

Błysk pioruna odbił się w metalicznym przedmiocie, który w niej spoczywał.

Był to niepokojąco prawdziwy, czarny jak smoła glock.

32.

Kopnij gnata do przodu!

Mężczyzna w drzwiach kaplicy miał chyba ze dwa metry wzrostu i z trudem mieścił się pod belką nadproża. W jednej ręce trzymał broń, a w drugiej potężny reflektor. Oślepił nas nim bezczelnie, celowo wodząc słupem światła po naszych twarzach.

To musiał być facet z brązowej kii sportage, znany policji jako Kowalski. Przez ostre światło z jego reflektora byłem w stanie dostrzec ledwie zarys jego sylwetki, ale już tego wystarczyło, by stwierdzić, że jest silny. Kanciaste linie jego ramion i ud sugerowały, że regularnie ćwiczy na siłowni. Taki gość z pewnością nieźle sobie radził w kibolskich ustawkach albo w mniej oficjalnych walkach na zapleczach lokali. Zrozumiałem, że w starciu z takim kafarem nawet muskularny Mąkiewicz nie miał żadnych szans.

Musiał iść naszym tropem. A może trafił na nas zupełnie niespodziewanie w momencie, gdy sam był bliski triumfu? Stał teraz, celując do nas z broni, która z pewnością była załadowana i odbezpieczona. Pogłos trzech strzałów oddanych w ciasnym, wygłuszonym pomieszczeniu na pewno utonąłby w huku szalejącej na zewnątrz burzy.

Staliśmy na tyle blisko siebie, że Marek szturchnął mnie delikatnie łokciem.

– A jeśli... – szepnął.

– Pod ścianę, powiedziałem! Ale już! – Olbrzym z glockiem w dłoni machnął bronią w stronę przeciwległego końca pomieszczenia.

Posłusznie spełniliśmy jego życzenie. Metaliczny pobłysk pistoletu

działał skuteczniej niż jakakolwiek komenda.

Gdy stanęliśmy pod wąską ścianą z rękoma w górze, sprawialiśmy wrażenie grupki nieporadnych, zastraszonych turystów. To wrażenie mogło stać się naszym atutem, o ile tylko nadarzyłaby się okazja, by zaskoczyć intruza.

Kafar zwany Kowalskim trzymał się jednak w bezpiecznej odległości. Dotychczas wydawał polecenia, stojąc w progu, ale gdy wszedł w końcu do ciasnej kaplicy, mogliśmy wreszcie lepiej mu się przyjrzeć. Odbite światło reflektora demaskowało jego posiadacza.

Mężczyzna mógł być w naszym wieku, może był kilka lat starszy. Na mięsistych bicepsach wystających spod krótkich rękawów koszulki poło widniały niewybredne tatuaże z motywami nagich kobiet. Na jego dłoniach dostrzegłem chyba więzienne dziary...

– No! A teraz stać tam ładnie! – Zaśmiał się, a potem obejrzał się za siebie i zawołał w ciemność za swoimi plecami: – *Kammerad! Komm hier, aber schnell!*[\[10\]](#)

Skoro nie waha się przywołać współnika, to znaczy, że nie zamierza zostawiać świadków – przemknęło mi przez głowę.

Do pomieszczenia wszedł niepewnym krokiem niski, okrągły osobnik. Był dużo starszy od goryla z bronią w ręce. Siwe włosy i okulary w rogowych oprawkach przydawały mu powagi. Wyglądał jak podstarzały profesor jakiegoś niemieckiego uniwersytetu albo uczelni technicznej. Sprawiał wrażenie człowieka lekko zagubionego.

Widząc trzy osoby pod ścianą, cofnął się mimowolnie w stronę drzwi.

– *Keine Angst, Kammerad!* – Osilek skrzywił się z niesmakiem na ten pokaz niepewności swojego towarzysza. – *Sie werden ganz ruhig...*

[\[11\]](#)

Te słowa zjeżyły mi włosy na głowie. Ostatnie zdanie Polaka zabrzmiało cokolwiek dwuznacznie. Nie miałem już żadnych wątpliwości, co zamierza z nami zrobić. Tylko kiedy?

– *Gibt es wirklich hier?*[\[12\]](#) – odezwał się Niemiec.

– *Jawohl* – zapewnił go umięśniony posiadacz broni. – *Wir brauchen eine Keilhacke.*[\[13\]](#)

Przez chwilę naradzali się półszepem między sobą. Niemiec na coś naciskał, Polak odpowiadał mu stanowczo. Wolałem wolałem się nie zastanawiać, czy negocjują nasz los. Wystarczająco dołował mnie fakt, że skończymy tak głupio.

– *Na ja, ich bringe also Keilhacke mit*^[14]... – zdecydował Niemiec.

Obrzucił nas szybkim spojrzeniem i wyszedł.

Miałem nadzieję, że wynegocjował jednak nasze życie. Ale za grosz pewności.

– I co, ptaszki? – Olbrzym znowu podniósł reflektor, oślepiając nas niczym na przesłuchaniu. – Zachciało się wam cudzej własności?

Żaden z nas nie wiedział, o co mu chodzi, ale nie wszyscy pohamowaliśmy języki.

– A tobie nie? – wyrwało mi się w emocjach.

Nasz strażnik od razu przesunął światło reflektora na moją twarz.

– Nie podskakuj, koleś – odezwał się nieprzyjemnym tonem. – Chyba chcesz, żeby cię matka rozpoznała...

– Co z nami zrobicie? – nie wytrzymał Marek. – To i tak wam się nie uda! Za dużo...

– Za dużo czego?! – wszedł mu w słowo drab, rażąc teraz światłem jego oczy.

– Za dużo... złe.. złego... – zająknął się Marek.

Facet z bronią zarechotał jak najgorszy oprych.

– Spadaj! – skomentował. – Nie trzeba się było pchać w nie swoje sprawy! Jak ten cały Mąkiewicz, pozał się Boże! Zachciało mu się rządzić, palant jeden! No to sobie porządził jak jasna cholera!

Znowu zarechotał złowrogo, pozbawiając mnie resztek złudzeń. Dlaczego jednak dotychczas nie użył broni? Czyżby jego towarzyszu mu to wyperswadował? Może skończy się jedynie na strachu? Może tylko nas tu zamkną, by w spokoju ulotnić się z kraju, gdy wydobędą już to, na czym im tak bardzo zależało? Tak bardzo, że kosztowało to życie dwóch ludzi.

Za plecami draba usłyszeliśmy pospieszne kroki.

– No, Hans! – Facet z glockiem w dłoni zawołał za siebie po polsku.

– Dawaj tu ten kilof, szkoda czasu!

W ciemnym otworze drzwi pojawiła się znowu pękata sylwetka.

Tyle że jakby trochę urosła od ostatniego razu.

Mężczyzna stał na rozstawionych szeroko nogach i celował z czegoś do olbrzyma, który z kolei miał na muszce naszą trójkę.

– Łapy w górę, pierdoleńcu! – usłyszałem aż za dobrze mi znany głos. – Rzucaj tę zabawkę, bo ci odjebię potylicę!



Ton głosu Krzywego był tak zdecydowany i jednocześnie nienawistny, że drab z glockiem zdębiał. A zaraz potem niechętnie – ale jednak – rzucił pistolet pod swoje stopy.

– A teraz kopnij gnata do przodu, gnoju! – Polecenia Krzywego znamionowały duże znawstwo tematu. – No już! Bo ci odstrzelę jaja!

Nasz niedoszły egzekutor posłusznie kopnął broń. Wpadła do zagłębienia w podłodze, blisko murowanego fragmentu, który podejrzewałem o to, że jest kryptą.

– Odpowiesz mi za to! – syknął Kowalski w stronę Krzywego.

– No co ty pierdolisz, *man*?! – Otyły gangster dopadł draba i celując mu z pistoletu w pierś, pchnął go w stronę ściany. – Myślałeś, pojebusie, że wykończysz Mąkę bezkarnie?! Mojego starego druha?! Że mu zafundujesz ostatnią kąpiel w jeziorze, a potem spokojnie odjedziesz w siną dal do swojego Dojczlandu?! Chyba ci odjebało, *maaan*! Zupełnie odjebało!

Staliśmy jak porażeni, obserwując te gangsterskie porachunki rodem z filmu o nowojorskich gangach. Tymczasem Krzywy coraz bardziej się nakręcał. Krążył wokół draba, wymachując przed nim pistoletem – ani chybi srebrną berettą – i wykrzykując mu w twarz coraz bardziej wyszukane obelgi.

Jak tak dalej pójdzie, zaraz strzeli mu w głowę – wystraszyłem się nie na żarty. Wizja mózgu i krwi rozbryzanych na starych murach stawała się coraz bardziej realna. Mimo wszystko miałem nadzieję, że Krępy nam tego oszczędzi. O ile w ogóle zamierzał nam cokolwiek

pokazywać...

– Takich rzeczy nie pozostawia się bez reakcji, chuju! – Krzywy wykrzyczał to swojemu więźniowi prosto w ucho, przykładając mu lufę giwery do skroni. – Najpierw mi wyśpiewasz, o co poszło! A potem... Ech, potem sobie pojedziemy!

Wyobraziłem sobie dokąd. Byłem pewny, że goryle Krzywego unieszkodliwili już Niemca i za chwilę wywożą polsko-niemiecką parę w lasy pod Łysinami. W te same, które miałem okazję zobaczyć, gdy po raz pierwszy spotkałem bossa. Tyle że przeciwnicy gangstera poznają je od spodu...

– Co zrobić z tamtym, szefie? – Goryl Krzywego wsunął się w poświatę reflektora, ciągle trzymanego przez Kowalskiego.

– To samo – usłyszał w odpowiedzi.

Boss lokalnego półświatka najwyraźniej nie bawił się w żadne niuanse.

Grzmot pioruna gdzieś zupełnie niedaleko koszmarnie zwielokrotnił makabrę, w której uczestniczyliśmy. Zrozumiałem, że trzeba coś zrobić. To było głupie, ale nie mogliśmy przecież beczynn timer przyglądać się, jak Krzywy i jego ekipa wywożą ludzi do lasu.

– Panowie! – krzyknąłem w desperacji. – Nie róbcie żadnych głupstw! Może lepiej przekazać tych dwóch policji... Komendant będzie wam na pewno wdzięczny...

Szyderczy chichot Tomasza Krępego uświadomił mi, jak bardzo byłem naiwny.

– Następny pier-do-lnięty! – wycharczał w końcu, spoglądając na mnie jak na dziw natury. – Przekazać ich policji? A niby po co? Żeby gliniarze znowu coś spieprzyli, a sąd ich uniewinnił? Nie, panie hardy! Może i bywasz odważny, ale twoje pomysły można o kant dupy potłuc! Rachunek w przyrodzie musi się zgadzać! Oko za oko, śmierć za śmierć!

– Ale... – próbowałem nieudolnie zaprotestować.

Krzywy na moment wycelował srebrną giwerę w moją stronę.

– Nie podskakuj, *maaan!* – rozkazał przeciągle, poprawiając nerwowo golda na szyi. – Nie prowokuj mnie, bo mnie dzisiaj łapa

swędzi...

– Opuść, Bodziu – szepnął Marek. Głos aż mu drżał z emocji. – Widzisz, że to wariat...

Podniosłem ponownie ręce na znak, że nie zamierzam go więcej drażnić. Krępy uśmiechnął się dziko. W bladym świetle latarki jego krzywy nos błysnął niczym ostatecznie ostrzeżenie, by nie drażnić furiata.

– No! – Dźgnął Kowalskiego berettą pod żebro, aż ten się skrzywił, i wskazał mu wyjście. – Idziemy, *man!* Czas pogadać na osobności!

– A co z tymi frajerami? – zainteresował się nami łysy goryl Krzywego.

Poczułem ciarki na plecach. Nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni tego wieczoru.

Krzywy jakby się zawahał.

– A, pies ich trącał! – Machnął w końcu ręką. – Swoje zadanie spełnili. Niech sobie jeszcze pożyją...

– No ale... – Człowiek Krzywego nie odpuszczał. – Oni mogą pójść na policję...

Krępy obrzucił nas morderczym wzrokiem.

– Niech tylko spróbują – syknął. – Bo inaczej... inaczej zmienię zdanie. Rozumiecie to, misie-pysie? Mamy *deal, man*. Mordy na kłódkę! Wszystko jasne?

Gdy ktoś celuje do ciebie z pistoletu, nie wypada zaogniać sytuacji. W milczeniu skinęliśmy głowami.

– No, grubasie! – Krzywy pchnął draba w stronę wnętrza świątyni. – Zmów zdrowaśkę za żywot wieczny i jedziemy! *If you're going to San Francisco...* – zanucił niespodziewanie legendarny przebój Scotta McKenzie'ego.

Drab nazwiskiem Kowalski drgnął, a potem ruszył posłusznie ku wyjściu z ciasnego pomieszczenia.

Staliśmy jak oteźpiali, przyglądając się wstępowi do egzekucji, która miała znaleźć swój finał w ciemnym borze na zachód od miasta. Czułem się jak współnik Krzywego – i było mi z tym źle. Cholernie źle. Mimo że facet, którego gangster właśnie wyprowadzał z kaplicy,

jeszcze kwadrans wcześniej zamierzał sprzątnąć mnie i kolegów z tego świata.

Osilek i Krzywy zniknęli w mroku zboru. Ostatnim śladem ich obecności była wąła smuga z reflektora niesionego ciągle przez niespodziewanego więźnia gangu.

– Cholera, trzeba coś zrobić! – syknął Robert.

– Chyba wiem, dokąd ich zawiozą – powiedziałem. – Byłem tam tylko raz, i to za dnia. Teraz bym chyba nie trafił...

– Tak czy owak, trzeba gnać na policję – zaproponował Marek. – Może oni coś wymyślą...

– Ale powoli... Żeby tylko Krzywy...

– Dalej, *maaan!* Nie ociągaj się! – Zza muru usłyszeliśmy niecierpliwie ponaglenie gangstera pod adresem kafara. – Jak to szło w tych całych Wadowicach?! „Czas ucieka, wieczność czeka”^[15]! Ha, ha, ha!...

Gdzieś z głębi świątyni dobiegł do naszych uszu potężny huk wyważanych drzwi.

Ktoś lub coś wpadło do wnętrza, wzniecając chmurę kurzu.

Tak wielką, że wtargnęła nawet do naszej zatechłej nory.

Zaraz potem hala zboru rozbłysła niczym scena, rozświetlona przez gigantyczne lampy teatralne. Jasno jak w dzień zrobiło się nawet w naszym bocznym lokum. Ciszę dawnej świątyni rozdarł nagle ochryply krzyk:

– Policja! Wszyscy na glebę!

Zrozumieliśmy, że niebo wysłuchało naszych bezgłośnych modłów.



Dopadliśmy drzwi, by zobaczyć triumf prawa nad przemocą.

Święte miejsce osiemnastowiecznych luteran zappełniło się uzbrojonymi w karabiny mężczyznami w czarnych, mokrych od ulewy uniformach. Byli jak mrówki, które opadły tłuste, nieporadne larwy, by dobrać się im do skóry. Larwy były rzeczywiście nieporadne, bo

kompletnie zaskoczone legły na porowatą posadzkę zboru. Krzywy nawet nie próbował oporu. Bez żadnych sztuczek rzucił przed siebie swoje srebrne cacko. Leżał teraz jak prosię na brzuchu, z rękoma splecionymi na potylicy. Chyba miał już kiedyś do czynienia z antyterrorystami, bo w jednej chwili spokorniał i stracił całą grozę, którą jeszcze niedawno emanował.

Facet, którego prowadził do lasu, leżał dwa metry przed swoim niedoszłym oprawcą. Tyle że nie założył dłoni na kark. Dwaj goryle Krępego przykucnęli z wrażenia, również pozbywając się broni.

Sytuacja we wnętrzu zboru została opanowana w ciągu kilku sekund. Antyterrorysty otoczyli czwórkę bandziorów wianuszkami, mierząc do nich z MP5. Wyglądali jak na filmie albo na specjalnym pokazie przed ministrem Błaszczakiem. Wzbudzali respekt.

Jeden z nich oderwał się od reszty ekipy i podbiegł do drzwi, w których staliśmy. Na wszelki wypadek skierował lufę w naszą stronę.

– Na ziemię! – ryknął zza czarnych gogli.

Spełniliśmy życzenie, chaotycznie wykrzykując, że nic nas nie łączy z typami, które przed chwilą zostały spacyfikowane. Nie wiem, czy nam uwierzył, ale minęło trochę czasu, zanim w Kripplein Christi pojawił się szef akcji – dobrze nam znany z plaży w Łginiu komendant Borkowski. Choć tęgi i pod sześćdziesiątkę, niezłe prezentował się w czarnym mundurze jednostek specjalnych. Kazał nas uwolnić, a zatrzymanych polecił zawieźć na dołek do komendy.

– Cztery grzybki w jednym barszczu! – triumfował. – A właściwie pięć, wliczając tego Niemiaszka! No, to sobie teraz wszystko wyjaśnimy! Już się z tego nie wywiną! – rzucił w kierunku aspiranta Kuli, który wtoczył się do kościoła przez wyważone odrzwia.

– Niemiec tak się trzęsie w radiowozie, że na pewno wszystko wyśpiewa – zapewnił go Kula. – Właściwie Polny już go przesłuchuje, panie komendancie!

– Ładnie, Kula! Pięknie! – Borkowski zacierał dłonie. – Zadzwoń zaraz do Zielonej Góry, że mamy obu podejrzanych.

– Taaaa jest!

– I Krzywego na deser, jak Boga Kocham!

– Już lecę!

Aspirant Kula wyprężył się jak struna – o ile tak można powiedzieć o kimś z tak okazałym brzuchem – i wybiegł na korytarz.

Staliśmy jak trusie w rogu nawy kościoła, przyglądając się w milczeniu fachowym działaniom policji. Nasz bezruch zainteresował komendanta. Borkowski raz jeszcze obrzucił nas mało przyjemnym wzrokiem.

– A właściwie to co tutaj robiliście? – zapytał. – A ty, Gromadzki? Znowu szukałeś jakiegoś newsa? Niech no tylko znajdę tego safandulę, który ci wszystko kabluje! Jak Boga Kocham, nogi mu z dupy...

– To długa historia, panie komendancie – wszedłem mu w słowo.

– A my się znamy? – zdziwił się Borkowski.

– Nie.

– To skąd pan wie, kim jestem?

– To jest właśnie zasługa mediów, panie nadkomisarzu – rzucił z tyłu Robert.

– Ty mi tu nie mydlisz oczu, hieno dziennikarska! – Komendant bezceremonialnie pogroził Gromadzkiemu palcem. – A nie można odpowiedzieć tak zwyczajnie? W dużym skrócie oczywiście... Bo w Zielonej czekają na raport.

– W dużym skrócie, panie komendancie, to chodzi o grób pułkownika – odpowiedziałem chętnie.

– Jakiego pułkownika? Zabili jeszcze kogoś? – Nadkomisarz poczuł się zdezorientowany.

– Grób pułkownika sprzed trzystu lat – dorzucił spokojnym tonem Marek. – Nazywał się Karl Ludwig von der Osten-Sacken. Od niego wszystko się zaczęło. To znaczy... Z powodu tego grobu życie stracili Zamiejski, a potem Mąkiewicz...

– Niemożliwe! – wysapał Borkowski. – Z powodu takiej... takiej... – szukał w pośpiechu odpowiedniego słowa – ...takiej bzdury zginęło dwóch ludzi?

Pewnie był święcie przekonany, że w grę wchodziły jakieś

nieokreślone gangsterskie porachunki. Finał, którego był świadkiem, utwierdził go tylko w przekonaniu, że miał rację.

– A co on właściwie zrobił, ten cały... Karl Ludwig? – wyrzucił z siebie wątpliwość.

– Zginął w bitwie pod Wschową w 1706 roku – odpowiedzieliśmy jednym tchem.

– Aaa, chyba że tak... – zasepił się Borkowski. – No ale co denat miał w tym grobie, że doszło do dwóch zabójstw?

Wzruszyliśmy bezradnie ramionami.

– Sęk w tym, że ciągle nie wiemy – wyznałem.

[10] (niem.) Przyjacielu! Chodź tu szybko!

[11] (niem.) Bez obaw, przyjacielu! Oni będą zupełnie spokojni...

[12] (niem.) Czy to rzeczywiście jest tutaj?

[13] (niem.) Tak jest. Potrzebujemy kilofa.

[14] (niem.) No dobrze, przyniosę zatem kilof...

[15] Sentencja na ścianie kościoła parafialnego w Wadowicach.

33.

Czas odkrywców

Szczegóły zaskakującej, nadzwyczaj udanej nocnej akcji policji opisał już następnego dnia nad ranem nieoceniony redaktor Robert Gromadzki. Co oczywiste, miał newsa na wyłączność – jak to się mówi w świątku dziennikarskim. Był twórcą, i tworzywem. Opisywał wszak zdarzenia, w których uczestniczył. Zdobył jednak dodatkowe informacje wyjaśniające niesamowitą kaskadę zwrotów akcji, która *summa summarum* ocaliła nas przed losem nawozu.

Aby zrelacjonować, co zaszło w sobotni, długi wieczór, trzeba się cofnąć do momentu, gdy nieustraszeni niczym Drużyna Pierścienia zagłębiliśmy się w otchłań tutejszej kopalni Morii. Mnie więcej w tym samym czasie w bocznej uliczce za budynkiem poczty zaparkowała brązowa kia sportage. Wiadomo, kto w niej siedział. Poszukiwana w całym kraju para mężczyzn, korzystając z osłony gwałtownej burzy, przekradła się do tej samej furty, którą weszliśmy, i poszła naszym tropem. Wszystko wskazywało na to, że dotarli do tego samego miejsca niezależnie od naszego dochodzenia. Dwaj poszukiwacze grobu pułkownika zaskoczyli więc nas w kaplicy pod dawną parafialną biblioteką – i nieźle wystraszyli.

Nie wiedzieli jednak, że od pensjonatu w Lginiu, w którym się ukrywali, aż do samej Wschowy byli śledzeni przez Krzywego i jego ludzi. Nie wiadomo, jak gangster wpadł na trop polsko-niemieckiego komanda na gościnnych występach. Dość powiedzieć, że gdy tylko chwycił za nitkę, już jej nie wypuścił z rąk. I właśnie dlatego Kowalski i jego niemiecki towarzysz zostali skutecznie osaczeni przez ekipę

Tomasz Krępego. Niemiec wpadł pierwszy, gdy cofnął się do wozu po kilof. Do kii nie dotarł: ludzie Krzywego zgarnęli go już na podwórku. Co było potem – zobaczyliśmy już na własne oczy. Nigdy bym nie podejrzewał, że będę zawdzięczał życie pospolitemu bandycie.

Policja odkryła brązową kię na tyłach poczty niemal w tym samym czasie, w którym bandyci w niej zasiadający sposobili się do wejścia do Kripplein Christi. Patrol, który wypatrzył poszukiwany samochód, a w efekcie również cel jego właścicieli, zatelefonował po posiłki. Trzeba przyznać, że służby dały pokaz sprawności. W ciągu niespełna pół godziny zorganizowały i przeprowadziły zwieńczoną sukcesem akcję. W związku z tym Gromadzki wieszczył szybki awans Borkowskiego. Napomknął coś nawet o wysokim stanowisku w komendzie wojewódzkiej.

Pierwsze przesłuchanie zatrzymanych nastąpiło jeszcze w nocy z soboty na niedzielę i szło dwutorowo: jedna ekipa śledcza z nadkomisarzem Borkowskim na czele zajęła się duetem polsko-niemieckim, druga – pod wodzą aspirantów Polnego i Kuli – szczegółami udziału w całym zamieszanu ekipy Krzywego. Z tego, co zdołał ustalić Robert, Kowalski milczał jak skała. Za to Niemiec kompletnie się załamał i śpiewał jak z nut. Policja utajniła jednak szczegóły jego zeznań i nawet „ucho” Gromadzkiego w komendzie okazało się za krótkie.

W zaparte, nawet wbrew oczywistym faktom, szli za to Krzywy i jego goryle. Podobno zeznawali nad wyraz zgodnie, że w Kripplein Christi znaleźli się przypadkiem, zaintrygowani światłem widocznym przez okna świątyni. I że na miejscu, pod wpływem chwili, zdecydowali się stanąć w naszej obronie. Policjanci nie dali wiary tym wyjaśnieniom. Musielibyśmy mieć ze sobą reflektor przeciwlotniczy, by Krzywy mógł dostrzec łunę we wnętrzu kościoła, tymczasem dysponowaliśmy ledwie jedną latarką. Poza tym Krępy groził nam bronią, co bynajmniej nie potwierdzało tezy o szlachetnych intencjach, jakie mu przyświecały. Nie pominęliśmy tego szczegółu w swoich zeznaniach, gdy rano zostaliśmy poproszeni na komendę. W końcu, wbrew temu, co sądził sam Krzywy, nigdy nie łączył nas z nim żaden układ.

Kiedy opadł już bitewny kurz i policja wykonała wszystkie czynności, jakie chciała, w niedzielne przedpołudnie mogliśmy wreszcie odsapnąć w ogródku piwnym na rynku. Czas był ku temu najwyższy – wyglądaliśmy z Markiem jak zbite psy, niewyspani z emocji i bladzi jak trupy. Przy życiu trzymało nas tylko chłodne piwko. Smakowało wybornie, przypominało o tym, że jednak są wakacje. Mimo to nadal rozmyślaliśmy i rozmawialiśmy o tym samym. Nadal byliśmy tam, w Kripplein Christi, w upiorną, burzową noc.

– Ciekawe, co też zeznał ten Niemiaszek. – Marek wypowiedział dokładnie to, o czym sam pomyślałem.

– Musiał wiedzieć, co znajduje się w grobie pułkownika. – Siorbnałem piwo.

– Tak. I pewnie wie już o tym policja.

– Myślisz, że potraktują sprawę poważnie?

– Tak – mruknął niechętnie Marek. – Obawiam się, że wszystko, co najważniejsze, rozegra się już bez nas...

Rozumiałem doskonale jego żal. Przez ostatni tydzień zdążyliśmy już przesiąknąć tą historią. Stała się właściwie motorem napędowym naszego urlopu w małej Wschowie. I kiedy już wydawało nam się, że odkryliśmy coś naprawdę ekscytującego, zbieg okoliczności zniweczył nasze starania. Dom Boży protestantów znajdował się pod nadzorem policji i nie było już żadnych szans, by sprawdzić, czy i kogo pochowano w krypcie pod dawną biblioteką.

– Typowa ironia losu – westchnąłem głośno.

– To, co wydarzyło się w Kripplein Christi, to było coś więcej niż potrójny zwrot akcji – uznał fachowym tonem Marek, w końcu matematyk i informatyk. – Taka potrójna kumulacja zdarza się w życiu niezwykle rzadko. Zwłaszcza że prawdopodobieństwo wystąpienia każdego z tych zdarzeń z osobna również nie wydaje mi się wysokie... Hm, wszystko to daje mi sporo do myślenia. Wiesz, Boguś, mam wrażenie, że tak po prostu miało być.

– Jak?

– Właśnie tak: bez końcowej satysfakcji...

– Może jednak satysfakcja się zdarzy. – Mocny kobiecy głos momentalnie wybudził nas z letargu.

Dyrektor Nałkowska w towarzystwie komendanta Borkowskiego przystanąła obok ogródka, przyglądając się naszym szklankom z wypisaną na twarzy ironią.

Poderwaliśmy się na równe nogi.

– Ale jak? Gdzie? Kiedy? – wybełkotaliśmy zaskoczeni.

– Zapraszamy panów na eksplorację krypty pod biblioteką – wyjaśniła muzealniczka. – Okoliczności sprawy są tak nadzwyczajne, że dostaliśmy już zgodę nadzoru archeologicznego z Zielonej Góry.

– W końcu to panowie dotarliście tam pierwsi – zaznaczył wspaniałomyślnie nadkomisarz.

Od dobrych informacji, a może z przemęczenia zakręciło mi się w głowie. Musiałem się chwycić drewnianej barierki ogródka.

– To... musimy jeszcze ściągnąć Roberta... To znaczy, redaktora Gromadzkiego... – wybełkotałem niezgrabnie.

Komendant zmrużył oczy, a na jego spoconej twarzy pojawił się złośliwy uśmieszek.

– Ooo, jestem przekonany, że redaktor jest już na miejscu z kamerą.



Borkowski wiedział, co mówi. Gromadzki faktycznie czekał już ze swoim dziennikarskim sprzętem we wnętrzu Kripplein Christi. Jak i całkiem liczne grono innych osób. Wśród zebranych zauważyłem proboszcza, kilku pracowników muzeum, a także dwóch policjantów i trzech archeologów w kombinezonach roboczych. W powietrzu unosiła się niewidzialna aura czegoś tajemniczego i jednocześnie wielkiego. Choć nikt pewnie nie potrafiłby trafnie nazwać tego specyficznego nastroju oczekiwania na cud.

Dyrektor Nałkowska przedstawiła nam doktora Pawła Zgrzebnego z Wydziału Archeologii Uniwersytetu Zielonogórskiego. Mężczyzna pod czterdziestkę kierował dwójką pomocników. W rogu świątyni

zauważyłem sprzęt archeologiczny: łopaty, wiadra, a także młot udarowy. Zapowiadała się rzeczywiście głośna impreza.

Napięcie było wyczuwalne. Tylko nieliczni gawędzili półgębkiem, jakby obawiając się, że zbyt głośne wypowiedzi mogą unieważnić, czy wręcz przekreślić szansę na wielkie odkrycie. Komendant Borkowski milczał jak zakłęty, choć w tym gronie tylko on doskonale wiedział, czego należy się spodziewać w grobie. O ile oczywiście ciasne, ciemne pomieszczenie pod dawną biblioteką Kripplein Christi faktycznie było miejscem pochówku saskiego oficera.

Szczerze mówiąc, ujrzawszy to szacowne konsylium, zwątpiłem nieco w sens tej zabawy. Odniosłem nagle wrażenie, że lokalizacja grobu jest zbyt oczywista, by była prawdziwa. Czy to byłoby tak proste, że wskazanie pastora Lauterbacha z 1711 roku jednym zapisem rozwiązywałoby całą sprawę? A skoro tak, dlaczego dotychczas nie zbadano tego miejsca? I dlaczego, u licha, nie dotarł tutaj świętej pamięci Julian Zamiejski, alfa i omega wiedzy o pułkowniku Osten-Sacken?

– To co, panie doktorze? – Dyrektorka muzeum spojrzała na Zgrzebnego z nadzieją. – Czas chyba chwycić szpadle w dłoń. A może raczej cięższe narzędzie...

– O tak! Zdecydowanie cięższe, szanowna pani dyrektor. – Szef archeologów skłonił się szarmancko i wydał swoim ludziom stosowne dyspozycje.

Zanim jeden z badaczy chwycił młot udarowy i podszedł do łukowato wypukłej podłogi, proboszcz wykonał dłonią znak krzyża, jakby chciał nam wszystkim zagwarantować bożą opiekę.

– Szanowni państwo, proszę się odsunąć – zaproponował łagodnie, acz stanowczo doktor Zgrzebny. – To jednak może być grób, możemy mieć do czynienia ze szczątkami sprzed trzech wieków. A więc także z grzybami i innymi niebezpiecznymi mikroorganizmami. Względy sanitarne, nie muszę chyba tłumaczyć...

Posłusznie wycofaliśmy się pod same drzwi, pozwalając działać dwóm badaczom w kombinezonach i specjalnych maseczkach na twarzach. Sam Zgrzebny również wdział plastikowy kostium i założył

osłonę na usta. A potem specjalne gogle.

W tym czasie jeden z jego podwładnych pochylił się i skierował dłuto młota na nieco obłupaną, starą cegłę sprawiającą wrażenie najsłabszej w całym murze.

– Zaczynamy, szefie? – wybulgotał spod maski.

Zgrzebny dał znak ręką i w jednej chwili wąska klitka wypełniła się hałasem i wiekowym pyłem. Obawa o zabrudzenie zwyciężyła ciekawość. Wszyscy cofnęliśmy się odruchowo do nawy dawnego zboru. Wszyscy poza Gromadzkim, który bez względu na koszty zawzięcie filmował moment rozcięcia posadzki. A może raczej ścianę kurzu wypełniającą pomieszczenie.

Rzuciłem okiem na Marka. Stał w napięciu zupełnie nieprzystającym do jego charakteru. Spokojny, biorący świat na chłodno matematyk teraz nerwowo obgryzał paznokcie. Nie potrafił się powstrzymać. Reszta szacownego grona zachowywała się podobnie, podkreślając tylko znaczenie tej chwili.

Minęło dobre pięć minut, zanim młot udarowy zamilkł, a z chmury pyłu wyłonił się doktor Zgrzebny, wymachując kawałkiem wypalanej gliny.

Chwilę trwało, zanim uwolnił się z okalającej jego twarz maski.

– Tam może coś być – wysapał wyraźnie poruszony.

– Co? – nie wytrzymaliśmy pospołu.

– To... To wygląda na coś w kształcie krypty...



Kilkanaście osób w maskach na twarzach pochyliło się nad małym wyłomem w starym murze posadzki, uczynionym przez współczesne narzędzie destrukcji. Otwór był niewielki, może wielkości zwykłej koperty – wystarczył wszakże, byśmy wszyscy nabrali przekonania, że Zgrzebny się nie myli. Poniżej zobaczyliśmy bowiem głęboką wnękę, a w niej samej – jakiś podłużny przedmiot.

Czyżby to była trumna?

A jeśli tak, to czyje szczątki skrywała?

W milczeniu zostaliśmy ponownie wyproszeni z teatru działań archeologów. Zaraz potem młot udarowy znowu zdominował akustycznie wnętrze świątyni, wprawiając w drganie nie tylko stare mury, ale też nasze serca. Nie było wśród nas nieporuszonej, spokojnej twarzy – każde oblicze zdradzało emocje, niepokój i niepewność. A jednocześnie jakieś podniecenie. Każdy chciał trwać na posterunku, oczekując kolejnych wieści zza ściany.

Zazdrościłem Gromadzkiemu, który niewzruszenie stał z kamerą wśród kurzu i „wojennej” zawieruchy, rejestrując zawzięcie kolejne fazy odkrywania tajemnicy. Zastanawiałem się tylko, ile będzie widać na filmie, skoro w powietrzu zawisła nieprzenikniona chmura gryzącego pyłu. Ale to już było jego dziennikarskie zmartwienie.

Przebiecie się przez posadzkę zabrało ekipie badaczy około godziny. Spoceni i umorusani, wychynęli nagle z zapyłonej jamy, podobni bardziej do wojowników po morderczej bitwie niż do poważnych naukowców. W pierwszej chwili, gdy zmęczonymi ruchami zdejmowali z twarzy maski, wydali mi się jacyś przygaszeni, sceptyczni i zrezygnowani. Ale kiedy podnieśli głowy i napotkaliśmy ich wzrok, wiedzieliśmy już, że oczekiwanie opłaciło się po stokroć. Ten błysk w ich oczach – nigdy tego nie zapomnę!

– To grób! – oznajmił radośnie Zgrzebny.

– I to jaki! – dorzucili jego podwładni.



Istotnie, krypta była wcale okazała i zachowana w niezłym stanie, bez śladu wilgoci. Widać, że osiemnastowieczni murarze znali swój fach. Ale to nie ona wzbudziła największy zachwyty. W wąskim, podłużnym wgłębieniu spoczywała nieduża trumna. Niegdyś była zapewne obita jakimś godnym, karmazynowym materiałem, który jednak spłowił i obwisł żałośnie po obu jej stronach. Ten fakt mógł wskazywać na to, że przed laty pochowano tu kogoś znacznego. W tamtych czasach

większość zmarłych chowano wszak w bieliźnie lub co najwyżej w prześcieradle.

– Ostrożnie! – rzucił do nas doktor Zgrzebny, nakazując zachować bezpieczny odstęp, a sam poprawił maskę na twarzy. – Wprawdzie krypta wygląda na wentylowaną, ale jednak nigdy nie wiadomo. Spróbujemy... Spróbujemy otworzyć wieko.

Na te słowa jeden z pomocników archeologa podał mu żelazny łom zwieńczony płaskim końcem. Doktor fachowym ruchem wprowadził narzędzie między pokrywę a brzeg trumny. A potem nacisnął dźwignię, wywierając nacisk na wieko.

Dostępu do wnętrza broniły dwie czarne ze starości zasuw. Trzy wieki mocno nadwątlily ich moc. Pod naporem silnego ramienia archeologa puściły wraz z kawałkami drewna niczym nieudolnie zamocowane zawiasy.

Wieko trumny skrzypnęło, wywołując dreszcz na plecach zgromadzonych. Gdy Zgrzebny odrzucił je wprawnym ruchem na bok, dostrzegliśmy ludzki szkielet spoczywający w wyściełanym resztkami poduszek wnętrzu.

Denat miał złożone na brzuchu dłonie. Położono go w obszernej peruce, z której jednak niewiele już zostało. Nieboszczyk musiał być niegdyś odziany w czerwony płaszcz – niechybnie mundur armii saskiej. Teraz pozostałości tkaniny były wypłowiałe, ale resztki żywej barwy zachowały się w zgięciu odzienia. U boku szkieletu spoczywał pałasz z całkiem dobrze zachowaną prostą głownią i fantazyjnie kutą rękojeścią.

Na widok broni oczy Niny Nałkowskiej rozszerzyły się.

– To on! To pułkownik Osten-Sacken! – krzyknęła. – Mój Boże, naprawdę go odnaleźliśmy!



Rozumiałem jej emocje, ale wcale nie byłem pewny, czy kości, które właśnie oglądaliśmy, były rzeczywiście szczątkami pułkownika

w służbie Augusta II Mocnego. Resztki płaszcza i broń sugerowały oczywiście wojskową przeszłość pochowanego, ale nie dawały jeszcze stuprocentowej pewności, czy odnaleziony nieboszczyk był trzy wieki wcześniej Karolem Ludwigiem von der Osten-Sackenem.

Gdy wszyscy zaaferowani pochylaliśmy się z szacunkiem dla zwłok nad otworem w posadzce, tylko komendant Borkowski nie błędził chaotycznie wzrokiem po szczątkach. Policjant wpatrywał się w rogi trumny. Dostrzegłem to przypadkiem, z zaciekawieniem badając reakcje obecnych na odkrycie. Tylko nadkomisarz lustrował wnętrze trumny metodycznie, na chłodno. Najwyraźniej czegoś w niej szukał.

– Czy znalazł pan to, czego pan szuka, panie komendancie? – zapytałem.

– To się zaraz okaże. – Uśmiechnął się nieznacznie, jakby zaskoczony moimi słowami. – To się zaraz okaże... Panie doktorze, za przeproszeniem... Czy mógłby pan wydobyć tę szkatułkę?

Zgrzebny stanął jak wryty, nie do końca rozumiejąc prośbę policjanta.

– Ale... jaką szkatułkę, panie komendancie?

– Tę, która spoczywa w nogach nieboszczyka. Proszę się przyjrzeć, przecież tam niewątpliwie coś mamy...

Grono świadków raz jeszcze zapuściło żurawia w głąb murowanej niecki, wydając zupełnie nieświadomie głośne westchnienie.

– Rzeczy... wiście... – Doktor Zgrzebny pochylił się ze sporym wysiłkiem nad trumną, gmerając dłonią w lateksowej rękawiczce w dolnym jej rogu. – Rzeczywiście coś tutaj jest!



Zakurzona szkatuła była niedużych rozmiarów, ale wyglądała na dość ciężką. Przypominała zdobne drewniane pudełko na drobiazgi, wzmocnione okuciami na rogach. Gdy jednak doktor Zgrzebny przetarł ją delikatnie szmatką z fibry, wpadliśmy w zachwyty. Szkatułka była zapewne hebanowa, a na jej pokrywie dostrzegliśmy

pięknie widoczny herb złożony z dwóch pól. Na lewym widać było skrzyżowane miecze, na prawym – fragment korony na tle czegoś, co kiedyś było zapewne czarno-żółtym przeplatańcem.

– To herb Wettynów! – zauważyła Nina Nałkowska, z radości aż podskakując i klaszcząc w dłonie jak mała dziewczynka.

– Czyli to może być grób pułkownika – dodał spokojnym tonem proboszcz.

– Zobaczmy, co jest w środku – zaproponował archeolog.

Choć bardzo starał się zachować spokój, ręce trzęsły mu się jak po alkoholu.

Aby nie upuścić szkatułki, pomocnicy Zgrzebnego naprędce złożyli na potrzeby badań plastikowy stolik. Doktor postawił na nim znalezisko, wziął głęboki oddech, a potem obmacał drewniane pudełko dłońmi w rękawiczkach.

– Jest zasuwka – poinformował.

Zaraz potem wykonał delikatny ruch wzdłuż korpusu skrzyneczki i chwycił szeroko rozwartą dłońią za wieko.

Serce skoczyło mi do gardła, a sądząc po czerwonych twarzach pozostałych zgromadzonych, również oni mieli w tym momencie mocno podniesione ciśnienie. I tylko komendant Borkowski stał niewzruszenie w spokojnej, nieco wyniosłej pozie, jakby doskonale wiedział, co znajduje się w środku. Mimo wszystko nie zazdrościłem mu tej wiedzy.

Zgrzebny miękким ruchem odchylił wieko szkatuły.

Rzuciliśmy się, by zajrzeć do środka hebanowego pudełka, nie większego niż format zwykłego zeszytu.

Zobaczyliśmy amarantową chustę złożoną w kwadrat. Trzy stulecia nie skradły jej żywej barwy. Skrywała coś niedużego, acz wypukłego. Coś, co z racji kształtu skojarzyło mi się natychmiast z sercem.

– Może wyjmę ten materiał... – wyszeptał przez maskę Zgrzebny.

Nabożnym ruchem zdradzającym duże doświadczenie i szacunek dla artefaktu wydobył okrągły przedmiot okryty chustą i położył go na blat stolika.

– No to... w imię Boże – zdecydował nieco patetycznie, choć

niewątpliwie z wyczuciem chwili.

I chwycił za amarantową chustę.

– Idę o zakład, że to jakiś cenny diament – szepnął Gromadzki, który z wrażenia oderwał się od kamery i śledził ostatnie wydarzenia własnymi oczyma.

– E, raczej kilka ołowianych kul – rzucił z sarkazmem Marek, poprawiając maskę.

– A ja myślę... – zacząłem, ale nie zdążyłem już dopowiedzieć swojej kwestii.

W tym samym momencie wprawna dłoń doktora Zgrzebnego wydobyła bowiem z amarantu coś owalnego, co na pierwszy rzut oka przypominało order lub inne odznaczenie. Ale tylko na pierwszy rzut oka. Bo kiedy w wąskim pomieszczeniu przez ułamek sekundy błysnęło szczerę złoto, wszystkim opadły szczęki.

– Przecież to... – zachłysnął się Zgrzebny.

– To jest... – przytkało Marka.

W sztuce, którą właśnie nieświadomie odgrywaliśmy, komendant Borkowski doczekał się właśnie momentu na swoją kluczową kwestię.

– Szanowni państwo, oto osobisty zegarek króla Augusta! – oznajmił uroczystym tonem.

34.

Przeciek kontrolowany

Wszystko to wydawało się nierealne, a jednak działo się naprawdę.

Staliśmy jak sparaliżowani, wpatrując się w niepozorny, owalny przedmiot ze złota. Miał nie więcej niż pięć centymetrów średnicy i bez problemu mieścił się w szerokiej dłoni archeologa. Na jego misternie rzeźbionej pokrywie widniał efektowny grawer *August D.G. Rex Poloniae*^[16] i data 1701. Napisy okalały wizerunek królewskiej postaci w iście lwiej peruce. Wrażenie kolistości zegarka osobistego króla zaburzała metaliczna wypustka zwieńczona małą klamrą, służąca zapewne do nakręcania mechanizmu czasomierza.

Zgrzebny odwrócił na moment zegarek, a my wpadliśmy w jeszcze większy zachwyty. Na tylnej kopercie zauważyliśmy bowiem... grawer przedstawiający bitwę wojsk królewskich ze Szwedami!

Po otwarciu pokrywy naszym oczom ukazały się zdobione złotem wskazówki i tarcza zegarka. I pomyśleć, że August Mocny spoglądał na nie przed trzystu laty z hakiem, by ustalić, czy już przypadkiem nie pora na wieczerzę...

– Wspaniały zabytek! Zapewne pochodzi z pracowni zegarmistrzów norymberskich – wyraziła fachowe przypuszczenie dyrektorka muzeum. – Myślę, że pułkownik Osten-Sacken mógł go otrzymać z rąk królewskich w uznaniu dla swoich zasług na polu walki.

– Gratuluję intuicji, pani dyrektor. – Borkowski skłonił się lekko przed Nałkowską. – Rzeczywiście ten królewski zegarek jest wyrazem wdzięczności Augusta II dla pułkownika za udany manewr wyprowadzający rozbitą armię saską z niebezpiecznego położenia nad

Dźwiną w 1701 roku, w początkach wojny ze Szwecją. Król był tak wdzięczny swoim oficerom za ocalenie wojska od ostatecznej zguby, że trzech z nich nagroził swoimi rzeczami osobistymi. Pułkownikowi Osten-Sackenowi trafił się chyba najlepszy prezent – dostać osobisty zegarek monarchy to naprawdę nie było jakiś zaszczyt.

– A skąd pan to wie, jeśli wolno zapytać? – Ksiądz proboszcz wyglądał na szczerze zaaferowanego.

– Wybacz ksiądz, nie mogę zdradzać ustaleń śledztwa – wycofał się w jednej chwili Borkowski.

– Już je pan zdradził, panie komendancie – zauważyłem ze śmiechem.

– To był... przeciek kontrolowany – wybrnął policjant.

– Czyli informacje, które był nam pan łaskaw przekazać, pochodzą od zatrzymanych w tej sprawie? – docisnął go od razu Robert, celując kamerą w twarz oficera.

– No... To chyba żadna tajemnica. – Machnął ręką Borkowski, jakby odganiał się przed natrętną muchą. – Ale niech pan się nie rozpędza z tą kamerą, proszę bardzo! Mnie obowiązują jednak pewne procedury!

– Panie komendancie kochany! – podjął się mediacji ksiądz proboszcz. – Niechże pan będzie człowiekiem! Właśnie dobrnęliśmy do kresu pewnej przygody, którą wszyscy zapamiętamy do końca życia. Nie godzi się odmawiać nam choć garści szczegółów, które nadadzą naszym wysiłkom sens i osadzą je we właściwym kontekście.

– Ksiądz proboszcz ma rację – poparła kapłana dyrektor Nałkowska. – Panie komendancie, proszę nam chociaż wyjaśnić, jak to się stało, że Wschowa znalazła się na celowniku osób podejrzanych o udział w dwóch zabójstwach.

– Przypomnę, że pomogliśmy policji w ustaleniu ważnych danych w trakcie śledztwa – dorzuciłem bezczelnie w imieniu swoim i Marka.

– Ale... – Zdezorientowany nadkomisarz rzucił niechętnym spojrzeniem na Gromadzkiego.

– No już dobrze – jęknął Robert. – Nie nagram pana wypowiedzi. Przyrzekam!

– I proszę się na mnie nie powoływać! – zaznaczył komendant. – Musi mnie pan zrozumieć... Komendant wojewódzki nie zaakceptował jeszcze naszego raportu. Nadal nie mamy stuprocentowej pewności, czy prawidłowo zrekonstruowaliśmy przebieg wypadków... Więc co, umowa stoi?

– Tak jest! – przytaknął skwapliwie dziennikarz Portalu Wschowskiego.

Droga do wyjaśnienia ostatnich wątpliwości stanęła wreszcie otworem.



Zatrzymany obywatel Niemiec – Borkowski nie zdradził jego danych, nazwijmy go Hansem J. – okazał się dalekim potomkiem pułkownika Osten-Sackena. Kilka miesięcy wcześniej dotarł do przekazywanych z pokolenia na pokolenie rodzinnych zapisków, z których wynikało, że jego praprzodek, oficer armii elektora saskiego i jednocześnie króla Polski, został nadzwyczaj uhonorowany przez Augusta Mocnego. Idąc tym tropem, zorientował się, że pułkownik zakończył swój żołnierski żywot w starciu pod Wschową i że prawdopodobnie został pochowany gdzieś tutaj, w obrębie miasta. Miejsce pochówku było w tej historii kluczowe: według rodzinnych przekazów pułkownika pochowano bowiem wraz z królewską pamiątką, z której był tak dumny. Z pamiątką, której wymierna wartość poszybowała w ciągu następnych wieków ostro w górę, osiągając pułap niemal stu tysięcy euro.

Hans J., prywatnie właściciel kiepsko prosperującej firmy renowacji zabytków, zorientował się, że istnieją spore szanse na odnalezienie zegarka Augusta w grobie jego sławnego praprzodka. Pod warunkiem, że grób uda się namierzyć i że rodzinne podania zawierają prawdę. Nie wiadomo, jak Niemiec skontaktował się z niejakim Norbertem Kowalskim, kilkakrotnie notowanym w Polsce za rozboje i kradzieże. Faktem jest, że w czerwcu pojawił się w jego towarzystwie we

Wschowie. Zamieszkali w Hubertusie, skąd jeździli po okolicy, szukając nowych informacji o miejscu pochówku Osten-Sackena.

W komitywie z nimi działał Krzysztof Mąkiewicz, nawrócony gangster, oficjalnie ratownik na plaży w Lginiu. Jak wyjaśnił nam nadkomisarz Borkowski, policja nie ustaliła na razie, jak niemiecko-polski duet trafił do Mąki – niewykluczone, że Kowalski znał się z nim z dawnych, niespokojnych czasów, w których Mąkiewicz parał się różnymi brudnymi sprawami. W każdym razie to właśnie Mąkiewicz ustalił dla swoich zleceniodawców, że we Wschowie mieszka człowiek, który od lat interesuje się postacią pułkownika Osten-Sackena. Tak właśnie Mąka trafił do byłego kustosza tutejszego muzeum, Juliana Zamiejskiego. Postępująca degeneracja alkoholowa Zamiejskiego sprzyjała nawiązaniu kontaktu – Mąkiewicz szybko zaprzyjaźnił się z dawnym muzealnikiem i wkupił się w jego łaski, cierpliwie asystując mu podczas rekonesansów po okolicznych lasach i polach. Można przyjąć, że był „uchem” swoich bossów: miał za zadanie zorientować się, ile Zamiejski wie i jakimi materiałami dysponuje.

Nie wiadomo, dlaczego w mieszkaniu Zamiejskiego doszło do jego scysji z Mąkiewiczem. Być może stary kustosz zorientował się, że Mąka węszy albo żąda od niego zbyt wiele. A być może kustosz posiadał coś cennego, co naprowadzało wprost na trop grobu. Tak czy owak, Zamiejski nie zamierzał się z nikim dzielić swoją wiedzą. Zapłacił za to własnym życiem.

Na wieść o zabójstwie Zamiejskiego Hans J. spanikował i chciał się wycofać. Kowalski uspokoił go jednak i przekonał, że jeszcze nie wszystko stracone. Sprawa przycichnie, a on zadba, żeby Mąkiewicz nie wygadał się ze swojej tajemnicy. Zadbał z wiadomym skutkiem, który dane nam było – niestety – odkryć nad lgińskim jeziorem.

Hans J. miał zapewne podzielić się ze swoim współnikiem zyskiem z królewskiej pamiątki. Tylko to tłumaczyło gorliwość i bezwzględność, z jaką działał jego polski partner. Nie wiadomo jedynie, czy Norbert Kowalski zamierzał dotrzymać warunków umowy, czy może planował pozbyć się Niemca i przejąć łup. Sądząc po jego morderczych wyczynach, taka możliwość wydała mi się

całkiem realna.



Zgodnie z umową ta bardzo skrótowo opowiedziana przez komendanta historia pozostała pomiędzy uczestnikami naukowej ekspedycji do Kripplein Christi. Zanim opuściliśmy dawny zbór, raz jeszcze musieliśmy złożyć przed komendantem przysięgę, że nie wyniesiemy tej wiedzy poza stare mury. I choć nadkomisarz nadal spoglądał na nas wzrokiem pozbawionym ufności, dotrzyaliśmy słowa. No, może poza Robertem Gromadzki. Ten przegrał z instynktem dziennikarza – zabrał się zaraz do potwierdzania informacji w tak zwanych innych źródłach, aż w końcu zdobył oficjalną wypowiedź komendanta zaalarmowanego przez swoich podwładnych z komendy. I już pod wieczór cała Wschowa zaczytywała się w sensacyjnej relacji serwisu powiatowego. Redaktor Gromadzki i jego medium przeżyli tego dnia szczyt popularności, którego nie przebili już nigdy więcej.

Opiliśmy ten sukces w piwiarni na Daszyńskiego. Wspomnienie nerwowych chwil przeżytych w krypcie szybko wyparowało nam z głów pod wpływem chmielnego wywaru leczniczego podanego w dużych ilościach. A informacje Portalu Wschowskiego o rychłych, bo spodziewanych już następnego dnia zarzutach prokuratorskich dla polsko-niemieckiej szajki, jak i o równie prawdopodobnych zarzutach dla Krzywego i jego gangu, dodatkowo wprawiły nas w szampańskie nastroje.

Przy bodaj piątej szklance primatora, który szumiał mi już we łbie niczym wodospad Kamieńczyka, uznałem za stosowne klepnąć przyjaźnie Marka w jego chude plecy i powiedzieć:

- Stary, dziękuję!
- Ale za co? – Matematyk był już na tyle znieczulony piwem, że nie domyślił się, do czego piję.
- Jak to za co? Za fantastyczny tydzień, kolego. Za emocje,

tajemnicę. I dreszczyk na koniec...

– No, no, no! Do tego ostatniego lepiej nie wracajmy! – zjeżył się Marek.

– Nigdy nie zapomnę chwili, w której Zgrzebny otworzył kryptę! A już na pewno nigdy nie zapomnę miny tego draba Kowalskiego, gdy Krzywy wycelował w niego broń. A pamiętacie śpiew Krępego, gdy wprowadzał tego drania z kościoła... Zaraz, zaraz, panowie, jak to leciało?

– *If you're going to San Francisco...* – zaintonował Robert, wskakując na swoje krzesło.

– *Be sure to wear some flowers in your hair!* – dośpiewałem entuzjastycznie.

*If you're going to San Francisco,
You're gonna meet some gentle people there...*

– nie wiedzieć jakim cudem popłynął nagle w głośnikach pubu niezapomniany wokal Scotta MacKenzie'ego. I tylko rudobrody, krępy właściciel lokalu machnął nam zza kontuaru dłonią na znak, że trzyma rękę na pulsie.

Ech, cóż to była za noc! O tym jednak – wyjątkowo – nie przeczytacie na portalu Roberta Gromadzkiego. Tym razem dziennikarz zwyczajnie nie miał głowy do newsów. Istnieje podejrzenie, że w ogóle ją stracił.

[16] (łac.) August II z Bożej Łaski Król Polski.

Epilog

Chyba popełniliśmy przestępstwo, a już na pewno poważne wykroczenie. Jazda na rowerze w stanie nietrzeźwym podpada przecież pod konkretny paragraf w przepisach ruchu drogowego. Tak się jednak składa, że w poniedziałek około południa, gdy już jako tako doszliśmy do siebie po nocnym świętowaniu, uznaliśmy za konieczne przewietrzyć się. Dosłownie przewietrzyć. A zdezelowane rowery Marka jakby tylko na to czekały, szczerząc do nas swoje kierownice z półcienia korytarza.

No więc pojechaliśmy raz jeszcze najpierw pod górę, a potem ostro w dół, ku polu krwawej jatki sprzed trzystu lat i majaczącemu w oddali obeliskowi z buhajem Ilonem na szczycie. Jakimś cudem nie natknęliśmy się na żaden patrol podwładnych nadkomisarza Borkowskiego, a hamulce słuchały nas przynajmniej na tyle, że nie wjechaliśmy pod sznur tirów pokonujących posępnie rondo u wylotu z miasta. Dostać się na górkę z buhajem z brązu, to już było *nomen omen* małe piwo. Dotarliśmy tam na „młodzieńczym” entuzjazmie.

Zdyszani, ale i szczęśliwi zalegliśmy na prostych ławkach wokół cokołu, podziwiając z tej perspektywy walory aparatu rozrodczego byka rasy Hollstein.

– Żal wracać – mruknąłem, przeciągając swoje stare kości na ławce niczym wyliniały kot wygrzewający się słońcu.

– Yhm.

– Szkoda, że nie macie tu drugiej zagadki do rozwiązania.

– To ta jedna ci nie wystarczy?

– Tamta była dobra na zeszły tydzień. Teraz przydałaby się druga, żeby tu jeszcze trochę posiedzieć.

Marek wsparł głowę na łokciu i spojrzał na mnie poważnie.

– Mogę pogadać z matką. Chyba nie miałyby nic przeciwko... – zaczął.

– Daj spokój – przerwałem mu stanowczo. – Widzę, że jest już zmęczona. I tak za długo siedzę wam na głowie. Trzeba wracać.

– Jak uważasz, Boguś. Ale...

– Dzięki, stary. Żadnego „ale”. Lepiej pozostawić po sobie dobre wspomnienie. Wtedy będzie tu można jeszcze kiedyś wrócić...

Pisk opon na szosie wywołał w mojej głowie efekt *déjà vu*. To przecież już się wydarzyło! Tylko kiedy: we wtorek czy w środę? Znowu zobaczyliśmy króla newsów Gromadzkiego, w dodatku w jego samochodzie, co zważywszy na nasze wieczorne piwne pożegnanie, zakrawało na zuchwalstwo. Robert miał rozbiegany wzrok i spoconą twarz.

– Panowie! – krzyknął przez uchylone okno. – Tragedia!

– Co się stało? Zabrakło piwa? – zażartowałem trochę głupio.

– Gorzej! Krzywy urwał się policji, gdy przewozili go do prokuratury w Głogowie!

– Jak to?! – Poderwaliśmy się na równe nogi.

W kilka sekund byliśmy przy wozie Roberta.

– Jak to w ogóle możliwe?!

– Ubłagał konwojentów, żeby zatrzymali się na trasie gdzieś pod lasem za Szlichtyngową. Że niby chce siku. A potem odepchnął policjanta w krzaki i dał susa w las. Z kajdankami na dłoniach, wyobrażacie sobie?! I tyle go wiedzieli! Od dwóch godzin trwa obława w lasach pod Gołą, ściągnęli nawet helikopter z Zielonej Góry! Mówię wam, takiego kina akcji tu jeszcze nigdy nie było!

Spojrzałem na Marka – i w jednej chwili obydwaj doszliśmy do tego samego wniosku.

– Czas wracać do Poznania – powiedziałem.

– Nie chcesz zabawić się w pościg za Krzywym? – rzucił przekornie

kumpel z pracy.

– To już wybitnie zajęcie dla policji. Wiesz, że ten facet jest niebezpieczny. A my... My już dawno wyczerpaliśmy swój limit szczęścia. Wystarczy!

Nie protestował, tylko uśmiechnął się melancholijnie, a potem szturchnął mnie znienacka łokciem pod żebro, aż się skuliłem. Takie szczeniackie zagrywki facetów po czterdziestce.

– Zakładasz oczywiście, że twój leciwy ford odpali? – zagadnął złośliwie.

– Jeśli nie, to go popchniesz, panie matematyk. Inaczej nie wrócisz do domu. I do ukochanej żony.

Poznań-Wschowa, marzec-wrzesień 2017

Od autora

Pułkownik piechoty armii saskiej Karl Ludwig von der Osten-Sacken to postać historyczna. Poległ 13 lutego 1706 roku w bitwie pod Wschową i rzeczywiście został pochowany w tym niedużym mieście z wielką historią. Czy walczył pięć lat wcześniej w bitwie nad Dźwiną? Na ten temat nie wiadomo nic pewnego. Zważywszy jednak na hipotezę, że pochodził z Kurlandii, nie jest to wykluczone. Jego imponujące epitafium, które pojawia się na kartach tej książki, jest prawdziwą ozdobą zbiorów Muzeum Ziemi Wschowskiej. I tylko miejscowi badacze dziejów spierają się, gdzie pochowano pułkownika: czy pod dawną biblioteką Kripplein Christi, jak podał trzy wieki wcześniej pastor Lauterbach, czy we wnętrzu zboru, czy może na Campo Santo, a więc poza murami miasta. Dotychczas nie odnaleziono bowiem stuprocentowo pewnych szczątków pułkownika. Wiem wszakże, że archeolodzy nie mieli dotychczas okazji sprawdzić pomieszczeń pod dawną biblioteką Kripplein Christi, w której kryptę Osten-Sackena odnaleźli bohaterowie tej książki. Czy Popiołek i spółka mieli nosa – okaże się zatem w przyszłości.

Drogocenny dar króla Augusta dla Osten-Sackena to oczywiście zabieg czysto literacki. Pretekst, by zawiązać intrygę, a przy okazji pokazać Wschowę, zdecydowanie zasługujące na uwagę miasto na styku regionów, a niegdyś krajów. Trzy lata po bitwie z 1706 roku na Wschowę spadła epidemia dżumy, która wypłoszyła szwedzkich okupantów, ale też przetrzebiła niemal o połowę liczbę mieszkańców.

Początek XVIII wieku był więc dramatycznym okresem w dziejach tego ulubionego przez Wettynów miasta. Tak samo zresztą jak dla całej Rzeczypospolitej, wciągniętej nie z własnej woli do kolejnej wyniszczającej wojny, która ostatecznie położyła kres jej niegdyś mocarstwowej pozycji w Europie.

W tym miejscu chciałbym serdecznie podziękować pani Marcie Małkus i panu Dariuszowi Czwojdrakowi z Muzeum Ziemi Wschowskiej za życzliwe i cenne wsparcie merytoryczne podczas pisania książki. Dziękuję również poznańskim archeologom Andrzejowi Sikorskiemu i Arturowi Dębskiemu za ważką konsultację dotyczącą eksploracji krypt, a także panu Alfredowi Roeslerowi za podarowaną mi *Kronikę Wschowy* autorstwa Martina Sprungali, która dała mi lepsze wyobrażenie o epoce, po której się poruszałem.

Wbrew pozorom nie było wcale łatwo umiejscowić i poprowadzić akcję powieści sensacyjnej w rodzinnych stronach. Własne, dawne wyobrażenie o Wschowie musiałem skonfrontować z mniej mi znaną Wschową współczesną. Dlatego chciałbym zaznaczyć, że miasto i okolica przedstawione na kartach *Pokuszenia* różnią się w nielicznych detalach od tych prawdziwych. Nie napisałem jednak książki dokumentalnej, tylko fabularną. A ewentualne podobieństwo niektórych postaci do osób znanych mieszkańcom Wschowy? Cóż... Jest prawie całkowicie przypadkowe.

Piotr Bojarski